



GORZKA
CZEKOLADA

KATHRIN LANGE

DETONATOR



Media Rodzina

KATHRIN LANGE
DETONATOR

Tłumaczył Miłosz Urban

Media Rodzina

Dla Nilsa.

To będzie długa podróż.

(Robert B. Parker)

I dla Elyasa.

*Faris otrzymał Twoją twarz na długo przedtem,
zanim Ty i ja byliśmy tego świadomi.*

Kto walczy z potworami, ten niechaj baczy, żeby sam przytem nie stał się potworem. Zaś gdy długo spoglądasz w bezdeń, spogląda bezdeń także w ciebie.

Fryderyk Nietzsche, *Poza dobrem i złem*
przeł. S. Wyrzykowski, Kraków 1912, s. 108

Jahannam.

(arab. – piekło)

PROLOG

Połowa lutego. Berlin

Pas szahida zdawał się ważyć tonę. Faris zacisnął dłoń na detonatorze. Serce podchodziło mu do gardła. Miał wrażenie, że zmieniło się w bryłę lodu.

– Rzuć to! Rzuć to, co masz w ręce! – rozległo się wezwanie z głośników.

Wszystko słyszał niewyraźnie, jakby słowa docierały do niego zza ściany.

Widział czerwone punkty laserowych celowników karabinów snajperskich. Przesuwały się po jego ciele w górę, aż dotarły do głowy. Oślepiiony musiał zamknąć oczy.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Przestały go boleć ramiona. Niespodziewanie poczuł się bardzo lekko.

Odpiął zamek błyskawiczny kurtki i rozchylił ją, żeby wszyscy mogli zobaczyć materiały wybuchowe.

Sekundę później trafiła go pierwsza kula.

ROZDZIAŁ 1

Dzień wcześniej

Przy każdym oddechu Faris Iskander czuł falę chłodnego, wilgotnego powietrza wypełniającego płuca. Serce waliło mu mocnym, jednostajnym rytmem, podobnym do tego, który wystukiwały podeszwy jego butów na błyszczącym od deszczu asfalcie.

Przy każdym kroku w głowie rozlegały się echem te same dwa słowa.

Nie.

Roztrzasać.

I to działało. Przynajmniej dopóki był w ruchu. Tylko kiedy biegł, jego głowa się oczyszczała. Tylko wtedy uspokajały się myśli, które inaczej nie dawały mu spokoju.

Nieprzyjemnie silny lutowy wiatr uderzał go w twarz, rozrzucał mu włosy i zabierał oddech. Mimo to biegł dalej, zmagając się z kolejnymi podmuchami, tak jak zmagał się z nie dającymi spokoju myślami. Niebo nad miastem przybrało typową szarozółtawą barwę. Zanieczyszczenie światłem. Ta okolica nigdy tak naprawdę nie pogrążała się w ciemnościach.

Minęło właśnie wpół do siódmej rano. Słońce wszędzie dopiero za godzinę, lecz i tak nikt go nie zobaczy. Od kilku dni niebo nad miastem spowijały grube chmury, z których co chwila padał delikatny deszcz.

– Czekaj, przypomnisz mi, dlaczego właściwie na trening wybraliśmy to miejsce, a nie ogród zoologiczny? – Marc Sommer, kolega Farisa i współpracownik w WPR, Wydziale Specjalnym do Walki z Przestępstwami Motywowanymi Religijnie, spojrzał na niego kątem oka. Marc miał świetną kondycję i był wysportowany. Czasy, które robił na bieżni na czterysta metrów, bardzo niewiele ustępowały czasom osiąganym przez Farisa, więc i teraz bez problemu dotrzymywał mu kroku.

Faris przesunął wzrokiem po całkowicie pustym pasie startowym nieczynnego już lotniska Tempelhof.

– Bo tutaj nie spotkamy żadnych pozerów?

Od kilku tygodni bramy dawnego lotniska, które wcześniej broniły nocą dostępu do ogromnego terenu, przez całą dobę pozostawały otwarte. Z każdym dniem coraz więcej berlińczyków będzie się o tym dowiadywać i już wkrótce będą tu tłumy, jednak na razie mogli tu biegać właściwie sami.

– Ale tam mielibyśmy przynajmniej latarnie! – prychnął Marc. Biegał w stroju sportowym od Ralpha Laurena, przy którym prosty dres Farisa wyglądał zwyczajnie tanio.

Policjant uśmiechnął się krzywo.

– No i? Za ciemno ci tutaj? – mruknął i przyspieszył.

Jakiś stary karton pchany przez wiatr po pasie startowym wpadł wprost pod nogi funkcjonariuszy. Faris nie zastanawiał się długo i wybił się, żeby nad nim przeskoczyć. Przy lądowaniu poczuł ostry ból przesywający bok. Wybity z rytmu przycisnął dłoń do żeber.

– Hej, co się dzieje? – spytał Marc i zwolnił. – Wszystko w porządku?

Zatrzymali się.

Faris opuścił dłoń i odsunął z czoła mokre od potu włosy.

– Pewnie, wszystko okej.

Kolega spojrzał na niego sceptycznie i brodą wskazał na jego prawy bok.

– To ta blizna? Cały czas jeszcze nie daje ci spokoju?

Faris przez chwilę milczał. Kawalek dalej, na tle nieba odcinał się zarys zabudowań dawnego lotniska. Jakby ktoś wyciął go nożyczkami. Odwrócił wzrok, bo ten widok przywołał niechciane wspomnienia.

– Od czasu do czasu – odpowiedział i rozluźnił mięśnie karku, które odruchowo spinał, ilekroć pojawiał się ten temat. Nie chciał już o tym rozmawiać, więc posłał koledze znaczące spojrzenie.

Marc uśmiechnął się szeroko.

– Okej! Okej! Nie ma sprawy!

Pchany wiatrem karton toczył się dalej, aż w końcu znieruchomiał przy krawędzi pasa startowego. Delikatna mżawka szybko zmieni go w bezkształtną bryłę rozmoczonego papieru. Faris chciał ruszyć dalej, ale Marc złapał go za ramię i zatrzymał.

– Hej!

Monotonny warkot nieodległej autostrady przypominał trochę szum fal rozbijających się o skały.

Faris odwrócił się i uniósł wzrok.

Kolega spoglądał na niego niesamowicie błękitnymi oczyma tak intensywnie, jakby chciał w ten sposób zajrzeć mu do głowy.

– Znowu źle spałeś? – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

Faris stłumił westchnienie. Miał nadzieję, że nikt tego nie zauważy. Od kilku miesięcy źle sypiał, ba, przez większość nocy ani na chwilę nie zmrużył oka. A jeśli jakimś cudem udawało mu się zdrzemnąć, natychmiast budził go ten sam koszmar.

– Śniła ci się śmierć Paula? – dopytywał Marc.

Paul.

Partner Farisa z WPR-u i jednocześnie najlepszy przyjaciel. Minęło już ponad pięć miesięcy od chwili, gdy w eksplozji bomby stracił życie.

Faris chciał odwarknąć coś koledze i czym prędzej zakończyć tę rozmowę.

– Tak – przyznał niechętnie. Mimo że nie miał ochoty, zdawał sobie sprawę, że musi powiedzieć cokolwiek. – Ale to był tylko sen...

„Akurat!” – zaprzeczył sobie w myślach.

Poczuł, że na wspomnienie kosmaru, który dręczył go poprzedniej nocy, stężała mu twarz. Paul się uśmiecha. A potem wypowiada jedno zdanie, raz za razem, aż w końcu płomienie trawia jego głowę i zmieniają w zwęgloną bryłę.

„To nie twoja wina...”

Wspomnienie tamtego wieczoru wbiło się w pamięć Farisa niczym drzazga.

– Chodzisz jeszcze do tej terapeutki? Zaraz, jak ona się nazywała? Doktor Roth, prawda? – dopytywał się Marc.

Gównu go to obchodzi!

Faris spróbował udać optymizm. Miał straszne wyrzuty sumienia, bo Marc naprawdę się starał i dawał z siebie wszystko, żeby zastąpić mu Paula. On jednak nie był jeszcze gotowy zaakceptować u swego boku kogoś zupełnie nowego. Pracował z Markiem w parze i to wszystko.

Poczuł chłód.

Lutowy wiatr sprawił, że zrobiło się jeszcze zimniej. Ruszyli dalej. Tym razem Faris biegł tak szybko, że Marc został w tyle.

NIEZNAJOMY

– Zeszłej nocy znów miałem ten sam sen. – Głos Farisa Iskandera dobiegał z głośniczków srebrnego laptopa i wypełniał nowoczesnie umeblowane biuro.

– Ten sam sen? Jaki to sen? – zapytał drugi głos z nagrania. Należał do kobiety.

Człowiek, który pragnął zemsty, nachylił się nad klawiaturą, żeby go lepiej słyszeć. Nerwy i złość były tak silne, że aż do bólu zaciskał pięści.

– Idziemy z Paulem obok siebie jakąś ciemną uliczką i podchodzimy do drzwi. – Iskander mówił głuchym głosem, prawie bez intonacji, jakby bezustannie zaciskał zęby. Słysząc było, że zmusza się do mówienia. – Wiem, że za tymi drzwiami czeka nas śmiertelne niebezpieczeństwo, ale czuję, że muszę tam wejść. Nie mogę inaczej. Podchodzimy do nich. Są z drewna, bogato rzeźbione. Wyciągam rękę, żeby je otworzyć, ale kiedy ich dotykam, rozpadają się na proch. Ruszam przed siebie i wchodzę przez otwór, jaki po nich pozostał. Przede mną stoi jakaś kobieta w czerwonej sukni. Patrzy na mnie oskarżycielsko, a potem podnosi dłoń i celuje we mnie palcem. Nie ma na nim paznokcia, a zamiast

opuszka jest czerwona, krwawa miazga. – Iskander przerwał. Minęło kilka sekund, zanim podjął opowieść: – Paul jest kilka kroków za mną, ale słyszę, że zaczyna się śmiać. Zupełnie nagle. Odwracam się szybko. „To nie twoja wina”, mówi. „To przecież nie ty uruchomiłeś detonator”. Zaczynam krzyczeć, bo wiem, co się teraz stanie. – Policjant mówił dalej, ale słysząc było, jak bardzo się do tego zmusza. – Paul otwiera usta. Chce coś jeszcze dodać, ale już nie może, bo jego twarz jest cała w płomieniach. Ma zwęgloną skórę i ciało. I to jest moment, w którym za każdym razem się budzę.

Zapadła cisza. Człowiek, który pragnął zemsty, opadł na oparcie fotela. Powoli rozprostował zaciśnięte dotychczas palce i przyjrzał się czerwonym śladom w miejscach, w których paznokcie wpiły mu się w skórę.

– Domyślasz się, że to twoja podświadomość przez powracające sny usiłuje przepracować wszystko, co cię spotkało? – spytała kobieta z nagrania.

Człowiek, który pragnął zemsty, zaskoczony uniósł brwi. Nie spodziewał się, że ona i Iskander są na ty.

– Pewnie tak. Ja... – zaczął policjant, ale głos mu się załamał.

– Oderwany palec i rzeźbione drzwi – zaczęła kobieta bardzo ostrożnie. – To obrazy z Muzeum Klerscha, prawda? – zapytała rzeczowym tonem. Profesjonalnym. Tonem policyjnej psycholożki.

Człowiek, który pragnął zemsty, uniósł głowę i przesunął wzrokiem po ścianach gabinetu bogatych w obrazy żaglówek i dyplomy szkół medycznych. Biurko ginęło pod stosami wymieszanych papierów, w tym listów, wycinków z gazet i kserokopii.

Mężczyzna sięgnął po jeden z artykułów leżący na samej górze. Dotyczył on eksplozji bomby w niewielkim muzeum w Berlinie, w dzielnicy Charlottenburg. Wydrukowany wielką czcionką tytuł głosił: „Funkcjonariusz Krajowej Policji Kryminalnej w stanie krytycznym po zamachu bombowym w berlińskim muzeum!”. A poniżej zamieszczono zdjęcie mężczyzny o arabskich rysach twarzy, przydługich czarnych włosach i bardzo intensywnym spojrzeniu. Człowiek, który pragnął zemsty, zakreślił zdjęcie czerwonym flamastrem, a obok napisał: „Iskander”.

Odłożył wycinek z powrotem na biurko, na firmową kopertę z logo przedstawiającym niebieską probówkę.

– Tak – odpowiedział Iskander na nagraniu.

– Ale przecież twój partner nie zginął w tamtej eksplozji, tylko kilka miesięcy później – zauważyła psycholożka.

Iskander westchnął boleśnie.

– Nie, to wszystko o kant dupy rozbić...

– Jak zginął twój partner, Faris? Mogę ci pomóc, ale pod warunkiem, że sam chcesz się z tym wszystkim zmierzyć. Ze sto razy już o tym rozmawialiśmy.

Milczenie.

– Faris?

Iskander prychnął głośno. Był zły.

– Zamachowiec od krzyża. To on go zabił. Wysadził go w powietrze, pani doktor. I pani doskonale o tym wie.

Psycholożka policyjna Andrea Roth zignorowała jego prowokacyjny ton.

– A ty bezustannie się o to obwiniasz. Oskarżasz się o jego śmierć, tak samo jak oskarżałeś się o śmierć ofiar zamachowca z muzeum. Dlatego Paul powtarza w twoich snach, że to nie ty uruchomiłeś detonator.

Rozległo się szuranie krzesła, jakby ktoś odepchnął je gwałtownie, przesuując po podłodze. Kroki. Coraz dalej od mikrofonu.

– Wolałabym, gdybyś siedział przy mnie, kiedy rozmawiamy – powiedziała psycholożka.

Iskander najwyraźniej nie miał zamiaru spełniać jej życzenia. Odezwał się dopiero po kilku minutach, a jego głos dobiegał z drugiego końca pomieszczenia.

– Po eksplozji w muzeum użył dokładnie tych słów. Powiedział, żebym się o nic nie obwiniał, bo to nie ja uruchomiłem detonator.

– No i? Miał rację?

Iskander westchnął ciężko.

– Niby tak... niby doskonale rozumiem, że tak właśnie jest, ale...

– Ale co? – drażyła psycholożka.

– Ale mimo wszystko nie potrafię przestać obwiniać się o to, co się stało – ciągnął Iskander. – Nigdy nie pozbędę się poczucia, że mogłem ich wszystkich uratować.

– Wszystkich?

– Wszystkich. Ludzi z muzeum. Potem pasażerów z metra z września. I... i Paula.

Człowiek, który pragnął zemsty, wpatrywał się w drogie perskie dywany, które sprawiały, że mimo zimna i deszczu na dworze, wewnątrz panowała przytulna, ciepła atmosfera.

Skrzywił się w lekkim uśmiechu i podrapał po przydługiej już blond brodzie.

Zamknął ekran komputera, zatrzymując w ten sposób nagranie, które jeszcze nie dobiegło końca. Sięgnął po telefon, włączył ekran i wybrał numer. Czekał kilka sygnałów, aż ktoś się zgłosi.

– Tak? – zapytał młody głos po drugiej stronie.

– Önur? – Człowiek, który pragnął zemsty, starał się mówić możliwie przyjaznym, serdecznym tonem.

– Tak! – Znów tylko jedno słowo, lecz tym razem w głosie chłopaka słychać było podejrzliwość i strach.

– Nadszedł czas – wyjaśnił mężczyzna.

– Już? Naprawdę? – Jęk, słaby i płacziwy. – Ale przecież pan mówił, że to dopiero za kilka tygodni... więc dlaczego już teraz? – Chłopak zaszlochał.

– Tak zostało postanowione. To dziś. Dziś Bóg daje ci szansę, żebyś wszystkim pokazał, jaka kara czeka ich za niewiarę.

– Jestem gotów – wyszeptał chłopak i znów zaszlochał. – *Allahu akbar!*

– *Allahu akbar!* Wiesz, co masz zrobić? – Mężczyzna schylił się po torbę, którą położył na podłodze koło fotela. Wyjął z niej pakunek wielkości dwustu pięćdziesięciu gramów kawy, ale znacznie od niej cięższy. Był owinięty w olejowany, szary papier. Obracał go w palcach, czekając na odpowiedź Önura.

– Tak, wiem – szepnął chłopak do słuchawki.

Mężczyzna potaknął zadowolony i odłożył zawiniątko na blat przed sobą, tuż obok komputera.

– Widzimy się przy stoisku z kiełbaskami przy Kościele Pamięci. Tam dostaniesz ode mnie wszystko, czego potrzebujesz do wykonania swojej misji. Do zobaczenia za piętnaście minut!

– Tak szybko? – Önur nabrał ze świstem powietrza i zaczął mamrotać jakąś dziękczynną modlitwę po arabsku. Głos mu się załamywał, a z gardła wydobywało dziecinne kwilenie.

Mężczyzna przy biurku zabębnił palcami o paczuszkę na biurku.

– *Allahu akbar* – powtórzył Önur.

– Za piętnaście minut! Tylko się nie spóźnij! – Po czym przerwał połączenie i rzucił komórkę między papiery na blacie przed sobą. Wyjął z torby zwój przewodów, zapalnik, baterię i coś, co wyglądało jak część granatu ręcznego. Wystarczyło mu kilka minut, żeby zbudować z tych elementów gotową do detonacji bombę. Kiedy skończył, ponownie uruchomił komputer. Sięgnął po myszkę, żeby kolejny raz obejrzeć ten sam fragment nagrania.

– ...słyszę, że zaczyna się śmiać. Tak zupełnie nagle – rozległ się głos Iskandera. – Odwracam się szybko. „To nie twoja wina”, mówi. „To przecież nie ty uruchomiłeś detonator”. Zaczynam krzyczeć, bo wiem, co się teraz stanie.

Człowiek, który pragnął zemsty, spakował przygotowaną bombę do plastikowej siatki na podłodze. Reklamówka zaszeleściła cicho, kiedy ją uniósł, lecz ten dźwięk utonął w płynących z głośniczka słowach Iskandera, który opowiadał resztę swojego koszmaru:

– Czasem śni mi się coś jeszcze. Czasem śni mi się, że ktoś, jakiś śmieć, wie o moich najgorszych koszmarach. – Policjant nabrał głęboko powietrza. – I że to wykorzysta. I w końcu mnie zmusi, żebym to ja uruchomił detonator.

Tuż przed siódmą rano Faris i Marc dotarli do cmentarza garnizonowego. Kiedy go mijali, w słabym świetle budzącego się dnia widać było wyłaniającą się zza nagich drzew wysoką kopułę meczetu Sehitlik. Biegając, spotykali coraz więcej ludzi, w większości, podobnie jak oni, na porannym treningu – mężczyźni i kobiety, którzy nie chcieli przeciskać się i lawirować między innymi biegaczami w modniejszych miejscach stolicy, właściciele psów, którzy drżąc z zimna i chowając głowy w ramiona, czekali, aż ich podopieczni zrobią to, po co wzięli ich na spacer.

Faris zobaczył na swojej drodze młodą kobietę z psem myśliwskim, który węszył pod jakimś krzakiem. I pani, i jej pupil zwrócili na niego uwagę, kiedy znalazł się bliżej – pies jedynie przelotnie i natychmiast wrócił do węszenia, za to jego opiekunka nie spuszczała wzroku z policjanta. Faris zauważył delikatny uśmiech, który pojawił się na jej ustach w chwili, kiedy znalazł się obok niej.

Nie zwalniając, skinął jej krótko głową.

Pies psiknął. W chłodzie wilgotnego poranka dźwięk zabrzmiał nadzwyczaj ludzko.

Wczoraj wieczorem barman kichnął w identyczny sposób...

Ta myśl pojawiła się w jego głowie, zanim zdążył zareagować, a kiedy już tam była, nie dała się przegonić i przyciągnęła inne wspomnienia. Wczorajszy wieczór. Bar w hotelu Gaislinger.

Laura.

Faris skręcił w alejkę prowadzącą wzdłuż ogrodzenia terenu lotniska. Latarnie po drugiej stronie rzucały na mokry asfalt cień słupków i płotu, jakby znajdował się na terenie spacerniaka. Nie czuł już zimna wypełniającego mu płuca. Oddychał spokojnie i miarowo, lecz wspomnienie minionego wieczoru nie chciało zniknąć.

To było wczoraj, tuż po wieczornych wiadomościach. Rozdzwonił się jego telefon. Wcześniej zaczął oglądać jakiś amerykański film akcji, który jednak nie wzbudził jego zainteresowania. Kiedy na ekranie smartfona zobaczył nieznaną numer, zamierzał odrzucić połączenie. Nie potrafił się do tego zmusić, za to poczuł ucisk w żołądku, coraz większy i większy.

– Iskander – zgłosił się.

– Faris? To ja. – Słyszając głos Laury, bylej narzeczonej, zerwał się gwałtownie z miejsca. Trzy słowa, które wypowiedziała, wystarczyły. Wiedział, że płakała.

– Co się stało? – zapytał.

Kobieta westchnęła głęboko i przez chwilę milczała. Słyszał łzy, które ścisnęły jej gardło i nie pozwalały mówić. Poczuł, jak cały się spina i robi niespokojny. „Rozłącz się” – ostrzegał go rozsądek. „Natychmiast się rozłącz!”

Oczywiście tego nie zrobił.

„Niech cię szlag, Faris!” – zganił się w myślach, mijając biegiem jakąś starszą kobietę prowadzącą mopsa z nadwagą. I pani, i jej pupil wyglądali na bardzo niezadowolonych, jakby ktoś siłą wyrwał ich z ciepłego łóżka i kazał chodzić po zimnym dworze.

Dotarł do bramy przy Columbiadamm. W tej samej chwili odezwał się jego telefon. Serce zabiło mu szybciej. Zatrzymał się. Szybkie spojrzenie na ekran i już wiedział, że to nie jego była narzeczone. Numer, który się wyświetlił, należał do radcy kryminalnego Roberta Tromsdorffa, szefa WPR-u i jednocześnie jego przełożonego.

Dogonił go Marc, przystanął obok i spojrzał pytająco. Faris wzruszył ramionami, po czym odebrał połączenie.

– Robert? Co się dzieje?

– Faris? – W głosie Roberta słychać było ponurą grozę.

Policjant uniósł czujnie głowę.

– Coś się stało?

Tromsdorff odchrząknął.

– Mamy zwłoki. – Sposób, w jaki to powiedział – pozbawiony zawodowego dystansu i profesjonalizmu, jakby mówił o czymś wyjątkowo osobistym – uruchomił w głowie Farisa syreny alarmowe. Chciał coś odpowiedzieć, ale szef nie dał mu dojść do słowa. – Musisz przyjechać.

Natychmiast.

Faris zwilżył językiem usta, bo inaczej nie byłby w stanie się odezwać.

– Dokąd?

A kiedy Tromsdorff wyrzucił z siebie odpowiedź, poczuł w żołądku bolesne palenie.

– Do hotelu Gaislinger.

Niecałe pół godziny później on i Marc siedzieli w jego prywatnym samochodzie i pędzili do dzielnicy Charlottenburg.

– Ile to już minęło, od kiedy Laura dała ci kosza? – zapytał Marc. Przytrzymał się mocno rączki przy drzwiach, kiedy Faris w szalonym pędzie wyprzedzał rozklekotanego garbusa.

Spiesząc do auta, Faris opowiedział mu o zwłokach w hotelu Gaislinger i o tym, że poprzedniego wieczoru zameldowała się w nim również jego była narzeczona. Marc słyszał o jego związku z Laurą Zöller. I wiedział również, że jeszcze zanim poznał Farisa, Laura z nim zerwała i urodziła dziecko innemu mężczyźnie.

– W lipcu miną trzy lata.

– A ty ją dalej kochasz... – mruknął Marc. – Bo inaczej nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego zapieprzasz przez miasto jak wariat.

Faris nie zadał sobie trudu, aby odpowiedzieć na tę zaczepkę. Musiał się skupić, żeby nie spowodować wypadku.

– Spokojnie, przecież nikt nie powiedział, że to ona, no nie? – zapytał Marc.

Marzył za kierownicą w przepoconym stroju do biegania. Gwałtownym manewrem wrócił na prawy pas, zahamował ostro i zatrzymał się na czerwonym świetle. Niecierpliwie bębnił palcami o kierownicę, czekając na zielone.

Znów rozległ się dzwonek telefonu.

– Tak? – zgłosił się.

– Faris, cześć, to ja. – W słuchawce usłyszał głos swojego szwagra Samira. – Słuchaj, jest taka sprawa...

– Samir, wybac, ale nie mam teraz czasu – przerwał mu.

Jednak Samir nie zamierzał tak łatwo złożyć broni.

– Chodzi o Önura... był wczoraj u mnie i bardzo się o niego martwię...

– Samir! – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Nie. Mogę. Teraz. Rozmawiać!

– Ale Önur...

Nie czekając, aż szwagier dokończy, Faris przerwał połączenie. Światło w końcu zmieniło się na zielone, więc dodał gazu i gwałtownie ruszył.

Marc spoglądał na niego przez kilka sekund, a potem wrócił do tematu Laury:

– Skąd w ogóle wiesz, że była w tym hotelu?

– Bo zadzwoniła i sama mi o tym powiedziała. – Znów przypomniał sobie poprzedni wieczór.

Oczywiście, że się nie rozłączył.

– Laura? – zaczął dopytywać delikatnym głosem. – Coś się stało?

Wolną ręką odszukał rzuconego gdzieś pilota i wyłączył dźwięk w telewizorze.

– Ja... – Laura siąknęła. Poczuł ucisk w sercu. – Rozstajemy się z Christianem – wyrzuciła w końcu.

W telewizji główny bohater ścigał złoczyńców po dachach i właśnie przed chwilą jednym skokiem pokonał dwudziestometrową przerwę między budynkami.

– Słyszałaś, co powiedziałam? – Pytanie Laury uświadomiło Farisowi, że od kilku sekund milczy. Zamrugał gwałtownie.

– Tak, oczywiście. Ale dlaczego dzwonisz z tym do mnie?

„Kurwa mać!” – zaklął w duchu. Czy w jego głosie było tyle samo niechęci, ile nosił w sobie? Zdenerwowany zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. Bohater na filmie dogonił uciekiniera i zrzucił go z dachu. Faris wyłączył pilotem telewizor.

Laura zdusiła szloch.

– Przepraszam. Pomyślałam tylko, że może mógłbyś do mnie... Jestem w hotelu Gaislinger.

Zatrzymał się na środku pokoju i przesunął dłonią po twarzy.

– Po co mi to mówisz? – Karcący głos rozsądku zaczął robić mu wyrzuty, że wcześniej go nie posłuchał i odebrał połączenie.

– Bo ja... – Laura już nie płakała, a w każdym razie nie było tego słychać. – Prawdę mówiąc, sama nie wiem. Chciałam po prostu...

Nie dokończyła.

Faris zacisnął powieki.

– Czego ode mnie chcesz? – usłyszał swój głos. Na zewnątrz było zimno i wietrznie. Szyba aż drżała pod naporem kolejnych podmuchów. Otworzył oczy.

– Jeśli mam być szczerą, Faris – zaczęła szeptem – bardzo bym chciała, żebyś teraz przy mnie był.

Na wspomnienie tamtych słów Faris zacisnął dłonie na kierownicy. Czarny plastik był zimny jak lód.

– Niech to szlag! – mruknął i jeszcze bardziej przyspieszył.

Marc stęknął cicho, ale nic nie powiedział.

ROZDZIAŁ 2

Kiedy Faris dotarł do hotelu Gaislinger, przed budynkiem stało już kilka radiowozów. Jeden z nich miał włączone sygnały świetlne. Błyski odbijały się w mokrym od mżawki asfalcie i w oczach policjanta.

Zatrzymał się na ulicy wzdłuż zaparkowanych samochodów i chciał wysiąść. Nie dał rady. Siedział z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy i przez kilka sekund zbierał siły, żeby się w końcu poruszyć. Wyjrzał przez boczną szybę i przesunął wzrokiem po fasadzie hotelu. Za którym z okien znajdował się pokój ze zwłokami? Spróbował przełknąć ślinę, lecz czuł straszną suchość w ustach.

– Słuchaj... – Marc uniósł dłoń i dotknął jego łokcia. – Możesz iść, ja zajmę się wozem.

Potaknął. Może zupełnie niepotrzebnie się denerwuje. Może martwi się na zapas. Może to czysty przypadek, że zwłoki znaleziono akurat w tym hotelu, w którym poprzedniego wieczoru spotkał się z Laurą. Tak, tak musi być. To przypadek. Cholerny, idiotyczny przypadek.

Wysiadł, nie wyłączając silnika. Zatrzymał się na chodniku. Marc w tym czasie przesiadł się na fotel kierowcy, włączył bieg i odjechał szukać miejsca parkingowego.

To tylko zbieg okoliczności!

Niewiele brakowało, a sam by siebie o tym przekonał, lecz zabrakło mu czasu, bo z zamyślenia wyrwało go wspomnienie głosu Tromsdorffa. Szef mówił bardzo poważnym, niemal przestraszonym tonem.

To tylko zbieg okoliczności... akurat. Kto miałby się na to nabrać?

Zebrał się w sobie i wszedł do przestronnego hotelowego lobby. Poprzedniego wieczoru wydawało mu się bardzo eleganckie, ze złotymi ornamentami i wysokimi lustrami. Dziś, w świetle dnia, wyglądało raczej staro i tandetnie. Za ladą recepcji siedziała młoda kobieta w niebieskim kostiumie, z włosami upiętymi w wysoki kok. Sprawiała wrażenie przestraszonej i zagubionej.

Podszedł do niej i przedstawił się, mówiąc, że jest policjantem. Zaskoczonym spojrzeniem zmierzyla jego przemoczony strój do biegania, lecz nie poprosiła o wylegitymowanie się. Szttywnym, niemal mechanicznym gestem wskazała na windy.

– Proszę. Drugie piętro, pokój numer dwadzieścia jeden – powiedziała, a jej słowa niczym zaklęcie przeniosły Farisa do poprzedniego wieczoru.

21.

Taki numer był wygrawerowany na mosiężnym breloku z kluczem, który Laura położyła przed nim poprzedniego wieczoru w barze.

Przy sąsiednim stoliku bawiła się głośno grupka biznesmenów z poluzowanymi krawatami, którzy świętowali podpisanie jakiegoś wielkiego kontraktu.

– Im się chyba wydaje, że hotel należy do nich! – prychnęła Laura, odwróciła się i spojrzała demonstracyjnie na głośno zachowujących się mężczyzn, lecz oni nie zwrócili na nią najmniejszej uwagi.

Faris uśmiechnął się ponuro.

– Jeśli chcesz, mogę ich zastrzelić – zażartował i zaraz poczuł zażenowanie swoim głupim dowcipem. Laura spojrzała w jego stronę. Zmarszczyła brwi. Przestał się uśmiechać. – Rany, to tylko żart! – próbował się bronić, choć czuł się jak idiota.

– No tak, oczywiście. – Upiła łycecz jakiegoś bezbarwnego drinka, w którym kołysały się dwie oliwki.

Faris natychmiast zwrócił uwagę, że na nadgarstku ma skórzaną bransoletkę ze swoim i jego imieniem. Odruchowo sięgnął do swojego rękawa. Miał drugą, identyczną. Kilka lat temu Laura kupiła je w czasie wakacji, które spędzali w Egipcie. Długo nie zdejmował swojej – nosił ją nawet już po tym, jak Laura go rzuciła i odeszła do innego mężczyzny. Teraz leżała w szufladzie nocnej szafki w sypialni. Kobieta zauważyła jego spojrzenie i podążyła wzrokiem za jego dłonią. Czekał, czy coś powie, lecz ona milczała. W końcu zmieniła temat.

– Słyszałam, że zakończono postępowanie dyscyplinarne i wróciłeś do służby?

Ulżyło mu, że nie zapytała, dlaczego przestał nosić swoją bransoletkę.

– Nie wiedziałem, że śledzisz rozwój mojej kariery – zakpił.

Zaczerwieniła się.

– Pisali o tym w gazetach – broniła się słabo.

Skinął głową. Miała rację. Kiedy wytropił i zastrzelił zamachowca, który groził masakrą w czasie Ekumenicznych Dni Kościoła, dziennikarze zrobili z niego bohatera. Sława trwała jednak bardzo krótko, bo z jakiegoś tajemniczego powodu bardzo szybko nastroje uległy zmianie i zaczął zmagać się z powszechną niechęcią. Pod koniec roku brukowce rozpisywały się o toczącym się wcześniej wobec niego postępowaniu dyscyplinarnym, po którym został oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Zaczęto plotkować, że ktoś bardzo wysoko roztoczył parasol ochronny nad nim i nad jego wydziałem. Kierownictwo Krajowej Policji Kryminalnej nabrało wody w usta i odmawiało komentarza. Tylko on, Tromsdorff i wiceszef policji wiedzieli, że zarzuty dotyczące nieformalnego wsparcia nie były bezpodstawne. Faris zadawał sobie czasem pytanie, jak wysoko w strukturach policji czy polityki umieszczony był jego protektor i przede wszystkim, dlaczego to robił.

Uśmiechnął się po chwili.

– Powiedzmy, że Hesse oddał mi przysługę, prawie wysyłając mnie na tamten świat. I tak, znów pracuję. Od stycznia.

Barman kichnął dwa razy i rozejrzał się zmieszany, żeby sprawdzić, czy ktoś to zauważył. Faris spojrział na niego kątem oka.

– Pomagają ci spotkania z Andreą? – zapytała Laura ostrożnie. Ona i jej mąż byli lekarzami. Doktor Andreę Roth, jego terapeutkę, znali osobiście.

Rozmowa z byłą o dręczących go problemach psychicznych i o psychoterapeutce, która go wspierała, była ostatnią rzeczą, jaka mu się uśmiechała.

– Chyba nie ściągałaś mnie tu po to, żeby rozmawiać ze mną o doktor Roth? – mruknął.

Potrząsnęła głową. Szukała odpowiednich słów.

– Dlaczego chcesz zostawić Christiana? – zapytał prosto z mostu.

Laura niespodziewanie zacisnęła usta.

– Już nam się nie układa.

Stłumił gorzki śmiech. „Ty też nie dałeś rady jej przy sobie utrzymać, żaloszny skurwysynu!” – pomyślał, po czym uświadomił sobie, że ona mogłaby zarzucić mu dokładnie to samo wtedy, kiedy odchodziła od niego do Christiana.

Nie znał Christiana Zöllera, nie osobiście w każdym razie, lecz kiedy Laura zostawiła go dla niego, przez wiele miesięcy nie mógł dojść do siebie i złorzeczył jej nowemu mężczyźnie. Teraz był zaskoczony gwałtownością emocji, jakie nim wstrząsały, bo był przekonany, że zamknął już ten rozdział życia.

Przyjrzał się twarzy Laury. Od kiedy przestali być parą, wokół jej oczu pojawiło się kilka delikatnych zmarszczek. Bardzo jej pasowały.

Znacznie mniej pasowały do niej łzy, które płynęły po jej policzkach.

– Niech to szlag... – mruknęła i spuściła wzrok. – Nawet nie wiesz, jak bardzo starałam się nie płakać! – Wyjęła z torebki chusteczkę do nosa i delikatnie osuszyła nią powieki. – Przepraszam! – Uśmiechnęła się przez łzy. Niechcący rozmazała nieco tusz do rzęs po lewej stronie.

Biznesmeni przy sąsiednim stoliku ryczeli na całe gardło jakąś pijacką przyśpiewkę, a Faris przez chwilę naprawdę miał ochotę wyjąć broń i strzelić, nawet jeśli nie w któryś z tych pustych łbów, to przynajmniej w sufit. Nie zastanawiał się nawet, czy powinien walczyć z takimi pragnieniami, bo i tak nie miał ze sobą pistoletu. Nie był na służbie. Milczał, bo nie wiedział, jak powinien zareagować.

– Christian wyjechał na kilka dni – powiedziała Laura. – Myślę, że on też potrzebuje dystansu, żeby wszystko przemyśleć.

„A ty wykorzystałaś okazję, żeby spakować manatki i zniknąć” – pomyślał Faris. Choć przecież nie zamierzał jej oceniać.

Skinął głową, udając, że to rozumie.

– Wolałabym teraz wrócić do swojego pokoju – powiedziała Laura półgłosem. Przesunęła dłoń i palcami przykryła klucz z brelokiem. Paznokcie miała pomalowane na ciemnoczerwony kolor. Faris zmusił się, żeby odwrócić od nich wzrok.

– Odprowadzisz mnie? – Głową zrobiła ruch w stronę rozkrzyczanych i rozbawionych biznesmenów. – Na wszelki wypadek, bo nie chciałabym się natknąć na resztę tej ekipy. – Podniosła klucz. Mosiężny brelok na krótkim łańcuszku zadzwieczał delikatnie.

Kiedy wstała, Faris również podniósł się z krzesła.

– Oczywiście – odparł, choć nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, czy to nie jest błąd.

Odprowadził ją do windy. Zgodnie z obawami Laury kabina zatrzymała się już na pierwszym piętrze. W otwartych drzwiach stanął mężczyzna, który sądząc po wyglądzie i stanie, w jakim się znajdował, należał do grupy z baru.

– Jedziecie na górę? – zapytał. Był przy kości i miał twarz czerwoną od alkoholu.

Faris skinął krótko.

– Na drugie piętro – wyjaśniła Laura, a podchmielony facet wyszczerzył się do niej szeroko.

– Widziałem cię w barze, ślicznotko, jak jeszcze byłaś sama.

Laura odpowiedziała mu uprzejmym uśmiechem, lecz Faris znał ją na tyle dobrze, żeby zauważyć, że jest spięta i ze złości drżą jej kąciki ust.

– Przyjemności! – zawołał rozbawiony gość, kiedy winda zatrzymała się piętro wyżej.

Wyszli na korytarz i drzwi się za nimi zamknęły, a Faris zauważył, że Laura ma zaczerwienione policzki.

– Czy naprawdę aż tak łatwo mnie przejrzeć? – zapytała i spojrzała na niego niepewnie.

– Mnie najwyraźniej nie – odpowiedział, zastanawiając się gorączkowo, jak dać jej do zrozumienia, że nie zamierza iść z nią do pokoju.

Laura zmarszczyła brwi i popatrzyła na niego pytająco.

– Chyba nie łapię...?

Machnął lekceważąco dłonią.

– Nie ma o czym mówić.

Ciężki brelok do kluczy kołysał się na łańcuszku między palcami Laury.

– No to... – zaczęła, kiedy otworzyła drzwi i pchnęła je do środka.

Faris nabrał głęboko powietrza.

– Co teraz? – Co za idiotyczne pytanie! – Z tobą i Christianem oczywiście.

W jej oczach pojawił się smutek. Doskonale wiedziała, dlaczego wymienił imię jej męża.

– Nie mam pojęcia. – Oczy Laury znów zaczęły podejrzenie błyszczeć, a Faris nie mógł oprzeć się wrażeniu, że próbuje nim manipulować. Potrząsnęła głową, tak że blond włosy zsunęły jej się na twarz. Powolnym gestem uniosła dłoń i je odgarnęła. Upewniła się przy tym, że zobaczył skórzaną opaskę na jej nadgarstku. – Bardzo dużo ostatnio myślałam. I wydaje mi się, że cały czas cię... – Zauważyła ostrzegawczy błysk w jego oczach i szybko przerwała, żeby w następnej chwili wzruszyć bezradnie ramionami. – Przepraszam!

Wskazał głową na wnętrze jej pokoju.

– Chyba powinnaś już iść.

Przełknęła głośno ślinę.

– Rozumiem...

Nagle poczuł się jak totalny nieudacznik i drań, bo niepotrzebnie sprawił jej ból. Laura wspięła się na czubki palców i pocałowała go delikatnie w usta. Smakowała koktajlem, który piła w barze. Nie ruszył się, zawstydzony, że jego ciało momentalnie zareagowało na jej pocałunek.

– Masz kogoś? – zapytała ledwie słyszalnym szeptem.

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Nie chciał sprawiać jej bólu, ale też nie zamierzał kłamać. Dlatego milczał.

Znów go pocałowała. Kiedy oderwała usta od jego warg i przytuliła się do niego, jakby przez

ostatnie trzy lata tęskniła za tą właśnie chwilą, bał się, że nie wytrzyma.

Skinął krótko głową w stronę recepcjonistki i sztywnym krokiem ruszył do windy. Drżały mu dłonie, kiedy sięgnął do guzika, żeby przywołać kabinę. W końcu rozległ się cichy dzwonek i drzwi rozsunęły się bezgłośnie. Ze środka wyszło dwóch mężczyzn w białych jednorazowych kombinezonach. Technicy kryminalistyczni zabezpieczający ślady. Faris nie znał żadnego z nich, ale było mu to bardzo na rękę – przynajmniej nie musiał z nimi rozmawiać. W milczeniu czekał, aż wyniosą swój sprzęt z kabiny. Zanim skończyli, dołączył do niego Marc. Czuł się zagubiony, co widać było na pierwszy rzut oka, bo nie wiedział, co robić z rękoma. Kiedy w końcu wsiedli do windy, unikał bezpośrednich spojrzeń. Faris dostał dreszczy. Tak bardzo drżały mu kolana, że musiał przytrzymać się ściany. Stał dokładnie w tym samym miejscu, w którym stał wczoraj...

Z jego gardła wydobył się dźwięk, który nie był ani śmiechem, ani krzykiem, tylko połączeniem ich obu. Skąd miał wziąć siłę, żeby zmusić się do wyjścia z windy? Nie miał pojęcia, czy podoła.

Marc wyglądał, jakby drżał z zimna.

Na drugim piętrze znaleźli się po ledwie kilku sekundach, lecz Faris miał wrażenie, że w windzie spędził całą wieczność. Kiedy otworzyły się drzwi, jego wzrok padł na ciemnoczerwony dywan, którym wyłożona była podłoga w korytarzu. Dwóch policjantów w mundurach pilnowało przejścia. Pokój numer dwadzieścia jeden był otwarty, a ze środka dobiegały głosy. Jeden z nich należał do Roberta Tromsdorffa, który słysząc dzwonek windy, wyjrzał na korytarz. Znieruchomiał, kiedy zobaczył, kto przyjechał.

– Faris... – wymamrotał ze stężoną twarzą.

Policjant nie potrzebował ani słowa więcej. Miał już pewność i to właśnie ona dała mu siłę, bez której by sobie nie poradził. Wyprostował się, uniósł ramiona i ruszył naprzód. Serce, które dotychczas biło w jego piersi, zmieniło się w okrucieństwo tak zimny, że nie mógł nabrać powietrza. Zatrzymał się przed drzwiami do pokoju. Marc podszedł i stanął tuż za nim.

– Laura. – To nie było pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

Tromsdorff zacisnął usta.

– Przyjechałem tak szybko, jak mogłem. Chciałem mieć pewność, zanim... zanim ty... – przerwał i uniósł bezradnie ramiona. Swoim zwyczajem rękawy marynarki miał podwinięte do łokci, jednak stając naprzeciwko swojego podwładnego, nerwowo je opuścił.

Faris potaknął. Laura nie żyła.

Laura.

Nie.

Żyła.

Myśl o tym wydała mu się skrajnie nierealna. Mechanicznie powtarzał te trzy słowa raz za razem niczym mantrę; mantrę, która chroniła go przed rozsypaniem się i pomagała działać dalej, choć ból był tak niewyobrażalnie wielki, że lada chwila groził pozbawieniem go zmysłów. Nagle ogarnęło go wrażenie przerażającej lekkości, tak ogromnej, jakby najłżejszy powiew powietrza mógł go stamtąd wywiać.

Okno pokoju hotelowego stało otworem – to była pierwsza rzecz, na jaką zwrócił uwagę. Przesząpił próg i wszedł do niewielkiego korytarzyka łączącego hotelowy korytarz z pokojem, z którego wchodziło się również do łazienki. Przez otwarte okno słychać było dźwięki ruchu ulicznego, zlewające się w szum, jakby płynęła tam rzeka – daleko poniżej, gdzieś w bezdennej otchłani. Ktoś zaczął trąbić.

Faris oparł się dłonią o futrynę drzwi do łazienki.

Pokój był pełen ludzi. Dwóch techników kryminalistycznych schylonych nad łóżkiem przykrywało akurat leżące na nim ciało. W przejściu między korytarzykiem a głównym pomieszczeniem stała jakaś starsza kobieta z Instytutu Medycyny Sądowej i zapisywała swoje uwagi na tablecie.

Obok niej zobaczył dwóch mężczyzn, którzy nie mogli bardziej się od siebie różnić – jakby dobrali się na zasadzie przeciwieństw. Jeden z nich był wysoki i niemalże chorobliwie szczupły, do tego stopnia, że garnitur wisiał na nim, jakby był o dwa rozmiary za duży. Miał cienkie, szare włosy, które wręcz wołały o przycięcie, i szarą, zmęczoną twarz. Faris wiedział, że to wszystko przez bolesne bóle

pleców, które już od lat dręczyły podkomisarza Alfonsa Rühmanna.

Drugi z nich był niemal półtorej głowy niższy, ale też ważył przynajmniej dwa razy tyle, choć nie miał pod skórą grama zbędnego tłuszczu. Miał bardzo szerokie ramiona, potężne mięśnie i wygląd zapalonego sportowca. Rudoblonde włosy nosił wygolone niemal do samej skóry, co rekompensował sobie starannie przystrzyżoną brodą. Zauważył Farisa, kiedy pytał akurat kobietę z Instytutu Medycyny Sądowej o stan zwłok Laury. Natychmiast przerwał i zamilkł.

– O... – westchnął jedynie.

Policjant przywitał się skinieniem głowy. On i komisarz Jens Meyer nie darzyli się szczególnie ciepłymi uczuciami od czasu, kiedy Meyer zgłosił się do WPR-u, a Tromsdorff odrzucił jego kandydaturę po rozmowie z Farisem i resztą zespołu. W oczach Farisa Meyer miał skłonność do zbyt szybkiego szufladkowania ludzi. Od niedawna należał – podobnie jak Alfons Rühmann – do wydziału 112, jednego z ośmiu wydziałów zabójstw, które obok WPR-u podlegały pod kierownictwo departamentu pierwszego Krajowej Policji Kryminalnej.

– Bardzo mi przykro! – Rühmann spojrział na Farisa i chciał mu podać dłoń, jednak on nie zwrócił uwagi na ten gest. Jego spojrzenie powędrowało w stronę tej części łóżka, którą mógł dostrzec z miejsca, w którym się znajdował. Kilka czerwonych plam na białej poszewce. I niemal równie biała ludzka stopa. Stopa Laury. Wbrew sobie ruszył w jej kierunku, jednak Meyer szybko wyciągnął ramię i zablokował mu drogę.

Faris nie miał sił się przepychać.

– Słuchaj, może lepiej poczekaj na korytarzu, co? – zaproponował Rühmann. – Technicy jeszcze nie skończyli z zabezpieczaniem śladów. Jens, zostań, proszę, i zajmij się... wszystkim. – Głową wskazał zwłoki na łóżku i spróbował wypchnąć Farisa z pokoju.

Nie walczył z nim. Dał się wyprowadzić na korytarz, do Marca i Tromsdorffa, którzy tam czekali.

– Kiedy będę mógł ją zobaczyć? – zapytał. Czerwony dywan wydał mu się nagle znacznie ciemniejszy niż poprzedniego wieczoru.

Szef próbował uniknąć odpowiedzi wprost.

– Nie musisz przeprowadzać identyfikacji. Ja już się tym zająłem.

Faris odruchowo potaknął.

– Mimo to chciałbym ją zobaczyć.

– Dlaczego chciałbyś ją... – zaczął Rühmann, ale Faris wszedł mu w słowo:

– Co tu się, kurwa, dzieje? Czy ktoś ją... – Głos mu się załamał. Zamilkł i spuścił wzrok. W jego głowie pojawiły się obrazy, które kiedyś już widział: zmaltretowanych, wykorzystanych ciał. Zmusił się, żeby w końcu dodać szeptem: – Wiele razy widziałem już zwłoki, więc dajcie spokój!

Rühmann spojrział bezradnie na Tromsdorffa.

– Doskonale o tym wiem, Faris – powiedział szef WPR-u. – Ale żadne z nich nie należały do twojej... – przerwał, szukając właściwego określenia. Nie wiedział, jakim słowem powinien opisać to, kim dla niego była Lura.

„No właśnie” – pomyślał Faris. „Kim dla mnie była? Przyjaciółką? Byłą narzeczoną? Kobieta, która porzuciła mnie dla innego mężczyzny? Kobieta, którą pewnie wciąż kochałem...”

– Nie powinieneś jej tak oglądać – wyjaśnił Tromsdorff spokojnie. Tym razem sięgnął i przytrzymał Farisa za łokieć. Policjant się nie bronił.

– Nieważne. Chcę ją zobaczyć – oznajmił.

Tromsdorff zajrzał do pokoju. W końcu westchnął.

– Niech ci będzie. Chłopcy właśnie skończyli.

*

Technicy zabezpieczający ślady rzeczywiście skończyli pracę i odsunęli się od łóżka. Faris przyglądał się, jak pakują swoje rzeczy i wychodzą. Dopiero kiedy zniknęli w windzie, odważył się przestąpić próg.

– Zostaw go na chwilę samego, Jens! – polecił Rühmann. Ulżyło mu, kiedy pozostali również opuścili pomieszczenie.

Podszedł do łóżka i stanął w jego nogach.

Krew. To było pierwsze, co rzuciło mu się w oczy. Plama szkarłatu wylewająca się z rany na potylicy Laury. Krew znajdowała się również na krawędzi szafki nocnej i na dywanie obok. Nie chciał patrzeć, ale jej czerwień przybierała tylko na sile i płonęła jaskrawo pod jego powiekami. Laura miała szeroko otwarte oczy, a jej twarz zastygła w grymasie przedśmiertnej walki. Wyglądała obco i przerażająco. Starał się dostrzec w niej to, co znał, co było nią, lecz na próżno. Jej śmierć była powolna i bolesna, a wykrzywiona, pełna grozy mina to jedyne, co po niej pozostało. Na szyi kobiety widać było odciski czyichś dłoni – rozległe, fioletowe plamy kontrastujące z jasną skórą. Najpewniej doszło do zmiżdżenia krtani.

Mózg Farisa odruchowo rejestrował wszystkie drobiazgi, lecz nie był w stanie złożyć ich w całość i wyciągnąć wniosków.

Wycięcie białej bluzki Laury przesunęło się mocno, odkrywając fragment drogiego biustonosza. Zdążyła się ponownie ubrać, kiedy poszedł. Myśl o tym dała mu ułamek sekundy wytchnienia, lecz już po chwili zauważył kolejne szczegóły.

Podciągnięta spódniczka odsłaniała jej uda i część prawego pośladka. Figi – te figi, które poprzedniego wieczoru sama z siebie zdjęła – leżały na dywanie obok łóżka. Były porwane.

Ubrała się ponownie, a potem...

Jego myśli krążyły w szaleńczym tempie.

Poczuł, że ktoś wszedł do pokoju, ale się nie odwrócił.

– Czy doszło do gwałtu? – zapytał szeptem.

Mężczyzna za jego plecami zatrzymał się i wydał jakiś niezrozumiały pomruk.

– Dopiero to sprawdzimy. – Tromsdorff.

Faris był wstrząśnięty i przerażony.

Wskazał głową na podarte figi.

– Wygląda, że...

Głos odmówił mu posłuszeństwa. Nie, nie mógł na to pozwolić. Musiał sobie wytłumaczyć, że to wszystko tutaj... że to jest zwykle dochodzenie w sprawie morderstwa. Że to nie ma z nim nic, ale to absolutnie nic wspólnego. Aż za dobrze znał procedurę postępowania w takich przypadkach. Skupi się na tym, co ważne i konieczne, odsunie od siebie ból i schowa go głęboko w piersi.

Wszystko po to, żeby ustalić, kto jej to zrobił.

Widział, że Tromsdorff uważnie mu się przygląda.

– Sekcja zwłok wykaże, co tu się stało – powiedział. – Musimy ustalić, czy doszło do gwałtu. Trzeba zdjąć odciski palców z jej szyi, odszukać i zabezpieczyć ewentualne ślady nasienia. Jeśli została zgwałcona, powinniśmy...

Tromsdorff położył mu dłoń na ramieniu i zatrzymał w ten sposób gorączkową gonitwę myśli w jego głowie.

Nie mógł przestać patrzeć na jej nadgarstki. Również na nich widział wyraźne, rozległe wylewy. Zniknęła za to skórzana bransoletka, którą jeszcze wczoraj miała. Rozejrzał się, szukając jej. Może zdjęła ją i położyła gdzieś na łóżku, kiedy wyszedł?

– Dlaczego spędziła noc w hotelu? – zapytał Tromsdorff.

Pomyślał o poprzednim wieczorze.

– Chciała odejść od Christiana.

Nagle wszystko wokół zaczęło wirować, jakby tych kilka słów zburzyło mur, za którym starał się ukryć targające nim uczucia. Zrobiło mu się niedobrze.

– Przepraszam! – wyrzucił z siebie, po czym wybiegł z pokoju.

Biegiem minął Rühmanna i Meyera, lecz zamiast do windy, ruszył w stronę schodów. Dopadł do skórzanej kanapy i dwóch foteli, które stały obok klatki schodowej, i się zatrzymał. W jego głowie pojawiła się przerażająca myśl: czy żyłaby, gdyby wczoraj wieczorem nie odszedł?

W jego wspomnieniach pojawił się mrozący krew w żyłach głos.

„To nie twoja wina”.

Paul.

W jego gardle zrodził się obłąkańczy śmiech, lecz natychmiast go zdusił.

– *La elah ela Allah!* – wyszeptał. O Boże!

Osunął się na najbliższy fotel i ukrył twarz w dłoniach.

ROZDZIAŁ 3

Alfons Rühmann uniósł wzrok, kiedy Iskander wypadł z pokoju hotelowego i biegiem minął jego oraz Meyera, żeby zaraz zniknąć za zakrętem korytarza. Niespodziewanie ostrym bólem dał o sobie znać nerw kulszowy. Rühmann odruchowo sięgnął do kieszeni marynarki w poszukiwaniu tabletek. Znalazł je między pogniecionymi chusteczkami jednorazowymi, starym kółkiem do kluczy, które dawno powinien wyrzucić, i pękniętą recepturką. Żona już wiele razy zmyła mu głowę z powodu tego dziwnego przyzwyczajenia do gromadzenia we wszystkich kieszeniach nieprzydatnych drobiazgów. Twierdziła, że zachowuje się jak ośmiolatek. Ba, nie dalej jak poprzedniego dnia robiła mu wyrzuty, że niszczy w ten sposób wszystkie marynarki.

– Przez te wypchane kieszenie wyglądasz jak strach na wróble! – zrzędziła.

Ileż by dał za to, żeby zмагаć się tylko z jej problemami!

Wyjął z kieszeni pudełeczko z pigułkami, kciukiem otworzył wieczko i wrzucił jedną tabletkę prosto do gardła.

– Biedny skurwysyn... – mruknął.

– Iskander? – Meyer stał w lekkim rozkroku, wyprostowany i spięty, jak zawsze, kiedy w pobliżu zauważał innego samca alfa.

Był tuż po trzydziestce, a jego sposób postrzegania świata był – przynajmniej dotychczas – raczej prosty. My: dobrzy. Reszta świata: źli. Przy czym resztę świata dzielił jeszcze na ofiary i szumowiny.

– Denatka to jego była narzeczona – wyjaśnił Rühmann.

– Wiem. – Meyer popatrzył w kierunku zakrętu, za którym zniknął Iskander. – Sprawdźmy, co będzie miał nam do powiedzenia.

Lecz kiedy chciał ruszyć za Farisem, Rühmann powstrzymał go gestem.

– Dajmy mu jeszcze trochę czasu.

NIEZNAJOMY

O tej porze przed Kościołem Pamięci panował spory ruch. Przechodnie spieszyli się z punktu A do punktu B, z domu do pracy czy do szkoły. Pędzili gnani poczuciem obowiązku czy koniecznością. Lub marzeniami, jeśli mieli szczęście.

„W pośpiechu nie zastanawiają się pewnie, jak cholernie kruche są ich żalosne życia” – pomyślał człowiek, który pragnął zemsty. „Jak gwałtownie i niespodziewanie życie może się zakończyć, jeśli dotknie ich zło”.

Zgiełk wielkiego miasta mieszał się z obrazami w jego pamięci, tworząc film grozy, przed którym nie potrafił się obronić.

Błagalny jęk kobiety, który słyszał noc w noc, znów rozbrzmiewał w jego głowie.

„Nie! Błagam! Proszę, nie!”.

Próbował się bronić i uwolnić się od niego, jednak na próżno. Jęk był zbyt przenikliwy, zbyt wszechogarniający, żeby mógł sobie z nim poradzić. Zaciśnął gwałtownie dłoń na plastikowej siatce, jakby zaciskał palce na szyi człowieka. Powoli oparł się o rusztowanie otaczające kościół.

– Dobrze się pan czuje? Nic panu nie jest?

Jakiś obcy głos. Człowiek, który pragnął zemsty, zorientował się, że stoi oparty o rusztowanie i z zamkniętymi oczyma przyciska dłoń do uszu. Uniósł gwałtownie powieki i zobaczył przed sobą kobietę. Staruszka już dawno świętowała osiemdziesiątkę, była drobna, miała twarz pomarszczoną jak skórka daktyla, a jej twarz wyrażała troskę.

Mężczyzna opuścił dłoń. „O cholera” – pomyślał. Musiał zrobić na tej starowince duże wrażenie.

– Nic mi nie jest, dziękuję! – powiedział i uśmiechnął się w sposób, w jaki uśmiechał się, kiedy kierowała nim druga strona jego osobowości. Ta, którą wszyscy znali i lubili. – To tylko ćwiczenie. Do sztuki teatralnej. Wie pani, jak mawia nasz reżyser, trzeba wszystko naprawdę przeżywać. To tak zwane

method acting.

Po minie starowinki widział, że nie miała pojęcia, o czym mówi, ale o to właśnie mu chodziło.

Zagubiona pokiwała głową.

– No to dobrze – powiedziała. Po raz ostatni zmierzyła go uważnym spojrzeniem i zatrzymała się podejrzliwie na jego nieco zbyt długiej brodzie. Potem odwróciła się i kołysząc się, odeszła w swoją stronę.

„Kuleje na prawą nogę” – pomyślał mężczyzna.

W końcu dostrzegł niezgrabnego, dryblasowatego chłopaka z włosami zaczesanymi na żel i o zahukanym wyrazie twarzy.

Önur przybył na miejsce spotkania.

Faris nie wiedział, ile czasu spędził na fotelu przy klatce schodowej. Niespodziewanie zauważył, że ktoś stoi obok.

– Wiedziałeś, że to Laura już w chwili, kiedy do ciebie dzwoniłem, prawda? – To był Tromsdorff.

Faris uniósł głowę i spojrzał na przełożonego. Potaknął. Potem wypuścił nosem powietrze, uniósł dłonie i przecesał palcami włosy.

– Zadzwoiła do mnie wczoraj wieczorem i powiedziała, że zatrzymała się w tym hotelu. – Dostrzegł zaskoczone spojrzenie przełożonego. – Chciała się rozwieść, Robert.

Tromsdorff zacisnął usta.

– Strasznie mi przykro, chłopcze – mruknął.

Mimo że był ledwie dwanaście lat starszy od Farisa, traktował podwładnego z ojcowską serdecznością. Przyjął taką postawę stosunkowo niedawno, po śmierci Paula.

Faris splótł palce za głową i przycisnął przedramiona do uszu. Dudniło mu w głowie i szumiało w uszach.

– Musimy znaleźć skurwiela, który to zrobił.

– Znajdziemy. Rühmann i Meyer czekają, kiedy będziesz gotowy, żeby zamienić z nimi kilka słów.

Faris obejrzał się zaskoczony.

– Pewnie, jestem gotów – wychrypiał.

Tromsdorff odszedł, żeby wrócić po chwili, prowadząc dwóch policjantów. Meyer stanął tuż obok, a Rühmann usiadł w drugim fotelu.

Faris poczuł charakterystyczne napięcie, które towarzyszyło myśli, że jest drobniejszy i słabszy, przy czym zdawał sobie sprawę, że Meyerowi zależało na tym efekcie. Dlatego skupił się na Rühmannie.

– Skąd wiedziałeś, że Laura zatrzymała się w tym hotelu? – To było pierwsze pytanie zadane mu przez starszego kolegę po fachu.

Faris udzielił mu tej samej odpowiedzi, której wcześniej udzielił Tromsdorffowi, a kiedy chciał dodać coś jeszcze, niespodziewanie rozdzwonił się jego telefon. Sięgnął do kieszeni i spojrzał na ekran. Numer należał do komisarza Friedricha Gerlacha z departamentu piątego Krajowej Policji Kryminalnej, Bezpieczeństwo Wewnętrzne. Kiedy dzwonił Gerlach, musiało chodzić o coś naprawdę naglącego.

– Przepraszam – powiedział, spoglądając na Rühmanna, i odebrał połączenie. – Tak?

Gerlach nie tracił czasu na powitania.

– Faris – powiedział szybko. – Jak najszybciej przyjeżdżaj pod Kościół Pamięci. Mamy tutaj porywacza z zakładnikami.

Faris uniósł wzrok i spojrzał w dół korytarza. Z miejsca, w którym siedział, nie mógł zobaczyć pokoju numer dwadzieścia jeden, bo ten znajdował się za zakrętem.

– Dlaczego dzwonisz z tym do mnie? – Sytuacje, w których dochodziło do porwania zakładników, należały do departamentu piątego.

Na twarzy Tromsdorffa i Rühmanna pojawił się wyraz zdziwienia. Faris dał im znak, że zaraz wszystko wyjaśni, po czym wsłuchał się w słowa Gerlacha.

– Gość zażyczył sobie akurat ciebie.

Faris opuścił wolną dłoń.

– Nie rozumiem... jak to mnie?

– No właśnie ciebie. Dobrze zrozumiałeś. Mamy porywacza z zakładnikami na Ku'damm. Facet zażądał wezwania tu ciebie.

– Faris, dobrze, że tak szybko dotarłeś! – Gerlach ruszył w jego stronę, ledwie policjant pojawił się na Breitscheidplatz, na którym wznosił się Kościół Pamięci. Podał mu rękę nad barierkami ustawionymi przez innych funkcjonariuszy i gestem nakazał jednemu z nich przepuścić Iskandera. – Dajcie mu wejść, szybko, to na niego czekamy!

Umundurowany policjant odsunął jedną z barierek, a Gerlach poprowadził Farisa przez plac w stronę grupy współpracowników zebranych w cieniu obudowanych rusztowaniami ruin kościoła. Gerlach był opanowanym mężczyzną o siwych włosach, który podobnie jak Rühmann odliczał już dni do emerytury. Jednak w przeciwieństwie do niego Gerlach nie miał w sobie ani krztyny spowolnienia i nie zachowywał się jak zmęczony życiem starszy pan. Wręcz przeciwnie – zawsze wyprostowany, energiczny i poprawny, z delikatnym, oficjalnym uśmiechem na ustach. I on, i Faris potrzebowali nieco czasu, żeby zacząć darzyć się szacunkiem i serdecznością.

Podeszli do grupki przy rusztowaniu. Farisa skinieniem przywitała umięśniona i wysportowana kobieta w czarnym mundurze taktycznych jednostek antyterrorystycznych policji. Właśnie sprawdzała coś na ekranie laptopa, który ustawiła na dachu jednego z radiowozów. Przyjrzała się pobieżnie garderobie Farisa, jednak ani słowem nie skomentowała jego stroju do biegania. Każdego z nich wezwanie nieraz zaskoczyło w czasie prywatnych zajęć, a wtedy trzeba było rzucić wszystko i wracać na służbę.

– Komisarz Julia Lautenschläger – przedstawił ją Gerlach. – Julia, to jest Faris Iskander.

– Iskander. – Również ona podała Farisowi dłoń. Miała bardzo silny uścisk. Otaksowała go uważnym, nieco rozszoszczonym spojrzeniem. Z jakiegoś powodu poczuł, że nie odpowiada jej wyobrażeniu o sobie. – Jesteś mniejszy, niż myślałam – powiedziała.

Wytrzymał jej świdrujące spojrzenie.

– Ty też.

Roześmiała się. Krótko, niemal szczekliwie.

– Dobrze!

Julia Lautenschläger nie tylko była jedyną kobietą w kraju, której udało się przejść morderczą rekrutację do policyjnych jednostek antyterrorystycznych, ale też po dwóch latach pracy przy realizacjach wyrobiła sobie tak dobrą opinię i zdobyła takie doświadczenie, że dziś była dowódcą jednego z oddziałów. Dotychczas Faris nie miał okazji poznać jej osobiście, lecz bardzo wiele o niej słyszał. Była niższa od niego o głowę i miała krótkie blond włosy, nieuczesane i spocone, jakby wezwanie przyszło w trakcie treningu.

– Możemy chyba zaczynać. – Gerlach zabrał głos i rozpoczął odprawę w cieniu ruin starego kościoła. – Trzy minuty po siódmej rano centrala odebrała bardzo dziwny telefon, a niecałą godzinę temu zgłosiły się dwie osoby przekonane, że były właśnie świadkami wzięcia zakładników. Sprawca przetrzymuje przynajmniej dwie osoby. Zabarykadował się z nimi w sklepie z produktami Fair Trade, mieszczącym się w tej wieży.

– Ilu sprawców? Jeden czy kilku? – Faris przyglądał się wieży. Sterczała w niebo niczym nazbyt gruby flamaster, wyrastający z ziemi obok ruin Kościoła Pamięci Cesarza Wilhelma. Porowata betonowa struktura ścian zewnętrznych wyglądała odpychająco i brzydko.

– Z tego, co na razie udało się nam ustalić, jest tylko jeden sprawca – odparł Gerlach. – Wszystko wskazuje na to, że ma na sobie pas z materiałami wybuchowymi.

Faris momentalnie stężał.

– Dwoje zakładników?

– O dwojce wiemy na pewno. To właścicielka sklepu, w którym się zamknął, i jej córeczka.

– Dziecko. – Nic nie mógł poradzić na obrazy, które pojawiły mu się przed oczyma. Zobaczył zwłoki Laury i usłyszał płacz dziecka, które zginęło w zamachu w Muzeum Klerscha. Laura też miała

córeczkę. Lilly. Co się z nią teraz stanie? Kto się nią zajmie? Mąż Laury, to chyba oczywiste... Jasne, że on...

Z wysiłkiem otrząsnął się z lawiny myśli i wspomnień. Zdał sobie sprawę, że Gerlach i Lautenschläger patrzą na niego uważnie. Na twarzy kobiety malował się wyraz niepewności zmieszanej ze sceptycyzmem. Musiała się zastanawiać, czy Faris poradzi sobie z sytuacją, do jakiej go wezwali. Ich spojrzenia znów się skrzyżowały. I tym razem nie odwrócił wzroku, choć kosztowało go to więcej wysiłku niż poprzednio.

Antyterrorystka prychnęła pogardliwie. Nie wiedział, czy i co Gerlach zdradził jej na temat jego przeszłości. Odruchowo poruszył prawym ramieniem. Blizna po poparzeniu napięła się nieprzyjemnie.

– Nawiązaliśmy kontakt z porywaczem? – zapytał.

Teren przed kościołem został oczyszczony z ludzi, jednak wzdłuż barierek i taśm zbierało się coraz więcej gapiów. W końcu nadarzyła się okazja, żeby każdy poczuł dreszczyk emocji, którego od dawna nie mogła zaoferować im telewizja i kino. Jego spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem jakiegoś mężczyzny o potarganej blond brodzie i ciemnych oczach, ale tylko na chwilę, bo nieznamy odwrócił się i zniknął w tłumie. Policjant nie poświęcił mu ani chwili uwagi.

– On nawiązał z nami kontakt, i to tylko jeden raz, kiedy do nas zadzwonił przed wzięciem zakładników – wyjaśnił Gerlach. – Zapowiedział, co zrobi, i zażądał, żeby poinformować o tym ciebie.

– Dziewczynka ma jakieś sześć, siedem lat – dodała Lautenschläger. – Wiemy to od świadka, która zauważyła, co się dzieje, i poinformowała nas o porwaniu. – Wskazała na około pięćdziesięcioletnią kobietę, która stała z dwoma umundurowanymi funkcjonariuszami nieco dalej, przy jednym z radiowozów, i z przestraszoną miną spoglądała w ich stronę.

– Od niej mamy wszystkie informacje na temat porwania. Skąpe, bo skąpe, ale to wszystko, czym aktualnie dysponujemy – wyjaśnił Gerlach. – Nie mamy pojęcia, czego porywacz może od ciebie chcieć, i nie udało nam się ustalić jego tożsamości. Nasi ludzie sprawdzili już numer, spod którego dzwonił, ale to karta pre-paid, kupiona jakiś czas temu na nielegalnie pozyskane dokumenty. Nazwisko, które podał przy zakupie, należy do dziewięćdziesięcioletniego, który zmarł kilka tygodni temu. Sam telefon, z którego dzwonił, również nie dał nam żadnych wskazówek dotyczących jego tożsamości.

Faris chciał westchnąć, ale się powstrzymał. W czasach Internetu można było szybko kupić wszystko, czego się tylko zapragnęło. Nawet fałszywą tożsamość. Może sam też powinien sprawdzić, czy nie znalazłby dla siebie nowego życia. Takiego, w którym Laura zostałaby przy nim, takiego, w którym on... Nie, dość. Zmusił się do powstrzymania napływających gwałtownie myśli i skupienia się na tym, co było do zrobienia.

Gerlach gestem dał znak umundurowanym policjantom, żeby przyprowadzili świadka.

– Margarete Brunner – przedstawił ją Farisowi. – Pani Brunner, to podkomisarz Iskander, funkcjonariusz, którego obecności domaga się porywacz.

Zaskoczona kobieta otworzyła szerzej oczy.

– Okeeej... – mruknęła. Faris wyobraził sobie, co się dzieje w jej głowie.

Nie po raz pierwszy w życiu przeklinał swoje arabskie rysy.

Gerlach uśmiechnął się ciepło, chcąc ją ośmielić.

– Proszę jeszcze raz opowiedzieć wszystko, co pani zauważyła.

Pani Brunner przygryzła dolną wargę i się zamyśliła.

– Ja... tak, oczywiście!

Miała włosy ufarbowane na blond i przynajmniej pięciocentymetrowe odrosty, które nieszczęśliwie pasowały do jej starannie ułożonej fryzury i kontrastowały z eleganckim prochowcem.

– Akurat byłam w drodze do pracy, bo ja pracuję w ubezpieczeniach, to znaczy, my... – przerwała, bo się zorientowała, że mówi o sprawach zupełnie niezwiązanych z obecną sytuacją. Wróciła więc do tematu: – Nieważne. Chodzi o to, że codziennie chodzę ulicą Ku'damm, ale dzisiaj zwróciłam uwagę na tego chłopaka. – Jakiś nerw pod jej prawym okiem zaczął drżeć. Nerwowym ruchem poprawiła pasek ogromnej skórzanej torebki. – Wyszedł akurat z McDonalda i zaraz wydał mi się jakiś dziwny, tak bardzo, że poczułam się nieswojo. – Jej spojrzenie powędrowało w stronę Farisa, ale szybko spuściła

głowę i wbiła wzrok w ziemię.

– Dlaczego wydał się pani taki dziwny? – zapytał policjant. Podejrzewał już, jaką odpowiedź usłyszy.

– No bo... on... to znaczy... – Spojrzała na niego i uśmiechnęła się bezradnie. Jeden z siekaczy miała ciemniejszy, jakby dawno temu leczyła go kanałowo. To w połączeniu z odrostami nadawało jej dość nieciekawą wygląd. – No wyglądał jak Arab.

Mówiąc to, uniosła dłonie, jakby chciała coś jeszcze dodać, lecz Faris, przeczuwając przeprosiny i usprawiedliwienie się, nie dał jej dojść do głosu.

– Spokojnie, rozumiem! Proszę mówić po prostu, co się wydarzyło. – Zdążył się już przyzwyczaić, że wszyscy go oceniają na podstawie wyglądu.

– Ja wiem, że nie powinno się... to znaczy, każdy przecież spotkał się z uprzedzeniami, prawda? Dlatego powiedziałam sobie, że tak nie wolno... ale mimo to... – Na twarzy pani Brunner pojawił się nieśmiały uśmiech. – On był bardzo nerwowy. Zachowywał się, jakby coś planował.

– Czym wyrażała się jego nerwowość? – zapytał Gerlach.

– Strasznie się pocił! Naprawdę! W pierwszej chwili pomyślałam, że nic dziwnego, skoro ma na sobie taką grubą kurtkę. Wyglądał, jakby przygotowywał się do ekspedycji na biegun, a przecież nawet rano nie było aż tak zimno. Zapiął się pod samą szyję.

– Zdążyliśmy to sprawdzić – wtrącił się Gerlach. – Porywacz wszedł do toalety w restauracji i tam musiał założyć na siebie pas z ładunkami wybuchowymi. Na obrazie z kamer w środku widać, że wchodzi w rozpiętej kurtce, z plastikową torbą w rękę, a wychodzi już bez torby i z zapiętą kurtką. Sprawdziliśmy to miejsce z psami wytresowanymi do wykrywania materiałów wybuchowych i nie ma najmniejszych wątpliwości, że w reklamówce takie substancje były. – Nie przerywając, uruchomił odtwarzanie nagrania na komputerze, który leżał na dachu radiowozu. – Niestety, sprawca wiedział o kamerach i tak trzymał głowę, żeby nie było widać jego twarzy. – Odwrócił laptop tak, żeby Faris mógł obejrzeć filmik. Mężczyzna miał na sobie czapkę z daszkiem.

– Ale ja widziałam jego twarz – zauważyła pani Brunner. – I te oczy! One były takie... – zadrżała. – Takie, że ciarki mi przeszły po plecach!

– Ciarki pani przeszły po plecach... – powtórzyła Lautenschläger i wymieniła z Farisem długie spojrzenie. Policjant był bardzo ciekaw, o co jej chodziło, bo ani z postawy, ani z jej miny nie mógł niczego wyczytać.

– Potem poszedł na plac przed kościołem. – Kobieta sprawiała wrażenie, że coraz lepiej się czuje w roli świadka. – Tam wyraźnie na kogoś czekał. W końcu pojawiła się kobieta ze sklepu z córką. Ona przychodzi codziennie o tej samej godzinie. Stanął zaraz za nią i obserwował, jak otwiera drzwi. I nagle rozpiął kurtkę, a ta kobieta popatrzyła na niego z takim przerażeniem, że ja cię po prostu. – Pani Brunner rozkręcała się tak bardzo, że nie zważała już ani na coraz mocniejszy berliński akcent, ani na słownictwo, a Faris nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jej drogie ciuchy to w rzeczywistości tylko przebranie. – No i jak nie weźmie i nie wepchnie tej kobiety i małej do środka! No mówię wam! – Zamrugwała.

Małej. Małej dziewczynki.

Te słowa obudziły w Farisie lawinę wspomnień. Laura. Z córeczką w ramionach. Z dzieckiem, które powinno być jego... Chciał się otrząsnąć i odsunąć od siebie tę myśl, lecz przed oczyma natychmiast pojawiło się inne dziecko. Mały chłopiec, który zginął w czasie eksplozji w muzeum...

Zacisnął zęby i zabronił sobie wracać do tych myśli.

Kurwa! Musiał wziąć się w garść, jeśli chciał ogarnąć tę sytuację.

ROZDZIAŁ 4

Faris rozejrzał się po opustoszałym placu. Nieliczne drzewa, które się na nim ostały, były pozbawione liści, a ich cienkie szare gałązki potęgowały tylko ponure wrażenie wzbudzone przez architekturę dobranych bez ładu i składu budynków dookoła. Od rana była mżawka. Samotny gołąb zeskoczył ze stopni i zaczął dziobać porzuconą resztkę kanapki. Niespodziewanie pojawił się kruk, zatrzepotał gwałtownie skrzydłami i machnięciem dzioba przepędził gołębia. Powiew wiatru potoczył przez plac pusty kubek po coli. Przez chwilę Faris czuł, że ogarnia go poczucie rozpaczliwej beznadziei, ale udało mu się obronić. Starał się również odsuwać od siebie myśli o Laurze, które wyskakiwały w jego głowie jak natrętne reklamy na stronie z filmami porno.

Gerlach oparł dłonie na biodrach, wyprostował się i napiął ramiona.

– No dobra, to chyba wszystko. Czas zaczynać. – Sięgnął po telefon, który leżał na masce radiowozu, i z listy ostatnich połączeń wybrał pierwszy numer. Przez kilka sekund nikt nie odbierał.

– Podkomisarz Iskander jest już na miejscu – powiedział w końcu i przez chwilę słuchał, co osoba po drugiej stronie ma do powiedzenia. Potem się rozłączył i zrobił zatroskaną minę. – Faris, masz wejść.

Policjant potaknął. Spodziewał się tego, lecz teraz, kiedy miał już pewność, dotarło do niego, jak wielką miał nadzieję, że jakimś cudem uda się wykręcić od takiego finału.

Każdy z obecnych, włączając w to oczywiście i jego, myślał w tej chwili o zamachowcu, który wziął zakładników w Muzeum Klerscha, i o jego ponad siedemdziesięciu ofiarach.

– Może jest jakiś inny sposób? – zapytała Lautenschläger. – Mogłabym wysłać jednego z moich ludzi zamiast Iskandera?

Gerlach potrząsnął głową.

– Porywacz bardzo wyraźnie powiedział, że chce, żeby to był Faris i nikt inny.

– No cóż – zauważył Faris w niespodziewanym przyplwywie czarnego humoru. – To jest cena, jaką trzeba zapłacić za sławę.

Sięgnął po kamizelkę kuloodporną, którą podał mu jeden z ludzi Lautenschläger, i włożył na siebie. Kiedy zapinał rzepy na żebrach, zwrócił się do pani Brunner:

– Wcześniej określiła pani porywacza chłopakiem. Ile lat by mu pani dała?

– Ile lat? – Przekrzywiła głowę i zaczęła się zastanawiać. – Nie wiem... osiemnaście, może dziewiętnaście. Albo dwadzieścia kilka. Naprawdę trudno mi to ocenić. Przykro mi. – Zrobiła nieszczęśliwą minę.

Faris uśmiechnął się do niej serdecznie.

– Może przychodzi pani do głowy coś jeszcze, co powinniśmy wiedzieć?

Kobieta potrząsnęła głową, ale przerwała w pół ruchu i potaknęła.

– Tak! Oczywiście! Powiedział coś, zanim rozpiął kurtkę. *Inszallah* czy jakoś tak.

Spojrzenia Farisa i Gerlacha się skrzyżowały. Żaden z nich tego nie skomentował. Po chwili Faris poprawił kamizelkę kuloodporną.

– Mogę zapytać, co ty wyprawiasz? – Głos, który rozległ się za jego plecami, drżał z wściekłości i słycać w nim było ogromne niedowierzanie.

Opanował się, żeby nie spuścić głowy i nie opuścić ramion. Odwrócił się powoli. Stała przed nim szczupła kobieta w beżowym płaszczu z wielbłądziej wełny. Jej gęste blond loki błyszcząły kropelkami mżawki, które się na nich osadziły, a spod starannie pomalowanych rzęs i powiek spoglądały na niego zatroskane oczy.

Faris skinął głową.

– Cześć, Andrea – powiedział.

Andrea Roth nie odpowiedziała na pozdrowienie.

– Przed chwilą dzwonił do mnie Gerlach – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Najwyraźniej na polecenie twojego szefa. – Wskazała głową w stronę Tauentzienstrasse, gdzie dostrzegł Tromsdorffa w otoczeniu kilku osób. Kobieta popatrzyła na jego kamizelkę kuloodporną. – Chyba nie zamierzasz naprawdę tam wchodzić?

Poczuł się jak uczeń skarcony przez nauczycielkę.

– Ktoś wziął zakładników i zażądał rozmowy akurat ze mną – wyjaśnił.

– No oczywiście! – prychnęła kpiąco.

Nie zdążyła niczego więcej dodać, bo podszedł do nich Tromsdorff.

– Rühmann i jego ludzie zajmą się... sprawą – dokończył po krótkim wahaniu. Widok Andrei był dla niego pewnym zaskoczeniem. – Marc został na miejscu i prosił o przekazanie, żebyś się niczym nie martwił, bo wszystkiego dopilnuje.

Faris skinął w podziękowaniu.

Andrea zrobiła oburzoną minę i przewróciła oczyma.

– Nie możesz go tam puścić, Robercie! Nawet przez chwilę nie pomyślałeś, że po tym, przez co przeszedł, może nie być w stanie poradzić sobie z taką sytuacją?

– Czekaj, popraw mnie, jeśli się mylę – poprosił Tromsdorff. – Bo wydaje mi się, że w raporcie od ciebie, który mam na biurku, napisałaś, że Faris może wrócić do służby.

Andrea świdrowała go przez dłuższą chwilę lodowatym spojrzeniem, po czym równie chłodnym tonem wyjaśniła:

– Napisałam, że jego stan pozwala na powrót do służby, ale do normalnych zadań, a nie do pakowania się znów w sytuacje podobne do tej, przez którą omal nie stracił życia! – Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę Farisa.

Policjant nie pokazał tego po sobie, jednak był zaskoczony gwałtownością emocji, jakie nią kierowały. „W tej chwili nie zachowuje się szczególnie profesjonalnie” – pomyślał.

Wyciągnął dłoń i delikatnie dotknął jej łokcia.

– Mogę cię prosić na chwilę?

Zawahała się, po czym ze złością cofnęła ramię, jakby nie chciała, żeby ją dotykał.

– Skoro musisz!

Odprowadził ją kilka metrów na bok.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał. – Kiedy pozwalałaś mi wrócić do pracy, musiałaś wiedzieć, że taka sytuacja prędzej czy później się zdarzy, prawda? Andrea, to jest właśnie moja praca!

Kobieta popatrzyła na radiowóz, przy którym wszyscy na nich czekali. Faris widział w jej oczach odbicie niebieskich sygnałów świetlnych.

– Z tego, co mówili, porywacz ma bombę! – mruknęła. – Faris, nie pakuj się w to, z czego dopiero wyszedłeś! Jeśli znowu... – Zamilkła. Przygryzła dolną wargę, a on odruchowo pomyślał o Laurze. Czy Andrea wiedziała o jej śmierci? Nie, najprawdopodobniej nie. Gdyby wiedziała, na pewno by o tym wspomniała.

Stłumił rodzące się w piersi uczucia. Nie chciał nawet wiedzieć, czego dotyczyły. Czy była to złość? Strach? Zmęczenie? Miał to gdzieś.

– Uważasz, że nie dam sobie rady!

Andrea pospiesznie potrząsnęła głową.

– Nie! Ja tylko...

Dotknął jej łokcia.

Tym razem nie uciekała przed jego bliskością.

– Nie możesz tam ot tak, po prostu iść, tylko dlatego, że czujesz się zobowiązany, bo nie udało ci się uratować zakładników w Muzeum Klerscha!

– Przecież to nie o to chodzi, Andrea! Ten człowiek zażądał mojej obecności!

– A tobie w to graj! – przerwała nagle i uniosła wzrok. W jej oczach pojawił się błysk. – Faris! Proszę! Nie idź tam. Nie masz pojęcia, jak zareagujesz na taką sytuację! Co, jeśli tym razem...

– Faris? – zawołał Gerlach, ruszając w ich stronę. – Jak tam, gotowy?

Faris potaknął.

– Tak, już idę.

Przez chwilę patrzył kobiecie w oczy, aż nagle dostrzegł w nich rezygnację.

– Jestem twoją psycholożką. – Andrea spróbowała jeszcze jednego sposobu, żeby odwieść go od

jego zamiarów. – Mówiłeś, że mi ufasz! Jestem absolutnie przeciwna, żebyś porywał się na coś takiego!

Puścił jej łokieć i delikatnie pokręcił głową.

– Tylko że nie mam wyjścia, Andrea. Nie da się inaczej.

– Jesteś przekonany, że nie próbujesz jedynie odkupić tego, co się stało w muzeum? – wyszeptała.

Milczał. Uważał, że miała prawo wbić mu taką szpilę, bo to, co zamierzał, zakrawało na idiotyzm.

– Niech cię szlag, Faris! – syknęła. – Dlaczego nie weźmiesz po prostu jakiegoś megafonu i nie powiesz temu człowiekowi, że jak chce, sam może od razu uruchomić detonator?! – wycodziła, po czym gwałtownie zbladła i rozchyliła usta. – O Boże! Naprawdę to powiedziałam?

Faris przełknął głośno ślinę. Nie potrafił się obronić przed wrażeniem, że jest skończonym draniem.

– Będę na siebie uważać – obiecał, odwrócił się i ruszył w stronę radiowozu.

Andrea przez chwilę stała i patrzyła, jak odchodzi. Jej serce drżało z przerażenia po tym, co się przed chwilą wydarzyło.

Patrzyła, jak się zbliża do swoich ludzi, i najchętniej pobiegłaby zaraz za nim, schwyciła za ramiona i mocno potrząsnęła. Ale nie mogła się ruszyć z miejsca. Próbowwała poradzić sobie ze strachem, który ją opanował, i robiła, co mogła, żeby zachować spokój. Żeby zachować się profesjonalnie.

Odetchnęła głęboko. Przesunęła wzrokiem po twarzach gapiów. Tłum za barierkami rósł z każdą chwilą.

„Hieny” – pomyślała z pogardą. „Ludzkie śmieci. Przyszli tu z nadzieją na spektakl i adrenalinę, której nie zapewnia im ściek codziennie wylewający się z telewizorów”.

Zganiła się za takie myślenie. Musiała zachować spokój. Faris wejdzie do sklepu, w którym przetrzymywane były zakładniczki, a ona nie miała na to żadnego wpływu. Jedyne, co jej pozostało, to czekać.

Czekać, co się stanie.

I mieć nadzieję, że nic złego.

*

– Dobrze, w takim razie pora zaczynać – powiedział Faris, przesuwając wzrokiem po twarzach zebranych. – Czy ktokolwiek wie, jak ten sklep wygląda w środku?

Lautenschläger pokręciła głową.

– Mury są z betonu, więc nie możemy wiercić, żeby wprowadzić do środka kamerkę, bo to by było za głośne.

– Ja znam rozkład tego sklepu! – zgłosił się jeden ze stojących niedaleko mundurowych. – To jedno niewielkie pomieszczenie na planie koła. Kasa po prawej od wejścia. Pośrodku coś w rodzaju grubej kolumny, półki z towarami są dookoła. O ile dobrze pamiętam, dokładnie naprzeciwko drzwi wisi kotara, za którą składowany jest towar i inne rzeczy.

– Jest się gdzie schować? – Faris wziął pistolet, który Lautenschläger podała mu bez słowa. Bezustannie czuł na sobie palące spojrzenie psycholożki. Wsunął broń za gumkę bielizny i mocniej zawiązał sznurek spodni od dresu. Może nie był to optymalny sposób przenoszenia pistoletu, ale musiał wystarczyć, bo do stroju biegowego nijak nie dało się przymocować kabury, żeby porywacz jej nie zauważył.

– Nie, niestety – odparł umundurowany funkcjonariusz. – Jest tam kotara, ale ona w razie czego nic nie da. Poza tym w środku jest bardzo ciasno.

Faris podziękował i skinął w stronę Gerlacha.

– Chyba wiem już wszystko.

Tromsdorff położył mu dłoń na przedramieniu.

– Jesteś pewien, że dasz sobie radę? – W jego tonie nie było słyhać nieufności, a szczerą troskę.

Faris przesunął nerwowo koniuszkiem języka po kąciku ust.

„A skąd mogę wiedzieć?” – pomyślał. Zamiast tego powiedział tylko:

– Pewnie.

Jeden z funkcjonariuszy przy barierkach poprosił gestem Andreę, żeby opuściła odgradzony teren. Kiedy szła, jej ruchy były sztywne i raczej wyrażały złość niż obawę.

Tromsdorff się zawahał, jakby cały czas jeszcze nie był przekonany, czy wysłać go do tego zadania, czy raczej zabronić mu wchodzić.

– No dobrze, masz zielone światło – powiedział w końcu.

Faris się wyprostował.

Odwrócił się i ruszył przez plac w stronę dzwonnicy ze sklepem.

NIEZNAJOMY

Stał za barierkami, wśród gapiów, którzy zebrali się przyciągnięci obecnością policji. Przyglądał się przygotowaniom Iskandera. Widział, jak podchodzi do radiowozu i przez dłuższą chwilę rozmawia z siwym funkcjonariuszem, jakąś lesbą w mundurze taktycznym i zdziwłą z niestarannie ufarbowanymi włosami. Nie potrafił powstrzymać uśmiechu, tak cudownie się z tym wszystkim czuł. Dotychczas nie miał pewności, czy to odpowiedni czas, i zadreślał się wątpliwościami, czy nie za wcześnie zaczyna zabawę. Teraz jednak zrozumiał, że nie musi się niczym przejmować.

Wszystko zadziało dokładnie tak, jak sobie zaplanował.

– Przepraszam, mogę przejść? – wymamrotał.

Jakaś kobieta z dzieckiem, małym chłopcem w dżinsach i grubej zimowej kurtce, spojrzała na niego podejrzliwie.

Zignorował ją i skupił się na chłopcu. Uśmiechnął się do niego ciepło i szeroko.

– Dzisiaj jeszcze nie jest twoja kolej – powiedział.

Na twarzy malca pojawiło się zaskoczenie.

Człowiek, który pragnął zemsty, chciał coś dodać i wyjaśnić, o co mu chodziło, lecz w tej chwili telefon w jego kieszeni zaczął wibrować. Skinął chłopcu na pożegnanie i wmieszał się w tłum. Kiedy oddalił się nieco od barierek, wyjął komórkę i odebrał połączenie.

– Podkomisarz Iskander jest już na miejscu – oznajmił siwy policjant.

– Świetnie. Wyślij go do środka. – Człowiek, który pragnął zemsty, się rozłączył. Z oddali obserwował, jak do Iskandera podchodzi kobieta w płaszczu. Stała plecami do niego, lecz kiedy zaczęła mówić do policjanta, a on złapał ją za łokieć i odciągnął na bok, rozpoznał, kto to. Zaciśnął zęby, ale rozluźnił się, widząc, że się kłóca.

W końcu Iskander ruszył w stronę wieży. Człowiek, który pragnął zemsty, uniósł wzrok ku niebu.

– No to zaczynamy zabawę, skurwysynu – wyszeptał.

Faris posuwał się w stronę wejścia do sklepu Fair Trade. Dość szybko pojął, jak genialnie i jednocześnie idiotycznie głupio porywacz wybrał miejsce na wzięcie zakładników. Do sklepu prowadziło tylko jedno wejście i nie dało się go opuścić w żaden inny sposób. Z jednej strony uniemożliwiało to przeprowadzenie akcji z zaskoczenia, ale też w razie szturm porywacz nie miał najmniejszych szans na ucieczkę. Faris poprawił kamizelkę, która uwierała jego bliznę. Niespodziewanie ogarnęło go przeświadczenie, że porywacz wcale nie ma zamiaru ująć z tego z życiem...

Pod stopami czuł nierówny bruk.

Przewycięzył pragnienie, żeby się odwrócić i spojrzeć w stronę Andrei. Przez kilka sekund stał nieruchomo przed trzema stopniami prowadzącymi do wnętrza sklepu.

– Jestem na miejscu! Mogę wejść? – krzyknął w stronę otwartych szeroko drzwi.

Z miejsca, w którym stał, widział niewielki fragment wnętrza: chusty i świece we wszystkich kolorach tęczy. Duszący aromat kadzidełek wydostawał się na zewnątrz i kiedy go poczuł, odruchowo pomyślał o siostrze Anisah. Jako nastolatka paliła je w swoim pokoju jedno za drugim.

– Możesz wejść! – rozległ się głos młodego mężczyzny.

Faris zamarł zaskoczony, bo miał wrażenie, że już go słyszał!

„O nie, błagam, tylko nie to!” – pomyślał. „Nie, to przecież nie mógł być on... nie mógł,

prawda?”.

Ostrożnie postawił stopę na pierwszym stopniu. Musiał się pomylić i tyle. Przesłyszał się. Wszystko przez szwagra i przerwana rozmowę telefoniczną... tam w środku, w sklepie, to przecież nie mógł być... nie, to wykluczone... Poczł ciarki na plecach i dalej na całym ciele. Zupełnie jakby snajperzy zatrzymali na nim wiązki celowników laserowych.

„Nie odwracaj się!” – nakazał sobie w myślach. Niebezpieczeństwo czaiło się gdzieś z przodu, a nie z tyłu.

Wspiął się na kolejny stopień i znieruchomiał. Czekał.

Z miejsca, w którym stał, nie mógł zobaczyć ani porywacza, ani żadnej z zakładniczek. Zauważył za to kasę, o której mówił umundurowany policjant. Znajdowała się obok wieszaka z kolorowymi, uszytymi z ciężkiej wełny szatami.

– Wchodzę! – Faris pokonał trzeci stopień, po czym przestąpił próg sklepu. Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie napięcia. Ściany wieży zegarowej były bardzo grube i masywne, więc nie docierały tutaj odgłosy z zewnątrz – zupełnie tak, jakby wszedł do jakiejś śluzy. I choć nie było to potrzebne, ukrył głowę między ramionami.

Otoczyła go woń kadzidełek tak mocna, że aż drapała w gardle. Rozejrzał się szybko, a jego spojrzenie padło na przestraszoną kobietę około czterdziestki. Właścicielka sklepu. Miała krótkie jasnoblonde włosy i kolczyki z materiału, który wyglądał jak filc. Jej twarz wyrażała ciężkie, graniczące z paniką przerażenie.

Faris skinął jej na powitanie. Kobieta uważnie mu się przyjrzała. Najpierw odniósł wrażenie, że w ogóle go nie widzi. Po chwili jednak zauważyła jednocześnie jego obecność i charakterystyczne arabskie rysy. Tym razem w jej oczach pojawiła się czysta panika.

– Przyszedłem panią stąd wyprowadzić – zapewnił pospiesznie. Nie miał pojęcia, czy uda mu się dotrzymać tej obietnicy. Niepewność pchała go na skraj obłędu.

Łagodnie mówiąc, właścicielka sklepu nie wydawała się przekonana.

Faris zacisnął zęby, po czym zaczął szukać wzrokiem porywacza. Szybko zauważył drugą zakładniczkę, córkę właścicielki. Dziewczynka kuciała skulona pod stołem z kasą. Mała miała równie jasne włosy jak jej matka, ale nie sprawiała wrażenia spanikowanej czy nawet przestraszonej. Kiedy policjant spojrział jej w oczy, dostrzegł w nich mieszaninę zainteresowania i fascynacji.

Podniósł wzrok i spojrział na matkę.

„Gdzie jest?” – zapytał, bezdźwięcznie poruszając ustami.

Kobieta znaczącym spojrzeniem wskazała na kolumnę pośrodku sklepu. W tej samej chwili rozległ się zza niej cholernie znajomy głos.

– Faris? To ty?

I choć każdy nerw z osobna chciał sprawić, żeby odwrócił się możliwie jak najszybciej, oparł się pokusie i powoli odwrócił głowę, by popatrzeć w lewo.

– Co ty tu robisz? – zapytał, wychodząc zza kolumny.

Faris widział materiały wybuchowe, które chłopak miał na sobie w postaci kamizelki na klatce piersiowej, i detonator, który trzymał ściśnięty w dłoni. Niewielkie czarne urządzenie z czymś w rodzaju przełącznika, niczym uzbrojony granat ręczny. Ciemne, otoczone długimi rzęsami oczy spoglądały w jego kierunku spod ciemnych loków. Oczy, które były zbyt delikatne i wrażliwe, żeby ich właściciel pasował do takiej sytuacji.

Oczy, które naprawdę dobrze znał.

Czyli jednak!

– Niech to kurwa... Önur? – mruknął przerażony i przez kilka sekund nie mógł dojść do siebie. – Co TY tutaj robisz? – wycedził z trudem.

– Pan go zna?! Nie, to się nie dzieje... – Właścicielka sklepu miała głęboki głos świadczący o nadmiernej ilości wypalanych papierosów. Przesuwała wzrok między Farisem a porywaczem, a przy każdym ruchu jej kolczyki kołysały się na boki.

„Papugi” – pomyślał Faris. Jej kolczyki wyglądały jak papugi. Obawiał się, że w przyszłości te

dwa kolorowe ptaki dołączą do obrazu oderwanego palca i płonących twarzy, które dręczyły go w koszmarach.

Musiał opanować wzbierającą falę paniki, więc skupił się tylko na Önurze. Materiał wybuchowy, który miał na sobie, miał formę kostek przypominających torebki kawy, połączonych przewodem z zapalnikiem. Na lewym ramieniu chłopaka dostrzegł przymocowany rzepem telefon komórkowy z włączonym ekranem, na którym wyświetlona była cyfra dziesięć. Önur zaciskał w dłoni detonator. Faris widział, jak drży mu ramię, i zaczął w myślach szacować, jak długo jeszcze jest w stanie utrzymać ściśniętą dźwignię mechanizmu.

Przypomniał sobie wszystko, co wiedział o Önurze Aydinie. Znał chłopaka od około roku. Po raz pierwszy spotkali się w świetlicy przy meczecie, który regularnie odwiedzała jego rodzina. Önur był synem Turka i Turczynki mieszkających w Berlinie od ponad dwudziestu lat. Jeśli Faris dobrze pamiętał, jego rodzice nie byli szczególnie religijni.

– Skąd pan go zna? – Właścicielka sklepu przypomniała o swojej obecności.

Faris przestraszył się na dźwięk jej niebezpiecznie drżącego głosu. Wiedział, że jeśli jej nie uspokoi, zdezorientowana może popełnić jakieś głupstwo. Spojrzał jej prosto w oczy. Wstrząsały nią dreszcze i na pierwszy rzut oka było widać, że jest na skraju załamania. Bez wątplenia była w tej chwili największym zagrożeniem dla całej operacji, więc od razu musiał się nią zająć.

– Jak się pani nazywa? – zapytał najspokojniej, jak potrafił.

– Petra. – Nie potrafiła ukryć nieufności, z jaką na niego spoglądała, lecz Faris doskonale ją rozumiał. Czekala na ratunek, a właśnie spotkała mężczyznę o arabskim wyglądem. Poprzedni, o podobnych rysach twarzy, zagroził jej wysadzeniem wszystkiego w powietrze.

– Petra – powtórzył łagodnie i wskazał na duże, białe litery na kamizelce kuloodpornej, ułożone w słowo POLICJA. – Ja mam na imię Faris. Jestem policjantem i wyciągnę stąd nas wszystkich całych i zdrowych, tak? Rozumie pani?

Petra potaknęła. Jej kolczyki-papugi zakotływały się mocno.

– Świetnie. – Faris odwrócił się w stronę Önura, jednak zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, znów odezwała się właścicielka sklepu.

– Skąd pan go zna?

Faris ugryzł się w język, bo miał wielką ochotę zakląć. Nie spuszczać wzroku z chłopaka z bombą, odpowiedział na pytanie:

– Mój szwagier jest pracownikiem socjalnym i opiekuje się młodzieżą taką jak Önur. Od czasu do czasu pomagam mu w pracy i w ten sposób go poznałem. – Spojrzał chłopakowi w oczy. – Önur, pamiętasz to jeszcze?

Önur uniósł wolną rękę do ust i przygryzł kciuk, jak przestraszone dziecko przygryza czasem narożnik kołdry. W końcu jednak poruszył głową. Zrobił to niechętnie i sztywno. I choć miało to oznaczać potaknięcie, wyglądało bardziej jak skurcz mięśni karku.

– Słuchaj, nie musisz przecież tego robić. – Faris bardzo powoli wyciągnął dłoń. – Oddaj mi detonator, a zobaczysz, że razem znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Önur wyjął kciuk z ust.

– Nie! – Jego przestraszony głos przypominał dziecięce kwilenie.

Serce policjanta biło szybciej niż zazwyczaj. Jeszcze całkiem niedawno grał z Önurem w koszykówkę na dziedzińcu meczetu. Jak to możliwe, że nie wiedział, że chłopak zaczął się radykalizować? Myśl o tym była ulotna jak kartka papieru, a ból, który wywołała, przeminął w ułamku sekundy.

„Nie wszystkie złe rzeczy, które się zdarzają, zdarzają się z twojej winy” – rozległy się w jego głowie słowa Andrei.

Poczuł skurcz mięśni na plecach, jakby między łopatkami zacisnął się jakiś węzeł.

– Porozmawiajmy! – poprosił. – Co się stało, że w ogóle tu jesteś? I przede wszystkim, dlaczego one tu są? – Wskazał na kobietę i dziecko pod blatem.

Önur znów wsunął kciuk do ust i zaczął go przygryzać. Paznokcie przy pozostałych palcach miał

tak krótkie, że samo patrzeć na nie wywoływało ból.

Dłoń, w której trzymał detonator, drżała coraz mocniej.

„Nie jest dobrze” – pomyślał Faris i ponownie podjął próbę dotarcia do chłopaka.

– Możesz je już wypuścić, prawda? Masz mnie, ich już nie potrzebujesz. – Robił, co mógł, żeby nie myśleć o porywaczu z Muzeum Klerscha i o rozmowie z nim. Wówczas jedno z pozoru niewinne zdanie doprowadziło do katastrofy. Ludzie zginęli tylko dlatego, że powiedział coś, czego nie powinien mówić. Porywacz zdetonował bombę, zabijając siebie i ponad siedemdziesiąt niewinnych osób.

To nie miało prawa się już nigdy powtórzyć!

Bardzo ostrożnie zbliżył się o krok do Önura.

Chłopak natychmiast uniósł dłoń, w której ścisnął detonator.

– Nie ruszaj się! Nie ruszaj się z miejsca! – wykrzyczał wysokim, piskliwym głosem. Wyglądał przy tym jak przestraszony piętnastolatek.

Policjant cofnął się spiesźnie.

– Już okej! Spokojnie. – Mdlilo go od zapachu wypalonych tu kadzidełek. Przez kilka sekund milczał. – No dobrze, Önur. Powiedz mi, proszę, co w takim razie dalej? – zapytał w końcu.

Dziewczynka pod ladą zaczęła cicho płakać.

Chłopak rozchylił wargi, jakby chciał się odezwać, ale szybko znów je zacisnął i tylko z kącika ust popłynęła mu strużka śliny. Po chwili pojawiło się jej znacznie więcej, bo Önur zaczął mówić po turecku.

– O Boże! – jęknęła właścicielka sklepu.

– Niech się pani nie denerwuje, potrzebny jest spokój! – polecił jej Faris.

Petra starała się go posłuchać, ale nie mogła powstrzymać przerażonego łkania. Obiema dłońmi zasłoniła usta i starała się zachować ciszę.

– Nie rozumiem ani słowa po turecku, Önur – powiedział Faris. – Przyszedłem tak, jak chciałeś. Teraz twoja kolej, powiedz, proszę, o co chodzi i po co mnie wezwałeś.

Chłopak opuścił dłoń z detonatorem. Palce zaciskał na nim tak mocno, że miał zupełnie białe paznokcie. Niespodziewanie Önur zrobił bardzo zdecydowaną minę.

– *Allahu Akbar* – wyszeptał.

Jego słowa zmroziły Farisowi krew w żyłach.

Całe pomieszczenie, kobieta, dziecko, kolorowe ściany i porywacz – wszystko zniknęło na ułamek sekundy za mgłą, która go otoczyła. Policjant był przekonany, że zaraz dojdzie do eksplozji, która rozerwie go na strzępy, lecz ku jego zaskoczeniu, Önur nie uruchomił detonatora, tylko zaczął mówić.

– Bóg jest wielki, Faris. Codziennie ci to powtarzają, raz, dwa, sto razy. Ale wiesz co? – Oczy chłopaka wypełniły się łzami.

Faris pomyślał o broni schowanej pod gumką bokserów na plecach.

– Nie, nie wiem, Önur.

– Moim zdaniem oni wszyscy kłamią. No bo jak Bóg ma być wielki, skoro nie potrafi zapobiec tym wszystkim strasznym rzeczom, które się dzieją? – Z trudem wypowiadał słowa, jakby zmuszał się, żeby w ogóle mówić. Jego mina wyrażała kompletne zagubienie i paniczny strach przed śmiercią. W żadnym razie nie wyglądał na osobę, która podjęła decyzję, żeby zaraz umrzeć.

Faris z wysiłkiem rozluźnił spięte mięśnie na plecach.

– Przecież nie musisz tego robić, Önur – powtórzył.

Chłopak zrobił krok w jego kierunku.

– Co by było, gdyby się okazało, że jednak mają rację? – wyszeptał. – W końcu są uczeni, a ja? Ja jestem tylko... – przerwał i przygryzł dolną wargę.

Faris pomyślał, że radykalni kaznodzieje sęczyli do uszu tego biednego chłopaka truciznę islamizmu. Poczul złość, i to ogromną. Złość na fanatycznych szaleńców wszystkich religii, którzy sami siebie nazywali duchowymi czy kaznodziejami, a w rzeczywistości zajmowali się werbunkiem młodych ludzi do walki i do zamachów. Przepelnionymi nienawiścią słowami wpędzali ich w paranoję.

Po chwili milczenia musiał przyznać mu rację: żaden Bóg nie mógłby dopuścić do takiego zła.

– Co ci naopowiadali? – zapytał ostrożnie. Dopóki chłopak mówi, nie będzie próbował detonować bomby. Taką miał nadzieję.

– Powiedzieli, że wszystko jest zapisywane... że każdy z moich grzechów został zapisany... – Drżącą dłonią Önur odsunął loki z czoła, przycisnął je do głowy i upewnił się, że nie zsuną się ponownie.

Faris poczuł bolesne ukłucie, widząc ten gest. Nie mógł zachować obojętności, przyglądając się wewnętrznemu rozdarciu chłopaka. Zatrząsał się ze złości.

– Powiedzieli, że każdy z nas stanie przed Allachem. I że wtedy otworzą się księgi... i... i zobaczę wszystko, co zrobiłem. I że przyjdą anioły o brzydkich twarzach i w czarnych szatach, które zaciągną mnie do piekła... rozumiesz? Do *Jahannam*!

Przy ostatnim słowie zaniósł się szlochem.

Jahannam. Miejsce nieustającego, wiecznego bólu.

Faris gotował się ze złości.

Önur popatrzył mu prosto w oczy. Jego spojrzenie płonęło.

– Iblis rządzi światem. Chce wszystko zepsuć, a my nie możemy do tego dopuścić. Musimy ich wszystkich ukarać za to, że chcą nam odebrać nasze kobiety.

Kto chce odebrać nam nasze kobiety?!

Zdania wypowiedziane przez chłopaka były pozbawione jakiegokolwiek sensu.

– Walka, którą prowadzimy, to walka między prawdą a kłamstwem. Allach daje nam szansę, żebyśmy odplacili za poniżenia i prześladowania. I dlatego prowadzimy... džihad! – Ostatnie słowo było bolesnym jękiem.

Właścicielka sklepu również jęknęła, a jej córka zaczęła płakać.

Önur się wyprostował i ściągnął ramiona.

– Allach odpuści męczennikowi wszystkie jego grzechy. Wskaże mu miejsce w raju, a ogień piekielny nie dosięgnie jego ciała w grobie. – Tym razem zabrzmiał, jakby recytował wyuczony na pamięć fragment tekstu. Kiedy skończył, głos mu się załamał i przeszedł w dziecinny, przerażony szloch.

Policjant niepostrzeżenie zbliżył dłoń do ukrytej na plecach broni.

– Allach wcale nie chce, żeby umierali niewinni.

Młody Turek przesunął wzrokiem po ścianach sklepu. W końcu zauważył dwie zakładniczki.

– One wcale nie są niewinne! – wycharczał. – One są *kuffar*! Ktoś musi umrzeć za to, co zrobiono naszym kobietom. Allach tak chce. On... – Niespodziewanie twarz Önura zmieniła się nie do poznania, jakby jakaś niewidzialna dłoń starła z niej fanatyzm i złość, zostawiając jedynie rozpacz i żal.

Faris spiął się cały. Czuł na sobie spojrzenie Petry i jej panikę, jakby była jego własną.

Nagle wszystko potoczyło się nieprawdopodobnie szybko. Önur puścił detonator.

Petra pisnęła przeraźliwie. Przeciągle, jak ktoś, kto stoi w obliczu nieuchronnej śmierci. Faris zamarł, lecz ku jego zaskoczeniu nie doszło do eksplozji.

– Dziesięć – powiedział mechaniczny głos z komórki na ramieniu chłopaka. A potem na ekranie pojawiła się cyfra dziewięć.

Krzyk właścicielki sklepu się załamał.

– Oni mnie zmusili, żebym to zrobił. – Önur podszedł do Farisa i go objął. Kiedy mechaniczny głos powiedział „osiem”, pocałował go w policzki. Łzy, które wypełniały jego oczy, potoczyły się w końcu po policzkach. – Następnym razem to ty uruchomisz detonator.

Słowa wypowiedziane przez chłopaka ponownie zmroziły mu krew w żyłach. Czy rzeczywiście to usłyszał? Czy się nie pomylił? Jednocześnie z Önurem mechaniczny głos obwieścił, że cyfra zmieniła się na siedem, więc nie miał pewności.

Przy sześć Önur odsunął się w tył.

– Wyprowadź je stąd! – powiedział. – Uratuj je.

Minęła sekunda, zanim Faris otrząsnął się z zaskoczenia i zaczął działać.

– Uciekamy! – ryknął. Rzucił się w stronę stołu z kasą i pchnął Petrę z córeczką w kierunku drzwi. W drodze do wyjścia pilnował, żeby biec, osłaniając je własnym ciałem. Kiedy głos z komórki

powiedział „dwa”, wypychał je właśnie za próg.

Odliczanie zakończył ciągły, świdrujący sygnał. Faris instynktownie rzucił się naprzód. Słyszał, jak za jego plecami Önur krzyczy w bezsilnej złości i cierpieniu.

W następnym momencie potężna eksplozja uniosła jego ciało i wyrznęła nim o stalowe rusztowanie otaczające Kościół Pamięci.

ROZDZIAŁ 5

NIEZNAJOMY

To, co zobaczył, sprawiło mu ogromną satysfakcję – fala uderzeniowa wypchnęła Iskandera przez drzwi sklepu i z ogromną siłą uniosła w powietrze. Grube betonowe ściany stłumiły nieco odgłos wybuchu, lecz i tak zabrzmiał jak salwa armatnia. Przez chwilę miał wrażenie, że cała budowla się kołysze.

– O Boże! – zawołał jakiś chłopiec niedaleko. – On się wysadził w powietrze!

Człowiek, który pragnął zemsty, złapał się za głowę. Wyglądał jak przejęty naoczny świadek.

– Chyba tak – mruknął i szybko się wycofał.

Po chwili się odwrócił i spojrzał raz jeszcze, żeby się upewnić, że Iskander przeżył. Zobaczył, jak ubrana na czarno lesba i jeden z jej ludzi rzucili się biegiem w jego kierunku.

Pomogli mu podnieść się z ziemi, lecz mimo to zakołysał się, jakby znów miał paść.

Człowiek, który pragnął zemsty, znajdował się zbyt daleko, żeby zobaczyć jego minę, jednak domyślał się, jakie uczucia wyczytałby z jego spojrzenia.

Poczucie winy. I zwierzęce przerażenie.

I tak właśnie miało być.

Mężczyzna w końcu się odwrócił.

Odchodząc, jeszcze tylko raz obejrzał się przez ramię. Dookoła wieży leżał pył strząśnięty ze ścian przez eksplozję. Słup dymu płonącego budynku wznosił się w niebo niczym czarna kolumna górująca nad Berlinem.

Człowiek, który pragnął zemsty, uśmiechnął się usatysfakcjonowany.

Pierwsza część jego planu została bezbłędnie zrealizowana. Nie mógł się doczekać, żeby przejść do drugiego etapu.

Zabawa miała się dopiero zacząć.

Faris poczuł, że ktoś chwytą go za ramiona. Huczało mu w głowie, a gryzący dym wypełniał płuca i pozbawiał orientacji. Nie miał czym oddychać. Zaczął się krztusić.

– Już dobrze! Wszystko w porządku! Przeniesiemy cię w bezpieczne miejsce.

Ktoś pomógł mu wstać i odciągnął na bok, jak najdalej od miejsca bezpośredniego zagrożenia. Po trzech, może czterech krokach odzyskał kontrolę nad sobą i siły na tyle, żeby móc samodzielnie utrzymać się na nogach.

– Dalej dam radę sam – wychrypiał. Dopiero teraz wróciła też ostrość widzenia i mógł zobaczyć, kto mu pomógł. Lautenschläger i jeden z jej ludzi. Skinął w podziękowaniu i uwolnił się z ich rąk.

Kobieta popatrzyła na niego uważnie.

– Chodź, kawałek dalej czeka karetka. Powinieneś dać się zbadać.

Faris wsłuchał się w swoje ciało. Miał wrażenie, że wszystkie kości nieco się obluzowały, ale na szczęście żadna nie była złamana. Bolał go cały lewy bok, którym wyrznął w stalowe rusztowanie. Chciał coś powiedzieć, ale ledwie otworzył usta, opanował go tak straszny kaszel, że mało się nie udusił. Żeby zyskać nieco na czasie, odwrócił się i popatrzył na zniszczenia.

Siła eksplozji wyrwała drzwi wejściowe razem z framugą i cisnęła na bruk. Z wnętrza sklepu buchały długie języki płomieni. Nawet tutaj, gdzie stał, czuł straszne gorąco promieniujące z płonącego pomieszczenia. Gęsty czarny dym wzbijał się w niebo skośną kolumną, dokładnie między dzwonnica i kościołem.

„Önur” – pomyślał Faris. Nagle zrobiło mu się niedobrze. Musiał wesprzeć się na ramieniu Lautenschläger, bo w przeciwnym razie nie utrzymałby się na nogach.

– Chodź! – powiedziała kobieta, chwyciła go pod ramię i pociągnęła w kierunku karetki. On jednak zebrał wszystkie siły, wyprostował się i zaczął się bronić.

– Co z zakładniczkami? Gdzie są? – zapytał.

Kobieta bez słowa wskazała głową w stronę właścicielki sklepu i jej córki. Obie siedziały już w jednym z radiowozów. Ktoś wcześniej zarzucił im koce na ramiona, więc nie marzły, jednak na ich twarzach wciąż malowało się przerażenie i zagubienie.

Faris spuścił głowę. Tym razem udało mu się uratować zakładniczki. One były całe i zdrowe, za to Önur... nie chciał o tym myśleć. Przenikliwy sygnał bomby tuż przed eksplozją wciąż dźwięczał mu w uszach. Po chwili pojawiło się jeszcze jedno wspomnienie, niewyraźne i przynajmniej z początku słabe, jakby wynurzało się spod powierzchni bezdennego, czarnego oceanu.

„Następnym razem to ty uruchomisz detonator”.

Czy naprawdę usłyszał te słowa? Czy może jego umęczony umysł podsunął mu zdanie, które wcale nie padło w rozmowie z Önurem? Nie miał pewności. Odruchowo spojrzął na gapiów za policyjnymi barierkami, szukając wzrokiem Andrei. Nigdzie nie mógł jej znaleźć. Później będzie musiał z nią o tym wszystkim porozmawiać. Ale to później. Znacznie później.

Lautenschläger podjęła kolejną próbę skłonienia Farisa, żeby udał się do karetki na badanie. Tym razem policjant posłusznie ruszył za nią. Ledwie dotarł na miejsce, Tromsdorff wysiadł z radiowozu i ruszył biegiem w jego stronę.

– Gdzie jest Andrea? – zapytał Faris.

– Poszła sobie... – Szef spojrzął mu w oczy i nie odwrócił głowy. – Powiedziała, że zauważyła w tłumie kogoś znajomego, ale jeśli mam być szczerzy, to po prostu nie chciała być świadkiem, gdybyś... – przerwał.

„...gdybyś tym razem wyleciał w powietrze z zamachowcem” – dokończył policjant w myślach.

Czuł głęboką, dziwnie głuchą wdzięczność i dopiero po chwili dotarło do niego, że to w rzeczywistości ulga. Ulga, bo dzięki temu zyskał na czasie; wiedział, że będzie musiał spojrzeć jej w końcu w oczy, lecz dopiero wtedy, kiedy sam upora się z tym, co właśnie przeżył.

– Bała się o ciebie – zauważył Tromsdorff. – Kurwa, wszyscy się o ciebie baliśmy! Jak się czujesz?

Jak on się czuje? Laura nie żyje, a on cudem uniknął śmierci w wyniku wybuchu bomby.

Zacisnął mocno zęby.

– Daję radę – wycedził. Potem wsiadł do karetki i usiadł na noszach.

Tromsdorff westchnął ciężko.

Jakiś młody lekarz w pomarańczowym kombinezonie obsady karetki zaczął badać Farisa. Na początku obejrzał krwawiące otarcia na jego dłoniach, ale uznał, że niczym nie grożą. Potem maleńką latarką poświecił policjantowi w oczy i palcami zbadał czaszkę oraz kark.

– Mógłby pan zdjąć kamizelkę? – poprosił.

Faris sięgnął do tyłu za pasek, zza ściągacza spodni wyjął broń i położył obok siebie, po czym rozpiął rzepy kamizelki i ją zdjął. Jego lewy bok pulsował tęnym bólem, na tyle mocnym, że ze świstem nabrał powietrza.

– Aż tak źle? Gdzie konkretnie boli? – zapytał lekarz.

Policjant wskazał na żebra.

– Może pan unieść ramię?

– Pewnie. – Kolejna fala bólu w całym boku, ale był na to przygotowany.

– Boli w czasie oddychania?

– Tylko trochę.

– Wygląda na to, że ma pan połamane żebra – zmartwił się lekarz.

– Nie, to tylko stłuczenie – poprawił go Faris. Aż nazbyt dobrze znał te symptomy.

Mężczyzna zmarszczył czoło.

– Na wszelki wypadek zalecałbym prześwietlenie – oznajmił i uniósł dłoń z trzema wyprostowanymi palcami.

– Trzy – powiedział policjant. Ani słowem nie wspomniał o tym, że widział je jak przez mgłę i miał wrażenie, że ciśnienie wewnątrz czaszki zaraz rozsadzi mu głowę. Nie miał zamiaru jechać teraz

do szpitala. Chciał wrócić do ludzi z zespołu i ustalić, co się właściwie wydarzyło w tej zasranej wieży. Cały czas dzwoniło mu w uszach.

„Następnym razem to ty uruchomisz detonator”.

– Czuje pan mdłości? Kręci się panu w głowie? – dopytywał lekarz zatroskanym tonem.

Faris nie rozumiał, dlaczego zadaje mu te pytania, i dopiero po chwili uświadomił sobie, że ma odruch wymiotny. Już chciał zaprzeczyć, ale w tej samej chwili wspomnienia powróciły z taką siłą i tak gwałtownie, że nie potrafił się przed nimi obronić... Podwójne drzwi zdobione snycerką w Muzeum Klerscha. Słyszy płacz dziecka, a zaraz potem zasypuje go deszcz drzazg i odłamków... Widzi pędzącą na niego ścianę ognia... ginie pod całunem płomieni...

Poczuł ogromny, palący ból. Cały bok płonął żywym ogniem, a świat zniknął za czerwoną mgłą. Zgarbił się i skulił; niewiele brakowało, a wylądowałby na podłodze.

– Spokojnie! Spokojnie! – krzyknął młody lekarz, chwycił go za ramiona i zmusił, żeby ponownie usiadł na noszach.

Faris nabrał głęboko powietrza. Odsunął włosy z czoła. Wspomnienia zaczęły słabnąć.

– Już dobrze – wymamrotał i odwrócił głowę, żeby uniknąć spojrzenia Tromsdorffa, który stał przy karetce i był świadkiem jego ataku.

– Jedziemy zaraz do szpitala, trzeba pana koniecznie przebadać – zadecydował lekarz.

Jednak Faris miał inne plany.

– Nie, nic mi nie jest. Naprawdę. – Na dowód zeskoczył z noszy. Choć drżały mu kolana, utrzymał się na nogach i ignorując protesty lekarza, wysiadł z karetki.

Strażacy przystąpili do gaszenia pożaru wywołanego wybuchem. Jeden z nich przygotowywał się do wejścia do dymiącego pomieszczenia, żeby sprawdzić, co zostało z Önura.

Tromsdorff pokręcił bezradnie głową.

– Nic z tego nie rozumiem! – W jego oczach czało się niewypowiedziane pytanie: „Dlaczego zawsze musi trafiać na ciebie?!”.

Faris wzruszył ramionami.

Na placu panował rozgardiasz, a funkcjonariusze w mundurach i ubrani po cywilnemu biegali tam i z powrotem. Dwóch ratowników medycznych w takich samych pomarańczowych kombinezonach, jaki nosił lekarz z karetki, stało pośrodku tego chaosu i ze stoickim spokojem przyglądało się bieganiu. Nie mieli kogo ratować. Wybuch był na tyle silny, że resztki Önura trzeba było zeskrobywać ze ścian.

Faris przełknął ciężko ślinę.

– Kurwa mać! – zaklął gorzko. – Önur, ty skończony debilu!

Kilka minut później on i Tromsdorff stali przed furgonetką, która została zaadaptowana na mobilne centrum dowodzenia i jednocześnie wóz łączności ze sztabem kryzysowym w siedzibie głównej Krajowej Policji Kryminalnej przy Columbiadamm. Drzwi z boku samochodu były otwarte. Lautenschläger i Gerlach siedzieli w fotelach przy stoliku z włączonym laptopem i rozmawiali z kimś na ekranie, kto najwyraźniej znajdował się w sztabie kryzysowym. Oboje spojrzeli na Farisa.

– Podkomisarz Iskander jest już po badaniu – wyjaśnił Gerlach, zwracając się do osoby na ekranie, i ustawił komputer w taki sposób, żeby kamera obejmowała również policjanta.

Szczupły mężczyzna w ciemnoniebieskim trzyczęściowym garniturze spoglądał w kamerę, siedząc w sali odpraw. Marvin Andersen, szef departamentu bezpieczeństwa wewnętrznego Krajowej Policji Kryminalnej.

– Witam! – powiedział na widok Iskandera i skinął głową. – Jak się pan czuje? Wszystko w porządku?

– Tak, nic mi nie jest.

Od strony Kurfürstenstrasse nadjeżdżały dwa wozy transmisyjne berlińskiej telewizji. Po chwili się zatrzymały i z jednego wysiadł operator z kamerą, którą szybko umieścił na ramieniu. Obok niego stanęła jakaś dziennikarka i zaczęła testować mikrofon.

– Proszę mówić! – polecił Andersen.

Faris spojrzał ponuro na operatora kamery, po czym opadł ciężko na wolny fotel obok Gerlacha.

Żebra tępy bólem oprotowały gwałtowny ruch, ale nie zwrócił na to uwagi. W możliwie krótkich słowach streścił wszystko, co się wydarzyło w sklepie. Zgodnie z policyjną nomenklaturą nie używał imienia Önura, a mówił o nim jako o porywaczu. Opisał każdy szczegół, jaki odnalazł w pamięci, a pominął jedynie zdanie, które wydawało mu się, że usłyszał, a które teraz z każdą chwilą uważał za wytwór rozdygotanej wyobraźni.

– Zatem mamy do czynienia z zamachem dokonany przez islamskiego ekstremistę – uznał Andersen. – Sprawca działał w pojedynkę?

Faris wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie.

Musiał koniecznie porozmawiać z Samirem. Zamknął oczy i potarł powieki. Przestał dopiero, kiedy poczuł ból.

„Następnym razem to ty uruchomisz detonator”.

To tutaj, pomyślał w nagłym przypiływie zrozumienia, definitywnie zepchnie go w otchłań.

Andersen zadał jakieś pytanie, ale Faris nie usłyszał, czego dotyczyło. Dotarło za to do niego, że Tromsdorff wydaje komuś polecenie. Dopiero kiedy szef zarzucił mu koc na ramiona, zorientował się, że wstrząsają nim dreszcze.

Andersen zamilkł na chwilę, po czym powtórzył pytanie:

– Czy domyśla się pan, dlaczego zamachowiec żądał pana przybycia?

– Nie, nie mam pojęcia. – Chciał dodać coś jeszcze, ale w tym samym momencie jego wzrok padł na niewysoką, energiczną kobietę w prostym kostiumie, która zdecydowanym krokiem szła przez plac w ich kierunku. Miała czarne włosy starannie przycięte na boba, a każdy stukot jej obcasów brzmiał jak wystrzał.

Doktor Anke Geiger, dyrektorka i szefowa departamentu pierwszego. Dla Farisa najwyższa przełożona w całej Krajowej Policji Kryminalnej.

Westchnął.

– Weź się w garść – syknął Tromsdorff tuż przedtem, zanim doktor Geiger zatrzymała się obok samochodu.

Kobieta odsunęła szefa WPR-u na bok, żeby nikt nie stał między nią a wnętrzem mobilnego centrum dowodzenia, i oskarżycielsko wycelowała palcem wskazującym w Farisa.

– Znowu pan.

Policjant poczuł przypiływ czarnego humoru.

– Tak – potwierdził. – Pomyślałem, że już dość długo nie wylatywałem w powietrze.

Jego sarkazm spłynął po doktor Geiger jak woda po kaczce.

– Tego się właśnie spodziewałam. Jeśli w Berlinie wybuchają bomby, pan będzie gdzieś w pobliżu!

– Anke – zaczął Tromsdorff. – Słuchaj, może...

Jednak ona go zignorowała i spojrzała na Gerlacha.

– Proszę raportować!

Mężczyzna bez zająknięcia zaczął zdawać relację z wydarzeń. Kiedy skończył, kobieta znów przeniosła wzrok na Farisa. Policjant poczuł, jak kielkuje w nim złość. Dlaczego ta jędza nie siedzi w sztabie kryzysowym, gdzie jest jej miejsce? Miał wielką ochotę zadać jej to pytanie. I był wściekły na siebie. Ile to razy przysięgał sobie w duchu, że już nigdy nie da jej się sprowokować? Że będzie ignorował jej zachowania?

– Czy już ustaliliśmy, kim był zamachowiec? – zapytała Geiger, rozglądając się po zebranych.

– Nie – odparł Andersen. Wydawał się zdenerwowany nagłym pojawieniem się Geiger, jednak zachował profesjonalizm i w żaden sposób tego nie okazywał. Tylko cienka zmarszczka między nosem a ustami pogłębiła się nieco, zdradzając jego stan. – Teraz...

– Wiemy, kim był zamachowiec – przerwał mu Faris, skupiając na sobie spojrzenia wszystkich.

Policjant popatrzył na dłonie. Otarcia doskwierały mu coraz mocniej.

– Nazywa się... nazywał się Önur Aydin. Miał dziewiętnaście lat, pochodzenie niemiecko-

tureckie, Neukölln.

Geiger z niedowierzaniem uniosła starannie pomalowane powieki.

– Chce pan powiedzieć... że pan go znał?

– Tak jest. – Faris przeniósł wzrok na Tromsdorffa. – Mój szwagier Samir jest pedagogiem socjalnym. W Kreuzbergu prowadzi Interkulturowe Centrum Dialogu Między Religiami.

– O, proszę, znam tę organizację – wtrącił się Andersen. – Promują tolerancję, a ich działalność jest wspierana przez miasto, prawda?

– Zgadza się – potaknął Faris. – Od czasu do czasu prowadzę tam wykłady i warsztaty. Zazwyczaj dotyczą kariery w strukturach policji. – Zanim Geiger zdążyła zadać pytanie, które miała już na końcu języka, dodał: – Cała moja działalność w ramach tego centrum była oczywiście uzgodniona z przełożonym, włącznie z jej zakresem i przekazywanymi treściami. – Poczekał, aż Tromsdorff potwierdzi jego słowa skinieniem, po czym mówił dalej: – W czasie jednej z takich okazji poznałem Önura.

– Porywacza i zamachowca – poprawiła go Geiger.

Faris ją zignorował.

– Później spotkałem go kilka razy. – Przypomniawszy sobie ojca Önura. Ktoś będzie musiał teraz pojechać do niego i do jego żony, żeby przekazać wiadomość o śmierci chłopaka. I że nie zostało z niego nic, co mogliby pochować w zgodzie z muzułmańską tradycją...

Opatulił się szczerzej kocem.

– Przy czym muszę zaznaczyć, że nigdy nie odniosłem wrażenia, żeby Önur szukał drogi.

– Porywacz i zamachowiec – poprawiła go Geiger ponownie.

Faris zmarszczył brwi.

– Önur – powiedział z naciskiem i wytrzymał jej nieprzychylny wzrok. – Önur pochodził z mieszczańskiej rodziny, był drugim pokoleniem emigracji. Jego rodzice, jeśli dobrze pamiętam, nie są religijni. Z jakiegoś powodu musiał wpaść w szpony ekstremistów.

– Czy wiesz może, z kim sympatyzował? – zapytał Gerlach.

Faris rozłożył dłonie.

– Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że kiedyś słyszałem, jak mówił o tym konwercyście Bemmem.

Twarze wszystkich momentalnie spochmurniały, bo nie było nikogo, kto by nie znał tego nazwiska. Martin Bemme był Niemcem, konwertytą, który przeszedł na islam i z biegiem czasu się zradykalizował. Prowadził stronę internetową, przez którą propagował ekstremistyczne treści, a swoimi wykładami i przemowami wywoływał niepokoje w samym Berlinie i całym kraju.

– Bemmego i tak mamy od dawna na liście – zauważył Gerlach. – Trzeba będzie zadać mu kilka pytań, może się dowiemy, co pchnęło Önura do takiego kroku.

– Mój szwagier na pewno będzie mógł nam pomóc – mruknął Faris, czując jednocześnie, jak wypełniają go bezradność i żal tak mocne, że aż boli serce.

– Pan czuje do niego sympatię! – Z zamyślenia wyrwały go słowa Geiger.

– Słucham?

– Pan go lubił – powtórzyła. – Tego zamachowca. Darzył go pan sympatią.

Zagotował się ze złości, ale nie stracił panowania nad sobą. Geiger nie mogła go znieść i nauczyła się z tym żyć. Nie potrafił jednak przejść do porządku dziennego nad tym, że stale szukała możliwości, żeby się go pozbyć i zamknąć WPR.

– Tak – potwierdził. – Widzi w tym pani jakiś problem?

– Nie wiemy jeszcze, dlaczego wezwał akurat pana – zauważyła cierpko.

Jej słowa sprawiły, że w głowie Farisa pojawiła się myśl, której w ogóle się nie spodziewał.

– To nie on mnie wezwał – wymyśliło mu się, zanim zdążył ugryźć się w język.

– Słucham? Co ma pan na myśli? – Andersen z wrażenia pochylił się nad stolikiem.

Faris zakrył usta i nos dłonią i przez chwilę się zastanawiał.

„Co ty tu robisz?” – Takie pytanie zadał mu Önur, kiedy zobaczył, jak wchodzi do sklepu.

Już wtedy go to zaskoczyło, ale dopiero teraz pojął możliwe znaczenie jego słów.

– To nie on dzwonił i nie on chciał mnie w środku – powtórzył. – Był zdziwiony, kiedy przed nim stanąłem.

– A to oznacza... – zaczęła Geiger, lecz on wszedł jej w słowo.

– Mamy nagranie z pierwszej rozmowy z domniemanym porywaczem? – zapytał.

Gerlach potaknął. Kliknął kilka razy w *touchpad* swojego komputera i zmniejszył okienko, w którym było widać Andersena. Kilka sekund później pojawił się ekran logowania do wewnętrznego systemu policji. Podał swoje dane, numer sprawy i od razu przeszedł do zakładki z plikami audio.

– Policja Kryminalna Berlin, w czym mogę pomóc? – Z głośniczków komputera popłynął kobiecy głos.

– „I zabijajcie ich, gdziekolwiek ich spotkacie, i wypędzajcie ich, skąd oni was wypędzili! Prześladowanie jest gorsze niż zabicie”. – Głos jakiegoś mężczyzny. Faris miał wrażenie, że gdzieś już go słyszał.

Wyprostował się.

– To nie jest Önur. Na sto procent to nie on – podkreślił. Mieli zatem do czynienia z dwoma sprawcami. Niech to szlag! Faris zacisnął powieki i skupił się na słowach dzwoniącego. – „Gdziekolwiek oni będą walczyć przeciw wam, zabijajcie ich! Taka jest odplata niewiernym!”^[1].

– Czy mógłby pan podać swoje nazwisko? – poprosiła kobieta z linii alarmowej. W jej głosie słychać było napięcie, jednak zachowywała się wyjątkowo profesjonalnie.

Dzwoniący zignorował jej prośbę.

– Słyszała pani?

– Tak, ale musi mi pan podać swoje nazwisko!

I tym razem nieznajomy ją zignorował.

– Wezwijcie podkomisarza Iskandera. Powiedzcie mu, że ma przyjechać na Breitscheidplatz. Natychmiast! – Chwila przerwy. A potem: – Słyszała pani?!

Kobieta potwierdziła.

– Musi mi pan podać swoje... – zanim dokończyła, rozmówca przerwał połączenie.

– Idiota – mruknęła. Na tym kończyło się nagranie.

– Wtedy jeszcze nie traktowaliśmy tego poważnie. Aż do chwili, kiedy wziął zakładników... – Gerlach uruchomił odtwarzanie kolejnego pliku. Tym razem z głośników popłynął jego głos i słowa, które wypowiedział, zanim Faris wszedł do sklepu.

– Tak? – Ta sama osoba, która zażądała przybycia Farisa.

– Podkomisarz Iskander jest już na miejscu. – Gerlach.

I znów nieznajomy.

– Świetnie. Wyślij go do środka.

Faris zacisnął powieki.

– Głowę bym dał, że już go gdzieś słyszałem! – Przesunął wzrokiem po twarzach pozostałych. Mieli nadzieję, że sobie przypomni, lecz musiał ich rozczarować. – Przykro mi. Nie mam pojęcia gdzie ani kiedy.

– Proszę się wysilić! – zażądała Geiger.

Rzucił jej kpiące spojrzenie.

– O tak, to z całą pewnością pomoże.

Tromsdorff dotknął palcem czubka nosa.

– Ten człowiek z dużą dozą prawdopodobieństwa realizuje jakiś plan, bo w przeciwnym razie nie wzywałby konkretnego funkcjonariusza. Tacy sprawcy najczęściej trzymają się w pobliżu, bo chcą mieć kontrolę nad tym, co się będzie działo. – Powiodł dłonią dookoła. – Faris, myślę, że powinieneś przejrzeć nagrania ze wszystkich okolicznych kamer. Może trafisz na coś albo kogoś, co odświeży ci pamięć.

Zanim Faris cokolwiek mu odpowiedział, Andersen odwrócił się na krześle i wydał polecenie:

– Będziemy potrzebowali nagrań ze wszystkich kamer, jakie znajdują się w okolicy Breitscheidplatz. Zabezpieczyć pliki z miejskiego monitoringu i z prywatnych kamer na sklepach. – Ktoś

mu odpowiedział, jednak nie dało się zrozumieć, co.

– Dobrze – potwierdził Andersen. – Ale pospieszcie się. Nie mamy pojęcia, czy to pojedyncza sprawa, czy początek jakiejś serii i czy niedługo wybuchnie kolejna bomba. – Spojrzał w obiektyw kamery. – Technicy zajmą się zabezpieczeniem nagrań i załadują je nam na nasze serwery. Gdy będą gotowi, będzie pan mógł zacząć je przeglądać. Zgromadzenie filmów z prywatnych źródeł potrwa nieco dłużej.

– Świetnie. – Geiger stuknęła dłonią w karoserię furgonetki. – Niech pan obejrzy dokładnie wszystkie nagrania i wskaże nam kogoś, kogo moglibyśmy obarczyć odpowiedzialnością za ten chaos. A ja zajmę się mediami.

– I co im powiesz? – zapytał Andersen.

Geiger posłała mu ponure spojrzenie.

– Na pewno nie to, że sprawca był dobrym kolegą jednego z naszych funkcjonariuszy – burknęła. Faris pozostawił jej słowa bez komentarza.

ROZDZIAŁ 6

Faris próbował dodzwonić się do Samira, jednak numer szwagra był zajęty. Skupił się więc na oglądaniu nagrań monitoringu zapisanych między dziewiątą dwadzieścia a dziewiątą czterdzieści pięć. Rozmazany obraz na monitorze komputera wywoływał frustrację.

Ledwie Gerlach i Lautenschläger wysiedli, do busa mobilnego centrum dowodzenia wsiadł Tromsdorff i nachylił się nad stolikiem, żeby również obejrzyć nagrania.

– Wiesz, co mnie zastanawia? – zaczął, przyglądając się grupie nastolatków nagranych przez kamerę.

– No? – Faris nie odrywał wzroku od monitora.

– Dlaczego temu gościowi zależało, żebyś to był akurat ty? Może chciał w ten sposób coś zademonstrować?

– Niby co? – Na ekranie pojawiły się dwie młode kobiety z wózkiem. Rozmawiały i śmiały się z czegoś.

Tromsdorff zmarszczył usta.

– Pojęcia nie mam! Może chciał po prostu wykorzystać to, że jesteś sławny.

– Nie jestem sławny – powiedział Faris i zatrzymał odtwarzanie, kiedy na monitorze pojawił się otyły mężczyzna. Powiększył fragment z jego twarzą. Obraz wciąż był rozmazany, jednak dość wyraźny, żeby zauważyć, że się pomylił. Z początku wydał mu się znajomy, ale po namyśle stwierdził, że nigdy wcześniej go nie widział. Ponownie uruchomił odtwarzanie.

– Po tym, jak dopadłeś zamachowca w czasie Ekumenicznych Dni Kościoła, byłeś sławny. Przynajmniej przez jakiś czas. Może sprawcy chcieli przekazać za twoim pośrednictwem jakiś manifest.

– Tromsdorff oparł się wygodniej i założył ramiona na piersi. – Choć równie dobrze mogło im zależeć na wywołaniu jak największego zamieszania.

– Nie sądzisz, że do tego wystarczyłaby bomba na jednym z centralnych placów miasta?

Faris powiększył twarz kolejnej osoby. Wciąż jeszcze rozmyślał nad zdaniem, które, był przekonany, usłyszał tuż przed wybuchem. Jeśli się nie pomylił i Önur rzeczywiście wypowiedział te słowa, bomba i zakładniczki to dopiero początek. To mogłoby również oznaczać, że Tromsdorff miał rację, przyjmując wersję o manifeście. Pytanie tylko, czego miałyby dotyczyć.

Przypomniał sobie słowa, jakimi powitała go Geiger: „To znowu pan!”.

Naraz zebrało mu się na złośliwy śmiech.

– Może lepiej pójdę się przebrać – zażartował. – Tak chyba będzie bezpieczniej dla Berlina.

Szef spojrział na niego z wyrzutem. Na ekranie komputera pojawiła się grupka uczennic w zbyt lekkich strojach jak na tę porę roku.

Po raz któryś z kolei Faris sięgnął po telefon i wybrał numer szwagra. Zajęty. Znow. Domyślał się, że rozmawiają z nim akurat koledzy z departamentu piątego.

Westchnął i wrócił do przeglądania nagrań. Obawiał się, że czeka go jeszcze kilka godzin wpatrywania się w ekran.

*

Godzinę później miał wrażenie, że obejrzał twarze połowy berlińczyków. Przerwał, kiedy Tromsdorff wysiadł, żeby pójść po kawę. Ku jego uldze, tępy ucisk, który odczuwał zaraz po eksplozji, wreszcie zelżał. Po raz kolejny przesłuchał obydwa nagrania, lecz nic się nie zmieniło i ponownie doszedł do tych samych wniosków: czuł, że zna głos dzwoniącego, lecz za żadne skarby świata nie mógł sobie przypomnieć skąd.

Poirytowany opadł na oparcie. Przez cały czas w jego podświadomości czaiło się wspomnienie Laury i jej zwłok w hotelu. Teraz, kiedy zrobił sobie przerwę i chciał odpocząć, oczyma wyobraźni ujrzał jej twarz zniekształconą grymasem przedśmiertnej walki. Nie mógł się pozbyć tego obrazu, jakby ktoś wypalił go kwasem w jego mózgu.

Przez chwilę się zastanawiał, czy nie zadzwonić do Rühmanna, jednak uznał, że to nie jest dobry pomysł. Gdyby pojawiły się jakieś ważne ustalenia, ktoś na pewno by go powiadomił.

Faris ściągnął sznurki kaptura. Wciąż jeszcze miał na sobie strój do biegania. Niespodziewanie ogarnęło go przemożne pragnienie, żeby wziąć prysznic. Westchnął ciężko, sięgnął po telefon i wybrał numer Bena Schneidera z laboratorium kryminalistycznego.

Technik odebrał połączenie, zanim przebrzmiał pierwszy sygnał.

– Cześć, Faris! Jak się czujesz? Dajesz radę?

– Jako tako. – Potrafił docenić takt Bena i to, że nie drażył tematu jego samopoczucia. – Masz już jakieś informacje na temat dzwoniącego?

– Wciąż szukamy – zaprzeczył Ben. – Już naprawdę najwyższy czas, żeby w końcu uruchomili automatyczne porównywanie głosu!

Od kiedy akta spraw prowadzonych przez Krajową Policję Kryminalną w Berlinie archiwizowano również w formie plików dźwiękowych i filmów, a nie, jak dawniej, wyłącznie pisemnych raportów, coraz częściej było słyhać o potrzebie stworzenia oprogramowania do automatycznego porównywania próbek głosów i twarzy z nagrań dołączonych do akt różnych spraw. Dzięki temu istniała szansa, żeby znaleźć powiązania, na które śledczy sami nigdy by nie wpadli. Na razie projekt utknął w Senacie Berlina ze względu na wątpliwości dotyczące ochrony danych osobowych.

– Jakie założenia przyjęliście przy analizie? – zapytał Faris.

– W tej chwili koncentrujemy się na sprawach, w których sprawcy wywodzili się ze środowiska islamistów.

– Na pierwszy ogień weźcie lepiej sprawy, z którymi ja miałem do czynienia – poprosił. – Jestem pewny, że skądś znam głos tego gościa!

Słyszał, że Ben pisze coś szybko na klawiaturze.

– Zajmę się tym. Jak tylko na coś trafię, dam ci znać.

Bez pożegnania zakończył połączenie.

– Trzymaj się – mruknął Faris i opuścił dłoń z telefonem.

– I co? Nadal nic? – Tromsdorff wsiadł do furgonetki. Przyniósł dwa kubki kawy i postawił je na stoliku. Jego marynarka była miejscami ciemna od deszczu.

Faris wzruszył ramionami.

– Nic. Nie wiesz może, czy ktoś już rozmawiał z moim szwagrem? – Zadając pytanie, ponownie wybrał numer Samira.

Tromsdorff potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia.

Faris znów usłyszał krótki sygnał. Zajęte. Odłożył telefon. Przez kilka chwil w aucie panowała cisza.

– Jakiś pomysł, skąd mógłbyś znać ten głos? – Tromsdorff w końcu przerwał milczenie.

Tym razem to Faris zaprzeczył ruchem głowy.

Szef WPR-u sięgnął po kubek, zdjął plastikowe wieczko i upił łyk.

– Rozmawiałem z Rühmannem. Mają kilka interesujących tropów. Powiedziałem, że mogą do ciebie dzwonić, gdyby mieli jakieś pytania.

Faris siłą woli przepędził obraz ciała Laury, który pojawił się wywołany słowami szefa. Znowu rozboleła go głowa i uświadomił sobie, że nie wspomniał kolegom, że poprzedniego wieczoru był u Laury w hotelu. Sięgnął po telefon, na liście kontaktów znalazł numer do Rühmanna, lecz nie zdążył jeszcze zadzwonić, bo na ekranie pojawiło się imię „Samir”.

Szwagier. Faris usiadł prosto.

– Samir! – odebrał. – Próbowałem...

– Już wiem – przerwał mu mąż Anisah. – Chodzi o Önura. Niech to cholera, Faris. Nawet nie wiem, co powiedzieć.

„No to jest nas dwóch” – pomyślał policjant.

– Czy ktoś już z tobą rozmawiał o Önurze? – zapytał.

– Tak.

To dobrze.

Faris potarł palcami powieki. Był wyczerpany.

Samir prychnął z niedowierzaniem.

– Naprawdę to wszystko, co masz mi do powiedzenia?

Policjant nie do końca rozumiał, o co mu chodzi.

– Co masz na myśli?

– Co mam na myśli? Właśnie skończyłem rozmawiać z twoimi kolegami. Powiedzieli, że cudem przeżyłeś wybuch kolejnej bomby! Zadzwoń, żeby zapytać, jak się czujesz.

Faris usłyszał w jego słowach niewypowiedziany wyrzut i pretensje, że nie dał znać.

– Nic mi nie jest – powiedział i nawet nie próbował wyjaśnić, że starał się do niego dodzwonić.

Prawdę mówiąc, słowa szwagra go zawstydzily, bo rzeczywiście ani przez chwilę nie pomyślał o rodzinie. – Wszystko w porządku.

– Chwała Allahowi – westchnął Samir z ulgą.

Siostra Farisa, Anisah, była żoną Samira. Policjant nie dogadywał się ze swoim szwagrem, bo w każdej kłótni między nimi brał stronę siostry. Szczególnie ostatnio sytuacja była mocno napięta, bo Anisah, z wykształcenia przedszkolanka, znalazła niedawno pracę w ewangelickiej placówce. Samir przez dłuższy czas próbował ją nakłonić, żeby szukała dalej. Kobieta jednak postawiła na swoim, a Faris, który darzył siostrę ogromną sympatią za to, że była buntowniczką podobnie jak on sam, pokochał ją jeszcze bardziej.

Przemilczał złośliwą uwagę, którą miał na końcu języka. Naraz uświadomił sobie, że pogrążony w myślach nie słuchał, co mówił Samir.

– Rodzice nie mają pojęcia, że znowu omal nie wyleciałeś w powietrze. Powinieneś do nich zadzwonić i uspokoić, że nic ci nie jest. I to szybko, zanim dowiedzą się z telewizji, a mama dostanie zawału.

Faris skinął głową i poczuł jeszcze większe wyrzuty sumienia.

– Pewnie, zaraz dzwonię. Dasz znać Anisah?

– Oczywiście. – Napięcie między nim a Samirem było wyczuwalne nawet przez telefon.

Cieszył się, że ktoś już rozmawiał z jego szwagrem i pytał o Önura, dzięki czemu sam nie musiał tego robić.

– Dzięki – powiedział chłodnym tonem, pożegnał się i zakończył połączenie.

Westchnął ciężko.

– Rodzina? – zgał Tromsdorff, który w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

– Tak, szwagier. Wybacz, muszę szybko zadzwonić do rodziców i dać im znać, że nic mi nie jest.

Wysiadł z furgonetki i odszedł kilka kroków, chcąc porozmawiać w spokoju.

Ojciec odebrał po trzecim sygnale.

– Iskander, słucham.

– *Baba*, to ja.

– Faris, synku. – W głosie ojca usłyszał radość. – Cudownie, że dzwonisz!

Najwyraźniej nie miał jeszcze pojęcia, co się wydarzyło. Nie było w tym nic dziwnego, bo jego rodzice rzadko włączali telewizor w ciągu dnia. Mieli wprawdzie komputer podłączony do Internetu, lecz nie korzystali z niego, żeby przeglądać najświeższe wiadomości. Ojciec Farisa codziennie czytał gazety i twierdził, że nie potrzebuje Internetu, żeby wiedzieć, co się dzieje.

– Znowu był zamach, *baba* – zaczął Faris ostrożnie.

Ojciec ze świstem nabrał powietrza.

– Byłeś przy tym? Jesteś cały?

– Tak. – Policjant odruchowo przycisnął dłoń do obolałych żeber. – To znaczy tak, byłem na miejscu, kiedy to się stało, ale nic mi nie jest.

– Od dawna ci powtarzam, że ta praca kiedyś wpędzi cię do grobu! Gdybyś poszedł na studia jak twoi bracia, to...

– *Baba!* – przerwał mu, choć wiedział, że ojciec uzna to za bezczelność. – Nie mogę teraz

rozmawiać. Muszę wracać do pracy i zająć się tym wybuchem. Daj, proszę, znać mamie, że wszystko jest okej. Nie chcę, żeby się o mnie martwiła.

– Matka i tak bezustannie się o ciebie boi.

Faris zbył milczeniem również ten wyrzut.

– Wiem, *baba*. Ucałuj ją, proszę, ode mnie. *As-salamu alaikum*.

Zakończył połączenie i przez kilka sekund stał bez ruchu.

– Problemy rodzinne? – zapytał Tromsdorff, kiedy Faris wrócił do mobilnego centrum dowodzenia i usiadł ciężko w fotelu.

– Nie, to samo, co zawsze. – Potrząsnął głową. – Martwią się o mnie.

Tromsdorff wyrzwał na zewnątrz, na gapiów zgromadzonych za barierkami, które otaczały części placu.

– Cóż – mruknął. – To chyba zrozumiałe. Może powinieneś wrócić do domu i...

Nie dokończył, bo telefon podwładnego znów zaczął dzwonić. Tym razem nie był to żaden z członków rodziny Farisa, lecz dyżurny z centrali na Keithstraße.

– Ktoś chce z panem rozmawiać – wyjaśnił funkcjonariusz. W jego głosie słychać było napięcie.

Faris poprosił, żeby go połączył.

– Iskander – zgłosił się.

– Witam, witam. Miło, że w końcu możemy osobiście porozmawiać. – Głos nieznajomego.

Policjant miał wrażenie, że jakaś niewidzialna siła podrywa go z fotela.

– Kim pan jest? – zapytał ostrożnie.

Tromsdorff uniósł pytająco brwi, na co Faris powiedział bezgłośnie: „Nasz nieznajomy!”.

Szef natychmiast wyjął z kieszeni swój telefon i zadzwonił do Bena.

Mężczyzna po drugiej stronie odpowiedział pytaniem na pytanie Farisa:

– Chyba się nie spodziewasz, że podam wam swoje nazwisko?

Świadomość, że gdzieś już słyszał ten głos, była tak przytłaczająca, że z trudem stłumił jęk. Tylko dlaczego nie mógł sobie przypomnieć, kto to jest?! Nie potrafił znaleźć w pamięci nawet mglistego wspomnienia czy choćby wskazówki, w którym kierunku szukać. Głos nieznajomego nie był szczególnie charakterystyczny, a słowa brzmiały miękko i bez akcentu. Słychać w nim było za to pewność siebie graniczącą z arogancją.

– Prawdę mówiąc nie – przyznał Faris. – Czego pan chce?

Tromsdorff sięgnął po długopis i zapisał coś w notatniku, po czym uniósł kartkę. „Ben i Shannon sprawdzają połączenie” – przeczytał policjant.

Skinął głową. Ben będzie próbował prześledzić, skąd dzwonił nieznajomy. Shannon Starck była współpracowniczką z wydziału WPR i profilerką. Jej zadanie polegało na analizie tego, co i jak mówił dzwoniący, żeby ustalić, jak interpretować każdy szczegół, który mógłby pomóc Farisowi skojarzyć głos z twarzą.

– Önur przekazał ci ode mnie osobistą wiadomość?

Farisowi zrobiło się zimno.

– O czym pan mówi? – zapytał, choć przecież się domyślał.

„Następnym razem to ty uruchomisz detonator”.

– Nie udawaj! Dobrze wiesz, o czym mówię!

Policjant milczał przez kilka sekund. To oznaczało, że Önur rzeczywiście wypowiedział te słowa! Zadrzał. Dzięki mocnemu zaciskaniu pięści udało mu się opanować.

– Dobrze. To co teraz? – Przy każdym głębszym oddechu bolały go zębra.

– Co teraz? Skończ może marnować czas na bezsensowne oglądanie nagrań i przygotuj się, żeby spełnić moje żądania.

Faris odruchowo poderwał wzrok i się rozejrzył. Skąd nieznajomy wiedział, co akurat robił?

Obserwował go?

Był gdzieś blisko?

Przyciskając telefon do ucha, Faris wyskoczył z samochodu. Gorączkowo przyglądał się

twarzom ludzi za barierkami. Nagle jego uwagę przyciągnął zwalisty chłopak, który stał oparty nogą o deskorolkę i z komórką przy uchu spoglądał w jego stronę.

Przez ułamek sekundy mierzyli się wzrokiem. Nastolatek uśmiechnął się i skinął głową.

– On tu jest! – krzyknął Faris przez ramię i rzucił się biegiem.

Skater odwrócił się gwałtownie i zaczął przepychać się przez tłum. Policjant był kilkadziesiąt metrów za nim, jednak nagły wysiłek sprawił, że zakręciło mu się w głowie i na kilka sekund stracił go z oczu. Po chwili wziął się w garść i podjął pościg. Poobijane zebra sprawiały mu taki ból, że z trudem oddychał. Przebiegł jeszcze sprintem Budapester Straße, lecz na więcej nie starczyło mu sił.

– Nastolatek w bombierce! – krzyknął w stronę umundurowanych funkcjonariuszy. – Na deskorolce! Nie pozwólcie mu uciec!

Puścił ich przodem. Widział, jak chłopak okrąża tłum i pędzi w kierunku Dworca Zoo.

Nagle rozległo się głośnie trąbienie. Dopadł chodnika, o centymetry mijając furgonetkę, której kierowca nawet nie próbował hamować.

– Pieprzony dupek! – krzyknął w jego stronę. Wszystko widział jak przez gęstą mgłę, a każdy oddech wywoływał bolesne skurcze klatki piersiowej.

Nastolatek zdążył dojechać na deskorolce na drugą stronę budynku dworca. Z impetem napał na drzwi i wsunął się do środka. Niespodziewanie drogę zagroziła mu grupka dzieci. Jeden z goniących go policjantów wykorzystał okazję, złapał chłopaka za ramię i silnym szarpnięciem rzucił na ziemię.

– Nie ruszaj się! – krzyknął groźnie.

Po chwili razem z kolegą chwycili uciekiniera i postawili na nogi. Chłopak próbował się wrywać, lecz szybko stracił ochotę i przestał stawiać opór.

Dopiero teraz Faris uświadomił sobie, że wciąż trzyma w dłoni komórkę. Kiedy uniósł ją do ucha, nic nie usłyszał. Nieznajomy się rozłączył. Wsunął telefon do kieszeni i podszedł do policjantów, którzy prowadzili nastolatka.

– Dzięki – wydusił z siebie. Każdy oddech kosztował go wiele wysiłku. Spojrzał na zatrzymanego chłopaka, lecz zanim zdążył się do niego odezwać, usłyszał:

– Zrobiłem tylko to, co ten facet mi kazał!

ROZDZIAŁ 7

– Zrobiłem tylko to, co ten facet mi kazał – mruknął chłopak, spoglądając na splecione dłonie, które oparł na stoliku przed sobą. On, Tromsdorff i Faris siedzieli w furgonetce mobilnego centrum dowodzenia, w której jeszcze przed chwilą oglądali nagrania z kamer monitoringu.

– Spokojnie, to już wiemy. – Faris spojrział na paznokcie nastolatka. Były krótko obgryzione, jak paznokcie Önura. Przełknął ciężko ślinę, zanim znów się odezwał. – Może najpierw nam powiesz, jak się nazywasz? – zapytał tak spokojnie, jak tylko potrafił.

Chłopak nie mógł się pogodzić z myślą, że został złapany. Był blady i drżała mu dolna warga, jakby zaraz miał zacząć płakać. Na szczęście zdołał się opanować.

– Justin Heuer – przedstawił się w miarę zrozumiale.

– Świetnie, Justin. – Tromsdorff potaknął. – A teraz opowiedz nam, proszę, po kolei, co się wydarzyło. Kto cię zagadnął? I co miałeś dla niego zrobić?

– To był jakiś facet. – Kiedy chłopak mówił, jego krtań niemal się nie poruszała. – Podeszedł i dał mi pięćdziesiąt eurasów, żebym tam stanął i udawał, że telefonuję.

– Pięćdziesiąt euro? – upewnił się Tromsdorff. – Tylko za to?

Justin otarł kciukiem kącik ust.

– No tak. Chciał, żebym przy tym patrzył w pana stronę. Powiedział, że mam na pana patrzeć tak ponuro, jak tylko potrafię. Nie chciałem, ale mówił, że to dla żartu, bo jest pana znajomym.

Jest moim znajomym!

Faris zaczął palcami masować skronie. Znajomy. Ktoś, kto go zna. Kogo on zna. Ten głos... Ból wciąż przybierał na sile.

Tromsdorff spojrział w jego kierunku, po czym zwrócił się do Justina:

– A ty pomyślałeś, że pięć dych piechotą nie chodzi, tak?

Chłopak pociągnął nosem. Znów drżała mu broda.

– Przecież pociągnął nosem nic nie zrobiłem! – krzyknął.

Potem się zgarbił, jakby przypomniał sobie o czymś nieprzyjemnym. Przestraszony spojrział na policjanta.

– Mogę zatrzymać kasę?

Tromsdorff uśmiechnął się smutno.

– Obawiam się, że nie. Człowiek, który przekazał ci ten banknot, najprawdopodobniej jest przestępcą, dlatego będziemy musieli go zbadać.

Justin nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, jednak posłusznie potaknął, wydobyl z kieszeni pojedynczy banknot i rzucił go na blat. Już pierwszy rzut oka na zgnieciony papierek wystarczył Farisowi, żeby stracić nadzieję, że uda się zabezpieczyć na nim przydatne ślady. Na takich banknotach można było znaleźć kilkadziesiąt różnych odcisków palców i tylko w wyjątkowo rzadkich przypadkach zdarzało się je potem wykorzystać w śledztwie.

– Zechciałbyś opisać nam tego człowieka? – poprosił.

Justin wzruszył ramionami. Po chwili znów pociągnął nosem. Faris walczył z myślą, czy nie podać mu chusteczki.

– Blondyn. Tak mi się wydaje. – Chłopak się zastanowił. – Ale może trochę szatyn. – Skrzywił się, jakby myślenie sprawiało mu ból. – Tak, raczej szatyn. Z taką dziwną brodą. Wysoki. Pana wzrostu. – Wskazał na Tromsdorffa. Potem uśmiechnął się bezradnie. W dolnej szczęce, po prawej stronie, nie miał zęba. – Sorry. Nic więcej nie pamiętam.

– Widziałeś tylko kasę, co? – W tonie Tromsdorffa próżno by szukać pretensji, choć Faris, który go dobrze znał, widział, że jest zdenerwowany.

Chłopak potaknął zdecydowanie.

„Niebiosa” – pomyślał Faris. „Bystry jak woda w klozecie”.

– Wspomniałeś wcześniej, że ten człowiek miał dziwną brodę – zapytał. – Dziwną czyli jaką?

– Dziwną po prostu. Gęstą. I długą. Sam nie wiem... Była taka... zanedbana. – Justin się

zastanowił. A potem na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, bo coś mu przyszło do głowy. – Wyglądała trochę jak brody islamistów.

– Aha. Islamistów. – Mówiąc to, Faris odwrócił głowę i przesunął wzrokiem po twarzach gapiów, którzy wciąż nie przejawiali zamiaru rozejścia się. Nagle przypomniał sobie mężczyznę z brodą, którego wcześniej tam widział. – Sprawca był na miejscu, nie mam wątpliwości – mruknął.

Tromsdorff polecił jednemu z umundurowanych policjantów przekazać rozkaz, żeby wszyscy rozglądali się w poszukiwaniu brodatych mężczyzn. Kiedy skończył, chciał wysiąść.

– Bierzymy cię na komendę – zwrócił się do chłopaka.

Na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia.

– Nic się nie bój! – Tromsdorff chwycił go za łokieć i pomógł wysiąść z furgonetki. – Nie jesteś zatrzymany. Potrzebujemy twoich zeznań w charakterze świadka.

– Ale przecież powiedziałem wam wszystko, co wiem!

– Na komendzie mamy specjalnie przygotowanych funkcjonariuszy. Pomogą ci przypomnieć sobie konkretne szczegóły i na podstawie twoich słów stworzą portret pamięciowy zamachowca.

Justin wyraźnie walczył ze sobą, jednak końcówka ostatniego zdania sprawiła, że na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Ale ekstra! Zawsze chciałem coś takiego zrobić! – Odruchowo spojrzął tęsknie w stronę banknotu i przez chwilę w jego oczach widać było żal. Szybko się rozpromienił. – To co, idziemy?

Faris walczył z napływającymi mdłościami. I kiedy Tromsdorff przekazywał chłopaka pod opiekę jednego z funkcjonariuszy, odchylił głowę na oparcie fotela i zamknął oczy. Wiedział, że powinien zaraz zadzwonić do Bena i Shannon, żeby ich uprzedzić i omówić z nimi strategię. Oboje słyszeli nagranie rozmowy z nieznanym i pracowali już nad stworzeniem jego profilu. Ben z całą pewnością zrobi wszystko, żeby zlokalizować jego telefon. Faris czuł, że ten śmieć jest gdzieś w pobliżu. I nie potrzebował do tego lokalizacji komórki.

Przyłożył dłonie do zbitych żeber i starał się oddychać płytko. Nic mu to jednak nie dało, więc odetchnął tak głęboko, jak tylko mógł. Na chwilę pociemniało mu przed oczyma.

Dopiero przy drugim sygnale zorientował się, że ktoś do niego dzwoni.

– Dopadliście Justina czy udało mu się zwać? – Nieznajomy zaczął tonem, jakim rozmawia się z dobrym kolegą.

Faris prychnął. Przesunął wzrokiem po twarzach gapiów. Tłum zaczął się przeredzać.

– Domyślasz się, jak namówiłem Justina, żeby udawał, że telefonuje? – zapytał dzwoniący.

– Zapłacił mu pan.

– No właśnie. Pieniądze to jeden ze sposobów, żeby ludzie robili to, czego się od nich chce, prawda?

Faris darował sobie kąśliwą uwagę.

– Önurowi pan nie zapłacił za uruchomienie detonatora – mruknął.

– Uruchomienie detonatora... – zauważył nieznajomy kpiąco. – Jak to neutralnie ująłeś! Mam jednak wrażenie, że Önur przekazał wiadomość ode mnie. Choć ostatnio nie chciałeś mi odpowiedzieć na pytanie, czy to zrobił.

– Może pan pytać do woli.

– To chyba już nie będzie konieczne. – Nieznajomy się zaśmiał.

Faris zazgrzytał zębami. Miał wrażenie, że ziemia się pod nim kołysze. Czy to możliwe, żeby efekty miesięcy terapii w jednej chwili rozsypały się w pył?

„To nie ty uruchomiłeś detonator!” – usłyszał w myślach głos Paula.

– Wiesz, co mnie tak naprawdę interesuje? – zapytał nieznajomy rozbawionym tonem. Faris miał wielką ochotę zacisnąć mu palce na szyi i nie puszczać. – Jak się czujesz, będąc znów w takiej samej sytuacji?

– O czym pan mówi?

– No wiesz, jakiś szaleniec wydaje ci rozkazy przez telefon, a ty biegasz i je wykonujesz.

Tromsdorff wrócił i natychmiast zauważył, że coś jest nie tak. Stał w drzwiach furgonetki

i popatrzył pytająco.

Faris spojrział mu w oczy i odpowiedział rozmówcy:

– Chce pan powiedzieć, że uważa się pan za szaleńca?

– Chyba nie oczekujesz, że ci odpowiem, co?

Policjant uniósł wolną dłoń, po czym palcem wskazującym i kciukiem zaczął masować nasadę nosa.

– Czego. Pan. Ode mnie. Chce? – wycedził.

Odpowiedź nieznanego sprawiła, że w jego wnętrzu obudziło się coś, co, jak sądził, było pogrzebane na zawsze.

– Detonator kolejnej bomby uruchomisz właśnie ty. Faris Iskander. Ty wysadzisz kolejną bombę.

Faris poczuł w ustach słodkawy, miedziany smak. Z trudem przełknął ślinę.

– Jak chce mnie pan do tego zmusić?

Dzwoniący zanucił kilka taktów jakiejś melodii. Policjant pomyślał, że gdzieś już ją słyszał.

– Cóż. – Nieznajomy nabrał głęboko powietrza. – Pewnie nie będzie tak łatwo jak z Önurem. Ale spokojna głowa. Znajdę sposób.

NIEZNAJOMY

Prosta melodia, którą mimowolnie zanucił, wciąż rozbrzmiewała echem w jego głowie. Przywołała też wspomnienia, od których zrobiło mu się niedobrze.

– Nie! Błagam! – usłyszał jęk matki. Skulił się przytłoczony nawałem powracających obrazów, lecz nic nie mógł poradzić na to, że jej błagania utonęły po chwili w rytmicznym poskrzypywaniu łóżka. Nie było ono szczególnie głośne, lecz wystarczyło, żeby zagłuszyć płacz matki...

Weź się w garść!

Odetchnął głęboko, choć domyślał się, że Iskander może to usłyszeć. To nie był czas na okazywanie słabości. Siłą woli wyparł niechciane obrazy i dźwięki z głowy. Musiał nauczyć się trzymać emocje na wodzy, żeby zachować trzeźwe spojrzenie i działać zgodnie z planem. Chłodno i metodycznie. Tylko w ten sposób zachowa przewagę w zabawie, tylko tak zostanie zwycięzcą. Tylko tak zniszczy wrogów.

– Cóż – powiedział. – Pewnie nie będzie tak łatwo jak z Önurem. Ale spokojna głowa. Znajdę sposób.

„Poznam twoje najbardziej pierwotne obawy i je wykorzystam” – dodał w myślach.

Miał nadzieję, że Iskander usłyszał jeszcze jego wymuszony śmiech. Chwilę potem zakończył połączenie i się rozejrzał. Wśród gapiów dostrzegł funkcjonariuszy policji. Chodzili i zadawali pytania. Najwyraźniej kogoś szukali. To znak, że czas się oddalić. Ruszył w stronę stacji metra, gdzie ona już na niego czekała, choć nie miała o tym pojęcia.

Anisah Chalid przestępowała niecierpliwie z nogi na nogę. Dlaczego ten cholerny pociąg nie nadjeżdżał? Spojrzała na tablicę informacyjną nad peronem. Jeszcze cztery minuty. To znaczy, że czekała dopiero dwie. Miała wrażenie, że jest tu znacznie dłużej.

Westchnęła. Nerwowo obracała obręczkę zdobioną antycznym, skomplikowanym wzorem, którą nosiła na palcu. Po raz kolejny powtórzyła w myślach podjęte wcześniej postanowienie, że coś musi zmienić w swoim życiu. I to szybko. Nie dalej jak dziś rano Samir jej zarzucił, że sama jest winna temu, że na nic nie ma czasu.

– Gdybyś nie pracowała w tym... przedszkolu, nie musiałabyś się tak wszędzie spieszyć – powiedział.

Chciała zaprotestować i wyjaśnić, że on też przecież chodzi do pracy, więc dlaczego ona nie miałaby prawa robić tego samego? Wiedziała jednak, jaką odpowiedź by usłyszała. I to nie po raz pierwszy.

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego uparłaś się wychowywać obce dzieci, a swoje własne

oddawać niańce!

Wskazówka na tablicy informacyjnej drgnęła. Jeszcze trzy minuty.

Kobieta znów westchnęła. Tak zupełnie szczerze, to Samir miał trochę racji. Od jakiegoś czasu stale była zdenerwowana i zagoniona, przez co cierpiał nie tylko on, ale i w coraz większym stopniu ich dzieci.

Zmełła pod nosem arabskie przekleństwo.

Miała w tej chwili przerwę obiadową, którą tak jak zresztą codziennie chciała wykorzystać na zrobienie zakupów na wieczór. Najprościej byłoby oczywiście pójść do sklepu obok przedszkola, jednak owoce i warzywa zawsze kupowała w konkretnym sklepie, u zaprzyjaźnionego Turka. Żeby tam dojechać, musiała skorzystać z przekłętą metra.

Kamień spadł jej z serca, kiedy pociąg w końcu zatrzymał się na peronie. Razem z resztą podróżnych weszła do wagonu i zadowolona usiadła na wolnym miejscu przy oknie, w kierunku jazdy. Zawsze, kiedy jechała tyłem, robiło jej się niedobrze.

Na miejscu obok niej usiadł ciężko jakiś mężczyzna. Niechcący oparł się o jej ramię.

– Przepraszam! – wymamrotał.

Kątem oka zauważyła, że miał gęstą, zaniedbaną brodę. „Jak jakiś salafita” – pomyślała i odsunęła się od niego tak daleko, że kolanem oparła się o ścianę wagonu. Na peron wbiegła matka z dzieckiem w ramionach, mając nadzieję, że jeszcze zdąży. Niestety. Zanim dopadła wejścia, rozległ się sygnał ostrzegawczy, drzwi zamknęły się jej tuż przed nosem i pociąg odjechał.

Anisah ogarnęło współczucie dla nieznaną kobietę, która z wyrazem rezygnacji i złości na twarzy została na peronie.

Mężczyzna obok nachylił się do teczki, którą wcześniej odstawił na podłogę. Przez chwilę czegoś w niej szukał. W końcu wyjął z niej coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak kosmetyczka.

Pociąg wjechał w zakręt. Siła odśrodkowa pchnęła mężczyznę na Anisah. Kobieta poczuła delikatne uklucie tuż nad łokciem.

– Auć! – krzyknęła odruchowo i zmierzyła współpasażera złym spojrzeniem. Tylko zaraz... co się nagle zaczęło dziać z jej wzrokiem? Twarze nieznanego i innych podróżnych wyglądały tak, jakby przysłoniła je warstwa gęstej mgły.

Zamrugnęła, chcąc odzyskać ostrość widzenia, lecz na próżno. Potarła powieki i zaraz się za to skarciła. „No pięknie” – pomyślała. „Zanim wrócę do pracy, będę musiała poprawić tusz do rzęs. Szlag by to trafił!”

Kręciło się jej w głowie.

Nagle zrobiło jej się strasznie gorąco. Po omacku zaczęła szukać guzików płaszcza, lecz nie mogła ich znaleźć. Ani guzików, ani dłoni, ani reszty ciała. Przez chwilę miała wrażenie, że szybuje w powietrzu.

Serce waliło jej jak oszalałe.

Niezdarnym gestem sięgnęła do dekoltu.

– Spokojnie, wszystko w porządku – powiedział nieznanomy. Jego słowa brzmiały, jakby były nagrane na bardzo starej taśmie magnetofonowej.

Anisah chciała zaprotestować, lecz jej język stał się równie nieposłuszny jak dłonie. Poczowała suchość w ustach.

– Pomogę pani – oznajmił mężczyzna siedzący obok i chwycił ją za rękę.

Nie chciała tego, jednak nie potrafiła się przeciwstawić. Czuła jedynie, że drżą jej palce, gdy zaciskał na nich dłoń. Chciała na niego spojrzeć, ale wszystko dookoła zniknęło za mgłą.

– O właśnie, bardzo dobrze – usłyszała. – Chodźmy już. To nasz przystanek.

Pociąg zwolnił i się zatrzymał.

Kobieta próbowała potrząsnąć głową albo choćby powiedzieć nie. Musi przecież wracać do... Tak naprawdę nie wiedziała już, co musi i dokąd miałyby wracać. Świtało jej, że miała coś do załatwienia, ale nie pamiętała co. Zresztą to chyba bez znaczenia. Jedyne, co się teraz liczyło, to być posłuszną i wykonywać polecenia mężczyzny obok. Wstała i ledwie trzymając się na nogach, wysiadła

z pociągu.

Szumiało jej w uszach. Nagle kolana się pod nią ugięły i poczuła, że się przewraca. W ostatniej chwili ktoś ją przytrzymał.

– Już wszystko dobrze – usłyszała głos nieznanego z pociągu i tym razem mu uwierzyła.

– Moja żona źle się czuje. Zaraz jej przejdzie – usłyszała, jak mówi do kogoś obok. Potem przysunął usta do jej ucha. – Wchodzimy.

Jego ciepły, wilgotny oddech muskał jej skroń. Szła posłusznie obok, a on trzymał ją mocno za ramię.

– Czego ten czubek od ciebie chciał? – Tromsdorff stał w otwartych drzwiach furgonetki i spoglądał podwładnemu w oczy.

Faris domyślał się, jakie wspomnienia pojawiły się w głowie szefa – najpewniej o tym, że pięć miesięcy wcześniej znaleźli się w bardzo podobnej sytuacji: ścigali szaleńca, który traktował ich jak swoje ofiary.

Jak to jest znów znaleźć się w takim położeniu?

Do dupy.

Policjant przesunął otwartą dłoń po ustach, brodzie i szyi. Po chwili zastanowienia wybrał numer do biura, w którym urzędował ich wydział. Odebrał Ben.

– Właśnie rozmawiałem z tym świrem – oznajmił Faris zamiast powitania. Dopiero teraz uświadomił sobie, że niezajomy nie dzwonił przez centralę, tylko bezpośrednio na jego komórkę. – Facet zna mój numer – dodał.

Reakcja Bena była bardzo zwięzła.

– Kurwa.

Faris słyszał, jak Shannon dyskutuje z pozostałymi. Bardzo chciał znaleźć się teraz wśród nich.

– Co powiedział? – zapytał technik.

Policjant włączył tryb głośnomówiący, żeby umożliwić Tromsdorffowi udział w rozmowie, a następnie streścił wymianę zdań z zamachowcem.

Zanim skończył, Robert wyjął długopis z kieszeni koszuli i zaczął się nim nerwowo bawić.

– Rano, tuż po wybuchu, byłem pewien, że się przesłyszałem albo coś sobie ubzdurałem – dokończył. – Tylko dlatego o tym nie wspomniałem. Ale Önur użył zwrotu, który później usłyszałem od tego czubka. – Budzące grozę słowa nie chciały mu przejść przez gardło. – „Następnym razem to ty uruchomisz detonator”.

Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał. W WPR każdy wiedział, jakie znaczenie ma to zdanie dla ich kolegi. Wszyscy znali przecież Paula.

Tromsdorff pierwszy przerwał ciszę. Zakaszłał.

– Chyba rozumiesz, co to oznacza?

Faris nie miał pojęcia, do czego szef zmierza.

– Chyba nie podejrzewasz, że kiedykolwiek mógłbym...

– Oczywiście, że nie! Miałem na myśli tylko to, że kiedy Anke się dowie, wylecisz z hukiem, zanim zdąży się zorientować.

Policjant przypomniał sobie, jakimi słowami przywitała go Geiger.

Znowu pan!

Myśl, że znów mógł wpaść w to samo bagno co pięć miesięcy wcześniej, była bardziej paraliżująca niż ból obitych żeber.

Tym razem to Shannon odezwała się pierwsza. Z głośnika telefonu Farisa popłynął jej energiczny głos.

– Robert, potrzebujemy go w zespole! Bez niego trudno będzie dorwać tego gnoja!

Jak zawsze, kiedy była spięta, słycać było jej amerykański akcent. Przez wiele lat badała w Stanach Zjednoczonych kwestie chrześcijańskiego fundamentalizmu. Tam natknął się na nią Tromsdorff i namówił do dołączenia do wydziału.

Szef rozmasował kark.

– No dobrze – zdecydował w końcu. – Zatrzymajmy lepiej ten szczegół dla siebie, przynajmniej na razie. Shannon, nie zapomnij o nim, kiedy będziesz przygotowywała profil sprawy.

Rozległ się dźwięk, jakby kobieta przekładała jakieś papiery.

– Właśnie coś mi przyszło do głowy. Czy nie powinniśmy wyjść z założenia, że nasz sprawca wie o Paulu i że to on pierwszy wypowiedział to zdanie?

– To chyba oczywiste! – zauważył Ben, jednak Faris pokręcił głową.

– Wcale nie. To mógł być przypadek. Jeśli sprawca wie, jaką odegrałem rolę w tamtej sprawie...

– Musi wiedzieć! Nie ma innej możliwości – mruknął Ben.

– ...może chce mnie wykorzystać jako przykład i ostrzeżenie, coś w rodzaju „wszyscy Arabowie to potencjalni zamachowcy!”. W takiej sytuacji idealnie nadawałbym się do jego planu. Dlatego nie zakładam, że musiał wiedzieć o Paulu.

– Racja! – zgodziła się Shannon. – Jeśli spojrzeć na ostatnie sprawy, Faris idealnie się nadaje do planu tego wariata.

– Mimo wszystko do analizy porównawczej próbek głosu dodam nagrania ze starych spraw Paula – mruknął Ben.

W jego głosie słychać było zniechęcenie, co zupełnie nie dziwiło Farisa. Paul przez wiele lat pracował w Krajowej Policji Kryminalnej. Sprawy, którymi się zajmował, szły w setki, i nawet jeśli do analizy włączyć tylko te akta, które zostały w ostatnich latach zdigitalizowane, materiał porównawczy będzie miał kilkakrotnie większą objętość.

– Hmm... – Tromsdorff pokiwał głową. – Dobrze. Nie mamy więc pewności, czy sprawca inspirował się słowami Paula, ale wiemy, że możliwe są kolejne zamachy...

– Ja nigdy, przenigdy, nie uruchomię bomby, niezależnie...

Szef wydziału uniósł dłoń i gestem mu przerwał.

– Czy w jakikolwiek sposób dał ci do zrozumienia, jakich środków perswazji chce użyć?

– Nie. Powiedział, że mam być spokojny, bo ma swoje sposoby. – Paliło go w gardle, jakby próbował połknąć pogryzione szkło, więc żeby nie stracić panowania nad sobą, skupił się na pracy. – Chyba powinienem teraz pojechać do rodziców Önura i przekazać im wiadomość o śmierci syna.

Tromsdorff potaknął.

– Daj im odsłuchać nagranie z centrali. Może rozpoznają ten głos. – W tym momencie odezwał się jego telefon. – Anke – przywitał się, po czym zasłonił jedno ucho i odszedł kilka kroków od furgonetki.

Po tym, jak trzymał ramiona, Faris potrafił rozpoznać, że jest spięty. Jak zawsze w czasie rozmowy z doktor Geiger.

Niecałe pół minuty później wrócił do busa.

– Szefowa chce, żebyśmy jak najszybciej rozwiązali tę sprawę – oznajmił z ponurą miną.

Faris prychnął kpiąco.

– A to nowość! – burknął, po czym zwrócił się do pozostałych w War Roomie. – Ben?

– No?

– Prześlij mi, proszę, na komórkę nagrania z centrali, okej?

Technik nie odpowiedział, jednak słychać było stukanie w klawisze.

– Już masz.

Faris otworzył skrzynkę mejlową i sprawdził, czy pliki dotarły. Tromsdorff w tym czasie zadzwonił do Marca i dał mu znać, co dalej. Kiedy skończył, spojrzał na swojego podwładnego.

– Pojedzie z tobą. Za godzinę odbierze cię z domu.

– Za godzinę? – Policjant uniósł brwi.

Szef ruchem głowy wskazał na jego przepocone i pokryte pyłem z wybuchu ubranie do biegania.

– Chyba nie miałeś zamiaru odwiedzić w takim stroju kogoś w żałobie po stracie syna.

ROZDZIAŁ 8

Usiadł na miejscu obok kierowcy w radiowozie, którym miał wrócić do domu. Po drodze zadzwoniła Andrea. Odebrał.

– Nic mi nie jest – powiedział.

Umundurowana policjantka, która prowadziła, była nerwowa i wyraźnie czuła się nieswojo. Faris uśmiechnął się do niej, po czym skupił się na ciepłym głosie psycholożki.

– Przed chwilą widziałam cię w telewizji. Chryste, Faris! Byłam pewna, że to się tak... – zamilkła.

– Naprawdę nic ci nie jest?

Faris oparł łokieć o drzwi samochodu i potarł czoło. Ból głowy wrócił ze zdwojoną siłą.

– Naprawdę nic mi nie jest, Andrea – powtórzył.

Przypomniał sobie spotkania w trakcie terapii, którą go objęła. I o tym, że potraktował ją z obojętnością i niechęcią, że obecny był tylko ciałem. Z początku często spierali się nad sensem – lub bezsensem – takich zajęć. Później jednak zdarzyło się coś z pozoru całkowicie niewinnego: zobaczył płaczące dziecko na przystanku autobusowym. Ten widok sprawił, że kilka minut stał bez ruchu i nie mógł nic zrobić. Dopiero wtedy przyznał się przed sobą, że naprawdę potrzebuje pomocy, i otworzył się na terapię.

– Powiedz mi, skąd wiedziałam, że tak będzie? – zapytała Andrea.

– Pewnie dlatego, że znasz mnie lepiej niż ja sam.

– To akurat nie jest szczególnym wyczynem.

Radiowóz zatrzymał się na światłach i po chwili ruszył z wyraźnym szarpnięciem. Kobieta za kierownicą zacisnęła usta.

– Czy to prawda, że byłeś w sklepie, kiedy wybuchła bomba?

Faris przez chwilę szukał takiej odpowiedzi, której Andrea nie przejrzy natychmiast.

– Zdażyłem wyjść. Nic mi się nie stało – skłamał i odruchowo sięgnął dłonią do obolałych żeber.

Psycholożka milczała dość długo. Przypomniał sobie, że w czasie ich spotkań, kiedy nad czymś się zastanawiała, bawiła się długopisem i obracała go w palcach. Ciekawe, czy kiedy zostawiła go samego, wróciła od razu do swojego gabinetu? Pewnie tak. Wyobraził sobie, że siedzi akurat za biurkiem, nogi w drogich jedwabnych pończochach założone są jedna na drugą, rąbek spódnicy kostiumu ledwie zasłania jej kolana.

– Nie pytałam o rany i inne fizyczne uszkodzenia – wyjaśniła. – Przecież doskonale o tym wiesz!

– Andrea, naprawdę nic mi nie jest! – Zmusił się do uśmiechu, licząc na to, że psycholożka wychwyci zmianę w tonie jego głosu. – A w każdym razie nic, czego nie wyleczyłby ciepły prysznic i szklanka burbona. – Było to nawiązanie do amerykańskich kryminałów, które Andrea pasjami czytała, przy czym wiedział, że nienawidziła, kiedy to mówił.

Jak za każdym razem, zareagowała bez humoru.

– Jesteś muzułmaninem – przypomniała mu zrezygnowana. – Nie pijesz alkoholu. – Milczał, więc mówiła dalej: – Dlaczego znowu trafiło akurat na ciebie? Dlaczego to ty musiałeś tam wejść?

– Chłopak zażądał konkretnie mnie.

Przez dwie, może trzy sekundy w słuchawce panowała cisza.

– No tak. Oczywiście – mruknęła Andrea.

Minęli właśnie kilku nastolatków z deskorolkami. Byli w podobnym wieku co Justin Heuer.

I Önur.

Myśl o chłopaku, który się wysadził, nie dawała mu spokoju.

Żeby uciec od rodzącego się poczucia winy, pomyślał o Laurze. Naraz zakiełkowało w nim ponure i całkowicie irracjonalne pragnienie, żeby zaszokować psycholożkę.

– Słyszałaś, co się stało Laurze? – zapytał.

– Nie. Co takiego? – odpowiedziała z wahaniem.

– Dzisiaj rano znaleziono jej zwłoki. – Odczuwał perwersyjną radość z tego, że może wypowiedzieć te słowa na głos. Jakby wymierzył sobie zasłużoną karę. W myślach policzył do

dziesięciu. – Została zamordowana.

– O Boże, Faris! To straszne! – wykrzyknęła, lecz w jej głosie nie było słycać wsparcia ani ciepła, tylko ogromne przerażenie. – Gdybyś chciał porozmawiać, mogę...

Faris poczuł przyływ sarkazmu.

– Rozmową nie da się rozwiązać wszystkich problemów.

Kobieta prychnęła ledwie słyszalnie.

– Nie pieprz!

Zamilkł.

Dziewczyna za kierownicą wpatrywała się uparcie w drogę przed samochodem.

– Zajrzyj do mnie! – poprosiła Andrea. – Najlepiej teraz, od razu!

– Potem. Teraz muszę...

– Faris! Mogłabym...

– Andrea, muszę kończyć.

Odsunął telefon od ucha i jeszcze przez chwilę słyszał jej wzburzony głos, wydobywający się z miniaturowego głośnika. Pozwolił jej się trochę wygadać, a potem zakończył połączenie.

Umundurowana funkcjonariuszka spojrzała na niego z wyrzutem.

„Tak, tak” – pomyślał.

Alfons Rühmann stał w wyłożonym jasnoszarym marmurem holu budynku mieszczącego biura i gabinety lekarskie i czekał na partnera, który wypuścił go przed wejściem i pojechał szukać miejsca parkingowego. Christian Zöller, mąż ofiary, miał tu prowadzić swoją prywatną klinikę.

Na liście kontaktów w telefonie kobiety zamordowanej w hotelu znajdowały się dwa wpisy opatrzone imieniem Christian, jeden opisany jako „komórka prywatna”, a drugi jako „klinika”. Kiedy Alfons Rühmann próbował dodzwonić się na pierwszy numer, połączył się z pocztą głosową. Mimo nagranej prośby, żeby zostawić wiadomość, policjant rozłączył się bez słowa. Nie chciał, żeby lekarz dowiedział się o śmierci żony przez telefon. Drugi numer, stacjonarny, również łączył jedynie z automatyczną sekretarką. Jednak dzięki nagranej wiadomości powitalnej udało się ustalić adres kliniki.

I w ten właśnie sposób tu trafili. Meyer sprawdził wcześniej w Internecie, że Christian Zöller był ortopedą, a oprócz gabinetu przy Bulowstraße oferował swoim pacjentom leczenie stacjonarne w Klinice Hygiea przy Fuggerstraße, gdzie posiadał kilka łóżek. Z informacji znalezionych w sieci wynikało, że specjalizuje się w operacyjnym leczeniu dyskopatii. Policjantowi przemknęło przez myśl, że mógłby go zapytać, co począć z uciążliwym drętwieniem prawej nogi.

Podszedł do windy. Na podświetlonej tablicy z pleksi znajdował się wykaz wszystkich firm urzędujących w tym wieżowcu. Poza długą listą gabinetów lekarskich siedzibę miały tu również pracownia protetyki dentystycznej, Instytut Kształcenia Ustawicznego i sporo kancelarii adwokackich. Puste linie na wykazie sugerowały, że przynajmniej dwa lokale na parterze czekały na najemców.

Rühmann zatrzymał wzrok na nazwie Instytutu Kształcenia Ustawicznego.

– „odWAŻNiej” – przeczytał półgłosem.

– Gadasz sam do siebie? – Meyer zatrzymał się obok i z szerokim uśmiechem popatrzył na partnera. Kluczyków od samochodu nie schował, tylko przełożył palec przez kółko i kręcił nimi dla zabawy.

Starszy policjant wskazał na wykaz firm.

– „Instytut Kształcenia Ustawicznego odWAŻNiej” – odczytał ponownie. – Brzmi jakoś tak arogancko, nie sądzisz?

Meyer się roześmiał.

– Może. – Wreszcie wsunął kluczyki do kieszeni i wezwał windę, która miała ich zawieźć na czwarte piętro.

Poczekalnia gabinetu była – najwyraźniej jak wszystkie lokale w tym budynku – wyłożona jasnoszarym, polerowanym marmurem, tak śliskim, że Rühmann miał wrażenie, jakby szedł po lodowisku.

Za długą, zakręconą ladą siedziała blondynka w ciemnozielonej koszulce polo. Starszy policjant

pomyślał, że stanowisko do rejestracji pacjentów wygląda jak mostek kapitański statku kosmicznego. Nie miał pojęcia, dlaczego gabinety lekarskie, szczególnie te prywatne, musiały wyglądać aż tak futurystycznie. Zgadywał jedynie, że chodzi o podkreślenie nowoczesności i kompetencji personelu. On jednak w miejscach takich jak to czuł się raczej nieswojo. Gładka, błyszcząca podłoga sprawiała, że jego niepewny chód był jeszcze wyraźniejszy.

Przy ladzie stała jakaś starsza kobieta i właśnie wyladowywała złość na recepcjonistce.

– Naprawdę bardzo mi przykro – powiedziała blondynka. – Pan doktor musiał wyjechać na kilka dni i już w zeszłym tygodniu odwołał wszystkie wizyty. Wielokrotnie próbowałam się do pani dodzwonić, lecz nie odbierała pani telefonu.

Pacjentka oparła się na kuli, którą trzymała w prawej ręce, a lewą dłoń zacisnęła w pięść i uderzyła w ladę. Zupełnie jakby nie słyszała ostatnich słów kobiety, dalej głośno protestowała:

– To jest po prostu bezczelność! Miałam umówioną wizytę i specjalnie na nią przyjechałam aż z Lichtenbergu! Czy pani w ogóle ma pojęcie, ile mnie to kosztowało?

– Rozumiem, że to dla pani problem – odparła cierpliwie recepcjonistka. – I naprawdę bardzo mi przykro. Jednak, jak już mówiłam, od tygodnia codziennie próbowałam się z panią skontaktować, żeby poinformować o odwołanej wizycie. Ani razu nie odebrała pani telefonu. Gdyby pani miała chociaż automatyczną sekretarkę, mogłabym...

– To już przechodzi ludzkie pojęcie! Co za tupet! Mam wizytę wyznaczoną na dzisiaj! Jeśli nie potraficie...

Rühmann miał dość jej jadowitego tonu. Wyjął legitymację policyjną i położył ją na ladzie tuż przed awanturującą się pacjentką, tak żeby od razu zobaczyła, kim jest.

– Przepraszam, że przerywam – zwrócił się z serdecznym uśmiechem do pracownicy gabinetu. – Podkomisarz Rühmann, wydział zabójstw. Chcielibyśmy zadać kilka pytań doktorowi Zölllerowi. Wie pani, gdzie moglibyśmy go znaleźć?

Kątem oka dostrzegł, że starszej kobiecie obok z wrażenia opadła szczeka.

– Wydział zabójstw? – wyszeptała.

Zignorował ją.

Blondynka prowadząca rejestrację wyraźnie pobladła. Bezgłośnie otworzyła i zaraz zamknęła usta, przez co wyglądała jak ryba wyjęta z wody.

– Ja... to znaczy... Nie. Akurat tłumaczyłam tej pani, że kilka dni temu doktor Zöller polecił mi odwołać wszystkie wizyty w związku z pilnym wyjazdem. – Stłumiła westchnienie, nachyliła się nad ladą i szeptem zwróciła do policjanta: – Wspomniał ostatnio, że ma problemy w małżeństwie i potrzebuje odpoczynku.

Cofnęła się i już znacznie głośniejszym głosem dodała:

– A ja musiałam dzisiaj przyjść specjalnie do pracy, bo nie wszyscy umówieni pacjenci odbierali telefony.

– Czy jest pani w stanie skontaktować się jakoś z doktorem Zölllerem? – zapytał Rühmann. „To dochodzenie powoli zaczyna przypominać harcerskie podchody” – pomyślał.

– Spróbuję. Już, chwileczkę! – Blondynka podniosła słuchawkę i wybrała jakiś numer. Przez chwilę nikt nic nie mówił. – Niestety, bardzo mi przykro – powiedziała rozczarowanym tonem i odłożyła telefon. – To była jego służbowa komórka. Dotychczas nawet na urlopie zawsze ją odbierał.

– Domyśla się pani, gdzie mógł się zatrzymać? – dopytywał się policjant.

Kobieta pokręciła głową.

– Co się właściwie stało?

Rühmann odchrząknął. To była zdecydowanie najgorsza część jego pracy. Skinął na recepcjonistkę, żeby się do niego zbliżyła.

– Żona doktora Zölllera została zamordowana – wyszeptał jej na ucho, bo nie chciał, żeby nerwowa staruszka o kuli też to słyszała.

W pierwszej chwili blondynka za ladą w ogóle nie zareagowała na tę wiadomość, lecz sekundę później nagle pobladła, a jej oczy wypełniły się łzami.

– Laura? – wyszeptała. – O Boże!

Anisah budziła się bardzo powoli, jakby odzyskiwała świadomość po narkozie. Czuła w ustach chemiczny posmak środków usypiających, podobnie jak po operacji wyrostka robaczkowego, której musiała się kiedyś poddać. Miała wrażenie, że głowa jej spuchła, upodabniając się wielkością do piłki do koszykówki, a dźwięki, które ją otaczały, brzmiały nienaturalnie głośno. Słyszała walenie własnego serca i swój ciężki oddech. Po chwili zorientowała się, że leży na plecach.

„Gdzie ja jestem?” – To była pierwsza myśl, jaka pojawiła się w jej głowie. A zaraz po niej następną: „Dlaczego nie mogę się poruszyć?”.

Wysłuchiwała się we własne ciało. Nie czuła go – ani rąk, ani nóg. Nic, w ogóle żadnej reakcji. Ogarnęła ją panika. Chciała się poderwać i usiąść, jednak nie była w stanie poruszyć żadnym mięśniem. Nie potrafiła nawet unieść powiek.

„Co się ze mną dzieje?!” – chciała wykrzyknąć. W końcu, po dłuższej chwili, z największym wysiłkiem udało jej się poruszyć palcami. Pod opuszkami wyczuła miękką, nierówną powierzchnię.

Gdzieś niedaleko rozległ się nieprzyjemny dźwięk. Dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie, że to ona jest jego źródłem. Słyszała głuche i rozpaczliwe rżenie, które wydobywało się z jej gardła.

– Spokojnie! Spokojnie! – odezwał się czyjś głos tuż obok.

Gdyby tylko była w stanie, podskoczyłaby ze strachu. Miała wrażenie, że jej serce zatrzymało się na kilka nieskończenie długich sekund, i poczuła się, jakby spadała w bezdenną, mroczną otchłań. Czekala, aż rozbije się o skały, lecz nic takiego nie nastąpiło.

– Spokojnie, nie musisz się bać – ciągnął nieznamy głos.

Nie wiedziała, czy to kobieta, czy mężczyzna. Nie potrafiła tego odróżnić, bo zdawało jej się, że słowa, które do niej docierają, są odtwarzane ze starej taśmy magnetofonowej, i to z niewłaściwą prędkością. Zaraz, zaraz, czy już wcześniej nie przyszła jej taka myśl do głowy? Nie pamiętała.

– Tutaj jesteś bezpieczna – uspokajał ją głos.

Zakręciło jej się w głowie i dostała mdłości. Bezustannie przesuwala palcami po miękkim materiale.

– Pewnie jesteś zdziwiona, że nie możesz się ruszać – zauważył głos.

Z każdym kolejnym słowem słyszała go wyraźniej i wydawał jej się groźniejszy. Mężczyzna? Chyba tak. Niespodziewanie wróciło jakieś wspomnienie. Jechała metrem. Obok niej siedział brodaty facet. Nie, te obrazy były bez sensu.

– To przez środek, który dostałaś – wyjaśnił głos. – Paraliżuje układ mięśniowy, ale spokojnie, bez nerwów: w żaden sposób nie upośledza funkcji życiowych, więc nie ma obaw, że się udusisz albo zmoczysz.

Środek? Udusić się?

Te słowa, czuła to, powinny jej coś mówić, ale rozumiała z nich tak samo niewiele jak z przeblysków wspomnień.

– Gdzie... – Miała zdrętwiałe usta, a język sztywny jak kołek, lecz mimo to zdołała dokończyć pytanie: – ...jestem? – wyszeptała z trudem.

Przez chwilę zdawało się jej, że poczuła ciepło, mniej więcej tam, gdzie musiała znajdować się twarz. Dotknął ją? Tak, chyba pogłaskał po policzku. Powoli wracało jej czucie w opuszkach palców. „To chyba sztruks” – pomyślała. „Leżę na kanapie!”.

Znów podjęła próbę otwarcia oczu.

– Daj sobie z tym spokój! – polecił głos. – Nie ruszaj się.

Posłuchiwała. I tylko jej palce zginały się bezwiednie i drapały paznokciami po tapicerce.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzył głos. Teraz nie miała już wątpliwości, że należał do mężczyzny. Anisah poczuła łaskotanie na czole. – Jesteś trochę rozczochrana. Poczekaj, poprawię ci włosy.

Znów dostała mdłości, tak silnych, że bała się, że zaraz zwymiotuje. Wtedy niespodziewanie mdłości ustąpiły, pozostawiając uczucie bezkresnej ulgi.

– Prześpij się – doradził nieznajomy mężczyzna.

Czy to mógł być szpital? Ktoś się o nią troszczył. Starła się nie martwić, jednak coś nie dawało jej spokoju. Oczywiście wyobraźni znów ujrzała chaotyczne obrazy z metra. Odetchnęła tak głęboko, jak tylko pozwalało jej sparaliżowane ciało. „Nie uduszę się...”.

– O właśnie, tak jest dobrze – powiedział mężczyzna. – Jeszcze musisz trochę poczekać. Prześpij się.

Odrętwienie ciała powoli zaczęło ustępować miejsca mrowieniu tak intensywnemu, że nie mogła wytrzymać. W pewnej chwili miała wrażenie, że znów poczuła ukłucie. Tylko gdzie? W ramię? Nie miała pewności. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, były delikatne linie sztruksowej tapicerki pod palcami.

– Faris! – jęknęła i znów straciła przytomność.

*

– Kiedy Iskander z nią coś kręcił? – zapytał Meyer.

Rühmann zmarszczył czoło, bo nie uważał, żeby akurat to pytanie było w tej chwili najważniejsze. Mimo wszystko odpowiedział:

– Z Laurą Zöller? Ze trzy lata temu, tak mniej więcej.

Stali w holu i czekali na windę, która miała zawieźć ich na dół, a on starał się przeanalizować skąpe informacje, których dostarczyła im kobieta z rejestracji. Doktor Zöller i Laura Zöller byli małżeństwem od dwóch lat i wychowywali córeczkę Lilly. Kiedy zapytał blondynkę z recepcji, gdzie dziewczynka mogłaby teraz przebywać, kobieta się nie wahała: „No przecież, że z ojcem! A gdzie indziej? Doktor Zöller ją po prostu ubóstwia”.

W końcu wsiedli do windy, a Rühmann wybrał przycisk parteru.

– Znacznie bardziej interesuje mnie co innego: myślisz, że doktor Zöller może być naszym sprawcą?

Drzwi windy zasunęły się bezgłośnie. Meyer oparł się o ścianę.

– Jeśli jego pracownica powiedziała prawdę, nie było go w tym czasie w Berlinie.

Kiedy rejestratorka otrząsnęła się z pierwszego szoku po informacji o śmierci Laury, najlepiej jak potrafiła odpowiedziała im na wszystkie pytania. Dowiedzieli się od niej na przykład, że doktor Zöller posiadał żaglówkę, którą trzymał nad jeziorem Müritz, i że być może właśnie tam przebywał. Tego jednak nie była pewna.

– On bardzo dużo podróżuje – wyjaśniła. – Więc tak naprawdę może być wszędzie!

Rühmann zmarszczył nos. Jedyne, czego się dowiedzieli na pewno, to tego, że doktor Zöller już w zeszłym tygodniu kazał odwołać wszystkie wizyty i dał wolne swoim pracownikom, tłumacząc, że ma zamiar wyjechać z miasta.

– Trzeba będzie poprosić kogoś na miejscu, żeby sprawdził tę żaglówkę – zdecydował. – A teraz skoncentrujemy się na podejrzanych tutaj, w Berlinie. I powiem ci, że jest co robić. Mamy pełen hotel skacowanych biznesmenów, którzy imprezowali w noc zabójstwa. Każdego z nich musimy traktować jako potencjalnego sprawcę.

Meyer potaknął.

Rühmann wyjął komórkę i wybrał numer Iskandera, jednak to nie był chyba jego dzień. Kolega z firmy również nie odbierał. Zmęł pod nosem przekleństwo i schował telefon.

– Z tego, co się orientuję, byli nawet zaręczeni – dokończył.

Meyer spojrzał na niego zdezorientowany, lecz w końcu dotarło do niego, że znów mówił o Iskanderze.

– Dlaczego się nie pobrali?

– Zapytałem go o to krótko przed Bożym Narodzeniem. Normalnie nie lubi mówić o sobie, ale wtedy mi wyjaśnił, że zostawiła go dla Zöllera. Przez dłuższy czas nie mógł dojść do siebie i pogodzić się, że ją stracił. – Rühmann się zaśmiał. – Jednak nowa kobieta potrafi zdziałać cuda!

Meyer spojrzał na niego z boku.

– Chcesz powiedzieć, że gość jest w związku?

Myśl o tym zdawała się dla niego zaskoczeniem.

Starszy policjant pokręcił głową.

– Teraz już nie, ale po sprawie z tamtym zamachowcem w czasie Ekumenicznych Dni Kościoła przez chwilę był. I chyba znowu nie poszło tak, jak miało. – Próbował przypomnieć sobie, jak miała na imię tamta kobieta, lecz nie dał rady. Na pewno coś na I. Ina? Iris? Albo podobnie.

Winda zatrzymała się na parterze.

– Jakoś mnie to nie dziwi – mruknął Meyer.

– Dlaczego?

– Spójrz na niego! – Meyer zmarszczył nos. – Ten gość to wrak człowieka.

ROZDZIAŁ 9

Andrea Roth krążyła niespokojnie po swoim gabinecie. Przycisnęła telefon do ucha i słuchała kolejnych sygnałów wołania, a drugą dłonią nerwowo zwijała loki swoich blond włosów.

– No odbierz! – mruknęła. – Odbierz w końcu!

Słyszała jednak tylko jednostajny długi sygnał. Miała wrażenie, że z sekundy na sekundę robi się coraz głośniejszy. W jej głowie pojawiały się obrazy, których nie mogła zatrzymać. Nastolatek z bombą w ciasnym sklepie... eksplozja rozrywająca Farisa...

Zacisnęła powieki i spróbowała opanować emocje, które się w niej kotłowały. „Spokojnie, bez nerwów!” – zgańła się w myślach i przestała krążyć po pokoju. Berberski dywan, po którym chodziła w samych pończochach, był szorstki i nierówny. Spojrzała na szpilki, które zostawiła pod biurkiem. Jeden z butów się przewrócił i leżał na boku.

Zawahała się, słysząc komunikat powitalny poczty głosowej.

– Odezwij się, ty cholerny idioto! – zażądała.

Faris brał prysznic. Stał w lekkim rozkroku, oparty rękoma o wyłożoną płytkami ścianę, jak podejrzany czekający na przeszukanie. Pod wpływem gorącej wody zaczerwieniła się potężna blizna, która pokrywała prawą stronę jego klatki piersiowej i ramię. Przy każdym oddechu czuł ból obitych żeber, a otarcia na dłoniach paliły od szamponu. Znów sączyła się z nich krew.

Złapał się na tym, że kiedy zadzwonił telefon, który zostawił w kieszeni kurtki w korytarzu, miał nadzieję, że to Ira.

Ira.

Poznali się pięć miesięcy wcześniej, tuż przed tym jak Paul, jego partner, zginął w trakcie dochodzenia w sprawie zamachowca podkładającego bomby. Wówczas, gdyby nie jej obecność i spokój, którym promieniowała, strzeliłby sobie w głowę. Spotkali się potem kilka razy i był pewien, że teraz, w sytuacji, w jakiej się znalazł, też by wiedziała, co mu doradzić. Z całą pewnością powiedziałyby coś, co nawet jeśli nie uśmierzyłoby dręczącego go bólu, pomogłoby mu go zrozumieć.

Westchnął ciężko.

Ty cholerny gnojku! Laura nie żyje, a ty myślisz o Irze?

Telefon znów zaczął dzwonić.

Zdjął ręce ze ściany i spojrzał na czerwone ślady, które zostawił na płytkach. Krople wody szybko je rozmyły, zmieniając w różowe plamy. Ten widok sprawił, że oczyma wyobraźni boleśnie wyraźnie zobaczył zwłoki Laury. Pełnym złości ruchem wyłączył wodę.

Kilka minut później był ubrany i gotowy do wyjścia, lecz do przyjazdu Marca zostało dobre pół godziny. Burczenie w żołądku przypomniało mu, że tego dnia nic jeszcze nie zjadł. Otworzył lodówkę i spojrzał na to, co wczoraj kupił. Nie miał na nic apetytu, jednak kierując się zdrowym rozsądkiem, wypił kilka łyków mleka prosto z kartonu. Odstawił potem karton na półkę w lodówce, a z kieszeni kurtki wyjął telefon i sprawdził, kto próbował się do niego dodzwonić.

Rühmann. Wybrał jego numer, lecz tym razem to starszy policjant nie odbierał. Faris westchnął i wyłączył komórkę. Nienawidził tej dziwacznej mieszanki konieczności wiecznej dostępności i nieodebranych połączeń.

Wrócił do salonu, stanął przy oknie i przez kilka minut przyglądał się ulicy poniżej, żeby w końcu uznać, że to głupie. Nie wiedział, czym zająć myśli, więc włączył telewizor. Pierwsze, na co trafił, to reportaż z miejsca zamachu w Kościele Pamięci. Zobaczył siebie, jak stoi przy radiowozie i ponurym wzrokiem spogląda w obiektyw kamery.

„Faris Iskander” – odczytał podpis. „Pięć miesięcy temu prowadził dochodzenie w sprawie zamachów bombowych w czasie Ekumenicznych Dni Kościoła”.

Jakaś bardzo jasna blondynka informowała o aktualnych wydarzeniach.

– Z dobrze poinformowanych źródeł wiemy, że zamachowiec zażądał, żeby podkomisarz Iskander wszedł do pomieszczenia, w którym następnie zdetonował ładunek wybuchowy – powiedziała.

Faris zaklął pod nosem i wyłączył telewizor.

Znów rozdzwonił się jego telefon. Tym razem próbowała się z nim skontaktować Andrea. Nie odebrał.

Przez ostatnie tygodnie i miesiące Andrea starała się mu pomóc. Robiła, co tylko mogła, żeby odciągnąć go znad krawędzi otchłani, na której skraj zapędził go zamachowiec z Ekumenicznych Dni Kościoła. Lecz zamiast dać jej się poprowadzić w drugą stronę, zrobił jeszcze jeden maleńki krok naprzód. To, że nie spadł, nie było jej zasługą. Znacznie bardziej pomogła mu...

Ira.

Daremnie próbował obronić się przed wspomnieniem tamtego dnia, krótko przed Bożym Narodzeniem...

*

Wpadł pędem przez drzwi obrotowe do hali lotniska Tegel, żeby choć przez chwilę porozmawiać z Irą, zanim odleci jej samolot. Nie wiedział, że zamierza opuścić Niemcy. Dopiero dziś zadzwoniła i wyznała, że tak naprawdę chciała wyjechać w tajemnicy, lecz nie potrafiła zostawić go bez pożegnania.

Zdyszany wszedł do niewielkiej kawiarni samoobsługowej, w której miała na niego czekać. Na tablicy za jego plecami pojawiały się wezwania dla pasażerów kolejnych lotów. Wiedział, że ma niecałe piętnaście minut.

Ira siedziała na niewygodnej ławce obitej sztuczną skórą i spoglądała w jego kierunku. Tego dnia chyba nie nałożyła makijażu. Miała duże i jasne oczy. Na stoliku przed nią stała pełna jeszcze filiżanka cappuccino. Piankę z ubitego mleka ozdabiała cynamonowa gwiazdka. Przez dużą szybę, za którą widać było przystanek autobusowy, wpadało jasne, ale chłodne światło słoneczne. Światelka choinkowe, którymi ktoś ozdobił czarno-białe markizy, migąły w denerwującym rytmie.

Faris zbliżył się do jej stolika.

– Już jestem – powiedział. Nic innego nie przeszło mu przez gardło.

– Widzę. – Skinęła głową.

Przez chwilę panowało między nimi nieprzyjemne, pełne napięcia milczenie.

– Usiądź, proszę! – Ira wskazała na jedno z wolnych krzeseł przy swoim stoliku.

Posłuchał jej. Czuł się bardzo nieswojo. Spoglądała na niego bardzo intensywnym wzrokiem, jakby chciała zajrzeć do jego wnętrza.

– Wyjeżdżasz z kraju – mruknął i zaraz poczuł się głupio. W końcu właśnie to obwieściła mu przez telefon. Leciała do Rio w Ameryce Południowej, z przesiadką w Paryżu.

Ameryka Południowa!

Skinęła powoli głową.

– Co z twoją parafią? – zapytał.

– Złożyłam wypowiedzenie.

Jej słowa jednocześnie go zaskoczyły i się ich spodziewał. Ira była kapłanką w parafii przy Marheinekeplatz, choć – jak wiedział – od dłuższego już czasu zmagająca się z kryzysem wiary.

– Dlaczego? – zapytał mimo wszystko.

Uśmiechnęła się słabo. Wyglądała na zmęczoną.

Faris niespodziewanie odczuł potrzebę, żeby zacisnąć na czymś palce i rozerwać to na strzępy.

– Gdybym tylko wiedział... – zaczął, lecz nie dokończył, bo nie miał pojęcia, co powinien powiedzieć.

„Wybacz, że za bardzo skupiałem się na sobie?”.

„Powinienem być cię wesprzeć w walce z twoimi problemami?”.

„Nie zostawiaj mnie samego!”.

Milczał.

Ira westchnęła. Oparła ręce o blat stolika i splotła palce. Wykręciła dłonie tak, że były skierowane wnętrzem do góry. Spod cienkiej jasnej skóry przezierały żyły. Miała bardzo szczupłe nadgarstki.

– Może sobie wyobrażałam... – przerwała, a on spojrzał na nią zagubiony.

Domyślał się, że powinien odgadnąć, co miała na myśli, lecz nic nie przychodziło mu do głowy. Postanowił skorzystać z jedynej broni, na jaką zawsze mu pozwalała – bezkompromisowej otwartości.

– Kiedy Paul zginął... – Przełknął głośno ślinę, wziął się w garść i mówił dalej: – Robiłem sobie wyrzuty, że wykorzystałem sytuację. – Myślał o nocy, którą spędzili razem, i o seksie, tak pełnym rozpaczy i pożądania... Odchylił się, oparł i powstrzymał odruch, żeby założyć ręce na piersi.

– Wiem. – Kobieta potaknęła. Jej policzki pokrył delikatny rumieniec, a Faris wiedział, że ona również to pamięta. Potem spotkali się jeszcze kilka razy, lecz krążyli tylko wokół siebie jak dwa magnesy, które się odpychają.

Na dużej tablicy przed kawiarnią pojawiło się wezwanie dla pasażerów lotu Iry. Kobieta odwróciła głowę.

– Och – westchnęła tylko.

Przez chwilę miał wrażenie, że w jej oczach dostrzegł poczucie winy.

Bzdura! Dlaczego miałaby czuć się winna?

– Niestety, muszę już iść – szepnęła.

Faris podniósł się pierwszy. Chciał wziąć ją w ramiona i mocno przytulić. Chciał krzyknąć: „Nie odchodź!”.

A jednak milczał.

– Okej – mruknęła więc. – W takim razie...

– Dlaczego akurat Rio? – zapytał. To miasto leżało nieprawdopodobnie daleko.

– Nie wiem. Może potrzebuję dystansu? Czasem mam wrażenie, że tylko tak odzyskam równowagę. – Jeszcze przez chwilę siedziała, ale w końcu i ona wstała.

Potaknęła. Czuł się jak idiota. I jak jeszcze większy idiota pozwolił jej odejść...

Kiedy otrząsnął się ze wspomnień, zauważył, że stoi w sypialni, naprzeciwko komody. Zawahał się, usiadł powoli na łóżku i wysunął pierwszą szufladę. Poza paczką chusteczek jednorazowych, tabletkami na ból głowy i starym długopisem, który już dawno nie pisał, leżała w niej znoszona skórzana bransoletka z mocno wyblakłą arabską inskrypcją.

Laura i Faris.

Wyjął z kieszeni telefon i znów spróbował połączyć się z Rühmannem.

– Dzwoniłeś do mnie – powiedział, kiedy policjant odebrał.

– Zgadza się. Przed chwilą byliśmy w gabinecie męża Laury. Wygląda na to, że facet zniknął.

Słyszac to, Faris poczuł, że kielkuje w nim ponura satysfakcja. Nagle uświadomił sobie, że byłby zadowolony, gdyby mordercą Laury okazał się Christian Zöllner. Chciał, żeby ten cholerny skurwysyn był winny. Złość, którą od lat w sobie dusił – na niego, że odebrał mu Laurę – przybrała na sile. Potrzęsął głową. To było irracjonalne. Jak dotąd nie istniały żadne przesłanki wskazujące na Zöllera jako sprawcę.

– Domyślasz się może, gdzie moglibyśmy go znaleźć? – zapytał Rühmann. – W domu go nie było, a kobieta z rejestracji w jego gabinecie nie miała pojęcia, dokąd wyjechał. Wspomniała za to, że ma żaglówkę nad jeziorem Müritz, choć nie sądzi, żeby teraz na niej był.

– Bardzo mało o nim wiem. – Faris stłumił złość i żal. – Słyszałem, że lubi żeglować, ale nie potrafiłbym nawet powiedzieć, czy woli Karaiby czy Morze Północne.

– W porządku. Sprawdźmy to. Jego pracownica powiedziała, że mają córeczkę.

Lilly.

Faris obracał w palcach skórzaną bransoletkę. Nagle przypomniał sobie, jak zobaczył Laurę z małą na rękach, przed ich domem na Ahornstraße. Obraz był tak wyraźny i żywy... Zacisnął zęby.

– To prawda – potwierdził.

– Gdzie moglibyśmy ją znaleźć? – zapytał starszy policjant. Jego słowa zagłuszyło nieprzyjemne trzeszczenie. – Faris? – krzyknął do słuchawki. – Słyszysz mnie? Coś jest nie tak z połączeniem.

– Nie mam pojęcia, Alfons. Jeśli Zöllner jest na łódce, pewnie wziął ją ze sobą. Ale też zupełnie bym się nie dziwił, gdyby Laura wynajmowała dla niej nianię. Popytaj może w klinice Helios, tam pracowała. Ktoś pewnie będzie wiedział coś więcej.

Znowu trzeszczenie.

– ...zakładników w Kościele Pamięci? – Faris usłyszał tylko końcówkę pytania.

– Doszło do wybuchu – wyjaśnił.

– Serio?

– Serio. Zaraz Marc i ja jedziemy do rodziców... – Cichy sygnał w słuchawce oznaczał, że połączenie właśnie zostało zerwane.

Odsunął telefon od ucha i spojrzął na wyświetlacz. Kiedy rozmawiał z Rühmannem, jeszcze raz zadzwoniła do niego Andrea. Przez chwilę się zastanawiał, czy do któregoś z nich oddzwonić. Kolegom pracującym nad sprawą morderstwa Laury nie był w stanie pomóc, bo nie miał pojęcia, gdzie szukać Christiana Zöllera. Z kolei z Andreą wolał nie rozmawiać.

Schowwał telefon i odwrócił bransoletkę tak, żeby móc odczytać napis. *Laura i Faris*. Przesunął nad nim palcem, jednak nawet opuszkami nie musnął liter. Westchnął. Potem założył bransoletkę na lewy nadgarstek i zapiął. Dotyk natłuszczonej, wyprawionej skóry był jednocześnie obcy i nieskończenie znajomy. Teraz miała mu przypominać, że musi dopaść mordercę Laury – jak tylko upora się z tym kurewskim zamachem z rana. Postanowił jej nie zdejmować, dopóki nie ustalą, kto ją zabił. Ponuro zacisnął zęby, bo niespodziewanie usłyszał w głowie jakiś głos.

„Nie możesz bez przerwy się o wszystko obwiniać!”

Głos Iry.

Był tak czysty i wyraźny, jakby nie dzieliły ich tysiące kilometrów, a ona nie była w obcym kraju, tylko stała tuż za nim. Ogarnęła go tęsknota. Poczul, jak w gardle rodzi się śmiech pełen rezygnacji. Opuścił głowę, żeby go powstrzymać. Jeszcze przez chwilę rozważał, czy nie oddzwonić do Andrei, jednak zdecydował, że nie. Zapiął ciasniej bransoletkę, żeby wyraźniej czuć, że ma ją na nadgarstku, i poprawił rękaw koszuli.

Ranny wrzeszczał z bólu. Ira Jensen stała pośrodku zatłoczonej izby przyjęć szpitala w Rio i przyglądała się, jak dwójka ratowników wjeżdża noszami z nowym pacjentem. Chłopiec, niewiele starszy niż dwanaście lat. W zasadzie jeszcze dziecko. Chryste Panie! Postrzał w brzuch. Cały umazany we krwi.

Rany postrzałowe. Ira przełknęła ciężko. Ile już razy widziała je przez ostatnich kilka tygodni? Miała wrażenie, że setki. Grzbietem dłoni otarła czoło.

Powietrze w pomieszczeniu było lepkie od upału, pyłu i potu. Od kilku godzin kręciło się jej przez to w głowie. Pospiesznie upiła kilka łyków wody z plastikowej butelki, którą zawsze miała pod ręką.

– Musi pani uważać, żeby się nie odwodnić – ostrzegł jeden z lekarzy, którzy wprowadzali ją w obowiązek. – W przeciwnym razie straci pani przytomność, zanim się pani zorientuje, że coś jest nie tak.

Przyglądała się, jak lekarz, młody Brytyjczyk imieniem Hugh, zajął się rannym.

– Proszę tutaj! – polecił Irze. – Nie ma co stać i rozmyślać!

Hugh stał między nią a postrzelonym chłopakiem, więc obeszła nosze. Mogła dzięki temu rzucić okiem na twarz lekarza. Kiedy zobaczyła jego minę, zrozumiała, że nie jest optymistą. Sama zresztą pomagała przy opatrywaniu już tylu podobnych ran, by podzielać jego zdanie. Pewnie nie będą w stanie pomóc rannemu dzieciakowi. Szpital, w którym pracowała, znajdował się na terenie slumsów i działał jedynie dzięki datkom z zagranicy. Leki, materiały opatrunkowe i sprzęt medyczny były towarami deficytowymi. Przez chwilę chciała pomodlić się za rannego, lecz tego nie zrobiła. W końcu stanęła tak, że mogła zobaczyć jego twarz.

I zamarła.

To nie był żaden dwunastolatek. Na noszach przed nią – z oczyma wytrzeszczonymi z bólu i skąpany we własnej krwi – leżał... Faris!

Z bolesnym jękiem zerwała się ze snu.

– Niech to szlag – wymamrotała. Przeróżający obraz z koszmaru powoli tracił wyrazistość. Potarła policzki. Jej skórę pokrywał zimny pot. Położyła dłoń na piersi i czekała, aż uspokoi się puls.

Przez tylko częściowo zasunięte żaluzje popołudniowe słońce wpadało do jej sypialni i rysując na szybach kształty drzew rosnących wzdłuż ulicy, odgrywało teatr cieni.

Kobieta westchnęła, osunęła się na poduszkę i przycisnęła do twarzy haftowany jasiek.

– To był tylko sen – powiedziała głośno, choć była sama. – Tylko sen, ty głupia babo!

Wiedziała, że sen w czasie dnia to nie jest dobry pomysł, ale kiedy wczesnym rankiem wylądowała na lotnisku Tegel po nieskończeniu długim locie z Rio, czuła się jak po łamaniu kołem. Nie dała rady nawet rozścielić łóżka i ledwie weszła do pokoju, padła na nie w ubraniu i zanim dotknęła głową poduszki, już spała.

O dziwo, sen wcale nie poprawił jej samopoczucia: dalej czuła się zmęczona i połamana. Klasyczny jetlag. Znała to z doświadczenia i wiedziała, że przez kilka dni będzie musiała walczyć z ustawicznym wyczerpaniem. Odśloniła twarz, bo zaczynało brakować jej powietrza.

Zmrużyła oczy i przeczytała napis wyhaftowany na poduszce.

Bóg jest miłosierny.

Zaśmiała się gorzko i cisnęła ją w kąt.

Jeszcze przez jakiś czas leżała w łóżku, przesuwała palcami po materiale pościeli i zastanawiała się, dlaczego ostatnio tak często widziała we śnie Farisa jako ofiarę na stole operacyjnym. Gdyby przynajmniej wierzyła w Boga, pomyślałaby, że zsyła jej w ten sposób znak. Najpewniej jednak wyjaśnienie było znacznie prostsze – podświadomość przypominała jej, jak bardzo za nim tęskni. I jednocześnie jak bardzo boi się z nim być. Przecież sześć tygodni wcześniej uciekła przed nim do Rio! I choć z początku planowała mieszkać tam przynajmniej pół roku, właśnie wróciła do Berlina. Westchnęła ciężko i podniosła się z łóżka.

Boso przeszła do salonu i włączyła wiadomości. Na ekranie telewizora pojawiła się jakaś blond reporterka.

– Tak, proszę państwa, wygląda Breitscheidplatz po zamachu bombowym, który miał miejsce dzisiejszego ranka – oznajmiła, po czym rozpoczęło się odtwarzanie zapowiedzianego nagrania.

Widać było dzwonnice obok ruin Kościoła Pamięci i gruby słup dymu wznoszący się ku niebu. Następnie kamera przesunęła się trochę w bok. Ira miała wrażenie, że serce zamarło jej w piersi. Przy jednym z wozów policyjnych dostrzegła Farisa. Patrzył prosto w obiektyw.

Osunęła się na kanapę. „*Welcome back on the chain gang!*” – pomyślała.

NIEZNAJOMY

Rozległ się cichy, szurający chrobot, kiedy przesuwał po policzku ostrzami. Ich ofiarą, kawałek po kawałku, padała broda. Człowiek, który pragnął zemsty, oczyścił maszynkę do golenia z zarostu i opłukał ją w umywalce. Przez chwilę przyglądał się resztkom piany unoszącym się na wodzie. W końcu podniósł głowę.

W miejscu, gdzie niegdyś wisiało lustro, zobaczył płytki – paskudne, ciemnobrązowe płytki z pomarańczowym wzorem. Wzór i kolory żywcem przeniesione z lat siedemdziesiątych. W kiszkowatej łazience panował zaduch, powietrze pachniało pleśnią; samotnością pustego, opuszczonego przed laty domu. Przez chwilę próbował wyobrazić sobie, jacy ludzie tu mieszkali. Może kiedyś w tym samym miejscu, przy tej samej umywalce golił się ojciec rodziny. Może potem pocałował żonę, pożegnał się z dziećmi i wyszedł do pracy, zadowolony, że w jego życiu wszystko było na właściwym miejscu. Lecz całkiem możliwe – a w tej okolicy też najbardziej prawdopodobne – że mieszkała tutaj samotna matka. Człowiek, który pragnął zemsty, wyobraził sobie, jak spoglądała na swoje odbicie w lustrze, jak odkrywała kolejne zmarszczki na zmęczonej twarzy i jak w ciszy zadawała sobie pytanie, czy jej życie w ogóle ma sens.

Mężczyzna wyjął korek, żeby brudna woda mogła spłynąć. Potem delikatnie odwrócił głowę i wyjrzał przez okno. Szyba była celowo zmatowiona, bo wychodziła bezpośrednio na chodnik. Ledwie mógł przez nią dostrzec zarys ludzkich postaci mijających dom. Na jego ustach pojawił się delikatny uśmiech, kiedy wyobraził sobie, że oni wszyscy idą i żyją swoim życiem, nie mając pojęcia, że tu jest, choć mają go dosłownie na wyciągnięcie ręki.

Jego i Anisah.

Odłożył maszynkę do golenia na brzegu umywalki i osuszył gładkie policzki ręcznikiem, który zabrał specjalnie w tym celu. Miał wrażliwą skórę, szkoda, że zapomniał wziąć jakiegokolwiek balsamu po goleniu! Zresztą nieważne. Takie drobne niedociągnięcia nie mogą zaszkodzić realizacji jego planu.

Powiesił ręcznik, wyszedł z łazienki i korytarzem wyłożonym ciemnym linoleum przeszedł do salonu. W oczy rzuciła mu się tapeta w duże wzory – brązowo-pomarańczowe kwiaty w stylu lat siedemdziesiątych, zupełnie jak płytki w łazience. Poczul dreszcz, a potem się uśmiechnął, choć tak naprawdę nie wiedział, dlaczego.

Pomieszczenie było puste poza pakunkiem owiniętym w materiał i jednym jedynym meblem – starą kanapą wystawioną przez kogoś do śmieci.

Zatrzymał na niej wzrok. Anisah leżała tam jak Królowna Śnieżka, blada i czarnowłosa. Jak Szeherazada – jeszcze żywa, lecz skazana na śmierć. Na jej widok dostał erekcji.

Uśmiechnął się delikatnie i wyszedł z pokoju. Zamknął za sobą drzwi tak cicho, jakby nie chciał jej obudzić.

Rodzice Önura mieszkali w domu przy ślepej uliczce, po prawej stronie Saalestraße. Marc zatrzymał samochód na małym okrągłym placu do zawracania na końcu uliczki, gdzie stały już radiowóz i furgonetka ekipy techników zabezpieczających ślady.

Kiedy Faris wysiadł i się rozejrzył, w jednym z okien dostrzegł czyjąś zainteresowaną twarz. Spojrzał tam z kamienną miną. Ciekawski sąsiad – albo sąsiadka – natychmiast zniknął za firanką.

Ktoś otworzył im drzwi domofonem i weszli do klatki schodowej. W powietrzu unosił się zapach środków czystości, smażonych kotletów i mokrej psiej sierści.

Obok schodów stał jaskraworóżowy wózek dziecięcy z pluszową zabawką, która nosiła ślady przytulania. Była w takim stanie, że nie dało się powiedzieć, czy to miś, czy jednak coś innego.

Faris stanął jak wryty.

Lilly.

Ta myśl była niczym cios obuchem w głowę.

Sięgnął palcami do skórzanej bransoletki i przesunął ją wyżej na nadgarstku, pod mankiet koszuli. To był odruch, nieświadomie wpojony latami powtórzeń, jak czyjeś zdjęcie na biurku, którego się nie zauważa, bo zna się je na pamięć. Zmusił się, żeby jak najdalej odsunąć każdą myśl o Laurze i jej córce.

Później! Później będzie na to czas.

Razem pokonali dwa piętra i stanęli przed drzwiami do mieszkania, w których czekał na nich starszy, posiwiały Turek. Mężczyzna spojrział na nich pytająco. Mimo wieku miał gęste, lekko falowane włosy, nie nosił zarostu, a w zaczerwienionych oczach Faris mógł dostrzec siateczkę przekrwionych żyłek.

Policjant wyjął z kieszeni legitymację służbową i przedstawił siebie i Marca.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Obawiam się jednak, że nie mamy innego wyjścia i musimy zadać panu kilka pytań.

Mężczyzna był bardzo podobny do Önura. Przez dłuższy czas nie odrywał wzroku od zdjęcia w legitymacji Farisa.

– Iskander – mruknął. – Czy to pana wezwał mój syn, zanim... zanim...?

Faris potaknął pospiesznie, żeby oszczędzić panu Aydinowi konieczności wypowiedzenia bolesnych słów.

– Proszę, niech panowie wejdą. – Mężczyzna odsunął się i zrobił im miejsce.

Weszli do długiego korytarza, wyłożonego dywanem w róże. Ściany zdobiły te same kwiaty – na obrazach olejnych oprawionych w złoczone ramy, prostych akwarelach, fotografiach i w tandetnych plastikowych girlandach. Drzwi po lewej stronie prowadziły do pokoju nastolatka. W środku pracowała dwójka policyjnych techników w białych kombinezonach jednorazowych i zabezpieczała ślady. Faris przywitał się z nimi skinieniem głowy, po czym ruszył dalej, do salonu. W porównaniu z pełnym orientalnego przepychu korytarzem, to pomieszczenie wyglądało niemal spartańsko. Zupełnie jakby mieszkał w nim ktoś inny, kto z sukcesem postawił tamę powodzi kiczu z reszty mieszkania. W oczy

rzucał się ogromny telewizor umieszczony na meblościance z białej błyszczącej płyty, a naprzeciwko stała kanapa narożnikowa obita czerwonym materiałem. Dominujący w korytarzu motyw róż można było odnaleźć jedynie na zasłonach. Na niewysokiej ławie leżał plik czasopism o kotach, choć żadne zwierzę nie rzuciło im się w oczy.

Na kanapie siedziała drobna, koścista kobieta. W rękę trzymała chusteczkę, którą wycierała sobie usta. I choć miała zupełnie suche oczy, w jej spojrzeniu widać było udrękę tak ogromną, że Faris poczuł ukłucie w sercu. Obok staruszki siedziała policjantka, młoda funkcjonariuszka, którą znał tylko z widzenia. Wstała, kiedy Marc i on weszli do pokoju.

– Nurhan, panowie Iskander i Sommer są z Krajowej Policji Kryminalnej – zwrócił się do żony pan Aydin. Potem spojrział na policjantów. – To moja żona Nurhan.

Matka Önura również wstała. Marcowi pierwszemu podała dłoń i przyjęła od niego wyrazy współczucia. Potem przywitała się z Farisem.

– Dlaczego to zrobił? – zapytała głosem słabym jak szelest liści.

– To właśnie staramy się ustalić. – Delikatnym gestem poprosił ją, żeby usiadła.

Młoda policjantka obok nie bardzo wiedziała, jak się zachować, więc Faris zaproponował, żeby zrobiła sobie przerwę. Kobieta przyjęła propozycję z wyraźną ulgą.

Kiedy wyszła, Faris przysiadł na brzegu fotela. Marc został przy drzwiach i nie ruszał się z miejsca. Ojciec Önura podszedł do żony i usiadł obok niej. Czułym gestem ujął ją za rękę. Faris przyjrzał mu się uważnie. Staruszek potrzebował wsparcia bardziej niż jego żona. Policjant przez chwilę się zastanawiał, jak możliwie bezboleśnie powiedzieć to, co miał do powiedzenia.

Nie miał pojęcia.

– Czy mieli państwo jakkolwiek wiedzę lub podejrzenia, że Önur uda się dziś na Breitscheidplatz? – zapytał ostrożnie i spojrział w stronę partnera. Uznał, że na początku powinni przyjrzeć się rodzinie, panujących w niej stosunkach i życiu Önura.

Pani Aydin pokręciła głową i wsunęła włosy za ucho. Miała na sobie prostą suknię z różnym haftem wzdłuż linii dekoltu.

– Czy państwa syn utrzymywał jakkolwiek kontakt ze środowiskami radykalnych islamistów w Berlinie?

Starsza kobieta znów pokręciła głową.

Jej mąż wiedział nieco więcej.

– Tak – powiedział. – Oszalał na punkcie tego całego Martina Bemme. Jednak z tego, co wiemy, większość czasu spędzał zamknięty w swoim pokoju, surfując po Internecie. Cały czas powtarzaliśmy mu, że nie ma żadnego uzasadnienia dla fanatyzmu, bo islam to religia dobra, która brzydzi się przemocą. Ale on nie chciał nas słuchać.

W jego głosie słychać było, jak bardzo obwinia się o to, co się stało.

Faris zacisnął usta.

– Nie chciał nam wierzyć – wtrąciła matka chłopaka i wysunęła palce z dłoni męża.

Pan Aydin zrobił gest, wskazując pokój, w którym się znajdowali.

– Moja żona ma na myśli, że przecież nie jesteśmy szczególnie religijni! Nie przestrzegamy nawet ramadanu. Kiedy syn pytał nas o islam, nie potrafiliśmy dać mu takich odpowiedzi, jak oczekiwał.

Kiedy to powiedział, jego żona spuściła głowę, uniosła dłoń i podrapała się po czole. Starannie wypielęgnowane paznokcie zostawiły trzy czerwone ślady. Faris pomyślał, że wyglądają jak rany.

– Właśnie dlatego w Internecie szukał interesujących go informacji – domyślił się Marc.

Tym razem to nie pani Aydin potaknęła, ale jej mąż.

Önur przeszedł zatem klasyczną drogę do radykalizmu. Faris stłumił westchnienie. Ileż to już razy spotykał się z rodzinami takimi jak ta: drugim czy trzecim pokoleniem muzułmańskich emigrantów, których rodzice przyjęli zachodni styl życia. Często nie potrafili przez to zaspokoić ciekawości dzieci, które z różnych powodów coraz bardziej interesowały się islamem. To z kolei skłaniało młodzież do poszukiwania tej wiedzy w sieci. A tam – niemalże zawsze – młodzi ludzie trafiali na strony prowadzone przez islamskich fundamentalistów, dlatego że Internet stał się dla nich głównym miejscem werbunku

narybku. Kolejnym krokiem były odwiedziny w którymś z meczetów finansowanych przez fundamentalistów, gdzie młodzież spotykała się z serdecznym i ciepłym przyjęciem w szeregi zgranej społeczności. I gdzie słuchała kazań radykalistów. Słów, które przedstawiały prosty, biało-czarny świat.

My – dobrzy.

Cała reszta – źli.

– Staraliśmy się wytłumaczyć mu, że to nie tak i żeby zajął się czymś innym – powiedział pan Aydin. – Niejeden wieczór spędziliśmy przy kuchennym stole na dyskusjach z nim i odpowiadaniu na jego pytania o islam i o... – zawahał się i spojrzał niepewnie na żonę. – I o takich sprawach jak czystość przed ślubem... to znaczy... – Zrobił się czerwony. Kiedy jego policzki oblały się rumieńcem, przekrwione oczy nie wyglądały już tak niepokojąco. Faris pomyślał, że to przez to, że wstyd zajął w nich miejsce żaloby.

– Rozmawiał z państwem o takich rzeczach?

W końcu pani Aydin postanowiła również włączyć się do dyskusji.

– Przecież o takich rzeczach się rozmawia. Może mi pan wierzyć, że to nic nadzwyczajnego.

Faris przez chwilę próbował wyobrazić sobie, jak ta drobna kobieta, która wywarła na nim wrażenie bardzo zdystansowanej, rozmawia z synem o seksie. Nie potrafił.

– Kiedyś Önur zażądał, i to dosłownie, żebyśmy zorganizowali mu wierzącą, religijną kobietę z Turcji. – Pan Aydin prychnął przy słowie „zorganizowali”, jakby do teraz nie mógł uwierzyć, że ono rzeczywiście wtedy padło. – Twierdził, że nie chce mieć nic wspólnego z niemieckimi szmatami. W końcu doszło do tego, że nie chciał nawet musnąć dłoni swojej matki, bo dla niego to miał być grzech! – przerwał i westchnął z rozpaczą. – Zaprowadziliśmy go do pracownika socjalnego przy meczecie, który miał się zajmować takimi sprawami. To Samir Chalid, tak się ten człowiek nazywa.

Faris poczuł na sobie spojrzenie partnera, jednak uznał, że nie będzie tłumaczył rodzicom Önura, że mężczyzna, o którym wspomnieli, to jego szwagier.

– Pan Chalid twierdził, że Önur porzucił te okropne poglądy i że wrócił na właściwą drogę.

Pan Aydin popatrzył Farisowi w oczy, a policjant dostrzegł w nich nieme błaganie: „Co się stało?! Pomóżcie nam zrozumieć, co się z nim naprawdę stało!”.

– Ale skoro tak, to dlaczego mimo wszystko wysadził się w powietrze? Ci fundamentaliści tylko psują nasze dzieci i mieszają im w głowach! Tak, to właśnie musieli zrobić z naszym synem – wyprali mu mózg! – Mężczyzna wypluwał kolejne słowa, jakby szlochał.

Faris przypomniał sobie groźbę, jaką usłyszał od dzwoniącego, że planuje zmusić również jego do zdetonowania bomby.

Pranie mózgu...

Wiedział, że każde kolejne pytanie będzie tylko powiększało ból rodziców, ale zdawał sobie sprawę, że musi je zadać. Nie mógł im tego oszczędzić.

– Macie państwo może jakieś podejrzenia, kto mógł namówić Önura do tego, co zrobił?

– A skąd mielibyśmy to wiedzieć? – Oczy pani Aydin niespodziewanie wypełniły się łzami.

Faris odwrócił wzrok, bo nie potrafił na to patrzeć.

Sięgnął do kieszeni i wyjął telefon.

– Nie mamy jeszcze stuprocentowej pewności, ale zabrałem ze sobą kopię zgłoszenia, które przyszło niedługo przed zamachem. Chciałbym teraz państwa poprosić, żebyście je odsłuchali i zastanowili się, czy głos osoby dzwoniącej wyda się państwu znajomy, dobrze?

– Podejrzewacie, że ten człowiek może mieć coś wspólnego ze śmiercią Önura? – Pan Aydin wyjął z kieszeni na piersi okulary i wsadził je na nos, jakby ich potrzebował, żeby lepiej słyszeć.

Faris potaknął. Potem uruchomił odtwarzanie. Kiedy nieznanemu zacytował Koran, a potem zażądał, żeby wezwać jego, Iskandera, pani Aydin kilkakrotnie wycierała usta chusteczką do nosa.

Po pierwszym nagraniu Faris odtworzył drugie.

– Czy znają państwo ten głos? Może słyszeliście go gdzieś wcześniej? – zapytał.

Ojciec Önura pokręcił głową.

– Ja nie. A ty? – Spojrzał na żonę.

Kobieta znów uniosła chusteczkę, ale w połowie ruchu się zatrzymała i opuściła dłoń.

– Nie – zaprzeczyła.

No oczywiście, że nie. To byłoby za proste!

Faris zmienił pozycję, żeby odciążyć obolałe żebra.

– Chcielibyśmy rozejrzeć się w pokoju syna.

Pan Aydin zerwał się z miejsca.

– Oczywiście! Proszę, tędy! – zgodził się bez wahania i ruszył przodem, żeby wskazać Farisowi drogę. Pani Aydin dalej siedziała na kanapie i odprowadzała ich wzrokiem. Policjant odwrócił się i posłał jej pełne współczucia spojrzenie. Ledwie wyszedł na korytarz w różane motywy, odezwał się jego telefon.

Przeprosił pana Aydina i odebrał.

Z początku nie słyszał zupełnie niczego. Dopiero po chwili odezwał się nieznajomy.

– Znasz może Nietzschego?

Farisowi zaschło w ustach.

– Znam, a co? – Spojrzał znacząco na Marca. Policjant zrozumiał i skoncentrowany ruszył w jego stronę. Faris przechylił nieco telefon, żeby kolega też mógł słyszeć słowa jego rozmówcy.

– Bo napisał coś, co mi tu bardzo pasuje – wyjaśnił nieznajomy. I zaczął cytować: – „Kto walczy z potworami, ten niechaj baczy, żeby sam przytem nie stał się potworem. Zaś gdy długo spoglądasz w bezdeń, spogląda bezdeń także w ciebie”^[2].

ROZDZIAŁ 10

Kiedy Anisah obudziła się po raz kolejny, usłyszała męski głos, który mówił coś o potworach. Przez chwilę miała wrażenie, że skądś dobiega również głosik małego dziecka, niewyraźny i przytłumiony. Głos bardzo sennego dziecka, które woła mamę... W końcu uświadomiła sobie, że to tylko jej wyobraźnia. O tej porze powinna być w przedszkolu i zajmować się swoją grupą w czasie leżakowania. Chemiczny posmak środka usypiającego był wprawdzie słabszy, lecz nadal wyraźnie go czuła. Nie rozumiała jedynie, po co ktokolwiek miałby podawać jej narkozę? No i gdzie w ogóle była?

Tym razem zdołała unieść powieki, lecz wokół niej unosiła się szara mgła, przez którą nie mogła niczego dostrzec. Po dłuższej chwili doszła do przekonania, że ściany dookoła mają żółtawy kolor. Dalej nie była w stanie poruszyć głową.

– To wszystko na nic! – zawołał głos.

Usłyszała tylko kilka słów, lecz to wystarczyło, żeby krew w jej żyłach zmieniła się w lód.

Faris! Musiał tu być!

Chciała krzyknąć, chciała zwrócić na siebie uwagę, jednak z jej gardła wydobył się ledwie cichy jęk. Podekscytowana i jednocześnie zdezorientowana słuchała dalej. Tym razem odezwała się jakaś kobieta.

– Proszę mi powiedzieć, co się wczoraj wydarzyło. Jeśli ty tego nie zrobisz, nie będę mogła ci pomóc.

Czy ten głos mógł należeć do jakiejś lekarki? I czy Faris, tak jak ona, trafił do szpitala?

Przez chwilę panowała cisza. Anisah uparcie usiłowała odzyskać kontrolę nad swoją twarzą. Czuła, jak wytrzeszcza oczy, chcąc ściągnąć na siebie uwagę. I choć w końcu zaczęła nawet odczuwać ból, nie osiągnęła celu.

Faris mówił dalej. Bardzo spokojnie, w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że tuż obok, na starej sofie, leży jego sparaliżowana siostra.

– Mijałem akurat przystanek autobusowy. Jakiś dzieciak się przewrócił i uderzył się w głowę. Zaczął płakać. – Jej brat zamilkł na dłuższą chwilę.

Wtedy właśnie zaczęło do niej docierać, że Farisa wcale tam nie było. To, co słyszała, to tylko nagranie. Rozmowa, którą ktoś odtwarzał.

Pojedyncza łza spłynęła z kącika jej oka. Choć głowę wypełniała mgła i niewiele jeszcze rozumiała, poczuła, że ogarnia ją przerażenie. Bardzo dziwny był ten szpital... Nie, coś tu się nie zgadzało!

– Proszę opisać własnymi słowami, co teraz czujesz – dotarł do niej ten sam kobiecy głos. – Na samym początku, kiedy do mnie trafiłeś, mówiłeś o otchłani, która się otworzyła w twoim wnętrzu.

Faris zwlekał z odpowiedzią.

– Otchłań. – Anisah usłyszała szybki rytm, wystukiwany długopisem o drewniany blat. – To przez wybuch tamtej bomby w muzeum. Wtedy coś we mnie pękło, a pęknięcie zmieniło się w otchłań. Kiedy w nią spoglądam, boję się samego siebie.

– O, no proszę! Już się obudziłaś! – Znów usłyszała ten sam męski głos, który zapamiętała z chwili, kiedy po raz pierwszy odzyskała przytomność. Tym razem dobiegł z większej odległości, jakby z innego pokoju.

Kroki. Coraz bliżej.

– Jak się czujesz?

Co za idiotyczne pytanie!

Anisah spróbowała odwrócić głowę.

– Nawet nie próbuj patrzeć w moją stronę! – zagroził jej mężczyzna.

Nie zamierzała go słuchać. Chciała spojrzeć w twarz osobie, która zmusiła ją, żeby znalazła się w miejscu, w którym nie chciała być. Jednak ciało wciąż wydawało się głuche na jej polecenia. Opuszkami palców przesunęła po szorstkim materiale obicia. Powoli stawały się coraz wrażliwsze na dotyk.

Pod sufitem, bezpośrednio nad nią, wisiała lampa. Nieznajomy mężczyzna ją włączył. Światło oślepiło Anisah.

Zacisnęła powieki.

Kroki zatrzymały się tuż obok. Mrużąc oczy, spróbowała się rozejrzeć. Jak to możliwe, żeby zwykła żarówka była tak oślepiająco jasna? Przerazenie z każdą chwilą przybierało na sile.

Kątem oka dostrzegła rękę nieznajomego. Przez sekundę wisiała nieruchomo tuż przy jej twarzy. Chwilę później poczuła delikatny dotyk na czole.

– Nie bój się. Jeszcze nie czas.

Jeszcze nie czas? Na co?

Strach ścisnął jej serce. Westchnęła przerażona.

– Spokojnie. – Nieznajomy odgarnął jej włosy z czoła. – Zaufaj bratu. Faris na pewno zrobi wszystko, żebyś jak najszybciej odzyskała wolność.

Żeby jak najszybciej odzyskała...

W głowie Anisah niespodziewanie pojawił się rozmazany obraz. Wspomnienie tego, jak siedzi w wagonie metra i jedzie po zakupy. I jak dosiada się do niej jakiś mężczyzna. Ukłucie w ramię... nagle wszystkie elementy ułożyły się w całość i zrozumiała.

Została uprowadzona!

Mężczyzna odwrócił się i odszedł.

Anisah poczuła jeszcze większy strach, kiedy w sąsiednim pokoju rozległy się głosy kolejnych osób. Ktoś nucił piosenkę, którą chyba знаła.

Potem jakaś kobieta zaczęła błagać tonem pełnym łez.

– Proszę, nie!

Chyba ktoś ją bił. Rozpaczliwy jęk przerwany ponurym klaśnięciem ciosu otwartą dłonią.

– Nie! – szepnęła kobieta, a potem nie było słyhać już nic poza przepelnionym bólem szlochem. I rytmicznym skrzypieniem. Po chwili dołączyło też rytmiczne postękiwanie, coraz szybsze i szybsze, aż w końcu przeszło w podniecony jęk. Wtedy wszystko ucichło. Anisah zrozumiała, że to również było nagranie. Przez kilka sekund nic nie słyszała. Ku jej zaskoczeniu z głośników popłynęły dźwięki tego samego nagrania, od początku. Znów usłyszała znajomą piosenkę, jęki jakiejś kobiety i jej błagania. Nagle uświadomiła sobie, że nieznajoma mówiła po arabsku.

Gdy po raz kolejny rozległo się skrzypienie i stękanie, Anisah zacisnęła powieki. Bardzo żałowała, że nie może zatkać uszu.

– Ten facet musi być świrem! – burknął Marc. – Co to miałyby znaczyć, co?

Faris wpatrywał się w telefon, który wciąż trzymał w dłoni.

– Najpierw tamta groźba z detonatorem. Potem pytanie, jak to jest, rozmawiać z wariatem przez telefon i szukać go po całym mieście? A teraz jeszcze to.

Nagle przypomniał sobie, że obok stoi ojciec Önura i czeka, co dalej.

– Mógłby pan zostawić nas na chwilę samych? – poprosił go grzecznie.

Pan Aydin potaknął.

– Oczywiście. Pójdę poprosić żonę, żeby przygotowała nam jakieś picie.

Mężczyzna wrócił do salonu i powiedział coś do żony. Kobieta z wysiłkiem podniosła się z kanapy i poszła do kuchni. Ojciec Önura ruszył za nią i zamknął drzwi.

Faris wybrał numer Tromsdorffa. Kiedy szef odebrał, poinformował go krótko o telefonie od nieznajomego i o tym, co od niego usłyszał.

– W porządku – powiedział Tromsdorff bardzo powoli. – Słyszę, że jesteś zaniepokojony. Dlaczego?

– Ten cytat... mam wrażenie, że odnosi się do czegoś... co doktor Roth... stosowała ze mną... – Farisowi brakowało słów, więc dokończył zdanie z sarkastycznym, bezradnym westchnieniem. – Nikomu o tym nie wspominałem, ale pracujemy na podstawie czegoś w rodzaju techniki wizualizacji. Chce, żeby opisywał swoje odczucia jako obrazy. – Wypuścił powietrze nosem. – Wykorzystywaliśmy między innymi wyobrażenia otchłani, bezdeni, przed którą stoję i do której powinienem odwrócić się

plecami i odejść.

Jego współpracownicy potrzebowali chwili, żeby zrozumieć prawdziwe znaczenie usłyszanych słów. W końcu Marc potaknął bardzo powoli, a Tromsdorff zapytał:

– Myślisz, że on o tym wie?

Faris wzruszył ramionami.

– Żebym to ja wiedział! Mówię tylko, jak jest. Ten czubek ma jakiś plan i go realizuje. Powoli zaciska pętlę wokół mnie. Chyba najlepiej będzie wysłać kogoś do Andrei, żeby ją o to zapytać. A Ben niech sprawdzi, czy ktoś mógł się włamać do jej komputera. Wiem, że ona nagrywa nasze spotkania, tak samo jak my nagrywamy rozmowy ze świadkami.

Tromsdorff stwierdził, że to dobry pomysł, a kiedy rozmowa dobiegła końca, Faris wreszcie mógł wejść do pokoju zamachowca.

– Tylko niczego nie dotykajcie! – powiedział jeden z techników zabezpieczających ślady.

Faris stanął pośrodku pomieszczenia i się rozejrzył.

Na pierwszy rzut oka wyglądało tu jak w pokoju najzwyczajszego nastolatka. Łóżko, jakaś szafa i komoda. Ściana nad miejscem do spania została wytapetowana plakatami i obrazkami przedstawiającymi sceny z gier komputerowych. Dosłownie wytapetowana, bo zdjęcia i ilustracje wycięte z gazet umieszczono na niej nie za pomocą taśmy klejącej czy pinezek, lecz właśnie z użyciem kleju do tapet.

Pan Aydin wrócił z dwiema szklankami herbaty i stanął niezdecydowanie w drzwiach. Zauważył, że policjant przygląda się kolorowej ścianie nad łóżkiem jego syna.

– Kiedy zaczął się zmieniać – powiedział – zasłonił to wszystko czarnym materiałem.

Prawą dłonią, w której trzymał jedną ze szklanek, wskazał na gwoździe tuż pod sufitem, a potem na czarną, starannie złożoną chustę. Ktoś odłożył ją na poduszkę.

– Moja żona ją zdjęła. Od razu po tym, jak poinformowano nas, że Önur... – Głos mu się załamał i odwrócił głowę. Zamrugał głęboko poruszony. W końcu odstawił szklanki na brzegu biurka obok wejścia. Technik w kombinezonie jednorazowym zmarszczył z dezaprobatą brwi.

Faris stał dalej w środku pokoju i starał się poczuć jego atmosferę. Marc czekał w korytarzu. Dopiero kiedy jego nowy partner ruszył w kierunku biurka z komputerem, precyzyjnie się obok pana Aydina i wszedł do środka.

Na ścianie nad monitorem wisiał regał, na którym rzędem stały podręczniki szkolne, zeszyty i oprawiony w czarne płótno Koran. Przestrzeń między regałami a blatem biurka wypełniał starannie wymalowany arabski napis. Zawierał on słowa, od których zaczynała się większość sur: *bi-smi llah ar-rahman ar-rahim*. „W imię Boga miłosiernego, litościwego”, przetłumaczył Faris dla Marca.

Policjant pomyślał, że w pokoju Önura bardzo niewiele detali wskazywało na zradkalizowaną postawę nastolatka. Na pierwszy rzut oka nie powiedziałby, że mieszkał tu ktoś, kto wysadził się w publicznym miejscu. Ba, w ogóle by w to nie uwierzył. Ruchem głowy wskazał na komputer.

– Można już? – zapytał jednego z techników.

Mężczyzna zrobił zapraszający gest ręką.

– Od tego zaczęliśmy, więc proszę bardzo.

Faris odsunął krzesło, usiadł na nim i włączył komputer.

Marc splótł ramiona na piersi.

– Spodziewasz się coś znaleźć?

– Aha. Mejlle. – Spojrzał na niebieski ekran sygnalizujący ładowanie się systemu. – Kopie listów, które napisał. Może jakiś manifest, który tłumaczyłby, co nim kierowało. Wiesz, jak w przypadku tego szaleńca z Utoya. Coś, co uzasadniałoby, dlaczego zrobił to, co zrobił. – Wskazał na arabski napis na ścianie, Koran, a potem na plakaty nad łóżkiem. – Dla mnie to nie wygląda jak pokój kogoś, kto wszedł głęboko w środowisko islamistów.

Marc podążył wzrokiem za jego palcem.

– No nie – mruknął. – Masz rację. Też bym go o to nie posądzał.

Podszedł do nocnej szafki przy łóżku i wziął do ręki oprawioną fotografię, która tam stała.

Technicy umazali ją całą proszkami daktyloskopijnymi.

– Chociaż to tutaj... – Odwrócił ramkę tak, żeby Faris mógł zobaczyć zdjęcie. Przedstawiało ono Önura i około pięćdziesięcioletniego mężczyznę. Stali obok siebie i uśmiechali się do obiektywu. Starszy z nich miał na głowie czapkę zrobioną na szydełku, a jego długą brodę przyprószyła już siwizna.

– Tego znamy, co? – zapytał Marc.

Faris przyjrzał się kanciastej twarzy.

– Martin Bemme.

Jak na karcie z autografem, ktoś przez całe zdjęcie zapisał czarnym flamastrem kilka słów po arabsku. Faris przetłumaczył:

– „Dla mojego brata Abd Al-Ghaffar. Hamid Al-Adil”.

Hamid Al-Adil. Policjant go znał: tak właśnie się nazywał Martin Bemme, kiedy przeszedł na islam. Drugie musiało być pseudonimem, którego używał Önur.

– Al-Ghaffar – mruknął. – Wiesz, co to znaczy? Wybaczący.

– Specyficzny wybór jak na kogoś, kto rozgłasza swoje poglądy, detonując bombę na zatłoczonym placu w centrum miasta!

Marc poczuł się chyba głupio, kiedy uświadomił sobie, że pan Aydin usłyszał jego dosadne słowa.

Faris przypomniał sobie, co powiedział nieznanemu przez telefon. To on namówił Önura do zdetonowania bomby.

– Jestem coraz bardziej przekonany, że chłopak nie głosił swoich poglądów, tylko poglądy kogoś innego.

– Też racja. – Marc podszedł z fotografią do szafki nocnej, ale zanim ją odstawił, wyjął komórkę i zrobił jej zdjęcie.

Policyjni technicy spakowali swoje rzeczy i wyszli z pokoju. Gestem pożegnali się z Farisem i Markiem.

– Powodzenia! – życzył jeden z nich.

Faris skinął głową, po czym podniósł jedną ze szklanek z herbatą i dmuchnął ostrożnie na gorący napar. Komputer zdążył wystartować, lecz ekran powitalny żądał hasła. Policjant odstawił szklankę.

– No pięknie! Czyli niczego się nie dowiemy!

– Wcale nie – mruknął pan Aydin, nie podnosząc wzroku.

Obaj policjanci popatrzyli na niego. Faris znów uniósł szklankę i upił łyk herbaty.

– No bo... ja... podejrzewałem jego hasło – wyznał ojciec Önura. – Chciałem wiedzieć, czy to, co robi mój syn, jest naprawdę niebezpieczne.

Faris pomyślał, że musi zrewidować swoje zdanie na temat starszego mężczyzny. Dotychczas uważał go za kogoś, kto zmęczony pracą i codziennością nie poświęcał czasu synowi. Podejrzewał, że pan Aydin był raczej zadowolony, kiedy Önur zamykał się w swoim pokoju i nie sprawiał problemów; oczywiście tylko do chwili, kiedy z przestachem się zorientował, że zbyt długo nie widział chłopaka. Policjant uświadomił sobie, że pierwsze wrażenie było jednak mylne. Pan Aydin interesował się synem i to na tyle, żeby podejrzeć jego hasło do komputera, a to przecież musiało być dla niego wątpliwe moralnie. Policjant odstawił szklankę i położył dłonie na klawiaturze.

– Słucham! Proszę dyktować!

– *Hakimiyyat Allah*. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Przykro mi. Takie hasło wybrał sobie mój syn.

Faris wpisał w odpowiednim miejscu podyktowane słowa. *Hakimiyyat Allah* było wyrażeniem oznaczającym pełnię władzy Allacha nad ludźmi, a zostało sformułowane przez wpływowego arabskiego myśliciela dwudziestego wieku, jednocześnie członka egipskiego Bractwa Muzułmańskiego. *Hakimiyyat Allah* można było przetłumaczyć jako stworzenie boskiego kalifatu, w którym demokracja i jakiegokolwiek ludzkie rządy byłyby całkowicie zbędne.

Po zatwierdzeniu wprowadzonego hasła, na ekranie pojawił się pulpit upstrzony ikonami różnych folderów. Policjant najpierw uruchomił program pocztowy i otworzył skrzynkę odbiorczą, a potem

sprawdził listę wysłanych wiadomości. Wszystkie były zaszyfrowane. Zamiast nadawców i tytułów mejli program wyświetlał bezsensowny ciąg znaków i cyfr. Bardzo podobnie wyglądała treść otwieranych po kolei wiadomości. Następnie Faris uruchomił przeglądarkę i sprawdził historię otwieranych stron. Önur kilka razy dziennie logował się na Facebooka. Policjant kliknął adres portalu, spodziewając się pytania o kolejne hasło. Ku jego zaskoczeniu nic takiego się nie stało. Nastolatek pozwolił przeglądarce zapamiętać dane konieczne do logowania na jego koncie facebookowym. Strona załadowała się bez najmniejszych problemów.

Faris aż gwizdnął cicho z wrażenia.

Profil, który pojawił się na ekranie komputera, podpisany był pseudonimem Önura, *Abd Al-Ghaffar*, i zawierał znaczną liczbę islamistycznych symboli.

Zdjęcie profilowe przedstawiało nastolatka w czarnym mundurze i z Koranem w dłoni. Za jego plecami widać było fragment okna i zasłony, która jeszcze dziś rano wisiała na ścianie nad łóżkiem. Jako zdjęcie w tle chłopak wybrał bardzo ozdobnie wykaligrafowaną wersję *bi-smi llah ar-rahman ar-rahim*, a wśród publikowanych i udostępnianych postów co rusz pojawiały się symbole organizacji, które – z tego, co Faris kojarzył – znajdowały się pod czujnym nadzorem Urzędu Ochrony Konstytucji.

Zapis czatów Önura z kolegami zawierał długie i wyczerpujące rozmowy na tematy religii i życia z nią w zgodzie. Kilka razy pojawiało się słowo *dżihad*, w tym zapisywane również po angielsku *jihad*. Faris otworzył jeden z linków, podesłanych przez użytkownika Dursun, i trafił na stronę, gdzie słowo *jihad* było tłumaczone zgodnie z jego pierwotnym, pokojowym znaczeniem.

– „W kontekście religijnym oznacza jeden z najważniejszych filarów islamu, a mianowicie dążenie do prowadzenia pokojowego i zgodnego z nakazami religii życia” – odczytał.

Marc, który zaglądał mu przez ramię, wskazał palcem na komentarz zawierający link do filmu na YouTube.

– Otwórz to.

Łącze było już nieaktywne i zamiast załadowania strony z filmem, na ekranie komputera pojawiła się informacja, że poszukiwana treść została usunięta z serwisu ze względu na naruszenie porządku prawnego Republiki Federalnej Niemiec. Faris zatrzymał wzrok na tytule usuniętego filmu: *Zabierają nam wszystko, co kochamy. Odbierają nam nasze kobiety*.

– Ty, czekaj! – Zminimalizował okno przeglądarki i wrócił na pulpit. Jeden z plików, zapisany bezpośrednio na nim, nosił dokładnie taki sam tytuł: *Zabierają nam wszystko, co kochamy*.

Policjant uruchomił odtwarzanie. Przez dwie, może trzy sekundy nic się nie działo, ale w końcu załadował się odpowiedni program i na ekranie pojawił się odtwarzacz multimedialny.

– Chryste Panie! – jęknął Marc. – Co to ma być?

*

Film przedstawiał kobietę w nikabie, która kuliła się przerażona w kącie pomieszczenia. Jakiś mężczyzna, którego nie było widać na nagraniu, zaśpiewał coś cichym głosem. Faris poczuł ciarki na plecach. To była kołysanka, która cieszyła się popularnością w całym arabskim świecie. Mówiła o tym, jak bardzo matka kocha swoje dziecko.

Przypomniał sobie, że kiedy był mały, matka śpiewała ją jemu, Anisah i młodszemu rodzeństwu.

Słowa kołysanki opowiadały o ómach lecących do światła i o poetach, którzy nocami piszą swoje piosenki, a matka w tym czasie wpatruje się w księżyc i kołysze dziecko do snu.

Jedna ze zwrotek brzmiała mniej więcej tak: dziś moje serce chce tylko śpiewać, przez całą noc tylko śpiewać, bo księżyc cudownie rozświetla mroczne niebo. Moje serce chce tylko śpiewać, przez całą noc tylko śpiewać, bo moje dziecko, moje ukochane maleństwo daje mi szczęście.

Faris doskonale pamiętał, że w dzieciństwie często pytał, skąd w tej kołysance wzięły się ómy.

– Przecież jeśli lecą do światła – dziwił się – to się spalają. Chyba nie o to im chodzi, prawda?

Piosenka na filmie nagle zamilkła, a na ekranie ukazał się żołnierz w amerykańskim mundurze.

– Nie... proszę, nie! – jęczała kobieta po arabsku, jednak on nie zwracał uwagi na jej błagania. Uniósł dłoń, wziął zamach i uderzył ją w twarz z taką siłą, że zahaczyła głową o krawędź stołu. Mężczyzna podniósł ją i znów uderzył, po czym rzucił ją na blat, przycisnął brutalnie i wolną ręką zaczął

szukać drogi pod jej ubranie.

– Nie! – skamlała kobieta, lecz on na nic nie zwracał uwagi.

Kiedy żołnierz brutalnie rozwarł jej nogi, Faris zatrzymał odtwarzanie.

– Na Allacha! – szepnął pan Aydin. – Myślą panowie, że on i jego koledzy oglądali takie nagrania?

– Czy to... czy to naprawdę...? – zapytał Marc.

– Pojęcia nie mam. – Faris zapragnął zamknąć oczy i tak długo trzeć powieki, aż pozbędzie się spod nich niechcianych obrazów. Zadzwoił do Bena z laboratorium kryminalistycznego. – Ben, mam tutaj komputer ze sporą liczbą zaszyfrowanych mejli – powiedział. – Poradzisz sobie z czymś takim?

– Czekaj, sprawdzę w szklanej kuli – burknął Ben. – Skąd mogę wiedzieć, skoro nie widzę, jak to wygląda? – dodał. – Dostarcz maszynę na miejsce, to obejrzę i dam ci znać, co i jak.

– Świetnie. Dzięki. – Policjant zakończył rozmowę i spojrzął na ojca Önura. – Bardzo mi przykro. Niestety, musimy zabrać komputer i dokładnie sprawdzić zawartość dysku.

Mężczyzna bez wahania potaknął.

– Tak zróbcie. To chyba najlepsze rozwiązanie. Nie chciałbym, żeby moja żona musiała oglądać te nagrania. – Z obrzydzeniem spojrzął na monitor.

Faris się domyślił, że on również nie mógł uwolnić głowy od ponurych obrazów.

Podziękował mu za współpracę, po czym wrócił do przeglądania profilu Önura na Facebooku. Wyświetlił komentarze pod linkiem do informacji o dżihadzie.

– Dżihad jako reguła pokoju? – pytał Önur Dursuma. – Też tak to rozumiesz?

Dursun odpowiedział mu pytaniem:

– A ty nie?

Önur nie zareagował na jego słowa, a w każdym razie nie było widać, żeby wysłał mu jakąkolwiek wiadomość. Faris oparł się łokciami o blat i odsunął włosy z czoła.

– Wygląda na to, że dopiero dzisiaj na Breitscheidplatz wyjaśnił, jak rozumie to słowo – mruknął głucho.

*

– Tylko bardzo proszę, niech pan nie da jej się nabrać – powiedziała pielęgniarka, która prowadziła Alfonsa Rühmanna długim korytarzem domu spokojnej starości w dzielnicy Charlottenburg. – Bardzo się starała wyglądać naprawdę z klasą, ale wie pan, wygląd zewnętrzny to nie wszystko, bo tutaj... – Kobieta postukała się w czoło, jakby chciała podkreślić, o czym mówi. – Tutaj w środku nie wygląda najlepiej. – Uśmiechnęła się zawstydzona, bo chyba sama uznała, że jej słowa nie zabrzmiały szczególnie miło.

Rühmann spoglądał na linoleum, którym pokryta była podłoga. Domy spokojnej starości, takie jak ten i wiele innych, wzbudzały w nim bardzo mieszane uczucia. Nie lubił ich, od kiedy jego matka zmarła w takiej instytucji. Jakaś niedouczona opiekunka przez kilka dni podawała jej niewłaściwe dawki leków nasercowych – był o tym przekonany, mimo że nie udało mu się tego udowodnić. Kobieta, którą o to podejrzewał, była w bardzo podobnym wieku co pielęgniarka, która prowadziła go do pokoju Agnes Zöllera, matki Christiana Zöllera.

– To tutaj! – zaszczebiotała opiekunka i zatrzymała się przed szerokimi drzwiami, ozdobionymi słonecznikiem z tektury, na którym koślawym, jakby skreślonym przez staruszkę pismem, napisano „Agnes”. Pod spodem ktoś dużo wyraźniej wykaligrafował to samo imię. Policjant pomyślał, że nawet w ten sposób chciano podkreślić, że pensjonariuszka nie jest w stanie sama funkcjonować.

Zacisnęła zęby.

– Dziękuję – powiedział. – Jeśli można, chciałbym wejść do niej sam.

Pielęgniarka skinęła głową.

– Oczywiście, to żaden problem. Pani Zölller nie jest chyba niebezpieczna, prawda? – Uśmiechnęła się szeroko. – Zresztą nawet gdyby była, ma pan przecież pistolet, prawda? – Widząc ponure spojrzenie funkcjonariusza, gwałtownie zamilkła i oblała się rumieńcem wstydu. – Oj, już dobrze! To był tylko dowcip. Ale proszę pamiętać, co panu mówiłam: niech pan nie da się nabrać jej

wyglądowi. Prawie na pewno to, co powie, nie będzie miało najmniejszego sensu.

Rühmann raz jeszcze jej podziękował, po czym zapukał do drzwi i poczekał na energiczne:

– Proszę!

– Dzień dobry, pani Zöller! – Zajrzał do pokoju.

Pomieszczenie było bardzo przestronne i jasne, lecz nawet kilka zabytkowych mebli i drogo wyglądających akwareli na ścianach nie mogło ukryć faktu, że to po prostu szpitalna sala. Takie same łóżka i szafki nocne można było znaleźć na każdym oddziale z chorymi.

Rühmann spróbował nie myśleć o swojej matce i skupił się na prowadzonej sprawie.

– Pan jest z policji? – zapytała pensjonariuszka, kiedy się przedstawił, i uniosła brew.

Siedziała w fotelu, w którym jej drobna, krucha postać wyglądała jeszcze bardziej ulotnie. Miała na sobie bardzo elegancki zestaw składający się ze spódnicy i bluzki ze sweterkiem w dystyngowanym beżu. Siwe i zadbane, choć nieco przeredzone włosy były ułożone w fale, a jej wyschniętą i pomarszczoną szyję oplatał sznur pereł. Policjant domyślał się, że są prawdziwe.

Mężczyzna wyjął legitymację i podał ją kobiecie.

Przyglądała się jej przez chwilę.

– Rzeczywiście. Pan jest z policji – potwierdziła. – Przyszedł pan w sprawie Konrada?

Rühmann wiedział, że Konrad był jej mężem i że od wielu lat nie żył. Delikatnie pokręcił głową.

– Nie, pani Zöller. Przyszedłem w sprawie pani syna.

– Christiana? – Dłonią o bardzo zadbanych paznokciach wskazała na drugi fotel.

Policjant podziękował i usiadł.

– Muszę niestety przekazać mu bardzo smutną wiadomość, lecz nie wiem, gdzie mógłbym go znaleźć. Dlatego przychodzę do pani.

Poczekał, co powie, lecz kiedy dostrzegł jej niewidzące spojrzenie, zrozumiał, że nie ma pojęcia, o czym on mówi.

– Czy domyśla się pani, gdzie mógłbym znaleźć pani syna? – Musiał się pilnować, żeby odruchowo nie mówić głośniej. Dlaczego podczas rozmowy z kimś nie w pełni władz umysłowych człowiek mimowolnie podnosił głos?

Staruszka pokręciła głową.

– Od wielu lat nie mam z nim kontaktu. Zatem twierdzi pan, że jest pan z policji, tak?

Funkcjonariusz potaknął cierpliwie.

– Policja. W takim razie przychodzi pan pewnie w sprawie Konrada. Już zaczęłam się zastanawiać, dlaczego tyle wam to zajęło. Skusi się pan na kawałek ciasta? Właśnie wyjęłam z piekarnika.

Rozejrzał się po pokoju. Nie dostrzegł nigdzie nawet kuchenki mikrofalowej.

– Moje tarty brzoskwińowe cieszą się sporym uznaniem, pochwałę się nieskromnie – ciągnęła pani Zöller. – Konrad je uwielbiał, ale obawiam się, że to mu nie wyszło na dobre. To jak, namówię pana na kawałeczek? Przepis dostałam od pewnej staruszki z Awinionu. Przepyszne! – Spróbowała wstać, ale Rühmann ją powstrzymał.

– Dziękuję bardzo, ale muszę odmówić.

Kobieta spojrzała na niego rozczarowana, więc zmusił się do uśmiechu.

– Moja żona również bardzo lubi piec ciasta i wiem, że dziś też coś przygotowała, więc gdybym wrócił i nie mógł już niczego zjeść, byłaby bardzo niezadowolona!

– Oj, tego przecież byśmy nie chcieli. – Staruszka ściągnęła usta. – Muszę panu wyznać, że kiedy Konrad wpadał w złość, był nie do wytrzymania.

Policjant wstał. Spotkanie z panią Zöller nie wniosło i nie wniesie już niczego do śledztwa; pielęgniarka miała rację, kiedy go ostrzegała. Mimo to podjął ostatnią próbę wyciągnięcia z niej jakiejś użytecznej wiadomości.

– Czy ma pani pomysł, gdzie powinienem szukać Christiana, pani syna? – zapytał powtórnie.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Christian nigdy nie doceniał moich tart brzoskwińowych. Za pierwszym razem, kiedy go

poczęstowałam, przeoczyłam w owocach jakiegoś robaka i to go tak obrzydziło, że już...

To była kropla, która przepełniła czarę, i policjant dał za wygraną.

– Dziękuję, pani Zölller. Bardzo mi pani pomogła.

Był zaskoczony swoją postawą. Nie miał pojęcia, dlaczego powiedział jej coś, co nie było prawdą. Choć nie, właściwie to jasne – po prostu poczuł potrzebę, żeby przywołać uśmiech na twarzy samotnej staruszki.

– Czy smakowała panu moja tarta? – zapytała.

Nachylił się i pogłaskał ją po dłoni.

– Była przepyszna! – skłamał i postanowił, że wystąpi o nakaz przeszukania mieszkania Zöllera. Potem odwrócił się i ruszył do wyjścia.

ROZDZIAŁ 11

Faris i Marc odłączyli komputer Önura i zapakowali go do samochodu, żeby zawieźć na Keithstraße. Kiedy weszli do War Roomu, w biurze wydziału WPR panowała atmosfera skupienia i wyraźnie wyczuwalnego napięcia, charakterystyczna dla skomplikowanych śledztw prowadzonych w dodatku pod presją.

Robert Tromsdorff i Friedrich Gerlach stali przy dwóch białych tablicach zmazywalnych, na których na bieżąco dokumentowano postępy śledztwa. Prowadzili ożywioną rozmowę i przyglądali się, jak Ben Schneider umieszcza na jednej z tablic wydruki zdjęć i podpisuje je specjalnym flamastrem.

Poza tymi trzema mężczyznami w biurze pracowała również kobieta o krótkich blond włosach. Siedziała przy swoim biurku, w lewej dłoni ścisnęła piłkę do tenisa i nie odrywała wzroku od monitora. Kiedy Faris i Marc wnieśli komputer zamachowca, podniosła głowę i pomachała im na powitanie.

– Cześć! – powiedziała.

W drodze do biurka Bena, Faris skinął w jej stronę głową.

– Witaj, Shannon!

Policjantka przyjrzała mu się bardzo uważnie. Spodziewał się, że będzie chciała złożyć mu kondolencje z powodu Laury. Na szczęście tego nie zrobiła. Uśmiechnęła się tylko z delikatnym współczuciem, a on był jej za to bardzo wdzięczny. Każde słowo o Laurze sprawiało, że chciał się załamać i poddać.

Ben skończył umieszczać zdjęcia na tablicy i wrócił do swojego biurka, żeby zająć się komputerem dostarczonym przez kolegów.

Kiedy zaczął go przygotowywać do sprawdzenia zawartości dysków, Faris podszedł do tablicy i przyjrzał się zawieszonym na niej zdjęciom. Jedno z nich przedstawiało Önura i wyglądało, jakby zostało skopiowane z jakiegoś dokumentu, dowodu osobistego albo prawa jazdy zapewne. Chłopak miał na nim bardzo szczere, otwarte spojrzenie. Policjant poczuł się tak, jakby jego serce spowijał szeleszczący celofan. W biurze Rühmanna, niespodziewanie zdał sobie sprawę, musiała stać bardzo podobna tablica, na której wisiało zdjęcie innej ofiary: Laury.

Zauważył, że Tromsdorff nie spuszcza z niego uważnego wzroku.

– Dajesz radę? Wszystko w porządku? – zapytał szef.

Faris odwrócił głowę.

– Jakoś daję. Dzięki.

Ben w tym czasie podłączył komputer do monitora i czekał, aż załaduje się system.

– Znamy hasło? – zapytał.

Kiedy Faris skończył dyktować, zabrał się do przeglądania dysku.

– Ile czasu może zająć odczytanie zaszyfrowanych mejli? – zapytał Faris, lecz nie doczekał się odpowiedzi.

Uznał, że lepiej pozwolić technikowi pracować, i nie powtarzał już pytania. Akurat kiedy chciał się zabrać do pisania raportu na temat wizyty w domu zamachowca i rozmowy z jego rodzicami, otworzyły się drzwi biura i do pomieszczenia wmaszerowała szósta i ostatnia członkini wydziału WPR. Była to kobieta w średnim wieku, ubrana w szeroką, krwistoczerwoną spódnicę i bluzkę w duże, czarno-czerwone wzory. Długie włosy ufarbowane na ten sam kolor spięła wysoko, ale dość luźno, tak że pojedyncze kosmyki spadały jej na plecy i ramiona. Gitta Müller była sekretarką i archiwistką całego wydziału. Sama siebie nazywała matką całej ekipy, a swoim zachowaniem udowodniała, że to nie był żart. Rozłożyła ramiona i ruszyła w stronę Farisa.

– Nie wiem, co mogłabym powiedzieć, żeby ci pomóc! – Miała ciepły głos, mówiła nieco zbyt głośno, a jej twarz wyrażała szczerą troskę. Zdecydowanym ruchem przyciągnęła Farisa do piersi. – Tak strasznie mi przykro z powodu Laury! – szepnęła wtulona w zagięcie jego szyi. – No i jeszcze ta eksplozja i cała reszta... – zamilkła.

Czuł na skórze jej ciepły oddech.

Oswobodził się z jej ramion zdecydowanym gestem, ignorując palący ból potłuczonych żeber.

– Dzięki, Gitta.

Bał się, że zacznie drzeć, jeśli pozwoli sobie choć chwilę dłużej na tę bliskość i odczuwanie matczynej ciepła.

– No dobrze. – Tromsdorff sięgnął po flamaster. – Po obecności kolegi Gerlacha i Bena zorientowaliście się już chyba, że departament piąty oficjalnie upoważnił WPR do działań w sprawie Önura Aydina, sprawdzenia środowiska, z którego się wywodził, i jego powiązań. Mamy w ten sposób pomóc ustalić, czy chodzi o pojedynczego sprawcę, czy może należałoby się raczej spodziewać kolejnych ataków. – I zwrócił się do Farisa: – Chyba rozumiesz, co to oznacza, prawda?

Faris potarł kark. Oczywiście, że rozumiał. Tromsdorff musiał powiadomić ludzi z piątki o jego roli w tej sprawie. W zasadzie powinien się spodziewać, że wiedza na ten temat nie pozostanie zbyt długo wewnątrz samego WPR-u. Chodziło w końcu o informację, że jakiś szaleniec chce zmusić jednego z policjantów do przeprowadzenia kolejnego zamachu, a to oznaczało, że wszyscy zainteresowani powinni jak najszybciej się o tym dowiedzieć.

– W ogóle to jestem zdziwiony, że Geiger jeszcze tu nie ma – mruknął, zdjął marynarkę i odwiesił ją na oparciu krzesła.

Tromsdorff uśmiechnął się ponuro.

– Jeszcze. To tylko kwestia czasu! W tej chwili jest zajęta podlizywaniem się senatorowi odpowiedzialnemu za sprawy wewnętrzne. Musimy wykorzystać ten czas! Tak długo, jak Ben będzie siedział nad złamaniem szyfrowania mejli, a koledzy ze sto trzynastego u Andrei będą usiłovali wybadać, skąd ten śmieć ma taką wiedzę o Farisie, my zajmiemy się naszą robotą. – Uniósł flamaster, żeby pokazać, że jest gotów zapisywać ich ustalenia na tablicy. – Dobra. Faris, Marc, czego dowiedzieliście się od rodziców zamachowca?

Marc przystąpił do relacji. W kilku słowach opowiedział o czarnej chuście, którą Önur zasłonił plakaty na ścianie, o profilu na Facebooku i o jego poszukiwaniach na temat dżihadu. Wspomniał również o nagraniu gwałtu, jednak na tym etapie postanowił nie wchodzić w szczegóły.

– To by oznaczało, że chłopak rzeczywiście się radykalizował – stwierdziła Shannon.

– I tak, i nie. – Faris pokręcił głową. Kiedy Marc mówił, on zajął miejsce za swoim biurkiem i zamyślony przesuwał palcami po krawędzi blatu jak po klawiszach fortepianu. – Jeśli możemy wierzyć jego rodzicom, w pewnej chwili odwrócił się od radykalizmu. – Spojrzał na Tromsdorffa. – Zakładam, że mój szwagier będzie w stanie powiedzieć nam znacznie więcej na jego temat. Zajmował się Önurem. Jestem pewien, że nam pomoże.

– A nie sądzicie, że powinniśmy przede wszystkim zająć się tym facetem, który zadzwonił na policję, a potem do Farisa? – zauważył Marc. – No bo wiecie, w końcu to on pociąga za sznurki. Dlatego chyba najważniejszym zadaniem byłoby ustalić, z kim właściwie mamy do czynienia i co nim kieruje.

Tromsdorff spojrzał na tablicę i po chwili przy nazwisku Önura zapisał słowo „radykalizowany”, po czym opatrzył je sporym znakiem zapytania. Następnie dorysował obok zdjęć jeszcze jedną kolumnę, którą podpisał jednym tylko słowem: „Dzwoniący”.

Zamiast znaku zapytania umieścił przy nim pusty prostokąt. Faris pomyślał, że jego podwójna ramka przypomina klepsydrę.

– Co o nim wiemy? – zapytał szef WPR-u i spojrzał na swoich pracowników.

Pierwsza głos zabrała Shannon:

– Bazując na bardzo szczątkowych informacjach, którymi dysponujemy, udało nam się przygotować wstępny zarys profilu tego człowieka. Ben, zechciałbyś odtworzyć nagranie z pierwszego zgłoszenia?

– Sama nie możesz? – Nie odrywając wzroku od monitora podłączonego do komputera Önura, Ben rzucił jej pilota. Kobieta schwyciła go w locie i uruchomiła odtwarzanie. Sekundę później całe pomieszczenie wypełnił głos nieznanego:

– „I zabijajcie ich, gdziekolwiek ich spotkacie, i wypędzajcie ich, skąd oni was wypędzili! Prześladowanie jest gorsze niż zabicie”.

Faris zauważył, że Gitta zadrżała na dźwięk tych słów.

– Dlaczego zawsze musi nam się trafić taki czubek? – szepnęła.

Nikt jej nie odpowiedział, bo każdy słuchał uważnie każdego dźwięku z nagrania.

– Słyszała pani? – pytał właśnie dzwoniący.

– Tak, ale musi mi pan podać swoje nazwisko! – zażądała kobieta z centrum powiadamiania ratunkowego.

Mężczyzna ją zignorował.

– Wezwijcie podkomisarza Iskandera. Powiedźcie mu, że ma przyjechać na Breitscheidplatz. Natychmiast! – Chwila przerwy. A potem: – Słyszała pani?!

Shannon włączyła pauzę i przerwała odtwarzanie.

– To wykształcony człowiek. Dobór słownictwa sugeruje kogoś z wyższym wykształceniem. Mężczyzna w średnim wieku, moim zdaniem przed czterdziestką.

– Tylko dlaczego upiera się, żeby ściągnąć na miejsce Farisa? – zapytał Marc. – To ma być jakaś forma jego manifestu, czy co?

– Wszystko, co robi i mówi, jest częścią jego manifestu. – Shannon przyznała mu rację. – Bomba, zgłoszenie z cytatem z Koranu. I pewnie też to, że wciąga do swojej gry Farisa. W ten sposób nadaje znaczenie swojej misji. – Pozostali spojrzeli na nią wyczekująco, więc dokończyła: – Po zastrzeleniu zamachowca, który podkładał bomby w czasie Ekumenicznych Dni Kościoła, Faris stał się w zasadzie sławną postacią. Jego zdjęcia pojawiały się we wszystkich mediach. Nawet „Der Spiegel” o tobie pisał, Faris! Domyślam się, że ten człowiek chce skorzystać z twojej sławy.

– W takim razie wychodzimy z założenia, że ten człowiek to islamista, zdecydowany na stosowanie przemocy, dążący do wywołania jak największego oddźwięku swoimi działaniami? – Tromsdorff spojrzał na podwładnych.

– Chyba wszystko na to wskazuje, co? – Shannon podrzuciła piłeczkę do tenisa i zwinnie ją złapała. – Wybierając Farisa na swojego kolejnego zamachowca, pokazuje to bardzo wyraźnie: patrzcie, jaki jestem potężny! Mogę zmusić waszego bohatera, żeby wykonywał moje polecenia!

Faris skrzywił się na dźwięk słowa bohater, ale w żaden sposób tego nie skomentował.

– Hm – mruknęła Gitta. – Tylko że przecież może być dokładnie na odwrót, prawda? Może wybrał Farisa, żeby go zmusić do zamachu, bo kieruje nim sprzeciw wobec islamistów? Może chce w ten sposób ostrzec społeczeństwo przed islamem?

– Uważasz, że chce wstrząsnąć zachodnim światem, pokazując ludziom, że nie mogą wierzyć nawet swoim bohaterom?

Faris prychnął niezadowolony.

– Byłbym wam bardzo wdzięczny, gdybyście nie używali więcej tego słowa.

Tromsdorff nie ruszył się dotychczas spod tablicy. Uniósł flamaster i zaczął pisać w pustej kratce: „Motyw? Islamista/ antyislamista?”.

– Na razie poruszamy się jedynie w sferze spekulacji. Trzymajmy się może faktów, dobrze? Marc? Mówiłeś o nagraniu jakiegoś gwałtu, który znaleźliście na komputerze Önura.

– Zgadza się. Pokazuje, jak amerykański żołnierz gwałci kobietę w nikabie.

Faris sięgnął po gumkę do mazania, którą dostrzegł na blacie biurka, i zaczął się nią bawić.

– Zamachowiec, który w dwa tysiące jedenastym roku na lotnisku we Frankfurcie zamordował dwóch amerykańskich żołnierzy, radykalizował się właśnie pod wpływem takich nagrań. I...

Zanim zdążył dokończyć, Ben zawołał podniesionym głosem:

– Mam! – Wprawnymi ruchami przełączył się na rzutnik i obraz z jego monitora natychmiast pojawił się na ścianie. Udało mu się znaleźć klucz do rozszyfrowania mejli z komputera Önura. Tam, gdzie dotychczas znajdowały się pozbawione sensu ciągi literek i cyfr, pojawiły się w końcu adresy mejlowe i czytelne słowa.

Faris spojrzał, z kim korespondował nastoletni zamachowiec – większość mejli została wysłana przez jednego człowieka, który podpisywał się nickiem Ali_57.

Ben otworzył pierwszą wiadomość. Nie zawierała zbyt wiele treści: „*As-salamu alaikum*, Bracie! Dotarły mnie słuchy, że dałeś się zwieść zdrajcom z meczetu Walida Tamera, którzy odciągnęli cię od

prawdziwej wiary. Pamiętaj tylko, że Allah cię obserwuje i kieruje Twoimi krokami!”.

– Önur przez kilka dni nie odpowiedział na tego mejla – zauważył Ben. – Dopiero po dłuższym czasie zareagował. – Otworzył folder „wysłane” i wybrał jedną z wiadomości.

„*Wa alaikom asalam*. Skąd mam mieć pewność, że moja wiara jest taka, jak powinna być? Skąd mam wiedzieć, czego Allah ode mnie oczekuje?”.

Faris zatrzymał wzrok na formułkach powitalnych.

– Interesująca pisownia – zauważył i pomyślał, że przecież Önur nie był wychowywany w tradycji muzułmańskiej.

„Allah spogląda na Ciebie łaskawym wzrokiem i wskazuje Ci drogę prawdy” – odpowiedział mu na to ktoś podpisujący się pseudonimem Ali_57. – „Wysłuchaj się w głos swojego serca. Przypomnij sobie nagranie. Jeśli nie będziemy się bronić, następnym razem możesz zobaczyć taki sam film ze swoją matką”.

– O Boże... – jęknęła Gitta. – Co za łopatologiczna retoryka...

– Klasyczna paranoja islamistów, wszędzie widzą spisek przeciwko sobie. – Faris przyznał jej rację. – Zachód to szatan, a niewierni pod przywództwem USA i Izraela robią wszystko, żeby zniszczyć i skłócić świat arabski. Tyle że z ich punktu widzenia to wszystko jest szczerą prawdą.

– Ale ty w to przecież nie wierzysz – zauważył Marc, a wszyscy spojrzeli w jego stronę. – Bo ja to widzę tak, że temu nieznanemu udało się wykorzystać Önura i jego ukryty jeszcze radykalizm do osiągnięcia własnych celów. I to jest zrozumiałe. Tylko nie rozumiem, jak miałby przekonać Farisa, żeby zrobił to, co sobie wymyślił. Jak miałyby to wyglądać w twoim przypadku, Faris? Przecież ty akurat jesteś odwrotnością islamisty!

Policjant przypomniał sobie słowa Önura, które chłopak wypowiedział już po uruchomieniu odliczania. Że został zmuszony, żeby to zrobić.

Spojrzał na ostatniego mejla od Ali_57, który był widoczny na ekranie: „Zabierają nam wszystko, co kochamy. Odbierają nam nasze kobiety”.

Człowiek, który pisał te słowa, bardzo wyraźnie nawiązywał do nagrania gwałtu, które Önur trzymał na swoim komputerze.

– Zabierają nam wszystko, co kochamy. Odbierają nam nasze kobiety – wymamrotał pod nosem.

Sam również zapytał nieznanego, jak miałby go zmusić do zrobienia czegoś wbrew sobie. Nie czekał długo na odpowiedź.

„Spokojna głowa. Znajdę sposób” – usłyszał.

Farisowi zrobiło się zimno. Zadrżał.

– Ben! – powiedział. – Mógłbyś uruchomić to nagranie wideo?

Ben potrzebował kilku sekund, żeby je znaleźć. Po chwili na ekranie pojawił się obraz z rzutnika. Przerazające jęczenie zasłoniętej nikabem kobiety i budzące grozę odgłosy, które je zagłuszyły, sprawiły, że wszyscy w pomieszczeniu zamarli. Słowa niewinnej dziecięcej piosenki tylko podkreślały nieludzki wymiar nagrania. Faris nie potrafił tego znieść.

– Boże drogi! – jęknęła Gitta.

Faris miał wrażenie, że w jego żołądku niespodziewanie pojawił się wielki zardzewiały gwóźdź, który ostrzem wbijał się od środka w jego żebra. Nie mógł nabrać powietrza. Sięgnął do kieszeni i wyjął telefon. Nerwowo wybrał numer.

„Zabierają nam wszystko, co kochamy” – pomyślał, czekając, aż ktoś odbierze. „Boże drogi!”.

Przytłoczony nawałem pracy Rühmann całkowicie zapomniał, że powinien zjeść obiad, a głód tylko spotęgował jego zły humor, który od samego rana, niczym zimna obręcz uciskał mu serce. Na dodatek ścierpła mu noga i czuł w niej mrowienie. Nie wiedział już, co robić i jak usiąść, żeby nie bolało.

Zadzwoił do kolegów z miejscowości Waren nad jeziorem Müritz i poprosił, żeby ktoś sprawdził, czy łódź Christiana Zöllera jest w marinie i czy może ktokolwiek wie, gdzie znaleźć męża ofiary. Następnie przeczytał raporty swoich ludzi, którzy przesłuchiwali biznesmenów świętujących w hotelu. Okazało się, że jeden z nich posiadał przy sobie środki odurzające. Rühmann uśmiechnął się ponuro, czytając, że mężczyzna od samego początku reagował nerwowo i podejrzanie. Wystarczyły dwa

pytania, żeby przyznał się do posiadania większej ilości kokainy.

Jednak to było wszystko. W sprawie samego morderstwa nie mieli nic więcej.

Zastanawiał się właśnie, co dalej, kiedy odezwała się jego służbowa komórka. Z ciężkim westchnieniem odebrał połączenie i przedstawił się stopniem i nazwiskiem.

– Christian Zöllner – przywitał się dzwoniący, na co policjant gwałtownie uniósł głowę.

– Dziękuję, że pan oddzwania!

– Miałem od pana kilka nieodebranych połączeń. Byłem kilka dni w drodze i miałem wyłączony telefon, przykro mi. – W głosie lekarza słychać było napięcie.

„I nic dziwnego” – pomyślał Rühmann. Facet oddzwania pod jakiś zupełnie nieznaną numer, który zobaczył na wyświetlaczu telefonu, a w słuchawce słyszy, że to policja.

– Co się stało? Mogę jakoś pomóc? – zapytał Zöllner niepewnie.

Rühmann mocno trzymał się zasady, że jeśli istnieje jakaś alternatywa, nie wolno nikomu przekazywać informacji o śmierci bliskich przez telefon.

– Mógłby pan podjechać do mnie do biura? To pilna sprawa, nie ukrywam – wyjaśnił i podał adres przy Keithstraße.

Lekarz się zawahał.

– Może być ciężko – odpowiedział po chwili, wciąż bardzo niepewnie. – Powie mi pan, o co chodzi?

– Niech pan przyjedzie, wszystko panu wytłumaczę. – Rühmann wiedział, że taka odpowiedź na pewno nie zabrzmiała zbyt przyjaźnie, ale nie miał pojęcia, jak inaczej mógłby uniknąć zdradzenia, co ma do przekazania. Ku jego uldze, Zöllner nie oponował.

– Niech panu będzie. Wprawdzie już wracam, ale najpierw i tak muszę wpaść do gabinetu. Może w takim razie spotkamy się tam, powiedzmy, za godzinę?

Rühmann spojrzął na zegarek.

– W porządku.

– Świetnie. W takim razie za godzinę u mnie w gabinecie – podsumował Zöllner.

Jeszcze dobrze nie schował telefonu do kieszeni, kiedy znów rozległ się dzwonek. Rühmann spojrzął na wyświetlacz. Iskander.

– Faris, cześć – przywitał się. – Na razie nic jeszcze nie wiemy, ale jak...

– Czy została zgwałcona? – kolega wszedł mu w słowo i nie pozwolił dokończyć. Słychać było, że jest strasznie spięty, jakby nie mógł nabrać oddechu.

Rühmann zamrugnął zdezorientowany.

– Słucham?

– Laura – wyjaśnił Faris. – Alfons, czy Laura została zgwałcona? To już przecież musicie wiedzieć!

Starszy policjant się zawahał. Miał wrażenie, że Iskander jest na skraju załamania emocjonalnego. „Szlag by trafił” – pomyślał. Rano to był błąd, że pozwolił mu zobaczyć ciało byłej narzeczonej!

– Faris, ona...

– Alfons! Odpowiedz! – zażądał młodszy policjant. – Możliwe, że ta sprawa jest powiązana z naszą.

„Ale jak to?!” – pomyślał Rühmann i zakaszłał. Nie wiedział, jak zareagować.

– Czy ona...

– Wystarczy! Rozumiem! – przerwał mu Rühmann. – Nie musisz tego powtarzać. Mogę ci jedynie powiedzieć, że nie mamy pewności. Na jej ciele nie stwierdzono jednoznacznych śladów gwałtu. Pewne jest, że bezpośrednio przed śmiercią odbyła stosunek płciowy i to dość brutalny. Bardzo mi przykro.

W słuchawce zapadła cisza.

– Faris? – zapytał ostrożnie starszy policjant.

– Zabezpieczyli jeszcze jakieś odciski palców? – Kiedy mówił, jego głos brzmiał bardzo słabo,

prawie jak szept.

– Setki. Ale żadnych użytecznych z ciała. Zresztą, sam wiesz, że to się rzadko udaje, jak trzeba zdejmować odciski z ludzkiej skóry. Wszyscy mają nadzieję, że uda się znaleźć jakieś ślady genetyczne. Tyle że to potrwa tak samo długo jak analiza próbek spermy, którą... – przerwał zmieszany.

W słuchawce słyszał ciężki oddech Iskandera.

– Dzięki, Alfons – powiedział policjant, po czym rozłączył się bez słowa pożegnania.

Rühmann przez chwilę wpatrywał się w słuchawkę, jakby to ona była winna całemu złu świata.

Zabierają nam wszystko, co kochamy.

Faris oparł łokieć na blacie biurka i ukrył twarz w dłoniach. Czy te dwie sprawy naprawdę mogły być powiązane...?

Odbierają nam nasze kobiety.

Laura odbyła brutalny stosunek seksualny... czy to możliwe... że była pierwszą ofiarą nieznanego? Że była informacją dla niego?

Kto walczy z potworami...

– Hej, co się dzieje? – zapytał Marc i spojrzał na niego zaniepokojony. – Stary, odezwij się!

– A co, jeśli morderstwo Laury było pierwszym elementem planu naszego sprawcy? – mruknął Faris, nie podnosząc głowy.

– Czekaj... sugerujesz, że... – Marc przerwał gwałtownie. – O kurwa...

– Ja pierdolę! – krzyknął Ben tak zaszokowany, że wszyscy odwrócili się w jego stronę. – Chyba coś mam!

Otworzył któryś z kolejnych mejli z komputera zamachowca.

– Tę wiadomość dostał krótko przed tym, jak dzisiaj rano wysadził się w powietrze. – Mejl został wysłany przez innego nadawcę, którego nazwa składała się z bezsensownego ciągu liter i cyfr. – A teraz zobaczcie, co jest w załączniku.

Ben otworzył zdjęcie.

Na ekranie pojawiła się stopklatka z filmu, który przed chwilą obejrzel. Było na niej widać kobietę i mężczyznę, który ją brutalnie gwałcił, tyle że ktoś za pomocą programu graficznego wkleił ofierze inną twarz.

Faris opuścił głowę i spojrzał na dłoń.

– To jest matka tego chłopaka – powiedział cicho.

„Zmusili mnie” – usłyszał w głowie słowa Önura.

Zebrał się w sobie i wstał. Kiedy sięgał po kurtkę, podszedł do niego Tromsdorff.

– Co teraz?

– Muszę zapewnić bezpieczeństwo mojej siostrze. – Faris zaczął się ubierać. – Jeśli Laura to rzeczywiście jego pierwsza ofiara, cała moja rodzina jest w niebezpieczeństwie.

Ruszył w stronę drzwi, jednak szef złapał go za łokieć i powstrzymał.

– Zostajesz tutaj! – rozkazał.

Policjant szarpnął łokciem i się oswobodził, lecz Tromsdorff nie dawał za wygraną.

– Zrozum, tutaj bardziej się przydasz – wyjaśnił. – Zaraz wyślę kilku naszych, żeby zajęli się twoją rodziną.

Faris chciał zaprotestować. Czuł, że musi pojechać do Anisah i upewnić się, że nic nie jest ani jej, ani rodzicom, ani jego braciom. W końcu zrozumiał, że Tromsdorff miał rację. Znacznie więcej mógł osiągnąć, współpracując ze swoim zespołem i pomagając dopaść tego skurwysyna.

Westchnął ciężko i się poddał.

Tromsdorff cofnął rękę.

– Zadzwoń do rodziny i wytłumacz im, co się dzieje. Resztę zostaw mnie.

Policjant sięgnął do kieszeni, wyjął komórkę i wybrał numer. Czekając, aż jego szwagier odbierze, chodził niecierpliwie tam i z powrotem. Kiedy Samir w końcu się zgłosił, Faris przełożył nerwowo komórkę do drugiego ucha.

– Samir? To ja. Posłuchaj: musisz coś dla mnie zrobić!

– Faris, serio, to nie jest...

– Właśnie że jest, Samir! – Policjant podniósł głos. Jego szwagier zamilkł zaskoczony.

– No, słucham. O co chodzi.

– Jedź natychmiast do Anisah do pracy i zabierz ją stamtąd! Potem udajcie się prosto do moich rodziców i nigdzie się nie ruszajcie. Najlepiej by było, gdybyś zawiadomił jeszcze Hazima i Rezę.

Hazim i Reza byli młodszymi braćmi Farisa.

Samir się zastanowił. Policjant słyszał jego oddech.

– Powiesz mi, co się dzieje?

„Zabierają nam wszystko, co kochamy...”.

Dobry Boże!

– Bardzo uważajcie, możliwe, że jesteście w niebezpieczeństwie – wyjął w końcu Faris. – Podeślę kilku funkcjonariuszy do moich rodziców, żeby mieli na was oko. Koniecznie musicie wykonywać ich polecenia.

Samir milczał przez dłuższą chwilę.

– Faris! – sapnął. – Nic z tego nie rozumiem!

– Nie musisz! Rób po prostu to, co powiedziałem! – Faris musiał się powstrzymać, żeby nie krzyknąć. Opanował się i odetchnął głęboko. – Zadzwoń, jak będziesz u Anisah i...

– Faris... ja...

Policjant zacisnął powieki.

– Zadbaj, żeby mojej siostrze nic się nie stało, dobrze?

Marmurowa posadzka w poczekalni gabinetu Christiana Zöllera nadal była gładka jak lustro i nieprzyjemnie śliska, dokładnie taka, jaką zapamiętał z porannej wizyty. Tym razem jednak nie zwrócił na to wielkiej uwagi, bo zbliżająca się rozmowa przyprawiała go o skurcz żołądka. Potrafiłby wymienić w swojej pracy kilka rzeczy, których nie lubił, lecz nie było niczego, absolutnie niczego gorszego od konieczności przekazania krewnym informacji o śmierci najbliższej osoby.

Z chmurnie zmarszczonymi brwiami spojrzął na Meyera. Czekali razem pod drzwiami gabinetu męża Laury. Tym razem były zamknięte. Recepcjonistka najwyraźniej poradziła sobie z rozsierdzoną pacjentką i poszła do domu.

Niemal dokładnie godzinę po rozmowie Rühmanna z Zölllerem otworzyły się drzwi windy i w progu pojawił się wysoki, szczupły mężczyzna o raczej przeciętnej, choć wcale nie brzydkiej twarzy. Miał na sobie sprane dżinsy, drogą i elegancką koszulę, już na pierwszy rzut oka było widać, że nosi ręcznie szyte buty. W jego obecności policjant w jednej chwili poczuł, że jest byle jak ubrany.

– Dzień dobry – przywitał się mężczyzna i podał Rühmannowi dłoń. – Zdaje się, że to z panem rozmawiałem – dodał jeszcze. Musiał się domyślić, że funkcjonariusze przynoszą mu złe wieści, bo z jego twarzy zniknął uśmiech. Opuścił bezwładnie rękę, po czym wyprostował się i wysunął brodę, jakby gotował się na spotkanie z nieuniknionym. – Proszę, niech panowie wejdą.

Otworzył drzwi gabinetu i wprowadził policjantów do środka, a potem jeszcze kawałek dalej, do swojego biura na zapleczu.

Podobnie jak w innych pomieszczeniach również tutaj ściany miały jasnozielony kolor, a zasłony i wykładzina podłogowa, która wyjątkowo zastępowała tu marmur, były starannie do nich dopasowane. Pośrodku pokoju stało masywne biurko, a umieszczony za nim regał miał półki wypełnione medycznymi książkami i najróżniejszymi chirurgicznymi preparatami. Obok niego znajdowały się uchylone drzwi, a przez szparę Rühmann dostrzegł fragment skórzanej kanapy przykrytej beżową narzutą. Zölller obszedł biurko, zamknął drzwi i stanął twarzą do gości.

Starszy policjant po omacku odnalazł legitymację w kieszeni marynarki, lecz nie wyjął jej, bo lekarz zapytał głuchym głosem:

– Co się stało?

Rühmann chrząknął.

– Musimy niestety przekazać panu złą wiadomość, doktorze Zölller. Chodzi o pańską żonę. Nie żyje.

W pierwszej chwili mężczyzna w żaden sposób nie zareagował. Dopiero po kilku sekundach jego twarz zwiórczała tak gwałtownie, że Rühmann widział, jak się zmienia, a jego skóra dosłownie poszarzała.

– Laura? – wyszeptał. Jego oczy wypełniły się łzami. Przez chwilę stał nieruchomo. Potem zatoczył się w stronę biurka, wsparł na nim obiema rękami i spuścił głowę. Z początku funkcjonariusze mieli obawę, że doktor Zölller zaraz się przewróci.

Dwie, może trzy minuty później mężczyzna uniósł głowę. Miał wprawdzie suche, ale bardzo zaczerwienione od łez oczy.

– Możecie zostawić mnie na chwilę samego? – wyszeptał.

Meyer już otwierał usta, żeby mu odmówić, ale partner go ubiegł.

– Oczywiście – mruknął zasepiony. Następnie położył koledze dłoń na ramieniu i zdecydowanym ruchem wyprowadził go z biura.

Po jakimś czasie Zölller zawołał przez zamknięte drzwi. Rühmann spodziewał się, że zobaczy lekarza za biurkiem, lecz zaskoczony stwierdził, że nigdzie go nie ma.

– Doktorze Zölller? – zapytał skonsternowany.

– Jestem, jestem.

Dopiero wtedy starszy policjant dostrzegł męża ofiary. Mężczyzna siedział wprawdzie za biurkiem, jednak nie w skórzanym fotelu obrotowym, a na podłodze, pod ścianą. Przyciągnął kolana do klatki piersiowej, objął je ramionami, a głowę oparł o kaloryfer. Niewidzącym wzrokiem wpatrywał się gdzieś przed siebie.

Rühmann zakaszłał.

– Moglibyśmy jakoś panu pomóc? – zapytał.

Lekarz zamrugnął i dopiero wtedy uniósł wzrok.

– Nie. – Wyprostował nogi. – Proszę mi wybaczyć. – Wstał, uśmiechając się przeprasząco. – Niepotrzebnie się nad sobą użalam.

Rühmann złożył mu kondolencje.

– Bardzo mi przykro, że nie możemy dać panu teraz spokoju – powiedział. – Jednak musimy zadać kilka pytań. To nasz obowiązek.

– Oczywiście, proszę bardzo. – Zölller potaknął. Gestem wskazał policjantom krzesła ustawione przed swoim biurkiem, po czym obszedł je i usiadł ciężko w swoim fotelu. Sposób, w jaki to zrobił, był pełen bezradności, co uświadomiło Rühmannowi, że Zölller musi z całych sił walczyć, żeby się nie załamać.

– To, że osobiście przyjechaliście przekazać mi wiadomość, każe mi zakładać, że Laura nie zmarła śmiercią naturalną. Czy mam rację?

Alfons Rühmann przypomniał sobie, że żaden z nich się jeszcze nie wylegitymował, lecz uznał, że to bez znaczenia.

– Niestety, obawiam się, że tak. – Zawahał się, bo musiał przygotować się na kolejne słowa. – Została zamordowana.

– Zamordowana – powtórzył lekarz głuchym, pozbawionym emocji głosem.

Rühmann uświadomił sobie, że ludzki umysł nie jest odporny na wszystko i w pewnej chwili zaczyna działać niemal mechanicznie, nie dopuszczając do siebie więcej złych i przerażających wiadomości. Możliwie krótko i oszczędnie streścił Zölllerowi okoliczności morderstwa jego żony, tłumacząc jedynie, że jej ciało zostało znalezione w pokoju hotelowym, a bezpośrednią przyczyną śmierci było uduszenie.

– Jak mam to teraz powiedzieć Lilly? – wyszeptał lekarz.

– To pańska córka?

– Tak. Jak mam jej wytłumaczyć, że mama już nigdy... – Mężczyźni załamał się głos.

Rühmann dał mu czas, żeby się pozbierał. Bardzo się przy tym pilnował, nie chcąc obdarzać Zölllera zbytnim współczuciem. Jakkolwiek na to patrzeć, w tej chwili był ich jedynym podejrzanym.

– Czy czuje się pan na siłach odpowiedzieć na kilka pytań? To mogłoby nam pomóc złapać

mordercę pańskiej żony.

Zöller pokiwał głową.

– Proszę pytać. – Podniósł z biurka otwieracz do listów w kształcie skalpela i zaczął się nim nerwowo bawić.

– Pańska żona spędziła noc w hotelu – oznajmił Alfons. Nienawidził się za słowa, które wypowiadał. Mężczyzna naprzeciwko dopiero co dowiedział się o stracie żony. Był przerażony i zrozpaczony, a mimo to musiał odpowiadać na pytania, które bez wątpienia spotęgują jego ból i żal. – Czy jest pan w stanie wytłumaczyć dlaczego?

– Już od jakiegoś czasu wiedziałem, że zamierza mnie opuścić, ale...

Lekarz przesunął ostrzem otwieracza do listów po wnętrzu lewej dłoni. Rühmann wiedział, że w ten sposób nie może zrobić sobie krzywdy, lecz mimo to poczuł dreszcz.

– Pańska pracownica z recepcji powiedziała, że chciał pan wyjechać z Berlina, bo miał pan problemy w małżeństwie.

– Tak, to prawda. Spędziłem jakiś czas w dacy należącej do mnie i żony. Ostatnio dość często się kłóciliśmy i chciałem nabrać dystansu. Laura... moja żona najwyraźniej wykorzystała ten czas, żeby się spakować. – Uśmiechnął się bezradnie. – Obawiam się, że nieszczególnie potrafiła iść na kompromisy.

Kolejne pytanie zadał Meyer.

– Był pan na nią zły?

Zöller uniósł wzrok. W jego oczach na powrót pojawił się blask, jednak widać było, że powstrzymuje łzy.

– My... nie mieliśmy zmartwień. Mam na myśli finansowe zmartwienia. Laura była lekarką tak samo jak ja, to znaczy nie tak samo. Ona była pediatrą. Świetnym pediatrą. Mieliśmy... – Uniósł otwieracz do listów. – Mieliśmy dość pieniędzy, żeby wygodnie żyć. Byłem dobrym mężem i naprawdę nie dałem jej powodu, żeby... – Zorientował się, że zaczął mówić nie na temat, więc zamilkł. – Przepraszam. To oczywiście nie była odpowiedź na pańskie pytanie. I tak. Byłem wściekły.

– Czy odwiedził pan żonę w pokoju hotelowym?

Mężczyzna skupił wzrok na ostrzu otwieracza do listów i nagle uświadomił sobie, że trzyma w ręku przedmiot wyglądający jak skalpel. Gwałtownym ruchem odłożył go na biurko.

– Oczywiście, że nie. Przecież już mówiłem, że byłem w...

– Czy ktoś może to potwierdzić? – umięśniony policjant wszedł mu słowo.

Zöller potrząsnął głową.

– Obawiam się, że nie. Potrzebowałem samotności. Chciałem w spokoju pomyśleć.

Wyraz jego twarzy zaczął się zmieniać, w miarę jak docierało do niego, w jakiej znalazł się w sytuacji. Rühmann dostrzegł w jego oczach błysk zrozumienia – dla policji był podejrzanym o zamordowanie własnej żony.

Meyer nachylił się nieznacznie.

– Pańska żona tuż przed śmiercią odbyła stosunek seksualny.

Starszy policjant pomyślał, że choć to aż nazbyt brutalne, sam nie potrafiłby znaleźć słów, żeby wyrazić to w delikatniejszy sposób. Ku jego zaskoczeniu, mężczyzna za biurkiem przyjął tę informację prawie bez reakcji. Kciukiem pomasaował brew i powiedział:

– Panowie! Wiem, że podejrzewacie mnie o zamordowanie Laury. Ale mylicie się.

– W tej chwili nikt pana o nic nie podejrzewa – zaprotestował Rühmann. – Musimy jednak brać pod uwagę każdą ewentualność.

„Chryste” – pomyślał. „Te słowa brzmią jak żywcem wyjęte z kiczowatego kryminału”.

– Ja tego nie zrobiłem! – powtórzył Zöller. – Jeśli chcecie, możecie pobrać ode mnie próbki DNA.

– Na to jeszcze przyjdzie czas. – Meyer potaknął. – Twierdzi więc pan, że nie odwiedził pan żony w hotelu, w którym spędziła noc?

– Nie. – Zöller znów sięgnął po otwieracz do listów. Tym razem jego ostrze oparł na kolanie lewej nogi, którą założył na prawą.

– Ma pan jakieś podejrzenia, kto mógł to zrobić? – zapytał Rühmann.

Upłynęło kilka chwil, zanim usłyszał odpowiedź.

– Nie – zaprzeczył lekarz, kiedy się zastanowił. – Laura była bardzo lubianą osobą. Nie potrafię sobie wyobrazić, kto chciałby jej... – Zadrżał i nabrał głęboko powietrza.

– Już dobrze – uciął Rühmann. – Czy był ktoś jeszcze? – Widząc pytające spojrzenie Zöllera, uświadomił sobie, że nie doprecyzował pytania. – Czy pańska żona miała romans? Czy jakiś inny mężczyzna mógł być powodem, że chciała pana zostawić?

Zöller zacisnął palce na ostrzu otwieracza do listów.

– Nawet jeśli, to nic o tym nie wiem – odpowiedział.

– Kłamał! On nas okłamał! – Meyer trzymał w dłoni plastikową torebkę z zestawem do pobierania próbek DNA i wpatrywał się w drzwi windy. – Facet doskonale wie, że jego żona miała kogoś na boku, więc mów sobie, co chcesz.

Rühmann był tego samego zdania. Odruchowo pomyślał o Farisie, do którego Laura Zöller zadzwoniła poprzedniego wieczoru, już z hotelu. Faris. Jej były narzeczony.

Jego partnerowi najwyraźniej to samo chodziło po głowie.

– Iskander – mruknął.

Starszy policjant nie skomentował jego przypuszczeń.

– Myślisz, że Zöller rzeczywiście nie miał z tym nic wspólnego? – zapytał Meyer, kiedy wsiedli do windy.

– Raczej nie. Jeśli się mylę, to gość jest naprawdę świetnym aktorem.

– Też prawda. – Meyer uniósł torebkę, którą trzymał w ręce. – Poza tym zupełnie dobrowolnie dał nam próbkę DNA...

Rühmann dmuchnął w górę, jakby chciał odsunąć sobie włosy z czoła.

– No właśnie, jeszcze to! – dodał.

Farisowi szumiało w uszach, a w głowie miał taki mętlik, że nie był w stanie sformułować nawet jednej logicznej myśli. Żeby się czymś zająć, zaczął przeglądać nagrania z prywatnych kamer, które zostały już skatalogowane w cyfrowym archiwum Krajowej Policji Kryminalnej, DigAA. Nie żywił jednak zbyt wielkich nadziei, że znajdzie na nich więcej niż na nagraniach z miejskiego monitoringu.

W czasie kiedy on uruchamiał odtwarzanie kolejnych z kilkudziesięciu zapisanych filmów, Tromsdorff wysłał dwóch funkcjonariuszy do jego rodziny, żeby zapewnić bezpieczeństwo jego bliskim. Ben robił, co mógł, chcąc ustalić tożsamość osób skrywających się za adresami mejlowymi, z których wysłano obie zaszyfrowane wiadomości. Kiedy Faris usłyszał jego rozmowę z kimś z prokuratury, domyślił się, że technik zabrnął w ślepą uliczkę. Oba adresy zostały zarejestrowane u popularnych dostawców tego typu usług, gdzie każdy mógł za darmo założyć tyle skrzynek pocztowych, ile tylko chciał. Zapytania wysłane przez Bena nie przyniosły żadnych nowych wiadomości, co zresztą nie było niczym zaskakującym. W końcu kto przy zdrowych zmysłach, planując coś nielegalnego, założyłby konto pocztowe na swoje prawdziwe dane? To dlatego Ben musiał zwrócić się do prokuratury o nakaz ujawnienia adresów IP nadawców zaszyfrowanych mejli.

Gitta i Shannon przekopywały się przez akta starszych spraw, w które zamieszani byli islamiści, poszukując jakiegokolwiek wzmianki o kimś używającym pseudonimu Ali_57. Miały nadzieję, że przy odrobinie szczęścia uda im się rzucić trochę światła na tożsamość tego człowieka.

Mniej więcej godzinę później Faris stracił cierpliwość i odepchnął od siebie klawiaturę. Dlaczego Samir się nie odzywał? Przecież już dawno musiał dotrzeć do przedszkola, w którym pracowała jego żona!

– Miasto jest bardzo zakorkowane – wyjaśnił Marc spokojnie. – Pewnie zaraz zadzwoni.

Oby!

Faris wpatrywał się w monitor, na którym widać było akurat młodą kobietę o długich blond włosach. Zatrzymała się przed sklepem z butami i oglądała wystawę.

Niezliczona liczba twarzy, które obejrzał w ciągu ostatnich sześćdziesięciu minut, zlewała się w jedną nieczytelną masę. Powoli zaczynał mieć wrażenie, że każdą z tych osób już gdzieś widział.

Denerwowało go to, bo czuł się równie zdezorientowany jak wtedy, kiedy był pewien, że słyszał już głos dzwoniącego, lecz za żadne skarby nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

Odezwiała się jego komórka. Odebrał.

– Mam w gabinecie twoich kolegów po fachu – przywitała go Andrea. W jej głosie słychać było wyraźne niezadowolenie. – Powiedzieli, że najprawdopodobniej ktoś włamał się na serwer z danymi moich pacjentów.

– Wszystkie dane trzymałaś na jednym zewnętrznym serwerze? – Sam nigdy nie zapisywał zdjęć gdzie indziej niż na własnym dysku twardym, bo bał się, że mogłyby wpaść w niepowołane ręce. Andrea najwyraźniej nie podzielała jego obaw.

– Oczywiście – odpowiedziała. – Korzystam z chmury.

„No tak, oczywiście” – pomyślał Faris.

– Poczekaj, ktoś chce z tobą rozmawiać.

Andrea podała słuchawkę komuś w gabinecie i już po chwili rozległ się w niej kobiecy głos.

– Iskander?

– Tak – potwierdził.

Funkcjonariuszka nie uznała za stosowne, żeby się przedstawić.

– Już na pierwszy rzut oka widać ślady licznych prób włamań na serwer – oznajmiła. – Ale przy usługach w chmurze to nie jest nic nadzwyczajnego. Całkiem możliwe, że żadna z tych prób nie miała nic wspólnego z naszą sprawą. Wszystko dokładnie sprawdzimy. Zabezpieczyliśmy adresy IP, więc mamy punkt zaczepienia.

– Świetnie – powiedział Faris, choć słowa funkcjonariuszki zupełnie mu się nie spodobały.

Sama myśl o tym, że nagrania z jego wyrzuceniami i wyznaniami nie były szczególnie bezpieczne na serwerze Andrei, przypawiła go o gęsią skórkę. Znacznie gorsza była za to świadomość, że jakiś szalony zamachowiec mógłby znać wszystkie jego słabości.

„Kurwa mać” – pomyślał. „Od początku wiedziałem, że nie powinienem ufać Andrei. Dlaczego, do cholery, nie posłuchałem siebie?”

– Złożyliśmy już w prokuraturze wnioski o dostęp do informacji związanych z numerami IP – ciągnęła policjantka.

– Bardzo dobrze – mruknął Faris. Czuł się paskudnie.

– Mam podać jeszcze doktor Roth? – zapytała kobieta.

Policjant zaprzeczył. Wiedział, że Andrea będzie wypytywała, jak się czuje, a na to nie miał najmniejszej ochoty.

– Pozdrów ją ode mnie – powiedział i się rozłączył.

Streścił pozostałym wszystko, czego się dowiedział z zakończonej właśnie rozmowy, po czym nachylił się nad klawiaturą i uruchomił kolejny plik z elektronicznego archiwum DigAA. Było to nagranie zgłoszenia od nieznanego.

– Wezwijcie podkomisarza Iskandera. Powiedzcie mu, że ma przyjechać na Breitscheidplatz. Natychmiast! – Jego głos brzmiał nienaturalnie, bo Faris nie potrafił dopasować do niego twarzy. Kursorem przesunął wskaźnik postępu w lewo i odsłuchał nagranie raz jeszcze. – Wezwijcie podkomisarza Iskandera. Powiedzcie mu, że ma przyjechać na Breitscheidplatz. Natychmiast! – I jeszcze raz. – Wezwijcie podkomisarza Iskandera. Powiedzcie mu, że ma przyjechać na Breitscheidplatz. Natychmiast!

– Faris! – Zanim słowa nieznanego rozległy się w słuchawkach po raz czwarty, usłyszał wołanie Gitty. Podniósł głowę, lecz się nie odwracał.

Kobieta nachyliła się nad jego ramieniem i położyła dłoń na jego dłoni.

– Daj spokój, to na nic.

Dopiero teraz na nią spojrział.

Odwróciła jego krzesło tak, żeby siedzieli naprzeciwko siebie.

– Mów! – zażądała.

Faris zacisnął powieki. Obrazy, które natychmiast zobaczył, przypawiły go o mdłości. Zwłoki

Laury. Krew. Jej rozerwane figi. Brutalny seks... Roześmiana twarz siostry.

– Kiedy byliśmy dziećmi... – wychrypiał. – To znaczy ja i Anisah. Nie wiem, musiała mieć szesnaście albo siedemnaście lat, a ja czternaście. Miała straszne problemy w szkole, bo jakiś przygłup neonazista się na nią uwziął. Przez całe tygodnie nie dawał jej spokoju. W końcu, któregoś wieczoru zacząłem się na gnoja w ciemnej uliczce.

Gitta z dezaprobatą zmarszczyła nos, ale milczała.

– Wybiłem mu obie jedyńki i powiedziałem, że ma zostawić moją siostrę w spokoju.

To wspomnienie wywołało słaby uśmiech na twarzy Farisa.

– No i? Zostawił ją w spokoju?

– Nie, wtedy jeszcze nie. Dopiero potem, kiedy dostałem od jego kumpli takie lanie, że wylądowałem w szpitalu, ale nie chciałem powiedzieć, kto mi to zrobił.

Gitta matczynym gestem położyła obie dłonie na jego ramionach. Jej dotyk był delikatny jak muśnięcie piórkiem.

– Och, Faris! Nie powinieneś wchodzić do tego sklepu! Do diabła, to przez Roberta! Nie powinien pozwalać ci tam iść! Jak masz teraz sobie z tym poradzić?!

Odsunął się nieco.

– Jakoś dam sobie radę. To tylko... – Spojrzał na monitor. – Czuję się tak, jakbym zaraz miał oszaleć, jeśli nie przypomnę sobie, skąd znam ten głos!

– Może tylko ci się wydaje, że go znasz. – Gitta popatrzyła na niego swoimi wielkimi oczyma. – Bo wiesz, znowu masz do czynienia z kimś, kto do ciebie dzwoni, a ty nie wiesz, kto to. Zupełnie jak poprzednim razem. – Spuściła zawstydzona wzrok, bo uświadomiła sobie, że znów poruszyła ten temat.

– Jak poprzednim razem! – Faris zacisnął zęby.

– Wtedy też był zamachowiec – dodała. Wiedział przecież, że nie chciała sprawiać mu bólu, a jednak to zrobiła. Pewnie nie zdawała sobie z tego sprawy. – Zmusił cię, żebyś jeździł po całym mieście, a sam mordował ludzi, na których ci zależało. Pomyśl, to był ktoś, kto dobrze cię znał. Może dlatego tak się teraz czujesz? Podświadomość robi swoje.

Chciał zaprzeczyć jej słowom, bo wołał się przed nią nie otwierać. Mimo to wiedział, że ma rację. Nic nie mógł na to poradzić. Jeśli się nie pomyliła, miał w ręku znacznie mniej, niż mu się wydawało.

– Obwiniasz się o śmierć tego chłopaka, prawda? Widzę przecież! I obwiniasz się też o to, że twoja rodzina może być w niebezpieczeństwie. Ale pomyśl, Faris! To nie ty jesteś tym złym! Ty jesteś po dobrej stronie i pilnujesz, żeby takie gnojki dostawały po dupie. – Zamilkła i poczekała, żeby choć kiwnął głową. On jednak wskazał jedynie na monitor. – To na nic – powtórzyła, po czym zostawiła go w spokoju i wróciła do swojego biura.

ROZDZIAŁ 12

Anisah czuła mrowienie w palcach.

Czy to był dobry znak? Czy to mogło oznaczać, że kończyło się działanie środka usypiającego, który wstrzyknął jej porywacz? Skupiła się na próbach poruszania dłońmi i stopami.

Czy miała na sobie buty?

Nie wiedziała i nie potrafiła tego powiedzieć. Chciała unieść głowę, żeby sprawdzić. Niespodziewanie poczuła, że musi się upewnić, że ma na nogach buty, lecz choć bardzo się starała, nie mogła się jeszcze ruszyć. Walczyła z obezwładniającą słabością, aż wreszcie udało jej się przekrzywić nieco głowę. Pomieszczenie, w którym się znajdowała, było całkowicie puste. Przesunęła wzrokiem po ciemnobrązowym linoleum i ścianach oklejonych tapetą w nieprawdopodobnie paskudne brązowo-pomarańczowe wzory. Grube zasłony szczelnie skrywały jedyne okno. Całość sprawiała surrealistyczne wrażenie. Anisah pomyślała, że z jakiegoś powodu to miejsce przywodzi jej na myśl słuchowisko z dzieciństwa. W nagranej bajce występowały duchy, które chowały się w fałdach zasłon. Wówczas bardzo się ich bała, a Faris się z niej śmiał. Od lat o tym nie myślała.

Mrowienie w palcach u rąk i nóg przybrało na sile i stało się trudne do zniesienia.

Jęknęła.

Porywacz przebywał w sąsiednim pokoju. Słyszała, jak nuci coś pod nosem. Po chwili poznała melodię – słyszała ją wcześniej na tych przerażających nagraniach.

Arabska kołysanka, którą matka czasem śpiewała jej i jej rodzeństwu. Anisah wsłuchiwała się w znajomą piosenkę i w myślach dodawała brakujące słowa.

Ćma leci do światła i tańczy, i tańczy, i tańczy, i tańczy...

Muzyka i kolejne wersy przeniosły ją w przeszłość i zmieniły z powrotem w dziecko, którym kiedyś była: bezradne i zależne od woli oraz opieki innych. W pewnej chwili wzrok odmówił jej posłuszeństwa i wszystko zaczęło się rozmywać, a jej oczy wypełniły się łzami, które pociekły po skroniach. Poczuła delikatne swędzenie w miejscach, gdzie wsiąkały we włosy.

Tak. Powoli wracało jej czucie. Zebrała się w sobie i wyężyła wszystkie siły, żeby poruszyć dłonią i zacisnąć palce. Serce zabiło jej szybciej, bo wiedziała, że jej dłoń drgnęła i zaczęła się zamykać. Naprawdę! Paznokcie przesuwały się po nierównym materiale kanapy. Jeden z nich zahaczył o jakąś fałdkę i Anisah bała się, że nie starczy jej sił, żeby pokonać przeszkodę. A jednak! W końcu jej mięśnie usłuchały polecenia z mózgu i palec przesunął się dalej. Zacisnęła pięść.

Tak. Tak. Tak!

Starła się zapanować nad emocjami i nie wpaść w euforię. Musiała zachować cierpliwość. Przy odrobinie cierpliwości i opanowania uda jej się uciec.

Z sąsiedniego pokoju dobiegło szuranie krzesła. Jej porywacz wstał. Pospiesznie rozprostowała palce. Nieznajomy mężczyzna pod żadnym pozorem nie mógł się dowiedzieć, że kobieta odzyskuje zdolność poruszania się.

Porywacz wszedł do pomieszczenia i zbliżył się do niej, niosąc coś niewielkiego. Nie potrafiła rozpoznać, co to takiego. Jedyne, co zobaczyła, to kolor: czerwony.

Co planował?

Przysunął sobie krzesło i usiadł. Po chwili Anisah poczuła gryzący zapach.

Lakier do paznokci?

Mężczyzna się nachylił, ujął jej lewą dłoń i oparł ją ostrożnie na swoim kolanie. Kobieta poczuła, że się spina. Co się stanie, jeśli on zauważy, że środek przestaje działać? Na szczęście był skupiony na tym, co robił. Delikatnie pogłaskał pierścionek w przeplatające się wzory, który dostała kiedyś od Farisa. Jego dotyk był bardzo czuły. Niespodziewanie zaczął nucić melodię kołysanki.

Odsączył nadmiar lakieru o krawędź buteleczki, drugą dłonią przytrzymał jej palec wskazujący i zaczął malować jej paznokieć na czerwono.

Minęła piętnasta, kiedy odezwał się telefon stacjonarny na biurku Farisa.

– Anisah zniknęła! – krzyknął Samir na powitanie.

Policjant siedział akurat nad aktami spraw, w których gwałt łączył się z działalnością środowisk imigranckich, lecz niezależnie od tego, jak bardzo starał się znaleźć jakieś punkty wspólne, nie dostrzegał żadnych powiązań między eksplozją bomby i morderstwem Laury. Teraz jednak słowa szwagra przebudziły go z letargu. Zerwał się na równe nogi. Odepchnął przy tym fotel, który z ogromną siłą potoczył się w tył i wyrznął o narożnik biurka Shannon.

– Spokojnie! – zawołała kobieta, ale na widok wyrazu twarzy kolegi natychmiast zamilkła.

– Powtórz! – wyszeptał Faris, przyciskając kurczowo słuchawkę.

Każde z dwóch słów wypowiedzianych przez Samira było niczym uderzenie młotem w gwóźdź przyciśnięty do jego czaszki.

– Byłem w przedszkolu. Pozostałe nauczycielki powiedziały, że w przerwie obiadowej wyskoczyła po zakupy, ale już nie wróciła. Rozumiesz? Na Allacha, co tu się dzieje?! Co się stało z moją żoną...

– Samir! – Faris przestraszył się własnego tonu.

Niespodziewanie ogarnęło go wspomnienie czegoś, co się stało; przetoczyło się przez jego głowę niczym spychacz. Zobaczył płomień. Języki ognia pochłaniały jego ciało. Słyszał rozpaczliwy płacz dziecka. Potem dostrzegł przed sobą Paula. Jego partner chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z gardła żadnego dźwięku. Martwy mężczyzna zamknął w końcu usta.

A potem Faris zobaczył palec. Palec urwany przez eksplozję. Z czerwonym paznokciem. Wycelowany w niego, jakby chciał go oskarżyć – to ty jesteś winien!

– Co się stało z Anisah?! – krzyczał Samir.

Faris poczuł, że ktoś stoi obok i wyjmuje telefon spomiędzy jego zaciśniętych kurczowo palców.

– Pan Chalid? – usłyszał głos Roberta. – Robert Tromsdorff z tej strony, szef wydziału WPR. Jestem przełożonym pańskiego szwagra. Proszę powiedzieć, co się stało.

Faris przyglądał się, jak Tromsdorf najpierw zaciska powieki, a potem otwiera je przestraszony. Mężczyzna pobrał gwałtownie.

– Czy próbował pan skontaktować się z żoną telefonicznie? – Przez chwilę słuchał odpowiedzi.

– Czy zdarzało jej się wyłączać komórkę? Nie? Dobrze. Bardzo pana proszę o zachowanie spokoju! Na razie nie wiemy, czy została porwana. Jeśli rzeczywiście tak było, zrobimy wszystko, żeby pańskiej żonie nic się nie stało. – Spojrzał Farisowi w oczy.

Policjant miał wrażenie, że jego wzrok przyspila go do ściany.

– Proszę jak najszybciej udać się do teściów, tak jak wcześniej poinstruował pana Faris. Niech pan tam zostanie. Nasi ludzie już tam są i powiedzą panu, co dalej. – Znów przez chwilę słuchał odpowiedzi Samira.

Do Farisa docierał podenerwowany głos szwagra, ale zbyt niewyraźnie, żeby mógł go zrozumieć.

Wyciągnął dłoń po słuchawkę.

Tromsdorff się zawahał.

– Szwagier chce jeszcze z panem porozmawiać – oznajmił w końcu i oddał telefon podwładnemu.

– Samir...

– Jeśli coś jej się przez ciebie stanie...

Faris zacisnął powieki i poczuł głuchy ucisk rozsadzający mu czaszkę od środka.

– Samir, posłuchaj! Potem będziesz miał czas, żeby robić mi wyrzuty. Jak będziesz chciał, możesz mi dać po twarzy. Ale teraz musisz ze mną współpracować, rozumiesz? Czy Anisah w przerwie obiadowej dalej jeździ do warzywniaka Ahmeda?

Samir prychnął niechętnie, jakby nie mógł zrozumieć, w czym to pytanie mogłoby pomóc.

– Tak – odpowiedział mimo to.

– Świetnie. – Faris zaczął masować bolący z napięcia kark. – Żeby zdążyć z zakupami w przerwie obiadowej musi korzystać z metra. Zaraz zabierzemy się do sprawdzania nagrań z monitoringu. Może uda nam się znaleźć jakąś wskazówkę, co się rzeczywiście stało.

Samir milczał. Policjant słyszał jego ciężki oddech. Był przygotowany na kolejną tyradę i litanię

wyrzutów, ale szwagier szepnął jedynie:

– Znajdź ją i przyprowadź do domu!

Faris przełknął ciężko ślinę.

– Masz moje słowo, Samir.

Począł, aż szwagier się rozłączy, po czym z ogromną siłą cisnął słuchawką bezprzewodowego telefonu o ścianę.

Na podłogę spadł deszcz połamanego plastiku.

– Nie mamy przecież pewności, czy ten facet naprawdę porwał twoją siostrę! – zauważył Marc. Krawędzią podeszwy zgarnął kawałki zniszczonego telefonu i wepchnął je pod kaloryfer. – Może pojechała na dłuższe zakupy i bateria jej padła?

Faris spojrzał na niego ponuro.

Policjant wzruszył ramionami i przesunął wzrokiem po twarzach pozostałych.

On i reszta zespołu – Tromsdorff, Shannon, Gitta i Ben – zebrali się wokół biurka Farisa. Policjant i jednocześnie brat zaginionej widział zaniepokojenie w ich oczach – ale nie tylko to. Widział też gotowość do działania i walki.

Postanowił, że tego będzie się trzymał, a groźby nieznanego – „Spokojna głowa. Znajdę sposób” – odepchnie jak najdalej i zamknie je w najciemniejszym kącie swojego umysłu.

Rzutnik wciąż działał i wyświetlał na ścianie zdjęcie z twarzą matki Önura.

Faris odwrócił wzrok. Byle tylko nie spoglądać w ciemność rozpościerającą się w jego wnętrzu... Nie, nie może robić teraz z siebie wariata, bo w ten sposób nie pomoże Anisah. Musi wziąć się w garść i zachować trzeźwe spojrzenie.

Popatrzył na swoje dłonie. Drżał.

– Wygląda na to, że gość wie o Anisah. Bo to jedyna osoba, z którą jestem mocno związany. – Z wielkim trudem przychodziło mu mówić o tym publicznie, ale wiedział przecież, że zespół potrzebuje dostępnych informacji i że musi je teraz wyjawić, jeśli chce pomóc siostrze. – Dla niej zrobiłbym wszystko!

Jego słowa rozlegały się jeszcze przez chwilę echem w ciszy, jaka zapadła po tym wyznaniu. Dopiero wtedy Faris uświadomił sobie, co właściwie powiedział.

Ben zamknął zdjęcie z filmu z gwałtem. Na ekranie pojawił się pulpit komputera Önura z zapisanymi na nim plikami. Faris cały czas miał przed oczyma słowa z jednego z mejli: „zabierają nam wszystko, co kochamy”.

W końcu Tromsdorff chrząknął i spojrzał na podwładnego tak przenikliwie, że ten poczuł się jak pod aparatem rentgenowskim.

– Trzeba poinformować kolegów z wydziału poszukiwań i poprosić ich o jak najszybsze sprawdzenie nagrań z kamer w metrze.

– Sam chcę to zrobić – zaprotestował Faris i zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, dodał: – Ten facet mnie zna. Ja też go, kurwa, muszę znać! Może na nagraniach zobaczę coś, czego nie znalazłem w aktach i na poprzednich nagraniach?

Tromsdorff sięgnął po telefon z biurka Marca, żeby powiadomić odpowiednich ludzi.

– Ben? Możesz załatwić nam te nagrania i jak najszybciej wrzucić je do DigAA?

Technik nie zareagował, bo skupiony wpatrywał się w coś na ekranie swojego komputera. Napisał coś szybko na klawiaturze, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Prokuratura zgodziła się na sprawdzenie u dostawców adresów IP komputerów, z których zostały wysłane oba mejle. Jeden z dostawców już zareagował i chyba mamy trafienie.

Na rzutniku wyświetlił zdjęcie ich starego znajomego.

– Panie i panowie pozwolą, że przedstawię: Ali_57.

– O nie! – jęknął Marc.

Zdjęcie przedstawiało około pięćdziesięcioletniego szczupłego mężczyznę w białej czapeczce kufi i z długą ciemną brodą. Błyszczące, jasne oczy skrywał za okularami przywodzącymi na myśl kujona.

– A jednak. – Ben potaknął. – Nasz szanowny Ali_57 to najwyraźniej Martin Bemme.

Martin Bemme mieszkał w dzielnicy Wedding, przy bocznej uliczce odchodzącej od Maxstraße, w jednym z niewielu domów pochodzących z zeszłego przełomu wieków. Po dłuższej dyskusji, jaką strategię należałoby wobec niego przyjąć, Tromsdorff zgodził się, żeby na rozmowę z nim wysłać Farisa i Marca. Zanim wyjechali, Ben przygotował dla nich wydruk ze zmanipulowanego filmiku z gwałtem oraz kopię korespondencji mejlowej, którą Bemme wymienił z Önurem. Marc wziął wszystkie papiery i schował w kieszeni.

Razem wsiedli do jednego ze służbowych BMW i pojechali do Wedding. Kiedy dotarli na miejsce, w końcu przestało padać. Zbliżała się czwarta po południu.

Faris minął dom Bemmego i pojechał kawałek dalej, aż znalazł miejsce parkingowe. Wtedy się zatrzymał i wyłączył silnik.

– Tak przy okazji, to na jakiej podstawie w ogóle zakładamy, że gość jest w domu? – zapytał Marc. – Czy po zamachu bombowym nie powinien być w swoim meczecie i udzielać wywiadu za wywiadem?

Faris wyjął kluczyk ze stacyjki.

– Tylko go nie lekceważ, facet nie jest głupi – ostrzegł. – Doskonale wie, że będziemy go podejrzewali o związek z tą sprawą. Więc na ile go znam, będzie siedział spokojnie w domu i udawał, że nic się nie stało. Zobaczysz, że pewnie popija sobie herbatkę.

Wysiedli. Marc spojrział nad dachem auta na Farisa.

– Na ile go znasz? – powtórzył.

Faris popatrzył mu w oczy.

– W ostatnich latach miałem z nim do czynienia dwa albo trzy razy. – Zamknął samochód pilotem. Potem razem ruszyli w stronę domu, w którym mieszkał Bemme. Policjant przesunął wzrokiem po liście lokatorów i wybrał odpowiedni przycisk.

Przez dobrą minutę nic się nie działo.

– Albo go nie ma – powiedział Marc zrezygnowany – albo facet siedzi akurat w sraczu.

Faris poruszył ramionami. Ucisk, który odczuwał od rozmowy z Samirem i wiadomości, że Anisah zniknęła, był nie do zniesienia. Miał wrażenie, że ciąży mu niczym przyciasna zbroja. Co zabawne, cieszył się, że ma ją na sobie, bo gdyby jej nie było, pewnie rozpadłby się na kawałki i rozsypał.

Zadzwoił po raz drugi, tym razem znacznie dłużej. W końcu z głośnika domofonu popłynęły jakieś trzaski, a potem czyjś głos:

– Tak?

– Policja kryminalna – oznajmił Faris. – Czy pan Martin Bemme?

– Czego chcecie? – odpowiedział mężczyzna nieprzyjemnym tonem. – Nie mam nic wspólnego z tą sprawą na Breitscheidplatz. Już przecież o tym mówiłem waszym kolegom.

– Jeśli nie ma pan z tym nic wspólnego – wyjaśnił Faris – to pewnie nie będzie miał pan nic przeciwko, żeby odpowiedzieć nam na kilka pytań, które pojawiły się w trakcie dochodzenia.

Minęło kilka sekund, zanim Bemme zareagował. Obaj policjanci spodziewali się już, że drzwi pozostaną zamknięte a domofon głuchy, jednak niespodziewanie rozległo się buczenie elektrozamka.

– Trzecie piętro! – powiedział Bemme.

Klatka schodowa była w równie złym stanie jak fasada budynku. Skrzynki pocztowe po lewej stronie ozdobione zostały kilkoma graffiti, których znaczenia Faris nijak nie potrafił się domyślić. Po prawej stronie znajdowały się strome schody z ciemnego drewna i tylko w ten sposób dało się dostać na górne kondygnacje, bo w domu nie było windy.

Weszli na trzecie piętro. Spośród trzech par drzwi tylko jedno były uchylone. Obok, jeszcze na zewnątrz zobaczyli prostą, drewnianą półeczkę na buty, zastawioną kilkoma parami zużytego, męskiego obuwia.

– Proszę wchodzić, tylko boso! – przywitał ich gospodarz rozkazującym tonem. – To jest uświęcone miejsce.

– Uświęcone miejsce? – Marc prychnął i uniósł stopę, żeby bez spełniania polecenia Bemmego

stańc na przetartym linoleum korytarza. Faris złapał go za ramię.

– Musimy przestrzegać zasady gościnności – powiedział, zdejmując sportowe obuwie.

Marc ponownie prychnął.

– U nas gościnnością jest witanie gości tak, jak stoją, a nie ich rozbieranie – burknął.

– U nas. – Faris potaknął ze spokojem.

Młodszy policjant zmarszczył czoło.

– U nas tak. – Faris otworzył szerzej drzwi. – Pan Bemme? Nazywam się Iskander, podkomisarz Iskander, a to mój współpracownik Sommer. Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań na temat wydarzeń, które miały miejsce dzisiaj rano.

Przez chwilę w mieszkaniu panował bezruch. Faris poczuł, że włosy na karku stają mu dęba i odruchowo sięgnął dłonią w kierunku broni w kaburze na biodrze. Ulżyło mu, bo z jednego z pokoi wyszedł wysoki mężczyzna w białej szacie sięgającej ziemi.

– Salam! – Martin Bemme skłonił się delikatnie. Na zdjęciu, które Ben wyświetlił na ścianie w biurze, miał taką samą czapkę kufi. Jego długa posiwiata broda wyglądała na bardzo zadbaną, a w jasnych żywych oczach czaiła się kpina.

– Mogę prosić o legitymacje?

Obaj funkcjonariusze spełnili jego prośbę.

Zadowolony skinął głową. Uśmiechał się, jakby zaczynało go to bawić.

– No dobrze, proszę, mogą panowie wejść – powiedział niespodziewanie przyjaźnie.

Marc spojrział zaskoczony na partnera, a ten tylko wzruszył ramionami.

Bemme zaprowadził ich do pokoju, który niegdyś służył jako salon, a dziś znajdowały się w nim wypełnione szczelnie książkami regały i dość archaiczny fotel na biegunach z plecionki rattanowej przykrytej wysiedzianą skórą. Poza tym próżno było szukać tam innych mebli. Zamiast nich na podłodze leżał kilim z poduszkami do siedzenia i kilka małych stolików z różanego drewna obitych mosiężną blachą. Na jednym z nich stał dzbanek i pojedyncza, w połowie tylko napełniona szklanka herbaty. Całość wyglądała dość niesamowicie, pomyślał Faris, tym bardziej że nikomu nie przyszło nawet do głowy zmienić paskudnych tapet pozostawionych na ścianach przez poprzedniego właściciela. Jaskrawe wzory nijak nie pasowały do stylu, w jakim urządzono pomieszczenie.

– Siadajcie, proszę. – Bemme wskazał na kilka grubych poduszek.

Mimo że Farisowi tylko z największym trudem udawało się zachować cierpliwość, posłuchał zaproszenia, zajął jedno z siedzisk i skrzyżował nogi po turecku. Boleśnie poczuł przy tym obite żebra. Poczekał, aż Marc pójdzie za jego przykładem. Bemme nieco prowokacyjnie rozłożył się na poduszkach w niemal półleżącej pozie.

– Twierdzicie panowie, że macie do mnie jakieś pytania, które nasunęły się wam w trakcie dochodzenia.

Marc wyjął z kieszeni komórkę.

– W pokoju zamachowca znaleźliśmy pańskie zdjęcie. – Odszukał w galerii telefonu fotografię zrobioną u Önura i pokazał ją gospodarzowi.

Bemme wziął komórkę i uważnie przyjrzał się zdjęciu.

– To on był zamachowcem? – Sprawiał wrażenie poruszonego, ale na pewno nie zaskoczonego.

– Niech Allah wskaże mu drogę do raj. Inschallah. – Ostrożnie oddał urządzenie policjantowi. – Tak, znałem tego młodego człowieka, zgadza się. To Önür Aydin. Od czasu do czasu pojawiał się na moich wykładach. To przy takiej właśnie okazji powstało to zdjęcie. Z tego, co pamiętam, zrobił je swoją komórką, a potem przyniósł wydrukowane, żebym je podpisał.

Marc odłożył telefon na poduszkę koło swoich nóg i sięgnął do kieszeni po wydruki przygotowane przez Bena.

– Dysponujemy również pańską korespondencją z zamachowcem.

Podał je gospodarzowi.

Faris przyglądał się uważnie jego twarzy, kiedy czytał mejle. Wcześniej, jeszcze na Keithstraße, Ben uruchomił porównanie głosu tego znanego salafity z nagraniem rozmowy z nieznanym

i wykluczył, żeby była to ta sama osoba. Jednak Faris dopiero teraz, kiedy siedział naprzeciwko niego, nabrał pewności, że to nie mógł być on. Nieznajomy nagrany przez centralę policyjną mówił spokojnym, dźwięcznym i delikatnym głosem, Bemme natomiast brzmiał twardo i z nosowym podzwękiem.

– No cóż. Wiem już – stwierdził w końcu Bemme zamyślony i opuścił wydruki – że dla was każdy w kaftanie jest potencjalnym zamachowcem, ale ani ja, ani żaden z moich przyjaciół... – podkreślił to słowo pełnym zadowolenia uśmiechem – nie mamy absolutnie nic wspólnego z tym, co się wydarzyło.

Marc wskazał na wydruki, których Bemme mu jeszcze nie oddał.

– Jeśli nie będziemy się bronić, niedługo to samo może spotkać twoją matkę – zacytował mniej więcej z pamięci słowa, które konwertyta wysłał Önurowi. Potem sięgnął do kieszeni po kolejny wydruk, tym razem ze zdjęciem. Rozłożył je i umieścił na podłodze, przed gospodarzem.

Bemme przez chwilę przypatrywał się w całkowitej ciszy scenie gwałtu, którego ofiara miała doklejoną twarz matki Önura.

– To z filmu, prawda? Pamiętam go, tak – odezwał się w końcu.

– Czy to pan wysłał nagranie Önurowi? – zapytał Faris.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

Faris kontynuował ten wątek:

– Czy to pan albo ktoś z pana otoczenia wysłał Önurowi zdjęcie z wklejoną twarzą jego matki?

Bemme potrząsnął głową, po czym uśmiechnął się delikatnie.

– Gdyby zależało mi, żeby skłonić kogoś do wysadzenia się w powietrze na zatłoczonym placu w centrum Berlina, nie musiałbym się uciekać do tak żalonych metod. I warto, żebyście panowie zapamiętali: gdyby mi zależało. Ale przez całe życie nigdy jeszcze nie nawoływałem do przemocy. Nigdy. Allah jest...

Faris przerwał mu, zanim zaczął wygłaszać tyradę na religijne tematy.

– A jednak utrzymuje pan kontakty z tą częścią społeczności muzułmańskiej, którą służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo wewnętrzne Niemiec uznały za niebezpieczną i skłoną do stosowania przemocy. – Nachylił się i odebrał mu wydruki. – Poza tym w mejlu od pana czytam wyraźnie, że musicie zacząć się bronić. Jakoś nie mam problemu z tym, żeby dodać dwa do dwóch. – Mówiąc to, spoglądał Bemmemu prosto w oczy. Szukał nawet najdrobniejszych oznak wahania, szczegółu, który by potwierdził, że mężczyzna ukrywa jakiś związek z porannym zamachem. Że nie przyszli tu na darmo. I że to ktoś z jego otoczenia dzwonił rano na policję... Bemme mógł go przecież zmusić do działania, tak samo jak wywierał presję na Önura, manipulując nim przerobionym zdjęciem matki. Czy to mógł być związek, którego szukali? Czy to mogło chodzić właśnie o to? Faris starał się zachować dystans i nie przywiązywać do tej myśli.

Bemme odchylił się nieco. Pełnym godności gestem sięgnął po szklankę ze stolika z różanego drewna, ustawionego obok jego poduszki. Miał bardzo spokojne dłonie.

– Napijcie się panowie?

Obaj funkcjonariusze pokręcili grzecznie głowami.

Bemme zaśmiał się delikatnie.

– Przede wszystkim: gdybyście odrobili sumiennie zadanie domowe, wiedzielibyście, że chodzi o ludzi ze zradyzowanego grona islamistów, od których ja się kilka miesięcy temu zdecydowanie zdystansowałem. Nie podzielam ich nastawienia i poglądów, zgodnie z którymi każdy, kto jest *kuffar*, zasługuje na śmierć. Co do pierwszego zarzutu: sprzeciwianie się doznanej krzywdzie nie zawsze musi oznaczać uciekanie się do przemocy, prawda? Proszę bardzo, przeczytajcie panowie dokładniej moje mejle, a wtedy na pewno stwierdzicie, że ani razu nie pada w nich nawoływanie do agresji. Przecież w nich nie ma ani słowa o przemocy! Naprawdę, bardzo chętnie pomógłbym wam wyjaśnić sprawę dzisiejszego zamachu, ale gwarantuję, że absolutnie nic o nim nie wiem.

Faris rzucił okiem na wydruki. Bemme miał rację. W żadnym z wysłanych przez niego mejli ani razu nie pojawiło się nawoływanie do przemocy. Starał się za to używać niedopowiedzeń i sugestii, które pozwalały interpretować jego słowa na różne sposoby, lecz uniemożliwiały wykorzystanie ich przeciwko niemu. Obiektywnie oceniając, nic na niego nie mieli.

– Moim zdaniem, panowie, to nie w naszej gestii jest wymierzanie sprawiedliwości za doznaną krzywdę – odezwał się Bemme. – Tylko Allah może zadbać o to, żeby uciskani i prześladowani muzułmanie doświadczyli sprawiedliwości. Jeśli nie tutaj, to w raju, który jest pisany każdemu prawdziwie wierzącemu, w tym pewnie również temu młodemu chłopakowi.

Faris i Marc wymienili znaczące spojrzenia, kiedy Bemme mówił o wymierzaniu sprawiedliwości. Uznali, że tutaj niczego więcej się nie dowiedzą. Faris podrapał się po szyi, po czym odszukał nagranie rozmowy nieznanego z policją i włączył odtwarzanie.

– I zabijajcie ich, gdziekolwiek ich spotkacie, i wypędzajcie ich, skąd oni was wypędzili! – Prześladowanie jest gorsze niż zabicie – słyszeli jego słowa.

Policjant przez chwilę nic nie mówił, czekając, aż Bemme na nie zareaguje.

Mężczyzna zdjął okulary i rękawem kaftana wytarł szkła, po czym znów je założył.

Faris tylko z największym trudem zachowywał cierpliwość. Brodaty mężczyzna intensywnie myślał. Policjant dał mu jeszcze dwie sekundy, aż w końcu nie wytrzymał i zadał pytanie:

– Zna pan człowieka, którego głos pan słyszał?

Bemme potrząsnął głową. Faris był pewien, że nie skłamał.

– Ludzie, których znam, znają Koran zgodnie z jego duchem i jeśli go cytują, to robią to poprawnie – wyjaśnił.

– Czyli jak?

Mężczyzna wskazał na jego telefon.

– To fragment sury drugiej, wers sto dziewięćdziesiąty pierwszy. – Odchylił się, jakby chciał się przygotować na to, co zaraz powie, po czym zacytował spory fragment po arabsku. – Tak powinno to brzmieć w całości.

– Może pan to powiedzieć w jakimś zrozumiałym języku? – zapytał Marc ponuro.

Bemme uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Ależ z największą przyjemnością. „I zabijajcie ich, gdziekolwiek ich spotkacie i wypędzajcie ich, skąd oni was wypędzili! – Prześladowanie jest gorsze niż zabicie. – I nie zwalczajcie ich przy świętym Meczece, dopóki oni nie będą was tam zwalzczać. Gdziekolwiek oni będą walczyć przeciw wam, zabijajcie ich! – Taka jest odpłata niewiernym! Ale jeśli oni się powstrzymają... – zaprawdę, Bóg jest przebaczący, litościwy! I zwalczajcie ich, aż ustanie prześladowanie i religia będzie należeć do Boga. A jeśli oni się powstrzymają, to wyrzeknijcie się wrogości, oprócz wrogości przeciw niesprawiedliwym!”^[3] – Odkasznął. – Skoro więc przychodziecie pytać mnie o zdanie, to nim służę: ten człowiek nie jest prawdziwym wierzącym muzułmaninem.

ROZDZIAŁ 13

Rühmann westchnął. Za pół godziny powinien skończyć pracę, tymczasem czekało go jeszcze przesłuchanie świadka, który był już spóźniony. Przez chwilę rozmyślał, czy się nie spakować i nie wrócić do domu, pozwalając niesłownemu mężczyźnie odbić się od zamkniętych już drzwi jego biura, jeśli w ogóle łaskawie się pojawi. Oczywiście porzucił ten pomysł. Nie potrafiłby z czystym sumieniem wrócić do domu, kiedy morderca byłej kobiety kolegi z firmy był na wolności. Spotkanie z Christianem Zölllerem nie popchnęło dochodzenia naprzód. Równie niewiele wniosła rozmowa z jego matką w domu spokojnej starości. Mimo to Rühmanna zaintrygowały jej słowa i z ciekawości sprawdził, na co zmarł mąż staruszki. Zawał serca.

Wyglądało więc na to, że dreptali w miejscu, i to z pustymi rękoma. Lepiej będzie, jeśli się zajmie studiowaniem raportu z sekcji zwłok, który kilka minut wcześniej pojawił się w cyfrowym archiwum sprawy w systemie DigAA. Zgodnie z zawartymi w nim informacjami, bezpośrednią przyczyną śmierci Laury Zöller było uduszenie na skutek zmiążdżenia krtani, co pokrywało się z ich wcześniejszymi przypuszczeniami. Ślady wskazywały również na to, że sprawca, który spowodował te uszkodzenia, musiał mieć bardzo duże dłonie. Mocno krwawiąca rana na głowie powstała w wyniku upadku i uderzenia o kant nocnej szafki. Na podstawie ustalonych obrażeń udało się mniej więcej zrekonstruować przebieg zdarzeń w pokoju denatki: Laura Zöller otworzyła mordercy drzwi. Najprawdopodobniej wpuściła go do środka i odbyła z nim brutalny stosunek seksualny, po którym została zaatakowana. Ślady na prawym policzku sugerowały mocne uderzenie, które pchnęło ją na szafkę nocną. Najwyraźniej nie straciła przytomności, bo ślady krwi w pokoju świadczyły o tym, że już ranna dalej się poruszała – do chwili, gdy sprawca siłą pchnął ją na łóżko i udusił. Cały czas trwały analizy próbek nasienia zabezpieczonych na ciele oraz komórek naskórka zebranych z szyi ofiary.

Rühmann westchnął i zmienił pozycję, chcąc nieco odciążyć obolałe plecy, lecz ruch ten wywołał gwałtowny ból, który niczym rażenie prądem poczuł aż w pięcie.

Dotknął palcami dolnej wargi i w myślach obiecał sobie, że spóźniony świadek zapłaci mu za zmarnowany czas. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Odwrócił się. Nawet tak prosty ruch wywoływał ból! Szlag by to trafił, przez ten nerw kulszowy dostanie kiedyś cholery!

– Proszę! – burknął rozeźlony i sięgnął po tabletki przeciwbólowe, po czym połknął dwie naraz.

Drzwi się uchyliły i do biura wszedł mężczyzna w średnim wieku. Raczej korpulentny, w spodniach z zakładkami i wełnianej marynarce, z płaszczem przewieszonym przez ramię.

– Dzień dobry – powiedział i rozejrzał się, jakby znalazł się na mostku statku kosmicznego.

Rühmann rozmawiał z nim już przed południem, choć bardzo krótko, ale wiedział, kim jest. Klaus Westermann był biznesmenem, jednym z grupy, która poprzedniego wieczoru spotkała się w hotelowym barze, by świętować jakiś sukces. W czasie, kiedy tam przebywał, doszło do zabójstwa Laury Zöller. Rühmann zaprosił go na protokolowaną rozmowę na szesnastą, jednak mężczyzna spóźnił się ponad pół godziny.

Demonstracyjnie spojrzął na zegarek i w myślach zaczął układać listę wszystkich przekleństw, jakimi obdarzył go w ciągu ostatnich niemal czterdziestu minut.

– Spóźnił się pan! – mruknął w końcu.

– No tak... – Biznesmen spojrzął na nadgarstek. – Racja. Bardzo mi przykro. – Zamknął za sobą drzwi.

Rühmann jednym dużym łykiem dopił wodę ze szklanki i odstawił ją na parapecie, obok ekspresu do kawy. W dzbanku na podgrzewanej płycie resztką aromatycznego naparu zmieniała się powoli w płyn o gęstości oleju silnikowego. Wreszcie wstał i podał gościowi dłoń. Na wszelki wypadek jeszcze raz się przedstawił i podał swój stopień.

– Proszę, niech pan siada.

Wskazał na pojedyncze krzesło przeznaczone dla gości.

– Dziękuję. – Westermann przysiadł wyraźnie spięty na krawędzi mebla.

W jego oczach widać było fascynację, co jeszcze bardziej wyprowadzało Rühmanna

z równowagi. Wściekał się, że ludzie, których zapraszał w roli świadków, zdawali się cieszyć z konieczności stawienia się na policji. Zupełnie jakby brali udział w bardzo rzeczywistym show telewizyjnym w roli statystów i nie traktowali tego poważnie.

Z biegiem czasu przyzwyczaiał się do traktowania takich osób raczej szorstko i właśnie dlatego teraz bez słowa ostrzeżenia wyjął z szuflady dyktafon podłączony do archiwum, dzięki któremu rozmowa ze świadkiem trafiała od razu w formie pliku audio do systemu DigAA.

– To tak wolno? Tak po prostu? – zdziwił się Westermann, kiedy policjant chciał włączyć urządzenie. – No wie pan, chodzi o nagrywanie mnie.

– Chciałby się pan zapoznać z odpowiednim zarządzeniem senatu Berlina? W razie czego służę wydrukiem – burknął Rühmann nieprzyjemnym tonem.

Westermann uniósł dłonie w obronnym geście.

– Nie, nie to miałem na myśli. Nie mam nic przeciwko.

– Zatem rozumiem, że nie wyraża pan sprzeciwu i mogę uruchomić nagrywanie?

– Tak.

Westermann zamrugał. Już na początku zrobił na Rühmannie wrażenie osoby kompetentnej i z dużym refleksem, lecz w tej chwili zupełnie mu umknęło, że policjant go nabrał. Oczywiście, że jak każdy świadek mógł odmówić zgody na nagrywanie rozmowy. Rühmann musiałby wtedy sięgnąć po kartkę papieru i długopis, po czym – jak dawniej – zapisać przebieg rozmowy i przepisać go na komputerze. Bardzo się ucieszył, że go to omija, więc postanowił, że w nagrodę będzie przyjemniejszy dla swojego gościa.

– Świetnie – powiedział i oparł się wygodniej. – W takim razie zaczynamy. – Na głos odczytał numer akt sprawy. – Przepytanie świadka Klausa Westermanna, pracownika firmy Zeus GmbH, w sprawie morderstwa Laury Zöller. Proszę się przedstawić, podać adres oraz datę i miejsce urodzenia.

Westermann bez wahania podał wszystkie potrzebne informacje.

– Wczoraj wieczorem, to jest dwunastego lutego, był pan gościem hotelu Gaislinger – zaczął Rühmann właściwą część rozmowy. – Czy pan potwierdza?

– Jak najbardziej – odparł Westermann z krótkim, niemal wojskowym skinieniem głową.

– Czy rozmawiał pan tego wieczoru z ofiarą morderstwa?

– Tak, ale bardzo krótko. – Mężczyzna cofnął się i usiadł nieco wygodniej, założył nogę na nogę i poprawił zakładki spodni.

Rühmann musiał zacisnąć zęby, żeby się nie uśmiechnąć. Jego żona zawsze się śmiała z ludzi, którzy chodzili w spodniach z zakładkami wyprasowanymi w ostry kant. Nie miał pojęcia, co ją w tym tak bawiło.

– Wracałem z pokoju na dół, do baru – opowiadał Westermann. – I wtedy spotkałem... zamordowaną... w windzie ją spotkałem.

– Ale to wystarczyło, by odbył pan z nią z krótką rozmowę?

– Tak, bardzo krótką nawet. – Westermann uśmiechnął się znacząco. – Życzyłem jej przyjemności.

– Przyjemności... – powtórzył policjant.

Biznesmen znów poprawił zakładki spodni.

– Tak, bo nie jechała sama. W zasadzie to przyjemności życzyłem jej i gościowi, który z nią był.

Rühmann zaczął uważnie słuchać. Sporą część dnia zajęło mu przepytywanie pracowników hotelu i gości, którzy spędzili tam poprzedni wieczór. I już wcześniej słyszał od kilku osób, że zamordowana kobieta z kimś się spotkała. Większość twierdziła, że to wysoki mężczyzna o ciemnych włosach, ale dotychczas nikt nie potrafił go opisać. Na dodatek Rühmann nie miał pojęcia, że Laura Zöller udała się z nim do swojego pokoju.

– Twierdzi pan, że ten mężczyzna jechał z nią windą? – Poczł delikatne mrowienie w karku. Gdyby udało się zidentyfikować człowieka, który jej towarzyszył...

– Tak. Byli razem w windzie, kiedy do niej wsiadłem.

– I jest pan pewien, że nie spotkali się tam przypadkowo, tylko razem jechali windą na górę? –

Celowo podkreślił słowo razem.

– Oczywiście! Przecież nie jestem ślepy! Może mi pan wierzyć, że tak właśnie było. Ona czegoś od niego chciała. Była w niego totalnie zapatrzona.

Rühmann skrzywił się, słysząc ten opis.

– Czy ofiara zwracała się do niego po imieniu?

Westermann pokręcił głową.

– Rozmowa jest nagrywana, więc proszę odpowiedzieć – zwrócił mu uwagę policjant.

– Nie – powtórzył Westermann.

– Czy byłby pan w stanie opisać tego mężczyznę?

Świadek wydał policzki i ze świstem wypuścił powietrze.

– Nie przyglądałem mu się jakoś szczególnie uważnie, ale jednego jestem pewien: nie był rodowitym Niemcem.

Policjant poczuł intensywniejsze mrowienie karku.

– Proszę powiedzieć o nim wszystko, co pan zapamiętał!

– Wysoki. Znacznie wyższy ode mnie. Metr osiemdziesiąt pięć albo około. Czarne włosy. To dobrze zapamiętałem. Wyglądał na obcokrajowca.

– Obcokrajowca?

– No tak. Sam nie wiem. Turek może? Na pewno bardzo przystojny, taki mroczny typ, na jakich lecą kobiety. Wie pan, oczy jak rozżarzone węgle itepe. – Uśmiechnął się z kpinią. – Moja żona żadnemu romansidłu nie przepuści.

Rühmann nie skomentował tego opisu. Niespodziewanie przestał odczuwać jakiegokolwiek mrowienie, zaczął coś podejrzewać.

– Już, sekunda, tylko coś sprawdzę – powiedział, po czym uruchomił jedną z funkcji DigAA dającą dostęp do akt pracowników departamentu pierwszego. Odszukał odpowiednią osobę i odchylił monitor tak, by Westermann mógł zobaczyć wyświetlone zdjęcie. – Czy to tego mężczyznę widział pan wczoraj w hotelu z Laurą Zöller? – zapytał głuchym głosem.

Westermann przyjrzał się fotografii. W końcu potaknął.

Policjant pomasaował obolałe plecy. Potem przeniósł wzrok i popatrzył w ciemnobrązowe oczy na zdjęciu.

– Niech cię cholera, Faris... – mruknął pod nosem.

– Wiesz, co mi nie daje spokoju? – spytał Marc, kiedy wracał z Farisem do siedziby wydziału na Keithstraße. Tym razem to on siedział za kierownicą i prowadził służbowe BMW dwoma palcami lewej dłoni. – Zastanawiam się, czy to możliwe, że ten nieznanany nam sprawca mógł celowo skrócić cytat z Koranu?

Faris usiadł tak, żeby móc patrzeć na kolegę bez odwracania głowy. Odsunął pas bezpieczeństwa, żeby nie drażnił go w szyję, a mimo to miał wrażenie, że zaraz się udusi. Zatrzymali się na światłach. Przez boczną szybę kierowcy widział grupkę młodych dziewczyn, które stały przy budce z jakimś jedzeniem i rozmawiały.

Gdzie była Anisah i co robiła?

Skupił się na Marcu i jego słowach. Po raz pierwszy, od kiedy przydzielono mu go jako nowego partnera, poczuł coś w rodzaju wdzięczności, że razem pracują. Chłopak był naprawdę dobrym policjantem i jeszcze lepszym profilerem – co zresztą było powodem, dla którego Tromsdorff wciągnął go do zespołu wydziału specjalnego WPR.

– Możliwe też, że w sposobie, w jaki przekręcił ten cytat, chciał ukryć jakieś przesłanie – dodał Marc.

Faris puścił pas, który natychmiast się zwinął i zostawił bolesne otarcie skóry na szyi.

– Wśród jego motywów w ogóle nie ma religii – powiedział. Poprosił Bemmeo o zapisanie całego cytatu, po czym schował go do tylnej kieszeni spodni, bo dobrze pamiętał. – Wzmianka o meczecie i przede wszystkim o odplacie, która ma spotkać niewiernych. – Wyjął komórkę i uruchomił odtwarzanie nagrania telefonu na policję. Dopiero teraz zwrócił uwagę na to, w jaki sposób ostatnie

zdanie cytatu zostało przez niego skrócone.

– Sposób, w jaki on to mówi, rzeczywiście sugeruje osobiste porachunki – przyznał Marc. – To miałeś na myśli?

Faris niezdecydowanie poruszył głową.

– Aha. Albo Bemme chce, żebyśmy w to uwierzyli. Facet jest kurewsko inteligentny. Nie można lekceważyć możliwości, że celowo robi z nas idiotów.

– Oczywiście. Ale moim zdaniem powinniśmy przyjąć, że gość nie jest islamistą, tylko prowadzi osobistą wendettę przeciwko tobie. – Marc uśmiechnął się słabo.

Policjant pomyślał chwilę. Jeśli jego partner miał rację i jeśli nieznajomy rzeczywiście kierował się względami osobistymi, prowadząc jakąś chorą wendettę przeciwko niemu, mieliby ogromną liczbę hipotez, o co może mu chodzić. Bał się jednak tego, bo to by oznaczało, że w gruncie rzeczy Önur zginął przez niego.

Czy Laura również?

Poczuł ogromny ucisk w żołądku. Instynktownie chciał przestać o tym myśleć i wołał przyjąć, że szukają sprawcy działającego z motywów politycznych czy religijnych. Takie podejście pozwoliłoby mu zachować dystans. Bo tylko wtedy poczucie winy nie byłoby aż tak bolesne...

Znał głos osoby, która dzwoniła na policję, a potem do niego...

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej prawdopodobna wydawała mu się teoria Marca. Ten skurwysyn, który stał za zamachem, musiał znać nagrania jego sesji terapeutycznych u Andrei. Wiedział więc o szczegółach dochodzenia w sprawie zamachowca podkładającego bomby w czasie Ekumenicznych Dni Kościoła, jak również o tych, które nigdy nie były upubliczniane i o których Faris nie mówił nikomu poza swoją terapeutką.

„As-samu alaikum” – pomyślał.

Po czym dodał głośno:

– Bemme nie ma najmniejszego powodu, żeby się na mnie mścić. Pojawiał się raz czy dwa w moich dochodzeniach, ale nigdy jako główna postać, tylko zawsze tak „przy okazji”.

– Czyli uważasz, że moglibyśmy odhaczyć go jako podejrzanego? – zapytał Marc. Zatrzymał auto, bo tuż przed nimi jakiś chłopak na czerwonym rowerze niebezpiecznie szerokim łukiem wjechał na pas ruchu.

– Jeszcze nie – powiedział Faris.

W jego głowie zrodziła się właśnie pewna myśl. Być może lepiej nie odrzucać w całości hipotezy Marca i wziąć pod uwagę, że ta sprawa rzeczywiście może mieć podłoże osobiste. Wtedy nieważne, co to dalej przyniesie, bo takie założenie mogłoby bardzo ułatwić prowadzenie śledztwa na obecnym etapie. Na dodatek w takim wypadku napędzała go wściekłość. A wściekłość była dobra, bo chroniła go przed załamaniem. Przez chwilę celowo ją podsycił.

– Chyba możesz mieć rację – powiedział w końcu. – Na początek wykluczmy Bemmego.

Marc uśmiechnął się szeroko.

– Jesteśmy boscy! Z mniej więcej miliona ośmiuset tysięcy mężczyzn w Berlinie udało nam się już jednego wykluczyć. Przy tym tempie dopadniemy gnoja przed Bożym Narodzeniem roku dwa tysiące osiemdziesiątego!

Faris wypuścił powietrze nosem. Przez chwilę siedział pogrążony w myślach, a Marc jechał płynnie wśród delikatnego deszczu, przeciskając się przez wieczorne korki.

– Wiesz, od czego chce mi się rzygać? – zapytał.

Faris pokręcił głową.

– Jeśli to prawda, że sprawa ma wymiar osobisty, to ten czubek, który rano dzwonił, nakłonił Önura do wysadzenia się w powietrze tylko po to, żeby ci dopiec. Facet ma chorą definicję zemsty.

Młody policjant nie zdawał sobie sprawy, że te słowa wzmagają tylko ból i jeszcze głębiej wbijają w serce jego partnera ostrze wyrzutów sumienia.

Faris wzruszył ramionami i spróbował się odciąć od emocji, które napierały z taką siłą, że niedługo mogły go przytłoczyć. Przecież właśnie o to chodziło islamistom i ich werbownikom, kiedy

dzień w dzień namawiali młodych mężczyzn i kobiety, żeby zakładali pasy szahida – o wykorzystanie ich do własnych celów.

Chora definicja zemsty.

Zgrzytnął zębami. W żadnym razie nie wolno mu było traktować tej sprawy zbyt osobiście.

Marc westchnął.

– Odpłata – mruknął. – Tylko za co?

NIEZNAJOMY

Anisah jęknęła, kiedy zobaczyła, że maluje jej paznokcie na czerwono. Jego matka wydawała dokładnie takie same dźwięki, kiedy ten wieprz się na niej kładł.

Człowiek, który pragnął zemsty, przełknął, żeby pozbyć się kwaśnego posmaku z ust.

– Cicho! – rozkazał i uderzył ją lekko w ramię.

Kobieta zamilkła. Miała wytrzeszczone oczy i źrenice rozszerzone przerażeniem.

Tak samo, jak jego matka...

Z rozmachem uderzył się płaską dłonią w czoło, żeby przepędzić z głowy natrętą myśl, jednak pojawiające się w niej obrazy nie chciały odejść. Widział siebie, jak stoi przytulony do framugi i zagłada przez uchylone drzwi.

Zagłada i widzi, jak jego matka leży na łóżku, z głową przekręconą na bok i oczyma mokrymi od łez. Nie mogła zobaczyć jego maleńkiej postaci. Nie widziała ani jego, ani wyrazu przerażenia na jego dziecinnej twarzy. A odczuwał przecież przeogromny strach, tak straszny, że z trudem mógł oddychać.

Wreszcie wieprz skończył to, co robił, i z obleśnym jęknięciem zszedł z jego matki.

– Ubieraj się! – warknął nieprzyjemnie.

Posłuchała. Jej ruchy przypominały ruchy zepsutej lalki – były powolne, kanciaste i urywane.

– Dlaczego? – szepnęła ledwie słyszalnie.

Wieprz nawet nie spojrział w jej stronę.

– Dlaczego co?

– Dlaczego mi to robisz? Dlaczego ciągle mi to robisz?

Wtedy jego ojciec zaniósł się śmiechem. Jego szerokie plecy pokrywały długie czarne i gęste włosy, nie takie jak u wieprza, ale raczej jak u małpy. Kiedy się odwrócił, w jego oczach pojawił się błysk szyderstwa. Uniósł dłoń i niemal czule pogłaskał mamę po policzku.

– Potraktuj to jako odpłatę – powiedział miękkiem głosem. – Drobną karę za to, że mnie okłamałaś.

Przy tych słowach uniósł wzrok i spojrział na szparę w drzwiach, jakby przez cały czas wiedział, że ktoś ich obserwuje...

Człowiek, który pragnął zemsty, westchnął głucho i otrząsnął się ze wspomnień. Zmusił się, żeby nie myśleć o przykrych sprawach z przeszłości, i zakreślił buteleczkę z lakierem. W końcu przekrzywił głowę i przez chwilę podziwiał swoje dzieło. W jednym miejscu wjechał lakierem na skórę nad paznokciem, a w innym na błyszczącej czerwieni powierzchni dostrzegł delikatne ślady, bo pędzelek miał odstające włoski. Fascynowało go to, że kobiety potrafią pomalować paznokcie z precyzją zbliżoną do perfekcji.

Pomyślał o wszystkim, co już się wydarzyło; o krokach tego szalonego tańca, w który zaczęli tańczyć. W końcu podjął decyzję. Sięgnął po telefon i wybrał numer. Przez kilka sekund czekał, aż osoba po drugiej stronie odbierze.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział tylko, po czym zamilkł i wysłuchał potoku przekleństw, który popłynął ze słuchawki. Wiedział, że jego prośba nie zostanie odrzucona.

To, że ktoś na niego krzyczał czy go przeklinał, nie miało żadnego znaczenia. Już nie miało. Teraz liczył się tylko taniec.

– Odpłata – mruknął, kiedy osoba po drugiej stronie zapewniła go w końcu, że może liczyć na jej pomoc i się rozłączyła. Powieki Anisah zadrżały.

Odplata.

Gwałtownie odchylił głowę, a z jego gardła wydobył się długi krzyk.

– Uważasz mnie za potwora, prawda? – zapytał Anisah. – Myśl, co chcesz, ale wiedz, że to twój brat uczynił mnie tym, kim jestem.

Widział, jak dziewczyna stara się unieść powieki i jak w końcu jej się to udaje. Miała zamglone spojrzenie... zamglone jak spojrzenie jego matki...

Nabrał głęboko powietrza. Potem sięgnął po coś do kieszeni. Wyjął z niej skórzany futerał. Trzymał go tak, żeby dziewczyna nie mogła zobaczyć, co to jest. W jego dłoni pojawił się sekator. Ostrożnie otworzył zabezpieczenie, a sprężyna ze szczękiem otworzyła ostrza. Nacisnął kilka razy na rączki, żeby sprawdzić, czy narzędzie działa. Dźwięk przesuwających się po sobie ostrzy sprawił, że poczuł dreszcze na plecach.

– Uruchomisz detonator! – szepnął i się zaśmiał.

Droga przez piekło była tym gorsza, im dłużej się ciągnęła.

ROZDZIAŁ 14

Alfons Rühmann i Jens Meyer zastąpili drogę Farisowi i Marcowi tuż przed wejściem do War Roomu.

Starszy policjant miał śmiertelnie poważną minę.

– Obawiam się, że musimy porozmawiać – powiedział.

Pod Farisem ugięły się nogi.

– Anisah? Co się stało? – jęknął. Oczyma wyobraźni zobaczył siostrę w miejscu, w którym wcześniej widział swoją byłą narzeczoną. Błądą. Zakrwawioną.

Rühmann potrząsnął głową.

– Nie. Chodzi o Laurę.

– Wiecie już, kto ją zamordował? – Wciąż jeszcze nie mógł zrozumieć, dlaczego starszy policjant spogląda na niego z taką powagą.

– Wiemy – potwierdził Meyer.

Faris cofnął się o krok.

– Ale... nie rozumiem...

Nie dokończył, bo w tej samej chwili od strony schodów rozległ się szybki stukot szpilek, a niedługo później zza rogu wyłoniła się doktor Geiger i stanęła naprzeciwko niego.

– Dlaczego ten człowiek jeszcze chodzi wolny? – zapytała lodowatym tonem.

Rühmann uniósł dłoń.

– Właśnie zamierzaliśmy...

– Dlaczego jestem wolny? – W końcu do Farisa zaczęło docierać, skąd powaga na twarzach kolegów po fachu. – Zaraz... czy to znaczy, że podejrzewacie mnie o zamordowanie Laury?

Geiger w ogóle nie zwróciła uwagi na jego słowa. Skinęła głową w stronę Meyera.

– Na co pan czeka? Proszę go zatrzymać! – syknęła.

Faris wpatrywał się z niedowierzaniem, jak podchodzi do niego umięśniony policjant. Był przekonany, że mimo nieprzeniknionej miny dostrzegł w jego oczach błysk zadowolenia. Gliniarz, który przeszedł na drugą stronę i w dodatku skrzywdził kobietę, był w oczach wielu kolegów z firmy wart mniej niż brud wygrzebany spod paznokcia.

– Farisie Iskanderze, jest pan zatrzymany w związku z podejrzeniem o popełnienie morderstwa na Laurze Zöller.

– Co tu się dzieje? – Otworzyły się drzwi War Roomu i na korytarz wyszedł Tromsdorff. Błyskawicznie domyślił się, o co chodzi. – Anke, ty chyba robisz sobie żarty! Przecież Faris...

Geiger uniosła gwałtownie dłoń, żeby mu przerwać.

– Proszę działać! – poleciła Meyerowi. – To pana obowiązek, więc na co pan czeka?!

– Alfons! Skąd w ogóle pomysł, że mogłem jej coś zrobić? – Faris spojrzał Rühmannowi w oczy. W jego zachowaniu szukał jakiegoś sygnału, że jest po jego stronie. Nie dostrzegł jednak niczego poza zagubieniem. Starszy policjant nie miał pewności, po której stronie powinien się opowiedzieć, a w jego oczach widać było niepewność. Nie wykluczał, że Faris mógł to zrobić... dość długo był policjantem, żeby wiedzieć, że w określonych okolicznościach każdy może się stać mordercą.

Rühmann milczał. Meyer chwycił Farisa za ramię, lecz ten mu się wyrwał.

– Popelniacie wielki błąd – powiedział. – Morderca Laury...

Nie dokończył zdania, bo potężny policjant obrócił go brutalnie i pchnął na ścianę. Siła zderzenia z nieruchomą przeszkodą była tak wielka, że obite żebra niemal zatrzęszczały i Faris przez chwilę nie mógł nabrać powietrza.

– Anke, naprawdę uważasz, że to konieczne? – Głos Tromsdorffa dotarł do niego przytłumiony, jakby przedzierał się przez grubą zasłonę utkaną z pulsującego bólu i wściekłej złości.

Silnym szarpnięciem odwrócono go od ściany. Walczył z chęcią przeciwstawienia się i zmazania pięścią Meyerowi nienawistnego uśmiešku z twarzy. Opanował się jednak.

– Puść mnie! – powiedział na tyle spokojnie, na ile był w stanie.

Ku jego zaskoczeniu umięśniony policjant usłuchał. Faris bardzo powolnym ruchem wyjął broń z kabury przy pasku i przekazał ją Meyerowi, po czym sięgnął do kieszeni spodni, gdzie nosił legitymację i odznakę i je również oddał.

– Popelniacie błąd – powiedział, zaskoczony swoim spokojnym tonem. – Nie zamordowałem Laury. Powinniśmy teraz jak najszybciej to sobie wyjaśnić.

– To się dopiero okaże! – Geiger dała znak Rühmannowi. – Zaprowadźcie go do trójki.

Faris trafił do sali przesłuchań numer trzy, pozbawionej krat i innych zabezpieczeń. W gruncie rzeczy było to zwykłe biuro z trzema krzesłami, oknem i biurkiem, na którym stał komputer. Rühmann wskazał mu miejsce na krześle, po czym obszedł biurko i usiadł przed monitorem. Meyer został przy drzwiach, jakby zamierzał trzymać straż. Po chwili dołączył do nich Tromsdorff, który po zatrzymaniu na korytarzu odszedł dokąds – najpewniej powiadomić resztę zespołu WPR o sytuacji, jaka właśnie miała miejsce. Teraz uparł się, że będzie obecny przy przesłuchaniu, i stanął przy oknie, oparty o parapet.

Geiger usiadła na ostatnim wolnym krześle w pokoju.

„Pełna obsada” – pomyślał Faris ponuro.

– To skończony idiotyzm – powiedział głośno. – Wy będziecie marnować czas na bezsensowne pytania, a prawdziwy morderca jest na wolności.

„I z bardzo dużym prawdopodobieństwem porwał moją siostrę” – dodał w myślach i natychmiast poczuł ukłucie wściekłości.

Odwrocił głowę i odszukał wzrok przełożonego. Tromsdorff potaknął, jakby chciał powiedzieć, żeby się nie przejmował, bo on będzie nad wszystkim czuwał.

Faris przypomniał sobie o nagraniach z kamer przemysłowych w metrze. Może gdyby miał możliwość przejrzania zarejestrowanego materiału, byłoby znacząco dalej? Może już dawno by wiedzieli, kim jest tajemniczy człowiek, który dzwonił na policję, a potem do niego – i mieliby w ten sposób podejrzanego o zamordowanie Laury?

Kusiło go, żeby zerwać się z miejsca, ale się powstrzymał. Kosztowało go to ogromnie dużo wysiłku.

Rühmann przez dłuższą chwilę uderzał w klawisze, aż w końcu udało mu się uruchomić program do nagrywania zeznań, dzięki któremu całe przesłuchanie natychmiast miało zostać zarchiwizowane w systemie DigAA.

– Gotowy? – zapytał w końcu.

Faris potaknął.

„Zaczynaj w końcu!” – dodał w duchu.

Kliknięciem myszki starszy policjant rozpoczął nagrywanie, po czym zgodnie z procedurami podał lokalizację, datę i czas przesłuchania, powód, dla którego się odbywa, oraz wymienił wszystkich obecnych. Dopiero wtedy zwrócił się do Farisa:

– Przedstaw się, proszę.

– Podkomisarz Faris Iskander.

Niespodziewanie wydało mu się, że to wszystko jest kompletnie irracjonalne i pełne absurdu – zupełnie jakby przeniósł się do jakiegoś równoległego świata. Dotychczas to on zawsze siedział po drugiej stronie biurka i zadawał pytania. Złożył dłonie na udach i zmusił się, by oddychać głęboko.

Rühmann patrzył na niego uważnie przez dłuższą chwilę, jednak w końcu chyba uznał, że przecież Faris zna wszystkie triki i gierki, które służą do wzbudzenia nerwowości przesłuchiwanym. Policjant był błydy, a jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Geiger zdecydowała się na bezpośredni atak.

– Wiemy doskonale, że wczoraj wieczorem, kiedy zginęła Laura Zöller, był pan z nią w hotelu.

To było wszystko, co mieli?

No oczywiście!

Policjant przycisnął palce lewej dłoni do czoła i pomyślał, że jest skończonym idiotą. Dowiedzieli się, że poprzedniego wieczoru spotkał się z Laurą. Poznali fakt, o którym zapomniał wspomnieć w natłoku tragicznych wydarzeń, które miały miejsce od samego rana. Spróbował przypomnieć sobie

poranną rozmowę z Rühmannem. Nie potrafił przywołać wielu szczegółów, które zginęły zagłuszone bólem wywołanym śmiercią Laury.

– Alfons – powiedział, celowo ignorując doktor Geiger. – Wiem, że to może wyglądać dziwnie. Dzisiaj rano powiedziałem ci, że Laura do mnie dzwoniła. A że byłem w hotelu i...

– Dlaczego pan to przemilczał? – przerwała mu szefowa. – To chyba oczywiste: bo w jednoznaczny sposób wskazywało na pana jako sprawcę.

Faris splótł palce obu dłoni.

– Dlatego, że przytłoczyło mnie wszystko, co się dzisiaj wydarzyło.

A potem po kolei wyjaśnił przyczyny tego, że nie powiedział Rühmannowi o wieczornym spotkaniu z Laurą. Telefon od Samira. Wybuch bomby. Rozpacz i żaloba.

Tłumacząc się, spojrzał w stronę przełożonej. Wyraz twarzy i jej spojrzenie były jednoznaczne – nie wierzyła w ani jedno jego słowo. Prawdę mówiąc, nie łudził się, że będzie inaczej. Kobieta od zawsze darzyła go szczerą antypatią, tak głęboką, że zarzuciłaby mu kłamstwo, nawet gdyby zeznał, że niebo jest niebieskie.

– Hm! – prychnęła kpiąco.

Rühmann spojrzał na nią z dezaprobatą.

– Opowiedz, proszę, jak przebiegało spotkanie z ofiarą – zwrócił się do Farisa.

W tym momencie młodemu policjantowi skończyła się cierpliwość.

– No kurwa, Alfons, chyba kogoś popierzyło! Ja tego nie zrobiłem! Powinniśmy teraz szukać prawdziwego sprawcy...

Zaczął się podnosić z krzesła, lecz zanim stanął prosto, na jego ramieniu spoczęła ciężko masywna ręka Meyera i zmusiła go do powrotu na miejsce.

Zacisnął prawą pięść. Otarcia, których się nabawił w czasie eksplozji, znów go zapiekły, choć zdążył o nich zapomnieć.

Geiger zdjęła czarną marynarkę i odwiesiła ją na oparciu krzesła, jakby chciała zademonstrować, że ma dużo czasu. W jasnej jedwabnej bluzce nie wyglądała już tak groźnie, jednak nadal miała zacięty i nieprzejednany wyraz twarzy. Wsunęła starannie obcięte włosy za ucho.

– Próbuje pan przed nami ukryć, że wczoraj wieczorem doszło do spotkania między panem i ofiarą. Pan i Laura Zöller udaliście się do jej pokoju i tam doszło do kłótni, w następstwie której dokonał pan gwałtu, a następnie udusił ofiarę! – Wstała i podeszła do Farisa. Nie miała daleko. Policjant miał wrażenie, że chce w ten sposób wywołać w nim poczucie zagrożenia.

Nie drgnął nawet. Jej słowa przywołały obrazy, których wolałby nie pamiętać. Krew Laury. Jej ciało. Zadarta spódniczka. Rozerwane figi na szkarłatnym dywanie.

– Ani jedno słowo się nie zgadza – powiedział. Nie mógł opanować drżenia dłoni, którą oparł na udzie.

Geiger prychnęła z pogardą i przysunęła twarz do jego twarzy.

– Jest pan silny i wysportowany, kolego Iskander. Niech mi pan zdradzi, jak to jest, rzucić kobietę na łóżko i ją...

– Doktor Geiger! – odezwał się Rühmann. Mówił cichym głosem, lecz w jakiś sposób dotarł do świadomości zaślepionej agresją szefowej.

Kobieta spojrzała na niego rozzłoszczona, jednak wyprostowała się i odsunęła od Farisa. Westchnęła, bo zorientowała się, że pozwoliła sobie na zbyt wiele. Kiedy spojrzał jej w oczy, ogarnęło go podejrzenie, że jej ta sprawa dotyka głębiej niż pozostałych. Gwałtownie się odwróciła, uniosła ramiona i po chwili je rozluźniła.

– Jaki ma pani problem? – zapytał i w porę ugryzł się w język, żeby nie dokończyć zdania, bo chciał jeszcze dodać: „ze mną”. Nie po raz pierwszy dochodziło między nimi do tarć, choć wcześniej zawsze powodem było to, że Faris jest muzułmaninem i przez to nie może mu ufać. Sposób, w jaki przedstawiła mu szczegóły morderstwa na Laurze, podsunął podejrzenie, że coś jeszcze wzmagało jej zwykłą niechęć do niego.

Geiger szybko wzięła się w garść.

– To nie ja mam tutaj problemy – prychnęła z niechęcią i wróciła na swoje miejsce.

Rühmann skinął głową i zamyślony rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Byłeś wczoraj z Laurą Zöller w jej pokoju w hotelu, Faris? – zapytał cicho.

– Tak, do cholery, byłem! – wyrzucił z siebie policjant. – Ale...

– Spałeś z nią? – To pytanie również padło z ust Rühmanna. Zadał je cichym, lecz przenikliwym głosem. I takim samym tonem, jak wcześniej, kiedy mówił, że Laura przed śmiercią odbyła stosunek. Bardzo brutalny stosunek...

Faris potarł oczy.

– Nie – odpowiedział.

I nie skłamał. Laura zaciągnęła go do pokoju i pocałowała. Ale nie poszedł z nią do łóżka. Czy tego pragnął? Zdecydowanie. Szczególnie kiedy sięgnęła pod spódniczkę i zsunęła figi. Mimo to zdołał się opanować, odsunąć się od niej i odejść. Przed oczyma miał cały czas widok zawiedzionej i rozczarowanej miny Laury, więc pomyślał o Irze i przypomniał sobie jej pociągłą twarz.

– Nie – powtórzył z naciskiem i dokładnie w tej samej chwili rozdzwonił się telefon w jego kieszeni. Pospiesznie sięgnął po słuchawkę, lecz nie zdążył nawet spojrzeć na ekran.

– Proszę natychmiast to odłożyć! – rozkazała Geiger.

Faris nie zamierzał jej słuchać. Spojrzał na wyświetlacz. Nie miał pewności, czy poczuł ulgę, czy raczej przerażenie, kiedy zobaczył numer Anisah. Odszukał spojrzenie Tromsdorffa.

– To moja siostra.

Jens Meyer zrobił dwa szybkie kroki i zanim Faris zdążył cokolwiek zrobić, potężny mężczyzna wyrwał mu słuchawkę z dłoni.

– To jest oficjalne przesłuchanie! – warknął. Smartfon ginął w jego masywnej dłoni. Sygnał komórki wydał się Farisowi jeszcze bardziej przenikliwy.

Zerwał się z krzesła.

– Anisah została...

Meyer znów nie dał mu dokończyć. Pchnął go w pierś i przemocą posadził z powrotem.

Faris chwycił go za dłoń i próbował się bronić.

– Wystarczy! – ryknął Tromsdorff.

Wszyscy zamarli na sekundę. W końcu Meyer cofnęła ramię.

– Podaj mi telefon! – polecił Tromsdorff.

Policjant posłuchał. Faris przyglądał się, jak szef odbiera połączenie i przez dwie, trzy sekundy uważnie słucha.

Nagle szef pobladł.

– Już podaję komisarza Iskandera – powiedział. Nie zważając na protesty Meyera i Geiger, przekazał słuchawkę Farisowi.

– Anisah? – zawołał policjant, ledwie przysunął telefon do ucha.

– Zgaduj dalej – odezwał się nieznajomy.

Tromsdorff energicznym gestem powstrzymał Geiger i Meyera przed kolejną próbą odebrania komórki.

Faris odwrócił się do nich plecami. Niespodziewanie poczuł straszny ucisk w gardle.

– Gdzie jest moja siostra? – wydusił z trudem.

– Spokojnie, leży sobie wygodnie tuż obok, na kanapie. – W głosie nieznajomego słychać było kpinę.

Policjantowi pociemniało przed oczyma.

– Jak się czuje? Chcę z nią porozmawiać!

– Nie da rady.

– Nie wykonam żadnego pańskiego rozkazu – wycedził Faris powoli – dopóki nie będę miał pewności, że nic jej się nie stało! – Nie miał pojęcia, skąd znalazł w sobie siłę na tak zdecydowane słowa. Czuł, że wypełnia go bezdenne, mroczne przerażenie.

Anisah!

O, nie, błagam, nie!

W słuchawce zatrzeszczało.

– No, mała, powiesz coś? – usłyszał porywacza. Jego głos dochodził jakby z bardzo daleka.

Rozległ się słaby jęk.

Faris zakrył dłonią usta.

– Anisah? To ty, Anisah? Słyszysz mnie?

– Fa... aaris? – zabrzmiało jak ulotne westchnienie.

– Dobra, na więcej raczej nie masz w tej chwili co liczyć – oznajmił porywacz.

– Ty bydlaku! Ty...

– Nie nazywaj mnie tak – ryknął dzwoniący niespodziewanie, lecz chwilę później kontynuował spokojnym tonem: – Twoja siostra jest cała i zdrowa. I to się nie zmieni, jeśli będziesz robił to, co ci każę. A teraz ruszaj na...

– Nie mogę.

– Co? – zapytał nieznajomy wyraźnie zbity z tropu.

– Nie mogę zrobić tego, czego pan ode mnie chce – powtórzył Faris. – Kilka minut temu zostałem oficjalnie zatrzymany przez policję...

Przez parę sekund w słuchawce panowała całkowita cisza.

– Zatrzymany?! – W jego głosie słyhać było bezgraniczne zaskoczenie. Potem roześmiał się z niedowierzaniem. Jego śmiech wzbudzał w policjancie niepokojące poczucie, że skądś się znają. Gdzie, do cholery, mógł go wcześniej słyszeć? – Żartujesz, prawda? To przecież nie może być prawda!

Faris podsunął telefon Anke Geiger.

– Proszę, niech mu pani powie!

Szefowa departamentu odchrząknęła.

– Doktor Anke Geiger, dyrektor departamentu kryminalnego. Pan Iskander mówi prawdę. W tej chwili znajduje się w rękach policji. Został zatrzymany w związku z podejrzeniem popełnienia morderstwa.

Faris zacisnął palce na komórce, kiedy przysuwał ją sobie do ucha.

– Słyszał pan, prawda?

Tym razem w jego głosie nie było śladu niedowierzania, raczej niepewność.

– Ty? Sławny, odważny i bohaterki komisarz Iskander podejrzany o popełnienie morderstwa? Kogo niby sprzątnąłeś?

Zanim zdążył znaleźć odpowiednie słowa, żeby odpowiedzieć na to pytanie, pod palcami poczuł wibrowanie komórki.

– Obejrzyj sobie dokładnie zdjęcie, które właśnie przesłałem – polecił porywacz.

Farisowi drżały ręce, kiedy uruchamiał odpowiednią aplikację, a potem jęknął głośno, bo zobaczył, co przedstawiała fotografia.

Porywacz zrobił zdjęcie dłoni Anisah. Błysk flesza wzbudził refleksy na powierzchni ozdobnego pierścionka, który jej podarował, lecz nie to zaparło mu dech w piersiach, a krew zmieniło w lód. Chodziło o paznokcie. Wszystkie były krótkie i naturalne – wszystkie, z wyjątkiem jednego.

Porywacz pomalował na czerwono paznokieć palca wskazującego.

Przed oczyma momentalnie stanęły mu przerażające obrazy czające się w mrokach pamięci. Eksplozja. Rozerwane zdobne drzwi w muzeum. Oderwany palec, wymierzony oskarżycielsko w jego stronę.

Schylił się i oparł głowę na kolanach, bo pociemniało mu przed oczyma.

Ktoś wyjął mu telefon z dłoni i spojrział na ekran. Dopiero po chwili zorientował się, że to Tromsdorff. Szef przysunął słuchawkę do ucha.

– Czego pan od nas żąda? – zapytał zdecydowanym, lecz bardzo spokojnym tonem.

Faris uniósł głowę. Słyszał jedynie, że nieznajomy coś mówi wyraźnie rozzłoszczony, lecz nie rozumiał pojedynczych słów.

– Proszę mnie to przekazać! – polecił Tromsdorff, lecz porywacz najwyraźniej nie chciał tego

zrobić.

Faris uniósł rękę i dał znak, że może dalej rozmawiać. Tromsdorff się zawahał, lecz oddał mu słuchawkę. Kiedy zacisnął na niej palce, pomyślał, że jest znacznie cięższa niż przed chwilą.

– Czego pan chce? – wyszeptał.

– Masz pojechać prosto do świetlicy przy meczecie Walida Tamera w Kreuzbergu. Ale sam! I to natychmiast. Jeśli będziesz się ociągał, zmuszę cię do tego. Możesz mi wierzyć, wiem, jak to zrobić, i mam środki, żeby cię pospieszyć.

I jakby na podkreślenie jego słów w tej samej chwili w głośniczku rozległ się szloch Anisah. W głosie kobiety słyhać było tak ogromne przerażenie, że Faris zatrzęsł się ze strachu.

Zacisnął szybko powieki, lecz to niewiele pomogło, bo trząsł się z wściekłości. Szybko otworzył oczy.

– Zaraz ruszam! – wycharczał.

Dobiegł akurat do drzwi, kiedy głos doktor Geiger zatrzymał go w pół ruchu.

– Stać! Jest pan zatrzymany, nic się nie zmieniło!

Zamarł jak skamieniały, z dłonią opartą już na klamce. Uśmiechnął się szyderczo.

– Pani żartuje, prawda? – zapytał groźnie, po czym się odwrócił. – Skrzywdzi moją siostrę, jeśli nie spełnię jego żądań! Zapowiedział to!

Kobieta prychnęła, po czym potrząsając głową, założyła ramiona na piersi.

– Pozwolimy mu iść! – wtrącił się Tromsdorff. – I to z bronią!

Geiger popatrzyła na niego rozeźlona.

– To ja tutaj decy...

– Anke! Czy naprawdę muszę ci przypominać, że pan senator... – Tromsdorff celowo nie dokończył zdania, by zrobić większe wrażenie.

– A ja muszę ci przypominać, że mówimy o podejrzanym o morderstwo?

Zamiast jej odpowiedzieć, policjant wyszedł z pokoju. Wrócił po chwili, niosąc broń służbową i odznakę Farisa. Obydwa przedmioty oddał podwładnemu. Nie wyglądał przy tym jak ktoś, kto zamierza marnować choćby jeszcze jedno słowo na temat, który uważa za zamknięty.

– Ja i Marc pojedziemy z tobą – powiedział. Młody policjant stał przy drzwiach i czekał.

Geiger się zawahała. W końcu skinęła powoli głową.

– Niech będzie. Ale nie myśl, że puszczę was samych!

– Ja z nimi pojedę! – zaproponował Meyer, spoglądając na Farisa.

Geiger się zastanowiła.

– Dobrze. Ale to za mało, weźcie jeszcze jedną osobę.

„Taką, której ufam w stu procentach” – dodał Faris w myślach i spuścił głowę, żeby przełożona nie mogła zobaczyć pogardy w jego oczach.

– A on będzie miał podsłuch! – dokończyła doktor Geiger. – Kolego Meyer, zatroszczy się pan o sprzęt?

Meyer skinął głową i wyszedł poszukać kogoś z działu technicznego. Chwilę później wrócił, prowadząc za sobą Bena, który niósł niewielkie pudełeczko. Mężczyzna odstawił je na brzegu biurka.

– Zaraz spróbuję zlokalizować komórkę Anisah, ale obawiam się, że gość nie jest głupi. Mogę się założyć, że zatroszczył się, żeby nie zostawiać śladów, i połączenie będzie wyglądało tak, jakby wykonał je ktoś z Singapuru.

Faris wiedział, że istnieje wiele sposobów, by utrudnić zlokalizowanie komórki. Przekierowania, telefonia internetowa, Virtual Private Network Tunnel – dziesiątki sztuczek, żeby uprzykrzyć policji życie. I każda z nich oznaczała, że jeśli chciał uratować Anisah, musiał pojechać do tego cholernego meczetu!

Ben podał mu miniaturową słuchaweczkę, która całkiem niedawno zastąpiła niewygodny zestaw zakładany na głowę, i wsunął ją w ucho.

– Jeszcze zanim tu przyszedłem, podłączyłem się pod twoją komórkę – wyjaśnił technik. – Dzięki temu wszyscy w War Roomie będą słyszeli o czym rozmawiacie, kiedy znów do ciebie zadzwoni. Może

powie coś takiego, że Marc albo Shannon dadzą radę go zidentyfikować, albo chociaż wyciągnąć jakieś przydatne informacje, z jakiego środowiska się wywodzi albo gdzie się ukrywa na przykład.

– Okej. – Faris poprawił słuchawkę, bo go uwierala.

Doktor Geiger nie spuszczała z niego ponurego spojrzenia, a on nie odwracał wzroku. Przez chwilę czuł przemożną chęć popędzenia wszystkich arabskim zawołaniem „*Yalla!*” tylko po to, żeby ją zdenerwować. Na szczęście w porę ugryzł się w język.

– Dobra, ruszamy – powiedział w końcu.

ROZDZIAŁ 15

Świetlica o nazwie Pro Toleranz, która sąsiadowała z organizacją szwagra Farisa, Samira, znajdowała się przy Prinzenstraße, niedaleko stacji metra o tej samej nazwie. Po niecałym kwadransie jazdy cywilnym autem Faris i pozostali policjanci dotarli na miejsce. Czwartą osobą, wysłaną z nimi na wyraźne polecenie doktor Geiger, był Ralf Kanther, pracownik wydziału sto trzynastego. Nikt nie wiedział, czy porywacz Anisah nie obserwuje bezpośredniego otoczenia meczetu, więc Meyer dla bezpieczeństwa zaparkował samochód nieco dalej. Zatrzymał się przy krawężniku, wyłączył silnik i zgasił światła. Faris odpiął pas bezpieczeństwa, ale nie wysiadł.

– Halo, Ben, próba mikrofonu. Słyszysz mnie? – zapytał.

– Głośno i wyraźnie, tak samo jak wcześniej – odpowiedział technik.

Trzech młodych mężczyzn stojących w plamie światła rzucanego przez uliczną latarnię rozmawiało o czymś z podekscytowaniem. Zbliżało się wpół do siódmej wieczorem. Zjawili się tutaj, by odmówić *Salat al-Isha*, jedną z pięciu modlitw, które każdy pobożny muzułmanin miał obowiązek codziennie odmawiać, przy czym ta wypadła między zapadnięciem ciemności a północą.

– Idę tam – zameldował Faris, wiedząc, że Ben i pozostali w War Roomie słyszą każde jego słowo. Potem spojrzał na Tromsdorffa.

Mężczyzna skinął krótko głową.

Marc nachylił się z tylnego siedzenia i położył mu dłoń na ramieniu.

– Uważaj na siebie, partnerze!

Faris zacisnął zęby i wysunął szczękę, po czym wysiadł z samochodu, by ostatecznie sto metrów do meczetu pokonać na piechotę. Był przekonany, że Geiger zdążyła już powiadomić Marvina Andersona z departamentu piątego. Domyślał się, że siły specjalne są w trakcie zabezpieczania okolicy. Pełen złych przeczuc przyjrzał się trójce wiernych, którzy jeszcze nie weszli do środka. Rzut oka wystarczył, by zgadnąć, że żaden nie skończył jeszcze dwudziestu lat.

Jeden z nich miał na sobie kaftan i kufi. Faris nie wiedział, jak mu na imię. Pozostałą dwójkę kojarzył – obaj ubrani byli w dżinsy i bluzy sportowe – widział ich już wcześniej, w czasie któregoś z wydarzeń organizowanych przez szwagra. Pamiętał, że młodszy miał na imię Ahmed, za to nie mógł sobie przypomnieć, jak wszyscy zwracali się do starszego.

– Cześć, Faris! – przywitał go najstarszy z nich, ten, którego imienia zapomniał. – Od kiedy przychodzisz na modlitwy do meczetu?

Faris przybił Ahmedowi żółwika.

– Nie przyszedłem tu na modły. Mam się z kimś spotkać w świetlicy.

Chłopak w kaftanie potrząsnął głową.

– Nie powinieneś zaniedbywać obowiązkowych modłów, bracie, to nie jest dobre! – odezwał się dobrodusznym, choć karcącym tonem.

Achmed wskazał głową na drzwi do świetlicy, umieszczone dokładnie naprzeciwko sali modłów.

– Chodzi ci o szwagra? To czeka już kilka minut.

Faris spojrzał na niego zaskoczony.

– Samir?

– O cholera... – usłyszał szept w słuchawce. Marc.

– A masz innego szwagra? – potwierdził Achmed. – Myślałem, że przyszedł na modlitwę, ale jak widać, pomyliłem się. Coś mu się stało? Bo był strasznie błydy.

– Szlag by to trafił... – W słuchawce rozległ się niezadowolony pomruk Tromsdorffa. – Nie wygląda to dobrze...

Zmusił się, żeby nie okazywać zdenerwowania, i spojrzał po kolei na każdego z trójki. Najspokojniej jak potrafił pokręcił głową.

– Nie, u niego wszystko okej. Ale dzięki za info.

W drodze do sali modlitw poprawił słuchawkę w uchu.

– Żaden z nich nie pasuje do profilu gościa, który do nas dzwonił. – Bardzo uważnie słuchał ich

głosu i tonu wypowiedzi, więc miał pewność, że to nie oni.

Sala, w której Samir organizował spotkania z młodzieżą, a do której właśnie wszedł Faris, znajdowała się po prawej stronie, w budynku oddzielonym od pozostałych grubą ścianą przeciwogniową. Dawniej mieścił się tutaj magazyn firmy handlującej materiałami budowlanymi i do dziś było widać pozostałości tamtych czasów, bo samą farbą i surowym tynkiem nie dało się zmienić charakteru pomieszczenia. W środku panowała ciemność. Faris nie zamknął za sobą drzwi, więc do wnętrza wpadało trochę światła lamp z wewnętrznego dziedzińca, dzięki czemu widać było jakieś drobiazgi. W powietrzu unosił się zapach farby, płynu do mycia podłóg i słaba woń jedzenia. Policjant sięgnął po omacku do włącznika i zapalił światło. Zamigotały świetlówki umieszczone pod sufitem i wypełniły pomieszczenie chłodną poświatą. Pośrodku kilkanaście stołów układało się w kształt litery U, a krzesła stały wzdłuż jednej ze ścian. Z sufitu zwieszał się przewód, do którego można było podłączyć rzutnik. Wszystko to wzbudzało w Farisie poczucie beznadziei. Kiedy był tu po raz ostatni, oglądał z braćmi transmisję meczu, lecz bardzo niewiele z niej pamiętał. Ba, nie wiedział już nawet, kto z kim grał.

Przez chwilę walczył z ogarniającym pesymizmem, który odbierał mu chęć do działania.

– Samir? – zawołał. – Jesteś tu?

Włosy na karku stanęły mu dęba.

– Faris? – Głos szwagra dobiegł z dalszej, ciemnej części pomieszczenia. – Chwała Allachowi!

Policjant spojrział w prawo. Samir stał na końcu nieoświetlonego korytarza, który z przestronnej hali prowadził w głąb budynku, gdzie mieściły się kolejne pomieszczenia dawnego magazynu.

– Porwał Anisah! – Głos mężczyzny załamał się po tych słowach. Samir wyglądał tak, jakby postarzał się o kilka lat. – Na Allacha, Faris, on...

– Wiem – przerwał mu policjant. – Dlatego tu jestem.

Przeraził się, kiedy zobaczył, jakim spojrzeniem obdarzył go szwagier. Miał wrażenie, że mięśnie pod skórą męża Anisah zaczęły żyć własnym życiem. Nerwowe tiki wprawiły jego powieki w drżenie. Językiem zwilżył wargi, zacisnął usta, a jabłko Adama powędrowało w górę, potem w dół i znów w górę. Faris odwrócił głowę.

– Dopadniemy go, Samir, masz moje słowo.

Samir potaknął spieszenie, a w jego oczach rozbłysła nadzieja. Faris poczuł się jak kłamca, bo nie miał pojęcia, czy uda mu się dotrzymać przyrzeczenia.

– Dlaczego tu przyjechałeś? – zapytał.

– Ten człowiek... porywacz... – Samir znów zwilżył językiem wyschnięte usta. – Przysłał mi SMS-a i kazał spotkać się tutaj z tobą. Dołączył zdjęcie... Faris... zdjęcie z Anisah... – Nie dokończył zdania, a ostatnie słowa zmieniły się w głuchy jęk. – Jeśli coś jej się stanie, Faris, ja ci...

– Wystarczy, okej?! Postaraj się skupić. Czego od ciebie chciał?

– Mam ci coś dać.

Policjant się spodziewał, że Samir wyjmie coś z kieszeni i mu poda, lecz nic takiego nie nastąpiło. Szwagier uniósł tylko dłoń i przeczesał sobie włosy.

– Chodź! – powiedział. Potem opuścił ramiona, odwrócił się i ruszył przed siebie ciemnym korytarzem. Wyglądał, jakby stopniowo pochłaniał go mrok.

Samir poprowadził Farisa korytarzem do klatki schodowej. Kiedy sięgnął do włącznika światła, widać było, jak bardzo drży mu dłoń. Jarzeniówki zawieszane pod sufitem rozbłysły zimnym światłem i rozpędziły mrok spowijający dotychczas schody.

Faris poczuł w żołądku lodowatą kluchę. Zadrzał.

„Jeśli coś jej się stanie...” – pomyślał ponuro, czując, jak wzbiera w nim nienawiść. Zupełnie jakby coś rozpychało się wewnątrz jego czaszki, coś niedobrego, coś, czego już niedługo nie będzie w stanie kontrolować. Szumiało mu w uszach, jakby wszystkie myśli zmieniły się w pełen złości granat, który wybuchł, a odłamki z niego kaleczyły od wewnątrz jego głowę.

Podążył schodami za szwagrem, w dół, a potem przez drewniane drzwi. Nie zamknął ich za sobą. W piwnicy, w której się znaleźli, stały niepotrzebne i nieużywane rupiecie, wiadra, mopy, meble, przyrządy sportowe i zabawki, z których korzystała młodzież w czasie spotkań w świetlicy. Pod jedną

ze ścian stała metalowa, masywna szafa z grubymi, ciężkimi drzwiami zamkniętymi na kłódkę.

Samir podszedł i stanął obok niej. Wydawał się znacznie spokojniejszy niż na górze. Faris znał ten fenomen. Dopóki krewni ofiar porwania wypełniali starannie polecenia porywacza, byli w stanie panować nad nerwami. Wmawiali sobie, że wszystko będzie dobrze, skoro robią dokładnie to, czego się od nich wymaga. Tak wzbudzona nadzieja była zazwyczaj przerażająco złudna, lecz Faris nie zamierzał wyprowadzać szwagra z błędu.

Samir przez dłuższą chwilę nie mógł włożyć klucza do zamka, jednak w końcu sobie poradził i zwolnił masywny skobel. Otworzył drzwi szafki, nachylił się i wyjął dużą sportową torbę w czerwono-niebieskie paski. Trzymając ją w ręku, odwrócił się w stronę policjanta. Potem znieruchomiał jak nakręcana zabawka, w której skończył się naciąg. Przez dwie, trzy sekundy ani drgnął.

– Chciał, żebym ci to dał – wymamrotał wreszcie.

– Co to jest? – Faris odebrał torbę. Kiedy zajrzał do środka, zabrakło mu oddechu. – O kurwa! – wymysknęło mu się.

– Faris? – W słuchaweczce w jego uchu rozległ się głos Tromsdorffa. – Coś się stało? – zapytał szef z wyraźną troską.

– Wszystko jest okej – odpowiedział policjant, nie odrywając wzroku od czterech grubych kostek zapakowanych w rdzawoczerwony papier woskowy. Materiał wybuchowy.

– Skąd to masz? – zapytał szwagra. Ostrożnie położył torbę na ziemi i zapanował nad irracjonalną potrzebą cofnięcia się o krok.

– Iskander! – Tym razem w słuchawce rozległ się głos kolegi Kanthera, wyraźnie niecierpliwy i nerwowy. – Mów, co widzisz, bo nie mamy pojęcia, o co chodzi! – Faris zignorował jego wołanie, jako że był całkowicie skupiony na Samirze.

Mąż Anisah spuścił wzrok i zatrzymał go na torbie.

– Nie mam pojęcia. Słowo. Może któryś z chłopców to przyniósł?

Widok materiałów wybuchowych w torbie sprawił, że Faris oblał się zimnym potem. Mokrymi dłońmi przecesał włosy, nachylił się i złapał torbę za uszka. Były zrobione z szorstkiego materiału.

– Powiedział ci, co mam z tym zrobić?

Samir potrząsnął głową.

Faris sięgnął dłonią do ucha.

– Robert?

– Tak? – zgłosił się natychmiast Tromsdorff.

– Mam tu... – nie dokończył, bo przerwał mu sygnał komórki. Dźwięk podziałał na niego jak kopnięcie w brzuch. Zgiął się, pospiesznie wyjął z kieszeni telefon i spojrzął na wyświetlacz.

Anisah.

– To znowu on – poinformował pozostałych.

– Zachowaj spokój! – przypomniał mu Ben z War Roomu. – Pamiętaj, że wszystko słyszymy!

Faris przesunął językiem po spierzchniętych wargach. Odebrał połączenie.

Tym razem w słuchawce rzeczywiście usłyszał siostrę.

– Dostałeś torbę? – pytała niewyraźnie i cicho, jakby miała we krwi silne lekarstwa. Jednak w jej głosie było coś jeszcze. Coś, co sprawiło, że Faris zacisnął mocno zęby.

Kiedy jeszcze byli dziećmi, razem z siostrą polecili do Egiptu, do Aleksandrii, odwiedzić babcię. Mimo że nie było im wolno, poszli się bawić w ruinach domu przeznaczonych do rozbiórki. W jakiś sposób znaleźli się tam w piwnicy, z której nie potrafili wyjść o własnych siłach. Znalezione ich po niemal pełnej dobie. Wówczas, w ciemności, głos Anisah brzmiał niemal identycznie jak teraz przez telefon. Jak głos dziecka. Przerażonego dziecka, które straciło nadzieję.

Faris zacisnął dłoń na uchycie torby.

– Tak, dostałem.

W słuchawce rozległ się trzask.

– Świetnie! – powiedział nieznajomy. Uczucie, że skądś go musi przecież znać, było tak silne, że Faris uniósł wolną dłoń i zacisnął pięść. Zaczęła boleć go głowa.

– Co teraz?

– Naprawdę jeszcze się nie domyślasz?

Policjantowi ciążyła torba z materiałami wybuchowymi.

– Nie. Co mam teraz zrobić?

– Dlaczego miałbym ci cokolwiek mówić? Przecież już dostałeś wiadomość ode mnie.

Faris próbował odsunąć od siebie wściekłość, która zasnuwała mu oczy czerwoną mgłą. „Zachowaj spokój” – zganił się w myślach.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi – skłamał i odstawił torbę na podłogę.

– Mówię o przesłaniu Önura.

– Przesłanie Önura? – Faris dostrzegł przerażone spojrzenie szwagra. – To, że niby następnym razem to ja uruchomię detonator?

– Dokładnie to.

– *Holy shit!* – zakłęła Shannon w War Roomie, a Faris usłyszał ją przez słuchawkę w uchu. – Co za *bastard!* – Ostatnie słowo wymówiła po amerykańsku, rozciągając „a” jak gumę do żucia.

Farisowi ulżyło, kiedy uświadomił sobie, że wszyscy przysłuchują się rozmowie. Shannon była przecież mistrzynią w przygotowywaniu profilu człowieka na podstawie tego, co i jak mówi. Pomogą mu przetrwać ten koszmar. Są zespołem i wesprą go, żeby jak najszybciej odnaleźć Anisah.

On jednak miał teraz swoje zadanie do wypełnienia. Musiał zachować spokój. Nie wolno mu było ani lekceważyć, ani prowokować porywacza, i koniecznie trzeba było ustalić, czego właściwie chce.

– Niech mi pan po prostu powie, co mam teraz zrobić.

Miał nadzieję, że mężczyzna po drugiej stronie nie może usłyszeć walenia jego serca, choć jemu się wydawało, że każde uderzenie rozchodzi się echem jak bicie dzwonu.

– Zaraz do tego dojdziemy. Zdajesz sobie chyba sprawę, że każdego można złamać, prawda? Wystarczy zaaplikować dostatecznie silny ból i to wszystko. Pytanie tylko, gdzie przebiega ta granica? Granica bólu, którą trzeba przekroczyć, żeby osiągnąć pełne posłuszeństwo?

Faris mimowolnie pomyślał o Laurze i jej zmiażdżonej krtani. Zawahał się. Nie wiedział, jak daleko może się posunąć... jak daleko musi się posunąć.

– Jaka krzywda pana spotkała, że musi pan to robić?

Przez dłuższą chwilę w słuchawce panowała cisza, choć Farisowi wydawało się, że słyszy ciężki oddech nieznanego. Rozpaczliwie starał się go zrozumieć i przejrzeć jego motywację. Dlaczego to robił? Co go do tego skłoniło?

I. Kim. Był. Ten. Facet?!

Nadal nie mógł sobie przypomnieć, gdzie wcześniej słyszał jego głos, i to doprowadzało go na skraj obłądu.

– Tu naprawdę nie chodzi o to, co mnie spotkało – odezwał się w końcu porywacz. – Tylko o to, co spotka ciebie. – Zrobił przerwę, jakby czekał, by sens jego słów dotarł do Farisa. – Wiedziałaś, że człowieka można zmusić do popełnienia najbardziej odrażającego czynu, jeśli zna się jego słaby punkt? Jego największy strach? – Znów przerwał. Kiedy w końcu mówił dalej, w jego głosie słychać było wesołość: – A czego ty się naprawdę boisz, co? – Gdzieś w tle rozległ się przerażony i pełen ból krzyk Anisah. – Oczywiście poza tym, że ktoś cię zmusi do uruchomienia detonatora. Może boisz się, że stracisz swój zespół? Że żadna z osób, którym byłeś gotów powierzyć swoje życie, już ci nie pomoże? Kto to dokładnie jest, co? Szefem jest Robert Tromsdorff, prawda? Do tego dochodzi Marc Sommer? Andrea Roth? Mam wymieniać dalej?

Faris chciał mu odpowiedzieć, lecz z gardła wydobył się tylko nieartykułowany jęk.

– No proszę, chyba dociera, co chciałem ci powiedzieć. Już się nie mogę doczekać, co zrobisz, jak te obawy zaczną się urzeczywistniać.

Samir pobladł tak strasznie, że jego skóra zdawała się przejrzysta. Faris zamrugał gwałtownie, odwrócił głowę i wtedy do niego dotarło, że problem nie leżał po stronie jego szwagra. Wszystko dookoła ginęło za mgłą i sprawiało nierzeczywiste wrażenie, jakby otoczył go welon, z którego nie był w stanie się wydostać.

– To zaczynamy, co? – odezwał się porywacz. – Na początek zamknij drzwi, przez które wszedłeś tam ze szwagrem.

Faris odwrócił się gwałtownie. Drewniane, ciężkie skrzydło rzeczywiście było otwarte na całą szerokość.

– Jak chce pan sprawdzać, czy wykonuję polecenia?

Porywacz nie odpowiedział mu, za to odezwał się dzwonek komórki Samira. Mężczyzna zadrżał gwałtownie, jakby przeszył go ból. Z nerwowym pośpiechem wydobyl komórkę z kieszeni i przycisnął ją do ucha.

– Tak?

– Mów, co robi Iskander – słyszał Faris w słuchawce własnego telefonu. Nieznajomy rozmawiał przez dwa aparaty naraz.

Samir jęknął cicho.

– Okej – powiedział policjant. – Już rozumiem.

Podszedł do drzwi, zamknął je i dwukrotnie przekręcił klucz w zamku.

– Wykonał polecenie? – zwrócił się do Samira nieznajomy.

– Tak. – W głosie męża porwanej niewiele pozostało ludzkich cech.

– Teraz, Iskander, wyjmij słuchawkę z ucha i ją zniszcz.

– Oż kurwa! Skąd o tym wie?

– Faris!

Ben i Tromsdorff odezwali się jednocześnie. Faris zignorował ich krzyki. Wydłubał z ucha miniaturową słuchawkę, przez chwilę trzymał ją w palcach i spoglądał na nią zamyślony, aż w końcu położył ją na podłodze i zdepnął. Tromsdorff i pozostali pewnie klęli teraz jak szewcy. Faris uniósł wzrok i spojrzał na drugą klatkę schodową znajdującą się dokładnie naprzeciwko wejścia, którym się tu dostali. Wiedział, że wychodziła na niewielkie podwórze za halami magazynowymi. I wiedział również, że jego współpracownicy nie mają bladego pojęcia o istnieniu tej drogi ucieczki. Jego wzrok powędrował w stronę torby z materiałami wybuchowymi. Porywacz najwyraźniej bardzo starannie przemyślał i zaplanował całą akcję.

Faris spał się, jakby oczekiwał bolesnego ciosu w brzuch.

– Samir? – odezwał się nieznajomy.

– Zdepnął ją – wyszeptał mąż Anisah.

– I bardzo dobrze! – W słuchawce rozległo się trzeszczenie. Chwilę później głos porywacza zabrzmiał tak, jakby docierał z większej odległości. – Przykro mi, maleńka – powiedział do Anisah. – Właśnie nadszedł moment, którego tak bardzo się bałaś.

Z gardła kobiety wydobył się błagalny jęk, który sprawił, że ogień wściekłości zasłonił Farisowi wszystko, co dotychczas widział. Nogi się pod nim ugięły i niewiele brakowało, a by się przewrócił.

– Nie... – wyszeptał. Nie był w stanie się ruszyć.

– Proszę, nie! – usłyszał błagania siostry, przerwane przez jej paniczny wrzask. Krzyczała przeciągle i tak boleśnie, że Faris mimowolnie zaczął krzyczeć razem z nią.

Ryczał na całe gardło, aż głos Anisah zmienił się w przerażone jęczenie, a w telefonie słyhać było jej paniczny szloch.

Ktoś zaczął walić z drugiej strony w zamknięte drzwi.

– Faris, do kurwy nędzy! Faris!

Tromsdorff.

– Anisah... – wyszeptał Faris. – Ty pieprzony gnoju! – ryknął z całych sił. – Co jej zrobiłeś?!

Samir cofnął się o krok i przywarł plecami do masywnej szafy, po czym, jak w zwolnionym tempie, osunął się na podłogę.

– Obejrzyj sobie fotkę! – polecił nieznajomy i w tej samej chwili telefon w ręku policjanta zadrżał. Sygnał nowej wiadomości.

Każdą komórką ciała wzbraniał się, żeby nie patrzeć na fotografię przyslaną przez porywacza. Drżał. Chciał uciekać. Chciał znaleźć się jak najdalej od tego miejsca, od przerażenia i strachu, które

odczuwał i które – miał pewność – zwiększą się tysiącrotnie, kiedy spojrzy na ekran. Dłonie trzęsły mu się tak bardzo, że z trudem otworzył wiadomość.

Zebrał wszystkie siły i odwagę, jakie mu jeszcze pozostały, i otworzył zdjęcie.

Tym razem kolana się pod nim ugięły i pociemniało mu przed oczyma.

– *La elah ela Allah!* – wyszeptał i po raz pierwszy w życiu miał nadzieję, że modlitwa przyniesie mu ukojenie.

Musiał oprzeć się o ścianę, żeby nie wylądować na podłodze jak jego szwagier chwilę wcześniej.

– Iskander! Otwieraj! Natychmiast! – Znów rozległo się walenie w drzwi, lecz tym razem krzyczał nie Tromsdorff, a Kanther.

– Ty chory pojebie! – jęknął Faris. Czerwona mgła zasnuwała mu oczy, kiedy próbował patrzeć na zdjęcie na ekranie komórki. Wiedział jednak, co przedstawia: palec z paznokciem pomalowanym na czerwono i wąskim pierścieniem, który tak dobrze znał. Jej pierścieniem. Anisah.

Jej palec.

Ucięty tuż nad kostką. Krew, która się z niego sączyła, była świeża i czerwona.

Zacisnął zęby, żeby zapanować nad wściekłością i przerażeniem, które przyprawiły go o mdłości.

– Ty... – nie dokończył.

Samir dalej leżał na podłodze, lecz uniósł głowę. Faris pokazał mu telefon, by mógł zobaczyć zdjęcie.

Niemal w tej samej chwili mężczyzna zaczął wymiotować.

– To była tylko drobna demonstracja tego, do czego jestem gotów się posunąć – wyjaśnił porywacz.

Naraz jego głos brzmiał zupełnie inaczej – już nie ludzko, tylko złowrogo, jakby wydobywał się z czeluści piekła. Faris jęknął. *Jahannam*. Miejsce wiecznego bólu. Kilka razy miał wrażenie, że je znalazł, lecz tym razem mu się nie wydawało – miał pewność, że naprawdę tam trafił. Zmusił się do głębokiego wdechu, lecz kwaśny smród rzygowin Samira ponownie przyprawił go o mdłości. Wiele sił kosztowało go powstrzymanie odruchu wymiotnego.

– Czego pan chce ode mnie?! – zapytał głucho.

– Teraz muszę zająć się raną twojej siostry – odpowiedział mu porywacz. – Daj mi chwilę. A ty w tym czasie najlepiej przekonaj kolegów, żeby ci nie próbowali pomagać.

Faris uniósł dłoń za głowę i zaczął masować miękkie miejsce, gdzie kręgosłup łączył się z czaszką. Miał wrażenie, że głowa zaraz mu pęknie. Na przemian robiło mu się gorąco i zimno. Wiedział, że to pierwsze objawy szoku.

– Masz przy sobie broń, prawda?

Faris dotknął pistoletu w kaburze przy pasku.

– Tak – potwierdził ostrożnie.

Jahannam, to słowo dudniło echem w jego uszach.

Porywacz zamilkł na chwilę, a Faris uświadomił sobie, że musi się przygotować na to, co zaraz usłyszy. Wtedy padł rozkaz.

– Zastrzel szwagra.

ROZDZIAŁ 16

NIEZNAJOMY

– Co?! – Głos Iskandera brzmiał dziwnie, jakby dochodził z jakiejś głębokiej rozpadliny. Z samego dna piekła.

Człowiek, który pragnął zemsty, uśmiechnął się. Oczywiście, że zawczasu przemyślał, jak sprawić, żeby policjant naprawdę cierpiał. Tyle że to, co się działo, przerosło jego oczekiwania. Wcześniej nie było w planach polecenia, żeby zastrzelił Samira, jednak wszystko samo ułożyło się tak idealnie, że nie mógł nie wykorzystać sytuacji.

– Co co? Chyba słyszałeś! – powiedział.

– Nie mogę tego zrobić! – zaskomlał Faris, lecz on uznał, że to jeszcze za mało, aby go złamać. Wciąż jeszcze słyszał nutkę dumy w jego tonie i tę znienawidzoną arogancję.

Człowiek, który pragnął zemsty, odsunął kilka włosów z czoła Anisah. Kobieta nie odrywała wzroku od jego twarzy, a w jej oczach czaił się szok, niezrozumienie i strach graniczący z obłędem. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zrobić jej zdjęcia i nie przesłać go Iskanderowi tak samo, jak przesłał fotografię obciętego palca.

Odkasznął.

– Jak byś się czuł, Faris, gdybym jej teraz... hm, co by tu wymyślić... no dobra, jak byś się poczuł, gdybym twojej siostrze podciął teraz gardło?

Przesunął krawędzią paznokcia środkowego palca po jej policzku i szyi, aż do miękkiego miejsca między obojczykami.

Oczy Anisah zaszły mgłą. Jeśli dotychczasowy strach był paralizujący – a domyślał się, że tak właśnie było – uruchamiał się mechanizm obronny, odcinający mózg od rzeczywistości. Anisah najwyraźniej doszła właśnie do tego momentu.

Faris nabrał głęboko powietrza.

– Jeśli ona umrze, nie będzie mnie czym szantażować! – wyrzucił z siebie. – Wtedy ja ruszę na polowanie. I dopadnę cię, nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką...

– Nie będę się z tym kłócił. – Mężczyzna omiótł spojrzeniem leżącą kobietę, po czym przeniósł wzrok na pakunek owinięty kocem i pozostawiony na podłodze w kącie pokoju. „Śpij!” – pomyślał człowiek, który pragnął zemsty. „Jeszcze nie nadszedł czas, żebyś odegrała swoją rolę w tej grze...”. Zauważył, że się zamyślił. – Możliwe – powtórzył. – Ale wystarczy mi samo to, że będziesz słyszał, jak twoja siostra umiera. Jak myślisz, spodoba ci się jej rżenie, kiedy będzie się dusić własną krwią? Cieszysz się na myśl o bezsilności? Nie będziesz mógł jej pomóc, tak samo jak nie pomogłeś nikomu w Muzeum Klerscha. Ani Paulowi, twojemu wcześniejszemu partnerowi. – Przerwał dla uzyskania efektu i wyprowadził najsilniejszy cios. – Albo Laurze.

Faris znieruchomiał oparty przedramieniem o ścianę i przycisnął głowę do grzbietu dłoni.

„Kto walczy z potworami...” – pomyślał. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Samir, trzęsąc się na całym ciele, wstał z podłogi.

Twarz szwagra nie wyrażała żadnych emocji, a jego spojrzenie było kompletnie puste.

Faris zamknął oczy. Wolną dłonią sięgnął po broń, lecz w ostatniej chwili znów ją opuścił.

– Nie jestem mordercą! – szepnął.

Porywacz zaśmiał się cicho.

– Poznajesz to? – Komputerowy głos powiedział „dziesięć”. To był ten sam głos, który odliczał czas do wybuchu bomby Önura. – Jak dojdziemy do zera, Anisah straci kolejny palec. A potem będziemy kontynuować zabawę, aż zrobisz, co ci każę!

Faris w końcu otrząsnął się z pierwszego szoku. W słuchawce rozległo się „osiem”.

– Nie mogę przecież zastrzelić swojego szwagra! – wychrypiał.

Zatrzymał spojrzenie na Samirze. Szukał na jego twarzy odbicia jakichkolwiek emocji, lecz mężczyzna żadnych nie okazywał.

Samir spojrzał na broń na jego biodrze.

Farisowi zostało tylko siedem sekund.

– Faris! – jęknęła Anisah.

Oczyrna wyobraźni policjant widział, jak skurwysyn chwyta ją za dłoń i wybiera kolejny palec do ucięcia.

„Zrób to”. – Samir nie był w stanie wydobyć z siebie głosu, jednak policjant bez trudu odczytał polecenie z ruchu jego warg.

Faris oparł dłoń na kolbie broni.

Jeszcze sześć sekund.

Nie miał najmniejszego pojęcia, jak powinien się zachować. Szloch Anisah sprawiał mu fizyczny ból. Myśli wirowały w jego głowie jak szalone i choć gorączkowo się zastanawiał, nie był w stanie znaleźć wyjścia z tej pułapki.

Jeszcze pięć sekund.

Wyciągnął pistolet. Odbezpieczył go.

Jak będzie mógł dalej żyć, jeśli zastrzeli Samira? Uniósł broń.

Samir się wyprostował. Był blady, cała krew odpłynęła mu z twarzy. Powoli skinął głową.

Cztery sekundy.

Jeśli tego nie zrobi, Anisah...

Usłyszał jej przeraźliwy, bolesny krzyk.

– Trzy – obwieścił komputerowy głos odliczający czas.

Faris pociągnął za spust.

Wystrzał zagrział ogłuszająco w ciasnym pomieszczeniu. Świsnął rykoszet. Samir zgiął się w pół i w tej samej chwili Faris wrócił do rzeczywistości, a świat dookoła zaczął pędzić w zawrotnym tempie, niczym pociąg towarowy ze śmiertelnie niebezpiecznym ładunkiem. Telefon wysunął mu się spomiędzy sparaliżowanych przerażeniem palców i upadł na betonową podłogę. Policjant miał wrażenie, że czas nagle zwolnił, skurczył się i znów popędził naprzód. Na korytarzu ktoś zaczął krzyczeć, rozległy się szybkie kroki i zaraz potem głośnie uderzenie. Drzwi zatrzęsyły się gwałtownie. Faris się odwrócił. Broń ciążyła mu w dłoni, a w nosie drapał zapach spalonego prochu.

– Faris?! – zawołał Tromsdorff przestraszonym głosem.

Policjant spojrzał na szwagra, który leżał na podłodze, by po chwili przenieść wzrok na torbę z materiałami wybuchowymi.

„Kto walczy z potworami...”.

Nachylił się, odszukał komórkę i przycisnął ją do ucha. Ktoś znów rzucił się na drzwi, próbując je wyważyć. Z krawędzi posypał się pył.

– Anisah? – wychrypiał.

Porywacz powiedział tylko dwa słowa i zakończył połączenie:

– Uciekaj stamtąd.

W tej samej chwili zamek puścił i drzwi z rozmachem wyrznęły o ścianę. W progu stanął Tromsdorff. Miał stężałą, przerażoną twarz, a jego wzrok wyrażał niezrozumienie. Spojrzał na Samira, a później na członka swojego zespołu.

Faris powoli uniósł broń.

– Faris, na Boga... – Za plecami Tromsdorffa pojawił się Meyer i momentalnie zamilkł, kiedy zobaczył wnętrze piwnicy.

Kanther najszybciej otrząsnął się z zaskoczenia.

– Rzuć broń! – ryknął i wycelował pistolet w pierś policjanta.

Serce Farisa jak szalone pompowało krew przez jego żyły. Mężczyzna cofnął się powoli, aż piętą dotknął torby z materiałami wybuchowymi. Równie powoli schował telefon do kieszeni, a następnie uniósł broń i wycelował w Kanthera.

– Faris! Nie! – poprosił Tromsdorff.

– Robert, błagam, pomóż mi uratować Anisah! – wyszeptał Faris. W jego wnętrzu ponownie otworzyła się bezdena otchłań, która próbowała go pochłonać.

– Rzuć broń! – ryknął Kanther jeszcze głośniejsze.

Faris wpatrywał się w wylot lufy jego broni, ciemny jak otchłań w jego wnętrzu.

Coś w nim pękło.

– On chce...

Nie dokończył, bo przerwał mu huk wystrzału. Brutalne uderzenie szarpnęło jego lewym ramieniem.

– Nie! – wrzasnął Tromsdorff i zamilkł na chwilę. – Kanther! Nie!

Siła trafienia była tak duża, że Faris się zatoczył. Trafiła go niewidzialna pięść i zatopiła w jego ciele żelazne szpony. Pociemniało mu przed oczyma, jakby świat zasłonił gruby welon. Nie miał czasu, żeby zastanawiać się nad swoim położeniem. Wiedział, że jeśli nie spełni żądań porywacza i zostanie, zamiast uciec kolegom, znowu wpadnie w tryby wymiaru sprawiedliwości. Zanim Geiger i jej ludzie zrozumieją, co się dzieje, Anisah prawdopodobnie straci znacznie więcej niż tylko kilka palców, a na to w żadnym razie nie mógł się zgodzić.

Nie zastanawiał się długo. Zagryzł zęby, odwrócił się gwałtownie, chwycił torbę z materiałami wybuchowymi i wybiegł schodami na puste podwórze za budynkiem.

– Jens! Zostaw! – usłyszał jeszcze krzyk Tromsdorffa.

Jego słowa zapaliły w nim drobną iskierkę nadziei, która ledwie rozświetlała wypełniający go mrok.

W biegu schował broń. Ciężar torby w lewej dłoni wypełniał jego obolałe ramię bólem, jakby płynęła przez nie płynna lawa. Krzyknął, nie wytrzymał i chwycił pakunek prawą ręką.

Uciekając labiryntem połączonych podwórek, dziedzińców, piwnic i zastawionych ponad ludzką wyobraźnię alejek, dotarł w końcu do Moritzstraße. Ból rozsadzał mu płuca i zabierał oddech, lecz on się nie zatrzymywał. Gdzieś w pobliżu zawyła policyjna syrena. Na szczęście jej dźwięk się oddalał. W świetle ulicznej latarni Faris przywarł plecami do ściany któregoś z domów i rozchylił skórzaną kurtkę. To, co zobaczył, nie było dla niego zaskoczeniem. Tuż poniżej lewego obojczyka jego koszula była przesiąknięta szkarłatem.

Porywacz się roześmiał.

Śmiał się tak głośno i gwałtownie, że Anisah by zadrzała, gdyby była w stanie wykonać choćby najmniejszy ruch.

Kątem oka widziała, jak oprawca opuszcza telefony, przez które wcześniej rozmawiał z jej bratem i mężem. Jeden schował do kieszeni, a drugi zamyślonym gestem oparł o brodę. Nagle znów się zaśmiał i podrapał po twarzy.

Anisah niczego już nie czuła. Panika i przerażenie dawno ją opuściły. Widziała, jak porywacz przysuwa do jej palca sekator i jak go zaciska. Musiał się wysilić, jakby ucinał grubą gałązkę. Gałązkę. Tylko tyle. Tylko. Gałązkę. Niczym mantrę powtarzała sobie w głowie to jedno słowo. Gałązka. Ani wtedy nie odczuwała bólu, ani teraz. Ten skurwysyn musiał podać jej jakieś naprawdę silne środki.

To był tylko jeden palec. Tylko jeden palec. Tylko jeden...

Samir! Niespodziewanie w jej głowie pojawiło się imię jej męża.

„Zastrzel szwagra”. Tego porywacz zażądał od Farisa. Anisah mogłaby przysiąc, że przez komórkę słyszała odległy wystrzał. Co się stało? Faris! Czy jej brat mógłby... nie, niemożliwe. A może jednak?

Faris nie był mordercą. Był za to zdeterminowany, żeby chronić ją przed krzywdą i zmartwieniami, tak jak to tylko możliwe. Przypomniała sobie, jak kiedyś, jeszcze jako dziecko, przyjął za nią lanie tak straszne, że musiał potem zostać w domu. Był taki... taki nieprawdopodobnie... nieobliczalny. Ogarnęło ją przerażenie, kiedy uświadomiła sobie, że to jednak całkiem możliwe. Faris. Samir. Jej brat i jej mąż. Morderca i ofiara? Czy Samir jeszcze żył? A może wybrał śmierć, żeby ją ratować?

Zrobiło jej się niedobrze. Zamknęła oczy.

Pustka w jej wnętrzu była nie do wytrzymania. Czyżby powoli zaczynała tracić rozum? Popadała w szaleństwo? Może to wszystko działo się tylko w jej wyobraźni, a nie w rzeczywistości? Może to tylko koszmar, z którego nie mogła się obudzić?

Poczuła, jak w jej piersi wzbiera szloch.

– Poeta wierszyk kleci, matka dziecko niańczy – zanuciła bezgłośnie. – Óma leci do światła i tańczy, i tańczy, i tańczy...

Nie, stwierdziła w końcu. To wszystko tutaj to nie był żaden koszmar. Znalazła się w piekle.

Gdy Faris dotarł do stacji metra Prinzenstraße, na peron wjeżdżał pociąg w kierunku Warschauer Straße.

Spojrzał za siebie, żeby sprawdzić, czy nikt go nie ściga, ale najwyraźniej Tromsdorffowi udało się powstrzymać Meyera.

„Wygląda na to, że jestem krok przed tobą, śmieciu!” – pomyślał i poczuł euforię, jakby był na prochach. Szybko przywołał się do porządku, bo wiedział, że to tylko działanie adrenaliny, którą jego organizm produkował w odpowiedzi na szok wywołany postrzałem.

Wsiadł do wagonu metra i się rozejrzał. Niedaleko siedział jakiś młody chłopak z fioletowymi słuchawkami na uszach i para ubrana jak do opery. Pozostali podróżni byli zbyt daleko i nie widział ich wyraźnie. Zatoczył się i w ostatniej chwili osunął się na pustą ławkę, a torbę z materiałami wybuchowymi położył obok siebie. Chwilę później jego ciało przeszył potworny ból, który niemal ściał go z nóg.

Serce waliło mu jak oszalałe. Czuł mdłości. Nachylił się, żeby nie zwymiotować, i wbił wzrok w podłogę przy stopach. Świat dookoła kołysał się i wirował, choć pociąg jeszcze stał na stacji.

Chłopak z fioletowymi słuchawkami przyglądał mu się przez kilka sekund z zaciekawieniem, lecz szybko odwrócił głowę, widząc ponure spojrzenie, jakim odpowiedział mu Faris.

Pociąg w końcu ruszył. Policjant położył dłoń na ranie postrzałowej. Na czarnej skórzanej kurtce nie było widać otworu wlotowego, lecz miękka podpinka szybko nasiąkała krwią. Wiedział, że jeśli będzie zachowywać się dyskretnie, większość pasażerów w ogóle nie zauważy, co mu jest. Odchylił głowę i zamknął oczy, starając się wytrzymać pulsujący ból.

Po chwili ktoś nadepnął mu na stopę.

Uniósł powieki.

Jakaś staruszka w długim ciemnoniebieskim płaszczu i butach ortopedycznych zakołysała się i usiadła z impetem na ławce naprzeciwko.

– Przepraszam! – powiedziała. – Ale ci maszyniści to pędzą jak wariaci. Człowiekowi nigdy czasu nie starczy, żeby usiąść, zanim ruszą.

I dla podkreślenia swoich słów postukała laską w podłogę.

Faris potaknął krótko, po czym postawił kołnierz kurtki i ukrył w nim twarz.

Staruszka zrobiła podejrzliwą minę, ale nic więcej nie powiedziała. Widać było wyraźnie, że walczy z ciekawością. Faris się domyślał, że to tylko cisza przed burzą i że zaraz znów go zagadnie. Nie miał przy tym pewności, czy starczy mu sił, żeby jej odpowiedzieć, nie ściągając na siebie kolejnych podejrzliwych spojrzeń. Kobieta uniosła laskę, by stuknięciem w jego but zwrócić na siebie uwagę.

Jednak w tej samej chwili pociąg dotarł na stację Schlesisches Tor i zatrzymał się z piskiem. Szarpnięcie przy hamowaniu wywołało kolejną falę bólu, tak mocną, że prawie krzyknął. Zerwał się z siedzenia, chwycił torbę z materiałami wybuchowymi i wyskoczył na peron. Tam musiał zatrzymać się na chwilę, bo serce waliło mu jak oszalałe.

Pociąg pojechał dalej. Kiedy staruszka z wagonu go mijała, raz jeszcze spojrzał w jej pełną nieufności twarz.

Przez sekundę nie odwracał głowy.

„Przyjrzyj się bardzo dokładnie” – pomyślał w przypływie ponurej wesołości. „Tak właśnie wygląda ktoś poszukiwany za morderstwo”.

Po chwili już jej nie było.

Faris odetchnął.

Pociąg zniknął w tunelu metra i w tej samej chwili rozległ się sygnał telefonu Farisa.

– Mam nadzieję, że ściga cię cała policja w Berlinie?

– A jak pan myśli? – Faris pomyślał o Benie i o tym, że przecież musi wszystko słyszeć.

– Ty i ja mamy sobie coś do wyjaśnienia – ciągnął porywacz. – I muszę przyznać, że podoba mi się ten etap wyjaśniania.

Ty i ja...

Faris mu nie przerywał, ale w duchu dodał: „Ludzie, nie zostawiajcie mnie samego!”. Potem się wyprostował, przynajmniej na tyle, na ile pozwalała mu rana.

– Chcę porozmawiać z siostrą! – Sam usłyszał ból w swoim głosie, a co najgorsze, porywacz również go nie przeoczył.

– Coś nie tak?

Faris minął jakieś starsze małżeństwo, które ciągnęło za sobą dwie walizki na kółkach. Sam ten ruch sprawił, że pociemniało mu przed oczyma.

– Zostałem postrzelony – wyjaśnił i poczuł coś w rodzaju satysfakcji, kiedy mężczyzna po drugiej stronie aż syknął z wrażenia.

– Szkoda, bo to tylko komplikuje nam plany. Jesteś poważnie ranny? Dasz radę dokończyć zadanie?

Faris musiał przysiąc na ławce pośrodku peronu.

– Nie odpowiem na żadne pytanie, dopóki nie zamienię choć słowa z siostrą.

– Czekał – burknął porywacz. – Hej! Twój brat, słoneczko! – usłyszał ranny policjant i w następnej chwili w słuchawce rozległ się głos Anisah.

– Co... z... Sa... mirem...? – wyszeptwała.

Faris zacisnął powieki. Przypomniał sobie widok zwiniętego ciała szwagra. Nie potrafił okłamać siostry, więc milczał.

Ona chyba to zrozumiała. Zaszlochała cicho.

– Jak się czujesz? – zapytał. W ustach czuł kwaśny posmak, a obraz odciętego palca siostry tańczył mu przed oczyma.

– Nic mi nie jest – zapewniła, choć wiedział, że to nieprawda. Mówiła bardzo słabym głosem, jakby była duchem albo jakby zagrażał jej najmniejszy powiew wiatru, bo pod jego wpływem miałaby rozpląnąć się w powietrzu. – Opatrzył mnie. Nie wykrwawię się. – Drżąc, nabrała oddechu. – Faris, uwolnij mnie!

Faris stężał. Nie chciał myśleć o cenie, jaką za to zapłaci.

– Już niedługo! – obiecał. Uniósł powieki. Jego wzrok spoczął na torbie sportowej, którą postawił na ziemi. – Przyjdę po ciebie.

– No i super. – Porywacz odebrał kobiecie telefon. – Sprawdź, czy rzetelnie wykonałeś moje polecenie. Jeśli tak będzie, skontaktuję się z tobą, ale nie przez telefon. Tego musisz się pozbyć.

Przerażony policjant odsunął na chwilę słuchawkę i przyjrzał się jej. Czy nieznajomy mógł wiedzieć o Benie i reszcie zespołu, którzy słuchali ich rozmowy? W końcu skądś miał informację o słuchawce, czyli o czymś, co należało do kuchni pracy operacyjnej. Czy to możliwe, że...

Faris zadrżał, lecz zanim dokończył w myślach pytanie, czy sprawca może mieć informatora w szeregach policji, porywacz z własnej woli wyjaśnił mu, dlaczego chce, żeby pozbył się telefonu.

– Z komórką w kieszeni w każdej chwili mogą cię namierzyć.

– Ale jeśli ją wyrzucę, nie będę mógł otrzymywać dalszych wskazówek! – Nasiąknięta krwią podpinka kurtki lepiła się do jego piersi.

– To już twoje zmartwienie. Najpierw musisz opatrzeć sobie ranę. Tylko unikaj szpitali. Nie chcę, żebyś znów został aresztowany. Potem zorganizuj sobie nowy telefon. Jak będzie trzeba, to ukradnij. Zadzwoń z niego na numer Anisah, a ja ci powiem, co dalej.

Faris zamknął oczy. Pod powiekami wirowały mu szkarłatne plamy.

– To może chwilę potrwać – wychrypiał, ale porywacz już go nie usłyszał, bo wcześniej się

rozłączył.

Po kilku sekundach znów rozległ się sygnał jego telefonu. Tym razem dzwonił Ben.

– Kurwa, Faris, jesteś rann...

Policjant przerwał mu w pół słowa.

– Dam sobie radę. Sorry, stary. – Potem rozłączył się, wyłączył telefon i wrzucił go do kosza na śmieci obok ławki. Wstał ciężko, wyszedł z dworca i ruszył Wiener Straße. Dotarł do Görlitzer Park, który szczególnie wieczorem o tej porze roku był niemal pusty. Dom, do którego chciał się dostać, dzieliło tylko kilkadziesiąt metrów od drugiej bramy parku.

ROZDZIAŁ 17

NIEZNAJOMY

Iskander został postrzelony i jest ranny.

W pierwszej chwili ogarnęła go złość, bo takiej wiadomości zupełnie się nie spodziewał, lecz szybko uznał, że w gruncie rzeczy to kolejna okazja. Uszkodzenie ciała oznaczało wprawdzie opóźnienie realizacji jego planu, lecz równocześnie wydłużało drogę przez piekło, którą poruszał się policjant. Doskonale się składało. Poczł ogromną satysfakcję na myśl, że Faris jest ranny i cierpi. Nie tylko fizycznie. To chyba najlepsza kara za to, że ten skurwysyn nie potrafił trzymać kutasa w spodniach. Ale to dopiero początek. Lada chwila będzie cierpiał jeszcze bardziej.

– Dlaczego?

Zamruął gwałtownie. Czyżby Anisah się właśnie odezwała?

Odwrócił się i spojrzał na nią. Dziewczyna miała zasnutę mgłą oczy, co było naturalnym objawem po lekarstwach, które jej podał.

– Co masz na myśli, złotko? – zapytał.

– Dlaczego? – powtórzyła szeptem. – Dlaczego pan to robi?

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Ach. To. Już ci przecież mówiłem. Chodzi o zemstę.

Nachylił się nad Anisah i dostrzegł strach w jej spojrzeniu.

To go podnieciło. Niespodziewanie poczuł, że dostaje erekcji, lecz zmusił się do spokoju. Nie, nic jej nie robi. Nie tknie jej nawet palcem. Kto jak kto, ale on potrafił panować nad swoimi żądzami. Nie posuwa zajętych kobiet.

Podszedł do komputera, otworzył ekran i połączył się z siecią. Wystarczyło, że wpisał literkę B w pasku adresu, by przeglądarka sama podpowiedziała, którą witrynę chce otworzyć: berlin2day. Załadował ją, rzucił okiem na materiał o święcie Holi, które obchodzono poprzedniego dnia gdzieś w stolicy. Zdjęcia świętujących młodych ludzi, obsypujących się kolorowym proszkiem, wydały mu się dziwaczne. Pod spodem migąły na czerwono najświeższe wiadomości z miasta i tam przeczytał to, czego chciał się dowiedzieć.

– Wiesz, słońce, co tu jest napisane? – zapytał Anisah. – Pewnie nie, bo jak. Ale ci przeczytam: „Strzelanina w meczecie w Kreuzbergu. Jedna ofiara. Sprawca zbiegł”.

Mimo że przed chwilą pokazała, że jest w stanie mówić, tym razem nie zareagowała na jego słowa. Milcząc, wpatrywała się w sufit i tylko jedna łza stoczyła się po jej policzku.

Mężczyzna czule pogładził ją po opatrunku na dłoni, wyobrażając sobie, że Faris kuli się gdzieś w ciemności i sam próbuje zatamować krwawienie z rany postrzałowej.

– Znajdujemy się w dzielnicy Kreuzberg przed meczetem Walida Tamera, w którym niecałą godzinę temu doszło do strzelaniny – tłumaczyła reporterka berlin2day.

Za jej plecami migotały rytmicznie koguty policyjnych radiowozów, oświetlając na niebiesko fasadę dawnego składu materiałów budowlanych.

Ira siedziała w salonie, na kanapie, z podwiniętymi nogami. Przykryła się poduszką. Jeszcze przed chwilą nie zwracała uwagi na program, jaki ogląda, lecz kiedy do jej świadomości przedarły się słowa dziennikarki, gwałtownie podniosła głowę.

– Świadkowie donoszą, że w piwnicy świetlicy przy meczecie padło kilka strzałów. – Operator przesunął kamerę i powiększył obraz, tak że na ekranie było widać bramę wjazdową. Jacyś mężczyźni wyprowadzali właśnie na ulicę nosze z ciałem przykrytym białym prześcieradłem. – Z naszych informacji wynika, że jest przynajmniej jedna ofiara śmiertelna. Po dwóch strzałach z budynku wybiegł uzbrojony młody mężczyzna o arabskich rysach. Dowiedzieliśmy się również, że to ten sam meczet, do którego uczeszczał zamachowiec, który dziś rano zginął w samobójczym zamachu bombowym na

Breitscheidplatz. Policja nie wydała jeszcze oficjalnego komunikatu na ten temat, jednak tutaj, na miejscu, krąży pogłoski, jakoby tamte wydarzenia były powiązane z tragiczną strzelaniną.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie przedstawiające młodego mężczyznę.

Faris? Ira wyprostowała się przestraszona, zdjęła nogi z kanapy i nie odrywała wzroku od ekranu, na którym dwóch mężczyzn pakowało nosze ze zwłokami do samochodu.

– W udział w strzelaninie, w wyniku której jedna osoba poniosła śmierć, zamieszany jest Faris Iskander, policjant, który dziś rano uwolnił dwójkę zakładników, zanim zamachowiec zdemontował bombę. Co sprawiło, że funkcjonariusz policji Faris Iskander użył broni, a potem zaczął uciekać...

Ira przerwała reporterce i pilotem wyłączyła telewizor.

– Boże Wszechmogący! – wyszeptała. Podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Jedna z latarni była zepsuta i migotała, zamiast świecić.

Oczyrna wyobraźni zobaczyła twarz Farisa, jego ciemne oczy i tę wyjątkową minę, której nie potrafiła nazwać. Uśmiechał się do niej. Bardzo rzadko to robił, a w każdym razie bardzo rzadko ten uśmiech docierał również do jego spojrzenia.

Jeśli to prawda, że zastrzelił człowieka, którego zwłoki wywieziono na noszach, to z całą pewnością zrobił to, wykonując pracę policjanta. To był jego obowiązek. Jednak... jeśli rzeczywiście tak było, to dlaczego uciekał?

Co tu się działo?

Pytania wirowały w jej głowie z szaleńczą prędkością. W końcu poczuła mdłości. Zaczęła krążyć niespokojnie po salonie, tam i z powrotem, aż ogarnęło ją klaustrofobiczne wrażenie, że ściany się do siebie zbliżają.

Zatrzymała się wtedy i odchyliła głowę, lecz nawet to nie przyniosło oczekiwanego efektu. Musiała wyjść na dwór i zaczerpnąć świeżego powietrza!

Włożyła kurtkę i buty, do kieszeni schowała komórkę i pęk kluczy, po czym wyszła z mieszkania.

Zatrzymała się dopiero na zewnątrz, przed drzwiami wejściowymi, i jeszcze raz spojrzała na zepsutą latarnię. Zastanawiała się, czy skręcić w prawo, do Görlitzer Park. Uznała jednak, że po ciemku czułaby się tam bardzo nieswojo, więc odwróciła się i ruszyła w stronę Skalitzer Straße.

Dom przy Lübbener Straße miał pięć pięter, jednak mieszkanie, do którego chciał się dostać, znajdowało się na parterze. Wcześniej był tu już kilka razy, więc wiedział, że na podwórzu wychodziło okno sypialni, która dysponowała również niewielkim balkonem z drzwiami zabezpieczonymi najprostszą klamką. Sam nieraz zwracał uwagę, jak łatwo włamywaczowi pokonać taką przeszkodę.

Największą trudnością okazała się barierka balkonu, nad którą musiał przejść. Kiedy ją pokonał, musiał na kilka minut położyć się na podłodze i odpocząć, bo wszystko rozmywało mu się przed oczyma. Jak już nabrał sił, wystarczyło mu tylko kilka sekund, by otworzyć drzwi balkonu. Torbę z materiałami zostawił na zewnątrz i dopiero wtedy wszedł do sypialni Iry. W powietrzu unosił się jej zapach, tak wyraźny, jakby chwilę temu tu przebywała. Na łóżku nie było pościeli. Musiała ją zdjąć i schować, zanim poleciała do Rio.

Przewycięzył pragnienie, żeby paść prosto na materac. Przede wszystkim musiał zająć się zatamowaniem krwawienia, a potem zatelefonować. Wszedł z sypialni, przeciął korytarz i wszedł do maleńkiej łazienki. Z wcześniejszych wizyt u Iry wiedział, że w szafce pod umywalką trzymała czyste ręczniki. Wyjął jeden z nich, rozpiął kurtkę i przycisnął pachnący świeżością materiał do krwawiącej rany.

Ból był nie do opisania. Na chwilę pociemniało mu przed oczyma, a kiedy doszedł nieco do siebie, zaczęło mu piszczeć w uszach. Wiedział, że długo tak nie wytrzyma i zaraz straci przytomność. Musiał się pospieszyć.

Z ręcznikiem przyciśniętym do ramienia pokuśtykał do czystego, spartańsko urządzonego salonu Iry.

Poza kilkoma regałami z książkami nie było tu właściwie żadnych niepotrzebnych mebli. Ściany były pomalowane na biało i ciemnoczerwono, a jedyną ich ozdobą było stare, niemal całkowicie

zamglone lustro w ciężkiej, złotej ramie. Na ławie obok kanapy stał telefon stacjonarny. Faris usiadł.

Ręcznik przyciśnięty do rany częściowo przesiąknął krwią. Złożył go na pół i czystą stroną przycisnął do ramienia. Potem nachylił się i sięgnął po słuchawkę. Przeklinając z bólu, wybrał numer Anisah.

Nie minęła nawet sekunda, a porywacz odebrał.

– Pod tym numerem będę dostępny przez kilka najbliższych godzin – powiedział Faris. – Widzi go pan na wyświetlaczu?

W słuchawce zatrzeszczało.

– Tak – powiedział nieznajomy chwilę później. – Jak się czujesz?

Farisowi zachciało się śmiać, bo nie potrafił wyobrazić sobie niczego bardziej absurdalnego niż troska ze strony tego akurat człowieka.

– Nieszczególnie. Potrzebuję kilku godzin odpoczynku.

– Żaden problem. Odezwę się później. – Po czym porywacz zakończył połączenie.

Policjant zazgrzytał zębami. I wybrał numer komórki Tromsdorffa.

– Tak? – Tromsdorff odebrał niemal równie szybko jak porywacz Anisah.

– Robert? To ja. – Faris gwałtownie nabrał powietrza przez nos.

– Faris! O Boże! Wreszcie! – W głosie szefa słychać było ulgę. – Gdzie jesteś? Już zaczynałem się bać, czy w ogóle... Jak się czujesz?

– Wyśmienicie.

– Nie pieprz! Kanther cię trafił, widziałem przecież!

Rozległ się trzask, jakby Tromsdorff zamknął za sobą drzwi. Faris się domyślił, że szef wszedł do swojego biura obok War Roomu. Wyobraził go sobie, jak przyciska słuchawkę mocno do ucha, wokół jego ust pojawiają się zmarszczki, a spojrzenie staje się ponure i jednocześnie zatroskane.

– No fakt, oberwałem w ramię – przyznał w końcu. – Kula utkwiała w ciele, tak mi się w każdym razie wydaje.

– Gdzie jesteś?

Faris się zawahał. Przecież nie uciekał tylko po to, żeby teraz dobrowolnie dać się złapać i zaprowadzić na policję. Wiedział, że szef trzyma jego stronę, ale nawet on nie był wszechmocny. Mógł wprawdzie jeszcze bardziej spowolnić młyny sprawiedliwości, jednak nie mógł ich zatrzymać i jeśli Faris wpadłby w ich tryby, bezpowrotnie straciłby szansę uratowania Anisah.

Faris podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, na chłodne, zimowe podwórze. Wzdłuż niskiego murku stało kilka pojemników na śmieci, obok wisiały rozpięte na pordzewiałych słupkach sznurki do suszenia prania, które wyglądały, jakby po raz ostatni użyto ich jeszcze w poprzednim wieku. Zaraz za murem rozpościerał się trawnik obsadzony krzakami, które o tej porze roku pozbawione były liści i wyglądały jak armia szkieletów.

– Faris? – Tromsdorff nie dawał za wygraną. Był wyraźnie poirytowany, bo na poprzednie pytanie nie uzyskał odpowiedzi.

– Najpierw mi powiedz, co się dzieje z Samirem.

Szef skontrował jego prośbę kolejnym pytaniem:

– Masz dostęp do telewizji?

Faris się rozejrzał. Naprzeciwko kanapy, na podłodze pod ścianą stał płaski telewizor Iry.

– Tak.

– Włącz berlin2day!

Ręcznik od nowa zdążył przesiąknąć krwią. Ranny policjant przyjrzał się swoim palcom. Lepiły się. Sięgnął po pilota i włączył telewizor. Na ekranie pojawił się kanał lokalnej stacji telewizyjnej z Berlina. Jej logo – literki b i d połączone zamasytą dwójką – od razu rzucało się w oczy.

Reportaż dotyczył rozbiórki skażonej azbestem szkoły podstawowej w dzielnicy Charlottenburg, jednak na pasku poniżej wyświetlano najpilniejsze wiadomości. Teraz akurat pojawił się napis: „Strzelanina w meczecie w Kreuzbergu. Jedna ofiara. Sprawca zbiegł”. Reportaż o szkole dobiegł końca. Obraz się zmienił i na ekranie pojawiła się młoda dziennikarka na tle meczetu Walida Tamera. Migotliwe

niebieskie światło radiowozu nadawało końcówkom jej włosów metaliczny blask. Faris słuchał uważnie, jak opowiada o strzelaninie, a w tym samym czasie dwójka sanitariuszy wyprowadzała nosze z ciałem Samira przykryte białym prześcieradłem. Zachwiał się i musiał się oprzeć.

Przyciskając ramię do boku, zimnymi placami dotknął policzka. Ból tkwił głęboko w jego barku.

– Zrozumiałeś mnie... – wymamrotał i przez kilka sekund nie mógł wydobyć z siebie głosu. – Bogu niech będą dzięki! Co z Samirem?

– Jak dotąd wszystko w porządku. Umieściliśmy go w bezpiecznym lokalu. Jest niespokojny, bo gość porwał jego żonę i gdzieś ją przetrzymuje. No a poza tym nie ma pojęcia, co się z tobą dzieje. – Tromsdorff zaśmiał się cicho. – Nie uwierzysz, jakie piekło zgotowała mi Gitta z twojego powodu.

Faris poczuł falę ciepła. Co by w ogóle począł, gdyby zabrakło mu wsparcia zespołu?

– Przekaż reszcie, że czułem się już w życiu znacznie gorzej niż teraz.

Mówiąc to, nie skłamał. Oczyma wyobraźni widział wszystko, co wydarzyło się w świetlicy przy meczecie. Miał wrażenie, jakby oglądał film. Znów usłyszał wystrzał pistoletu, który w ciasnej piwnicy zabrzmiał ogłuszająco. Koło jego ucha świsnął rykoszet. Widział Samira, jak zgina się w pół i pada na ziemię. Jego oczy błyszczały pewnością, że został trafiony, lecz to przekonanie bardzo szybko ustąpiło miejsca zaskoczeniu, że nic mu nie jest. Faris strzelił w ścianę obok niego. To był impuls, rozpaczliwa próba zyskania na czasie i przekonania porywacza, że posłusznie wypełnia jego polecenia.

– Wierzę ci, naprawdę, chcę w to wierzyć – zapewnił go Tromsdorff. – Powiedz mi tylko, gdzie jesteś, to zaraz po ciebie pojedziemy.

– Nie! Odpada! Słyszeliście chyba, co ten czubek powiedział, kiedy zażądał, żebym zastrzelił Samira. Robi wszystko, żeby odciąć mnie od waszego wsparcia. Później jeszcze raz to podkreślił. – W kilku słowach opowiedział mu, co wydarzyło się od chwili ucieczki z meczetu. Kiedy mówił, miał wrażenie, że gdzieś w tle słyszy głos Shannon.

– *My goodness!* – szepnęła kobieta.

– A ty chcesz powiedzieć, że mu wierzysz i będziesz robił, co ci każe? To dlatego wyrzuciłeś swoją komórkę?

Faris potaknął.

– Gdzie jesteś? – powtórzył Tromsdorff.

Ranny policjant znów zamilkł, bo nie chciał zdradzić swojej kryjówki.

– Wiesz przecież, że Ben bez trudu znajdzie cię po numerze telefonu, z którego dzwonisz, prawda?

– Wiem.

– Noż kurwa, Faris! Tak tego nie rozwiążemy!

– A jednak, Robert! Dokładnie tak to zrobimy. Anisah to moja siostra. Na razie zostaną tutaj i opatrzą ranę. Sam.

W tle słyszał dyskusję pozostałych, lecz docierały do niego tylko pojedyncze słowa.

Tromsdorff zaklął.

– Jesteś pierdolonym głupkiem! – zbluzgał go, jednak sposób, w jaki to powiedział, dał Farisowi poczucie, że nie będzie naciskał na ujawnienie kryjówki. Na razie.

– Robert, spójrz na to z innej strony. Dopóki nie wiesz, gdzie jestem, Geiger nie może mieć pretensji, że nie pojechałeś dobrać mi się do dupy.

– Geiger. – Tromsdorff zaśmiał się ponuro. – Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, ile bluzgów poleciało, jak się dowiedziała o strzelaninie. Tłumaczyłem jej, że sprawa jest poważniejsza, niż się wydaje, że gość trzyma cię za jaja i że ma środki, żeby pozostałych też przycisnąć. Po przemyśleniu to nie jest tak abstrakcyjne, jak mogłoby się wydawać.

Faris potaknął. Trzeba było odwieść wszystkich od zakwalifikowania tej sprawy do terroryzmu. Wtedy ktoś zupełnie inny położyłby rękę na dochodzeniu.

– Szeffie – zaczął ostrożnie. – Jeśli się okaże, że to jednak prywatna wendetta jakiegoś skurwysyna przeciwko mnie, to Geiger będzie cię trzymała za jaja, nie?

– Geiger już wkrótce przestanie być naszym problemem – odparł Tromsdorff tajemniczo.

Faris nie dopytywał, co miał na myśli. Jeśli chodziło o zapewnienie dalszego funkcjonowania ich wydziału, szef był mistrzem zakulisowych politycznych gier, a Faris w gruncie rzeczy nie był zupełnie zainteresowany, co to za rozgrywki. Poza tym miał w tej chwili poważniejsze problemy.

– Udało mi się przekonać Geiger, żeby włączyła się do naszej małej mistyfikacji. Ale obawiam się, że zgodziła się tylko dla satysfakcji, bo w końcu mogła dodać cię do ogólnokrajowej listy poszukiwanych przez policję. Jak to zatwierdziła, dostała pewnie orgazmu. – Ponura wesołość zniknęła z tonu szefa. – Zdajesz sobie sprawę, że nie wyjdiesz z tego zupełnie czysty, prawda? Część rzeczy jeszcze długo będzie się za tobą ciągnęła. A w mediach artykuły o tym morderstwie będą ilustrowane twoim zdjęciem?

– Jeśli to pozwoli mi uratować Anisah, to mam to w dupie.

Faris przypomniał sobie własne słowa: „Dla Anisah zrobię wszystko”.

Kanapa wyglądała tak zachęcająco... Poczł ogromne pragnienie, żeby się położyć, jednak zdołał mu się oprzeć. Domyślał się, że jeśli tylko przyjmie pozycję horyzontalną, minie sporo czasu, zanim uda mu się wstać.

– Kto jeszcze wie, że Samir żyje? – zapytał.

– Staraliśmy się maksymalnie ograniczyć krąg wtajemniczonych, więc tylko zespół, który prowadzi dochodzenie. Kilka osób z departamentu piątego, Meyer i Rühmann, sanitariusze, którzy wywozili zwłoki, no i oczywiście Geiger.

– Sanitariusze...

– Spokojnie, będą trzymali gęby na kłódkę tak długo, jak będzie trzeba. Możesz mi wierzyć, zadbałem o to. Ale Geiger... – Tromsdorff się zawahał. Kiedy mówił dalej, w jego głosie pojawiła się znacząca ostrożność. – Geiger wprowadzie wie o zainscenizowanym zabójstwie, ale nie ma bladego pojęcia o materiałach wybuchowych w torbie. Jeszcze nie, Faris.

Zamilkł i dał rannemu czas, żeby dotarło do niego znaczenie tych słów.

– Wiesz o materiałach wybuchowych? – Podejrzewał, że Samir opowiedział Robertowi, co było w torbie, ale szef tego nie potwierdził.

– Łatwo zgadnąć, co dostałeś – przerwał na chwilę. – Dobra, gdzie masz torbę?

Faris wstał, podszedł do lustra i spojrzał na swoje zamglone odbicie. Jedyne, co mógł dostrzec w starym zwierciadle, to że był bardzo blady. Ciemne oczy błyszczały niezdrowo na tle jasnego owalu twarzy jak czarne dziury.

– Ktoś musiał przynieść to wszystko do świetlicy przy meczecie. Porywacz, nawet jeśli to nie był on, musiał wiedzieć o istnieniu materiałów. Postaraj się ustalić ich źródło, może to nam pomoże posunąć dochodzenie naprzód.

Tromsdorff się zawahał.

– Sprawdziłeś, co to za gówno?

Faris się odwrócił.

– Poczekaj, zaraz zobaczę.

Wrócił do sypialni Iry, zza balkonowych drzwi wyjął torbę i położył na łóżku. Kątem oka widział wirujące czarne plamy, a ból w ramieniu zmieniał się powoli w przeraźliwą i trudną do wytrzymania torturę, jakby rana pełna była gorącego, płynnego metalu. Ostrożnie rozpiął zamek sportowej torby i spojrzał na ukryte w niej materiały wybuchowe. Wyglądały jak lekko tłuste paczuski.

– Możliwe, że dynamit żelatynowany. Ale nie jestem specjalistą, więc mogę się mylić.

– Dobra, ktoś od nas to sprawdzi. Co teraz?

– Przede wszystkim muszę się zająć moim ramieniem.

– Okej. Tylko dobrze wszystko przemyśl i nie ryzykuj, żebyś nie wykrwawił się gdzieś w kącie, kiedy my będziemy czekali, aż się zgłosisz.

Faris spojrzał krytycznie na krwawiącą ranę.

– Nie bój się, tak źle to nie wygląda – skłamał, choć sam nie wiedział, dlaczego nie powiedział mu prawdy. Gdzieś w jego wnętrzu czaiło się coś bardzo mrocznego, a on bał się dowiedzieć, co to może być.

*

Ledwie zakończył rozmowę z Tromsdorffem, na klatce schodowej rozległy się kroki i ktoś wsunął klucz do zamka w drzwiach.

Rozejrzył się, pospiesznie analizując opcje i szukając kryjówki. Na parapecie nie było żadnych doniczek. Przy odrobinie szczęścia, niespodziewanym gościem mogła się okazać jakaś sąsiadka, która chciała sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, i zaraz sobie pójdzie. Ostrożnie schował się za drzwiami. Musiał oprzeć się o ścianę, bo kręciło mu się w głowie. Dopiero wtedy zauważył, że zostawia czerwone ślady na jasnej tapecie.

Rozległ się szczepek zamka. Przez chwilę Faris łudził się nadzieją, że znów został sam, jednak w następnej chwili rozległo się brzęknięcie kluczy odkładanych na metalową tackę.

Kroki. Coraz bliżej salonu.

Faris stęzał i się przygotował. Drzwi się otworzyły, ale nikt nie wszedł do środka. Intruz zawrócił i udał się do kuchni. Przez dłuższą chwilę dobiegały stamtąd odgłosy krzątania, brzęk talerzy i szum wody w zlewie.

Faris starał się oddychać płytko. Może mu się tylko wydawało, ale czy zapach Iry unoszący się w powietrzu nie przybrał na sile?

Miał coraz większy mętlik w głowie.

Intruz wyszedł z kuchni i tym razem wszedł do salonu. Ranny policjant zadziałał instynktownie. Puścił przesiąknięty krwią ręcznik i chwycił od tyłu ukrytą w mroku postać.

Irze serce podeszło do gardła, bo niespodziewanie poczuła, jak silne męskie ramię zaciska się na jej szyi. Pisnęła i zareagowała odruchowo, w ogóle nie zastanawiając się, co robi. Dzikim szarpnięciem uwolniła się z uchwytu, odskoczyła i się odwróciła.

Znieruchomiała.

– Faris! – zawołała.

Trzęsąc się, spoglądała na mężczyznę przed sobą. Jego twarz była tak blada, że sapnęła przerażona. Dopiero po chwili zauważyła krew, którą pokryte były jego ręce i ubranie. Poczuła silne ukłucie w sercu.

– Co ty tu robisz? – zapytała z trudem.

Nie udało mu się odpowiedzieć. Zanim otworzył usta, pociemniało mu przed oczyma i zaczął się osuwać na podłogę. Ira rzuciła się w jego stronę i w ostatniej chwili uchroniła go przed bolesnym upadkiem. Na szczęście nie stracił całkowicie przytomności, bo inaczej nigdy nie poradziłaby sobie z dociągnięciem go do kanapy.

– Wszystko ci zakrwawię – mruknął, chcąc ją powstrzymać, bo uniosła mu stopy, by położyć je na poduszkach.

– I co z tego?! – odparła i przytrzymała go, by leżał spokojnie.

Obolały krzyknął głośno i spróbował się poderwać.

– Moje ramię! – wysyczał przez zaciśnięte zęby. Dopiero potem bardzo ostrożnie osunął się na poduszki.

Rozsunęła poły jego skórzanej kurtki i spojrzała na koszulę. Cała była przesiąknięta krwią. Zaczęła ją delikatnie rozpinąć, żeby ocenić ranę.

– Ależ wielebnej się spieszy... – Faris zażartował i spróbował przywołać uśmiech na poblądłych z bólu wargach.

Ira zignorowała jego próby bycia zabawnym.

– Zaraz zadzwonię po karetkę!

Uniósł szybko zdrowe ramię i chwycił ją za rękę.

– Nie!

Nie wierzyła własnym uszom. Koszula na piersi i brzuchu kleiła mu się do ciała, podkreślając każdy ukryty pod nią mięsień. Czuła metaliczny, słodkawy zapach krwi. I choć w Rio pomagała przy opatrywaniu niezliczonych postrzałów, tym razem zrobiło jej się niedobrze i dostała mdłości.

Nie tak to sobie wyobrażała. Czymś zupełnie innym były koszmary, kiedy widziała go

postrzelonego. Teraz miała go przed sobą z paskudną raną na ramieniu.

– Bardzo mocno krwawisz – zaprotestowała. – Jeśli...

Zacisnęła palce na jej przedramieniu.

– Żadnych lekarzy! – powtórzył z naciskiem.

– Nie rozumiem, co się dzieje! Czy to jakiś słaby kryminal? Wyjaśnij mi, o co chodzi? – Ira chciała się uwolnić, lecz on nie zamierzał jej puścić. Czując jego dotyk, dostała gęsiej skórki na całym ciele. Jego palce były zimne jak lód.

– Szukają mnie. – Miał coraz większe problemy z zachowaniem przytomności. Powieki mu drżały i opadały. – Później ci wszystko wyjaśnię, ale najpierw musisz mi pomóc.

Opuścił głowę i oparł ją na poręczu kanapy. Popatrzył na nią intensywnie.

– Proszę! – dodał.

Nie chciała się upierać przy swoim zdaniu. Przynajmniej na razie.

– Niech ci będzie – powiedziała po chwili. – Ale muszę cię rozebrać, jeśli mam opatrzyć ci ranę.

Potaknęła w milczeniu. Ira miała wrażenie, że pod zapadniętą skórą na jego szyi widzi pulsujące żyły. Miał bardzo wysokie tętno. Kiedy zdejmowała mu z ramion skózaną kurtkę, zaczął krzyczeć z bólu.

Ira przygryzła górną wargę. Dudniło jej w głowie i musiała wziąć się mocno w garść, żeby się skupić i przypomnieć sobie, czego się nauczyła o ranach postrzałowych w czasie pracy w szpitalu w Ameryce Południowej. Tak, przede wszystkim należało zatamować krwawienie.

– Czekaj, zaraz wrócę! – powiedziała i wybiegła z salonu.

Z łazienki przyniosła całe naręczce czystych ręczników i domową apteczkę.

– Co ci się właściwie stało? – zapytała, przystępując do oczyszczenia rany.

Zacząła od ściągnięcia przesiąkniętej krwią koszuli. Potężna blizna po oparzeniu, obejmująca prawą stronę klatki piersiowej i pół bicepsa, mocno wyblakła przez ostatnie miesiące. Wyraźnie ją jednak widziała i przypomniawszy sobie, jakie spustoszenie i obrażenia w jego ciele wywołała fala uderzeniowa po wybuchu. W porównaniu z nią rana wlotowa po kuli wyglądała niemal nieszkodliwie mimo wypływającej z niej świeżej krwi.

– Ktoś porwał Anisah – wyjaśnił Faris. – Uprowadził ją i twierdzi, że ją uwolni, jeśli ja... – przerwał, bo w tej samej chwili przycisnęła czysty ręcznik do rany.

Z jego ust nie wydobył się nawet najcichszy dźwięk, jednak z bólu pobladł jeszcze bardziej.

– Doszło do strzelaniny – ciągnął, kiedy znów był w stanie mówić. – Musiałem uciekać, żeby mnie nie aresztowali.

– Ciebie? Ktoś miałby ciebie aresztować? – Ira potrząsnęła z niedowierzaniem głową. Nie rozumiała, co do niej mówił i o czym opowiadał, ale to przecież nie miało najmniejszego znaczenia. Nie teraz.

„Pragmatyzm” – zganiała się w myślach. To powtarzali jej lekarze w Rio. „Musisz zadbać o tych, którzy powinni przeżyć. Na resztę czas przyjdzie później”.

Faris był nieco zdziwiony, gdzie Ira nauczyła się tak profesjonalnie czyścić i zabezpieczać rany postrzałowe, a jeszcze bardziej dziwił się jej obecności w Berlinie. Obie kwestie miały jednak niewielkie znaczenie w porównaniu z tym, że musiał przekazać jej wszystkie ważne informacje, zanim sam straci przytomność. Spojrzał na telefon stacjonarny. Zanim Ira wróciła do mieszkania, zdążył odłożyć słuchawkę bezprzewodową do stacji ładującej.

– Możliwe, że porywacz zadzwoni tutaj, na twój numer – wyjaśnił. – Jeśli będę akurat nieprzytomny, powiedz mu to. Wyjaśnij mu, że się mną zajęłaś i że nie jestem w szpitalu. Rozumiesz? Powiedz mu, że nie jestem w szpitalu! To bardzo ważne, że nie jestem... – Spróbował spojrzeć jej w oczy, lecz ona nachyliła się nad jego ranę. Jej włosy znalazły się bardzo blisko jego twarzy. Czuł zapach szamponu, którego używała. To był jakiś inny niż ten, który zapamiętał z czasu, zanim wyjechała do Rio. Mimo to podobał mu się ten zapach. Pasował do woni jej skóry.

Uniosła na chwilę spojrzenie. Zakręciło mu się w głowie.

– Uważaj – ostrzegła go cicho. – Może zabołeć.

I w tej samej chwili jego ciało przeszył potworny ból, promieniując od ramienia do koniuszków palców. Miał wrażenie, że zaraz pęknie mu głowa. Wygiął się w łuk, a z jego gardła wydobył się przeciągły skowyt.

Ira przełknęła głośno ślinę.

– Nie masz powodu, żeby tak się nade mną znęcać – wychrypiał.

Uśmiechnęła się słabo, jednak w jej oczach pojawił się podejrzany błysk.

– Dałabym ci coś przeciwbólowego, ale obawiam się, że nie mam niczego w domu.

Skinął głową.

– Już, gotowe – oznajmiła kilka minut później.

Udało jej się zatrzymać krwawienie i założyć opatrunek. Wyprostowała się i przez dłuższą chwilę krytycznym wzrokiem przyglądała się swemu dziełu. Faris żałował, że się nagle odsunęła. W pewnej chwili spojrzała na skórzaną bransoletkę na jego nadgarstku. Dotknęła jej.

– Nie jest trochę ciasno?

Pokręcił głową.

– Nie, jest idealnie. – Przypomnił sobie o bransoletce Laury. O tym, że zniknęła, choć przecież kobieta ją nosiła, i o tym, że wciąż jeszcze nie powiedział Rühmannowi. Nieważne. W tej chwili miał na głowie zupełnie inne problemy.

Ira potaknęła.

– Okej, skoro tak twierdzisz... Mimo to uważam, że powinieneś jak najszybciej trafić do szpitala. Nie mam pojęcia, jakiego spustoszenia pocisk już narobił w środku. Zostawienie tego tak, jak jest, byłoby szaleństwem. Ta rana musi zostać opatrzona przez lekarza!

Nie potrafił zachować powagi. Uśmiechnął się, bo w jej głosie słyszał szczerą troskę.

– Od zawsze miałem słabość do szaleństwa – zażartował. – Wiesz, że... – Nie dokończył. Pochłonęła go ciemność.

ROZDZIAŁ 18

Ira stała przy kanapie i spoglądała na Farisa. Jego twarz była tak blada, że czarne włosy, rzęsy, brwi i delikatny zarost wyglądały, jakby ktoś je domalował. Postrzał w bark nie był jedynym uszkodzeniem ciała, jakie odniósł. Paskudny fioletowy już siniak pokrywał cały lewy bok ciała. Ira nie miała pojęcia, jak wiele krwi stracił, ale podejrzewała, że kula, która go trafiła, dalej tkwiła w jego ramieniu. Nie znalazła na plecach rany wylotowej. Dzięki Bogu nie uszkodziła mu płuc. Oddychał zupełnie normalnie, co było dobrym prognostykiem. „Nawet jeśli kula pozostaje w ciele, postrzał w ramię z reguły nie stanowi szczególnego zagrożenia dla życia” – przypomniała sobie słowa jednego z lekarzy w Rio. „Łatwo się goi”.

„Tak” – pomyślała. „Łatwo, ale w warunkach szpitalnych”. Spróbowała przypomnieć sobie układ żył i tętnic w ramieniu człowieka. Co się stanie, jeśli któraś została uszkodzona i Faris wykrwawiał się do wnętrza? Co będzie, jeśli umrze tutaj, w jej mieszkaniu?

Gwałtownie nabrała powietrza na samą myśl o takiej ewentualności.

Jej wzrok padł na koszulę, którą zdjęła mu z ramion i rzuciła na podłogę. Odruchowo zwróciła uwagę na krew, którą wysmarowana była nie tylko kanapa, ale również dywan. To bez znaczenia. Powiedział, że doszło do strzelaniny. I że musiał uciekać, żeby nie trafić do aresztu.

Wszystko wskazywało na to, że w czasie tej strzelaniny został ranny. Nie rozumiała jednak, dlaczego uciekał przed policją, skoro sam był policjantem? Co takiego się wydarzyło? Powiedział jeszcze, że jego siostra została porwana. Ira nachyliła się i podniosła jego kurtkę.

– Coś ty narobił? – szepnęła.

Dookoła panowała ciemność, a ból rozsadzał mu ramię. Cierpiał tak bardzo, że nie wiedział, jak ma leżeć. Nie miał pojęcia, jak długo był nieprzytomny. Pod plecami miał gładkie prześcieradło. Jak to się stało, że nie leżał już na kanapie? Powoli uniósł głowę.

Ktoś był obok.

Słyszał szelest ubrania, jak spada na podłogę. Poczłszy szybki oddech na policzku. Zadrzał. Otaczała go woń perfum Iry. Chciał coś powiedzieć, lecz nie był w stanie poruszyć ustami. Ktoś uniósł kołdrę. Chłodne powietrze owionęło jego brzuch i uda. Przez krótką chwilę w jego głowie pojawiła się myśl, której nie mógł uchwycić...

Gdzie się podziały jego spodnie?

Ciepłe, szczupłe ciało wsunęło się pod kołdrę obok niego. Naga skóra muskała jego skórę. Powinno go boleć ramię i każdy dotyk, a jednak niczego nie czuł. Nie dziwił się. Przewrócił się na bok i wziął Iry w ramiona.

– Faris! – Jej głos był jak szept, jak oddech pieszczący jego powieki. Zamrugął.

I nagle Ira zniknęła.

Dopiero po kilku sekundach dotarło do niego, że to był tylko sen. Ból nie zniknął, a on miał na sobie spodnie. Przez chwilę wpatrywał się w ciemność, aż zaczął rozróżniać zarysy mebli i przedmiotów. Cały czas leżał na kanapie w salonie. Słyszał ruch dobiegający z ulicy biegnącej obok domu. Gdzieś w mieszkaniu zamknęły się cicho drzwi.

Wiedział, że powinien wstać i zadzwonić do porywacza. A może już to zrobił? Nie był pewien. W głowie miał kompletny mętlik. Jeśli już to zrobił, dlaczego nieznajomy nie próbował oddzwonić?

Chciało mu się pić.

Kiedy znów zamknął oczy, sen był znacznie mniej przyjemny. Jak setki razy wcześniej, widział siebie idącego wąską uliczką, lecz tym razem towarzyszyła mu Anisah, a nie Paul. Bał się nawet spoglądać w jej stronę, a mimo to wiedział, że ona mu się przygląda. W oczach siostry czaił się niemy wyrzut. Kawalek dalej coś leżało na ziemi. Szedł w tym kierunku znacznie dłużej, niż wynikałoby z odległości, aż w końcu zatrzymał się nad czerwonym czymś.

– To twoja wina – usłyszał Anisah.

W końcu na nią spojrział. Nie miała oczu, a w miejscu, gdzie powinna znajdować się źrenica, zobaczył pomalowany na czerwono paznokieć. Siostra uniosła ramię i wskazała oskarżycielsko na

przedmiot na ziemi. Po odciętym palcu wskazującym pozostała jedynie rana, z której jednak nie kapła krew, tylko czerwony lakier do paznokci.

– Oddaj mi to! – zażądała głosem porywacza.

Faris zacisnęła powieki, a kiedy je otworzył, nie zobaczył siostry. Postać obok miała twarz Laury.

– Oddaj mi to! – powtórzyła Laura głosem porywacza.

Faris spojrział na ziemię, na przedmiot, przy którym stali. Kiedy zorientował się, że to nie jest odcięty palec Anisah, tylko pomalowany na czerwono pistolet, z jego gardła wydobył się paniczny wrzask. Obudził się.

Światło wpadało przez uchylone drzwi i oświetlało kawałek kanapy. Twarz Iry otaczała ciepła poświata, a jej jasne włosy połyskiwały złotem.

– Wszystko w porządku? – zapytała. Otworzyła drzwi i włączyła światło. – Krzyczałeś.

– Śnił mi się koszmar – wymamrotał. – Przepraszam, że cię obudziłem.

Weszła do pokoju.

– Nie spałam. – Miała na sobie inną bluzkę. Po raz pierwszy od kiedy włamał się do jej mieszkania, zdołał skupić wzrok na jej oczach. Wciąż jeszcze miała to samo hipnotyzujące spojrzenie. – Jak się czujesz?

Odsunął od siebie wspomnienie kosmaru.

– Jakby ktoś mnie postrzelił.

Ira spuściła wzrok, słysząc ten wymęczony żart. W jej oczach dostrzegł dziwny błysk. Czuł się paskudnie.

– Która jest godzina? – zapytał.

– Wpół do czwartej.

Poruszył się niespokojnie, bo zrobiło się strasznie późno. Minęło kilka godzin, od kiedy zasnął. Wszzechmogący!

– Zadzwoń! – zapytał i spróbował usiąść. Ból w ramieniu od razu mu uświadomił, że to bardzo zły pomysł. Zaklął szpetnie i z powrotem oparł głowę na poręczu kanapy.

– Nie – uspokoiła go Ira. – Skąd w ogóle miałbyś wiedzieć, że tu jesteś?

– Podałem mu twój numer. Myślałem, że jesteś w Rio i że mogę się na trochę tu zamelinować.

Zacisnęła powieki. Oddałby prawie zdrowe ramię, żeby się dowiedzieć, co się dzieje w jej głowie.

Bez słowa podeszła do kanapy i przysiadła ostrożnie na brzegu. Faris stłumił w sobie impuls, by sięgnąć i jej dotknąć.

– Przepraszam. Naprawdę nie chciałem cię wciągać w tę sprawę – powiedział.

Miał wrażenie, że go nie słyszy. Nie odpowiedziała mu, tylko sięgnęła do kieszeni spodni i wyjęła opakowanie leków przeciwbólowych.

– W aptece poprosiłam o najsilniejszy środek, jaki mają. Dostałbyś je wcześniej, ale spałeś, kiedy wróciłam.

Wycisnęła z blistra dwie kapsułki i podała mu je ze szklanką wody, którą już wcześniej ustawiła na ławie obok kanapy.

Wsunął je do ust i popił. Ira przyglądała mu się uważnie.

– Jeśli chodzi o torbę, którą zostawiłeś w sypialni...

Materiały wybuchowe. Myśl o nich była jak ukłucie w mózgu.

– Co się z nią stało? – Oddał Irze szklankę, a ona odstawiła ją z powrotem na stół.

– Dalej stoi w sypialni. Dokładnie tam, gdzie ją położyłeś. Nie odważyłam się nawet jej dotknąć, chociaż nie wiem dlaczego.

Na szczęście!

– Mogłabyś ją przynieść i położyć za kanapą? – poprosił.

Ira bez wahania wstała i wyszła z salonu. Kiedy wróciła, niosąc torbę, uśmiechnęła się niepewnie.

– Co to jest? Napadłeś na bank?

Pokręcił głową. Próbowana żartem rozluźnić sytuację, lecz wypadło to równie słabo i tak samo nie przyniosło efektu jak jego wcześniejsze usiłowania. Za to jej słowa bardzo go poruszyły. Wyglądała

tak delikatnie i krucho, a jednocześnie miała w sobie o niebo więcej wewnętrznej siły niż on.

Stała naprzeciwko niego. Spodziewał się, że zażąda wyjaśnień. Jednak ona po chwili wahania wsunęła jego bagaż za kanapę.

Najchętniej ująłby jej twarz w dłonie i pocałował. Wiedział, że jest jeszcze wiele spraw, którymi musi się zająć. Musiał zachować trzeźwość umysłu na wypadek, gdyby porywacz w końcu się odezwał. Powinien skontaktować się ze swoim wydziałem i wszystko wyjaśnić, a zwłaszcza powinien jak najszybciej wynieść się z tego mieszkania, żeby nie wciągać jej jeszcze głębiej w gówno, w którym sam siedział po uszy. Najgorsza była świadomość, że na razie żadnej z tych rzeczy nie robi. Ramię sprawiało mu przeraźliwy ból, jakby w środku, w jego barku, eksplodował granat. Znowu pociemniało mu przed oczyma.

– Ira? – wymamrotał. Czekał, aż zaczną działać środki przeciwbólowe.

– Tak? – Była tuż obok niego. Tak jak w jego śnie, jej oddech pieścił skórę jego policzka. Poczł dreszcz.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zapomniał, co. Mimo walki, nieubłaganie osunął się w niespokojny, wypełniony bólem sen.

Zapach świeżo parzonej kawy otoczył Rühmanna od razu, kiedy następnego ranka otworzył drzwi do biura i przestąpił próg.

Po zatrzymaniu Iskandera i jego spektakularnej – i częściowo zainscenizowanej ucieczce – spędził trochę czasu z Meyerem na dyskusji, kto mógłby zamordować Laurę Zöller. Żaden z nich nie miał pomysłu, w którą stronę poprowadzić śledztwo. Meyer twierdził, że Iskander pasuje jako sprawca, lecz on miał duże, naprawdę duże wątpliwości i nie potrafił sobie wyobrazić, żeby Faris odwiedził swoją ofiarę w hotelu, poszedł z nią do pokoju, odbył z nią brutalny stosunek, a na koniec ją udusił. I wcale nie chodziło o to, czy Iskander był zdolny do przemocy – co do tego akurat nie miał wątpliwości, bo nieraz udowodnił, że potrafi być porywczy. Chodziło raczej o połączenie przemocy seksualnej i morderstwa.

Na dodatek Alfons nie potrafił też wyobrazić sobie w roli zabójcy męża ofiary, a to mocno komplikowało sytuację.

Postanowili z Meyerem powstrzymać się z dalszymi ruchami do czasu otrzymania wyników analizy DNA. Meyer nie wytrzymał i poszedł do domu, a on nie potrafił tak po prostu tego zostawić i zrobić sobie wolnego. Długie godziny czatował przy biurku i zastanawiał się – mimo że akurat tego dnia wypadał wieczór brydżowy, który organizowali z żoną dla przyjaciół. Kiedy nadeszła chwila, że i on się poddał i wrócił do domu, ona już spała. Rano udała, że jeszcze się nie obudziła, dlatego w kuchni zostawił dla niej wiadomość i wyszedł do pracy. I tak znowu się tu znalazł – w złym humorze, nieuczestny i tylko po to, żeby się przekonać, że Meyer przyjechał pierwszy i siedzi już przy biurku. Pił kawę i z zainteresowaniem czytał jakiś najwyraźniej nowy wpis do akt badanego przez nich morderstwa. Prawą dłoń opierał na myszce obok klawiatury i klikał w regularnych odstępach czasu.

Rühmann odwiesił płaszcz, podszedł do okna i nalał sobie do filiżanki śmiertelnie niebezpiecznego naparu przygotowywanego codziennie przez partnera, po czym usiadł przy swoim biurku.

– Jakież nowości? – zapytał, unosząc kawę.

Meyer potaknął. Nie wyglądał jak ktoś, komu aktualna lektura przypadłaby do gustu.

– Przed chwilą przyszły wyniki analizy DNA.

Starszy policjant odstawił filiżankę, zanim zdążył upić z niej choćby pojedynczy łyk. Wiedział, że popełnia błąd, bo ilekroć mu się to zdarzało, kiedy sięgał po nią ponownie, kawa była kompletnie zimna. Ale to nie miało teraz żadnego znaczenia.

– No i?

– Nie udało im się zabezpieczyć odpowiedniej ilości materiału DNA na skórze szyi Laury Zöller. Przeprowadzono za to analizę materiału DNA z nasienia. – Meyer westchnął. Alfons doskonale się domyślał, co zaraz usłyszy. – Analiza porównawcza z profilami zabezpieczonymi w centralnej bazie nie dała żadnych wyników. Gwałciec Laury Zöller nie był wcześniej notowany przez policję.

Rühmann się odchylił i oparł tak mocno, że jego fotel zaprotestował umęczonym skrzypnięciem.

– A analiza próbek porównawczych pobranych od obsługi hotelu?

– Część testów cały czas jeszcze trwa, jednak te, które udało nam się ukończyć, nie przyniosły żadnych trafień. – Meyer odwrócił się razem z fotelem na tyle, by móc przyjrzeć się dokładnie zdjęciu Farisa na tablicy, na której opisywali kolejne etapy śledztwa. Jeszcze wczoraj wieczorem osobiście wydrukował fotografię kolegi z pracy, zaraz po tym, jak Klaus Westermann bez chwili wahania wskazał na Iskandera jako osobę, z którą Laura Zöller wróciła wieczorem do pokoju.

– O cholera...

Rühmann był zaskoczony. Poprzedniego wieczoru Meyer był gotów od razu przypisać Farisowi winę i oskarżyć go o morderstwo Laury Zöller. A teraz, kiedy tylko kilka kliknięć myszki wystarczyło, żeby nabrać pewności, zaczął się wahać i odsuwać ten moment. Czy to możliwe, że przez noc zmienił nastawienie? Nie, raczej nie. Być może walczył z samym sobą, bo dla osób jego pokroju przestępstwo popełnione przez kolegę z policji było osobistą zniewagą.

Rühmann się zamyślił i nadął policzki. Wszystko wskazywało na to, że sam musiał się tym zająć. Uruchomił własny komputer i zalogował się do systemu. Kilka kliknięć wystarczyło, by otworzyć policyjną bazę danych. W jednym ze zbiorów znajdowały się próbki DNA wszystkich funkcjonariuszy, którzy odwiedzali laboratorium albo mieli z nim coś wspólnego. Rühmann rozpoczął test porównawczy. Po dwóch minutach otrzymał wynik.

– No cóż – mruknął, po czym przekręcił swój monitor w taki sposób, żeby Meyer był w stanie zobaczyć wyświetlony na nim obraz.

Meyer potaknął.

– Przesrane, kurwa, gówno! – warknął.

Profil DNA z próbki nasienia i profil DNA pobranego od Farisa wykazywały zgodność.

To oznaczało, że w noc morderstwa Iskander nie tylko odprowadził Laurę Zöller do hotelowego pokoju. Musiał odbyć z nią stosunek seksualny.

Nie to było jednak najgorsze. Znacznie większym szokiem było to, że ich okłamał. Wszystkich.

Kiedy Rühmann wszedł do War Roomu, by powiadomić kolegów o najnowszych ustaleniach, w pomieszczeniu panowała bardzo ożywiona i nerwowa atmosfera.

– To mi się nie mieści w głowie, Robercie! – syknęła dyrektor Geiger. – Czyżbyś na stare lata zupełnie stracił instynkt samozachowawczy?

Kobieta stała pośrodku biura z dłońmi wspartymi na biodrach i obracała się powoli wokół własnej osi, by każdemu z pracowników wydziału WPR spojrzeć prosto w oczy. Złość zmieniła kolor jej twarzy na purpurowy.

Na widok ludzi z wydziału Tromsdorffa Rühmann poczuł się jeszcze bardziej niepewnie. Czy oni kiedykolwiek chodzili spać? A może nie potrzebowali odpoczynku? Shannon Starck, Marc Sommer i Ben Schneider mieli na sobie dokładnie te same ubrania co poprzedniego dnia i cała trójka wyglądała bardzo nieświeżo. Za to sekretarka wydziału z całą pewnością była w domu, bo choć na co dzień nosiła bardzo krzykliwe kolory, dziś wybrała zdecydowanie spokojniejsze odcienie.

Dopiero teraz Geiger dostrzegła, że w progu ktoś stoi.

– Pana to również dotyczy! – zawołała i przywołała go gestem.

Podszedł bliżej.

Tromsdorff stał w drzwiach do swojego biura i z założonymi ramionami opierał się o futrynę. Rühmann nie potrafił stwierdzić, czy to postawa obronna, czy raczej wyluzowana i pozbawiona emocji. Wbrew temu, do czego przyzwyczał wszystkich współpracowników, nie miał na sobie spodni od garnituru połączonych z T-shirtem i marynarką, tylko prosty, czarny sweter do dzinsów. Alfons oczekiwał, że szef WPR-u w jakikolwiek sposób zareaguje na atak doktor Geiger, lecz Robert Tromsdorff uparcie milczał. Szefowa departamentu nie doczekała się odpowiedzi, więc sama ciągnęła dalej:

– Zastanów się, czy na pewno chcesz mi to powiedzieć. Poważnie?! Od wczoraj wiesz, że Iskander lata po mieście z torbą pełną materiałów wybuchowych? I że uciekł z nią zaledwie kilka godzin po tym, jak jakiś szaleniec porwał jego siostrę i mu zagroził, że zmusi go do dokonania zamachu

bombowego?! – Ostatnie słowa wykrzyczała piskliwym tonem, zupełnie nad sobą nie panując.

Biurko Bena Schneidera znajdowało się tuż obok drzwi do biura szefa, więc technik nachylił się do Tromsdorffa i szepnął:

– Do piwnicy przy świetlicy w meczecie sprowadzono psy przeszkolone do wyszukiwania materiałów wybuchowych – wyjaśnił, skąd przełożona ma tę wiedzę. – Od razu zaczęły szczekać.

– To pan też o tym wiedział? – Geiger posłała Benowi niedobre spojrzenie. Było w nim tyle jadu, że Rühmann odruchowo cofnął się o krok. Technik wzruszył obojętnie ramionami.

– Dynamit żelatynowy – wyjaśnił. – Najprawdopodobniej o ten środek chodzi.

Twarz doktor Geiger przybrała jeszcze bardziej purpurowy odcień.

– Nie, nie wierzę! – syknęła w stronę Tromsdorffa. – Iskander jest podejrzany o popełnienie morderstwa, a...

– Faris nikogo nie zastrzelił – przerwał jej Robert ostrym tonem.

„Nie” – pomyślał Rühmann. „Nie zastrzelił. Ale najprawdopodobniej kogoś udusił”. Milczał jednak, bo czuł, że nie jest to najlepszy moment na przedstawienie swoich ustaleń.

– Śmierć Samira Chalida została przez nas upozorowana i chyba nie muszę ci o tym przypominać... – ciągnął Tromsdorff.

– Przestań opowiadać głupoty! – prychnęła doktor Geiger. – Łamiesz wszystkie możliwe przepisy, pozwalając temu człowiekowi zostać na wolności. Nawet gdyby nie miało się potwierdzić, że ma ładunki wybuchowe...

– Dynamit żelatynowy! – wtrącił Schneider rzeczowo, wybijając Geiger z rytmu. Zmierzyła go morderczym spojrzeniem, a kiedy okazało się, że to nie robi na nim żadnego wrażenia, postanowiła go ignorować.

– Nawet jeśli nie chcesz przyjąć do wiadomości, że Iskander jest podejrzany o popełnienie morderstwa – zaczęła ostro – miałeś obowiązek zacząć działać, kiedy się dowiedziałeś, że porywacz jego siostry przekazał mu materiały wybuchowe!

Tromsdorff wzruszył ramionami, a Rühmann, jak już wiele razy wcześniej, podziwiał spokój, z jakim przyjmował wszystkie razy i zarzuty wysuwane przez szefową departamentu. Wiedział przy tym, że doktor Geiger mogła dość szybko rozwiązać cały wydział. Słyszał już wcześniej plotki o tym, że WPR miał bardzo wysoko postawionego protektora i może rzeczywiście tak było. Jednak na ile Rühmann znał Tromsdorffa, przypuszczał, że zachowywałby się identycznie, nawet nie mając politycznego wsparcia. Robert, zupełnie jak Iskander, był typem człowieka, który nigdy nie odwracał głowy.

– Myślicie, że porywacz wie, gdzie jest Iskander? – zapytał szeptem Schneidera.

– Pewnie tak – padła krótka odpowiedź.

Starszy policjant spojrział uważnie na Bena, a potem przeniósł wzrok na Tromsdorffa. Musiał im powiedzieć. Nie miał wyjścia. Odkaszlnął niepewnie.

Oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę.

– Jest jeszcze coś, o czym powinniście wiedzieć – wymamrotał.

Tromsdorff nie wierzył własnym uszom, kiedy słuchał, o czym mówił Rühmann. Miał wrażenie, że to jakaś pomyłka.

Faris poszedł z Laurą do łóżka? Spał z nią? Okłamał ich wszystkich?

Nieemożliwe! Jego pierwszą reakcją było zaprzeczenie.

– Powiedział przecież, że do niczego nie doszło – oznajmił. – W czasie przesłuchania zapytaliśmy go wprost, czy uprawiał z nią seks, na co on odpowiedział, że tego nie robił.

Poczuł na sobie wzrok wszystkich członków wydziału.

Marc i Shannon wyglądali na bardzo poruszonych. Byli jednocześnie wstrząśnięci i zli, a on bardzo chciał wiedzieć, na co albo na kogo byli zli. Na Farisa? A może na wyniki przesłane z laboratorium?

Sam czuł głęboki, irracjonalny żal i wściekłość – wściekłość przeciwko całemu światu, a nie komuś konkretnemu.

Ben nerwowo obracał długopis między palcami. Miał kamienną twarz, jak zawsze kiedy nad

czymś intensywnie myślał.

Gitta odwróciła się razem z krzesłem i uważnie słuchała Rühmanna, kiedy tłumaczył im wyniki analizy próbek DNA. W końcu potrząsnęła gwałtownie głową, raz, drugi i trzeci. Nie chciała wierzyć w to, co słyszała.

Tromsdorff potarł mocno powieki. No dobrze, spokojnie. Musi przecież istnieć jakieś wyjaśnienie tej całej sytuacji. Pomyślał o czasie, jaki spędził na przekonywaniu prawdziwych decydentów do przychylności i tłumaczeniu, dlaczego Faris powinien mieć zielone światło. Perorował o śmiertelnym niebezpieczeństwie o skali wykraczającej daleko poza eksplozję bomby, z którą na razie mieli do czynienia. Twierdził, że tylko Faris – w pojedynkę – może zapobiec znacznie większej tragedii, ale trzeba pozwolić mu działać. Zrobił to dla niego. Wiedział, że śmierć siostry będzie oznaczała koniec dla Farisa. Nagle Tromsdorff przypomniał sobie, jak wiele jego podwładny gotów był poświęcić, żeby przed kilkoma miesiącami dopaść zamachowca działającego w czasie Ekumenicznych Dni Kościoła.

„Ja już nie dam rady” – powiedział mu wtedy Faris. „Musicie sami dopaść tego skurwysyna. Mnie już załatwił”.

Tamtego dnia był o krok od strzelenia sobie w głowę. A mimo to zebrał się w sobie i działał dalej. Ścigał zamachowca do samego końca. Nie poddał się i nie złożył broni, choć niewiele brakowało, a zapłaciliby za to najwyższą cenę...

Wszystkie te wspomnienia przemknęły Tromsdorffowi przez głowę niczym błyskawica i spotęgowały jedynie uczucie, że jest Farisowi coś winien. Zagotował się ze złości.

– Chcę zobaczyć te wyniki na własne oczy – powiedział zachrypniętym głosem.

Ben zaczął pisać na klawiaturze. Po kilku chwilach uruchomił się rzutnik multimedialny podwieszony pod sufitem, a na ekranie pojawił się obraz dokumentu przesłanego przez laboratorium kryminalistyczne.

Tromsdorff przesunął wzrokiem po kolumnach pełnych cyferek, których ni w ząb nie rozumiał.

– Dane z analizy próbek pobranych z ciała ofiary porównałem z danymi w bazie laboratorium – mruknął Rühmann.

Ben znów zaczął stukać w klawiaturę, aż w końcu na ekranie, obok profilu DNA z ciała ofiary, pojawił się profil DNA Farisa. Zgodność wynosiła sto procent.

– *Fuck!* – jęknął Marc, a Tromsdorff spojrzał w jego stronę. – *Fuck! Fuck!*

Gita zamrugwała z niedowierzaniem.

– Skłamał? Faris skłamał? Ale dlaczego???

Wstrząśnięta przycisnęła dłonie do twarzy i zrobiła minę, jakby zaraz miała się rozplakać.

Tromsdorff popatrzył na obraz na ekranie. Odczuwał pokusę, by zaprzeczyć wszystkiemu, co widzi. A jednak nie potrafił tego zrobić. Faris jeszcze nigdy go nie okłamał. To musiał być błąd, ktoś musiał się gdzieś pomylić... popełnić jakieś trywialne przeoczenie... Przecież Faris nigdy go jeszcze nie okłamał...

Tyle że dotychczas nigdy jeszcze nie chodziło o Laurę.

Ogromnym wysiłkiem woli przerwał te ponure rozmyślenia i skupił się na tu i teraz.

– Okej – mruknął przez zaciśnięte zęby i wskazał na porównanie wyników. – Mamy dowód, że....

– Że Faris Iskander zgwałcił i zamordował Laurę Zöller – weszła mu w słowo Geiger. Miała minę, jakby Rühmann na srebrnej tacy podał jej klejnoty koronne.

– Nie – odparł Alfons chłodno. – To świadczy jedynie o tym, że Laura i Faris odbyli stosunek seksualny. Nie mamy jednak najmniejszego dowodu, że Faris ją również zamordował.

A jednak. Choćby to, że go okłamał. Że ich okłamał.

Myśl o tym obudziła w jego głowie coś innego, co zachowywało się, jakby żyło. Coś bardzo niebezpiecznego.

– Co ze śladami biologicznymi pozostawionymi w trakcie duszenia ofiary? Czy z szyi Laury Zöller pobrano próbki do badania? – zapytała Geiger. – Jak wygląda analiza porównawcza zawartego w nich DNA?

Rühmann pokręcił głową.

– Liczba komórek naskórka nienależących do ofiary wynosiła poniżej pięciu procent, a to za mało, żeby rzetelnie wyodrębnić materiał DNA i stworzyć z niego preparat do dalszych analiz.

Co oznaczało, że bez przyznania się nie będzie mowy o przedstawieniu sprawcy jednoznacznych dowodów.

Cholera, Faris!

Tromsdorff odepchnął się od framugi. Przez całą rozmowę stał nieruchomo w drzwiach swojego biura. Przyciągnął sobie teraz fotel Farisa i usiadł.

Geiger odwróciła się w jego stronę i spojrzała chłodno.

– Wiesz, gdzie się zamelinował – powiedziała jedynie.

Robert Tromsdorff zacisnął powieki. Myśli wirowały w jego głowie w jakimś opętanym tańcu tak szybko, że nie był w stanie wyjaśnić przekonująco tego, co się wydarzyło, ba, nie potrafił znaleźć usprawiedliwienia dla kłamstwa Farisa.

Może poza jednym...

W końcu otworzył oczy i spojrzał na Bena.

– Ben, masz numer, z którego Faris dzwonił? – zapytał. – Odszukaj szybko, gdzie jest podłączony.

ROZDZIAŁ 19

Po przebudzeniu Faris poczuł ogromne pragnienie. Przez chwilę leżał z zamkniętymi oczyma i starał się przełknąć ślinę. Na próżno. W ustach miał sucho jak na Saharze. Wydawało mu się, że docierają do niego jakieś słowa, lecz to, co słyszał, było pozbawione sensu. Chwilę później minęło sennie otępienie, które nie pozwalało mu normalnie myśleć, i wtedy dotarło znaczenie wypowiedzianych zdań.

– ...wiadomości na temat bardzo poważnego zagrożenia.

Otworzył oczy. W pokoju panował półmrok, podobnie jak na zewnątrz, więc nie potrafił powiedzieć, jak długo spał i która była godzina. Głos, który usłyszał, pochodził z głośnika telewizora. Ira włączyła wiadomości i stała naprzeciwko ekranu – stężała i nieruchoma, z ramionami przyciśniętymi do piersi, jakby było jej zimno. Odwrócona do niego plecami nie zauważyła, że się obudził.

Faris widział jedynie fragment ekranu, ale to wystarczyło, by w przemawiającej rozpoznał właścicielkę sklepu Fair Trade, w którym poprzedniego dnia wybuchła bomba. Uratował jej życie, a teraz musiał słuchać jej jadowitych komentarzy:

– Tak, na pewno znał się z zamachowcem. Na sto procent.

Przez chwilę nie mógł pojąć, o kim mówiła, jednak w końcu i to zrozumiał. Chodziło jej o Önura i o niego. Obraz się zmienił i na ekranie pojawiła się blond dziennikarka, która z zaaferowaną miną przemawiała do kamery.

– Jeśli uda się potwierdzić prawie pewną wiadomość, że Faris Iskander jest osobą, która uciekła z meczetu Walida Tamera, gdzie wczoraj doszło do strzelaniny, i że ma przy sobie torbę pełną materiałów wybuchowych, należy zadać sobie pytanie, jak duże stanowi zagrożenie dla mieszkańców Berlina.

Ira uniosła pilota i jednym ruchem palca wyłączyła dźwięk. Potem przez kilka chwil stała nieruchomo i wyraźnie spięta wpatrywała się w ekran. Drgnęła dopiero, kiedy Faris usiadł na kanapie.

Odwróciła głowę.

– Od jak dawna nie śpisz?

– Wystarczająco długo – powiedział. Ramię dalej sprawiało mu sporo bólu, lecz teraz przynajmniej był w stanie go wytrzymać, choć nie potrafił sobie wyobrazić, żeby tabletki, które kupiła mu Ira, mogły mieć z tym coś wspólnego. Może po prostu zdążył się już oswoić z bólem?

Przesunął językiem po spękanych i wyschniętych wargach. Pragnienie – wiedział, że to jeden z podstawowych efektów utraty krwi – było nie do zniesienia. Ira przyniosła butelkę wody i postawiła przy szklance, którą podała mu w nocy, żeby miał czym popić tabletki. Odkręcił ją szybko, nalał do pełna i wypił, nie odrywając szklanki od ust. Ira czekała, aż skończy. Dopiero wtedy spojrzała na niego uważnie.

Miała przerażająco błyszczące oczy i rozszerzone strachem źrenice. Od razu było widać, że walczy ze łzami.

Zacisnął zęby.

Coś ty najlepszego narobił?

Nie musiała nic mówić, bo Faris widział to pytanie w jej spojrzeniu. Wypisane też było na jej przerażonej twarzy.

Przyjrzała mu się bardzo poważnie, a potem przeniosła wzrok na torbę ukrytą za kanapą.

– Tam są materiały wybuchowe, o których mówią, prawda, Faris? – zapytała, choć przecież od dłuższego czasu musiała się domyślać, jak jej odpowie.

– Tak. – Krótka odpowiedź wymagała zebrania wszystkich sił, by nie stchórzyć i nie odwrócić wzroku.

– Faris, jesteś mi winien wyjaśnienia!

To go przerastało, brakowało mu sił. Spuścił głowę i zaczął mówić:

– Porwał moją siostrę. Uprawdzał ją i chce mnie zmusić, żebym to ja zdetonował kolejną bombę.

On... – Faris musiał przerwać, żeby mówić dalej, bo wspomnienie tego, jak porywacz torturował jego siostrę, pozbawiało go zmysłów. Kiedy wziął się w garść na tyle, żeby mówić dalej, czuł podejrzanę

pieczenie w oczach. – Obciął jej palec, żeby mi udowodnić, jak daleko jest gotów się posunąć.

– O Boże... – wyszeptała Ira.

– Zagroził mi, że Anisah będzie traciła kolejne palce, jeśli nie będę robił tego, co mi każe.

Ira bardzo powoli uniosła dłonie i przycisnęła je do ust. Faris widział jej przerażenie i walkę z obehwładniającą paniką.

– Co teraz?

– Czekam na dalsze polecenia. Ma mi powiedzieć, czego ode mnie chce.

– A ty będziesz robił, co ci powie?

Nie odpowiedział. Spuścił nogi z kanapy. Był strasznie odwodniony i bolała go głowa. Huczało mu w uszach i nie miał pojęcia, jak się zmusić do dalszego ruchu.

– Cokolwiek się wydarzy – szepnęła Ira niewyraźnie – nie możesz wyjść w takim stanie.

Wskazała głową na jego nagi tors, w połowie ukryty pod kilkoma warstwami bandaży. Odwróciła się, ruszyła w stronę drzwi i przeszła do sypialni. Faris słyszał, jak otwiera tam szafę i przez chwilę czegoś w niej szuka.

Spojrzał na siebie.

Opatrunek w jednym miejscu był przesiąknięty i widać było czerwonawą plamę. Chciał sprawdzić, co dzieje się pod bandażem, lecz w tej samej chwili wróciła Ira. Przyniosła bluzę z kapturem.

– Obawiam się, że moje ciuchy będą na ciebie za małe, więc musi ci wystarczyć to, co znalazłam.

– Podała mu ubranie. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. Należała do Thomasa.

Thomas Rechenberg był byłym chłopakiem Iry. Opowiedziała mu kiedyś o nim. Thomas zostawił ją po krótkim, ale bardzo intensywnym związku. Był katolickim księdzem. Musiał wybierać między Iry a swoją wiarą. Zdecydował się na tę drugą i odszedł, a Ira potrzebowała bardzo dużo czasu, żeby się z tym uporać.

– Dzięki. – Faris sięgnął po bluzę. Była czarna, a z przodu, po lewej stronie, miała wyszyty srebrny krzyż. – Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby, co?

– No raczej nie.

Z wysiłkiem włożył bluzę. Kosztowało go to wiele bólu, jednak poradził sobie bez słowa skargi.

– Świetnie w tym wyglądasz! – Ira uśmiechnęła się do niego.

Jej uśmiech, jak zresztą wszystko w niej, wydał się jasny i ciepły.

Spuścił wzrok i przyjrzał się sobie.

– Wiesz, chyba nawet dobrze – powiedział w końcu, zmuszając się do wesołego tonu – że nie ma na niej napisu typu „wypełniam wolę Pana”.

Samir Chalid chodził tam i z powrotem po pokoju niewielkiego mieszkania, do którego przetransportowała go policja po zakończonym niemal tragedią spotkaniem z Farisem w piwnicy meczetu. Wciąż jeszcze słyszał strzał, który szwagier oddał w jego stronę. Miał wrażenie, że kula odbiła się od ściany i rykoszet minął jego policzek o milimetry. Co oczywiście było skrajnie głupie, bo Faris był bardzo doświadczonym strzelcem. Strzelił tak, żeby w żaden sposób nie narazić go na niebezpieczeństwo.

Uniósł obie dłonie i przeczesał sobie włosy, walcząc z przemożnym pragnieniem, by coś roztrzaskać w drobny mak. Czuł, że jest coraz bardziej spięty, więc chcąc się rozładować, z całej siły kopnął w kanapę. Mebel przesunął się kilka centymetrów po pokrytej parkietem podłodze.

Hałas sprawił, że do pokoju zajrzała zaniepokojona policjantka. Kobieta przebywała w mieszkaniu na wypadek, gdyby porywacz znów się odezwał. Dotychczas funkcjonariuszka nie wychodziła z kuchni, gdzie czytała gazetę i piła kawę za kawą. Stała teraz w drzwiach niewielkiego salonu i spojrzała na Samira.

– O co chodzi?! – warknął mężczyzna, choć policjantka nie odezwała się ani słowem.

Słyszając takie powitanie, wruszyła tylko ramionami i wróciła do kuchni. Miała tłusty tyłek. W niebieskich spodniach od munduru wyglądała bardzo niekorzystnie.

Anisah, mimo porodów, nie przybrała ani kilograma...

Samir jęknął cicho, bo myśl o żonie przepelniała go strachem.

Faris zadba, żeby wróciła cała i zdrowa! Musiał w to wierzyć, to była jego jedyna nadzieja. Dla szwagra Anisah była najważniejszą osobą na świecie. Nie zawaha się przed niczym, żeby tylko ją uratować.

Zrobi dla niej wszystko.

Samir poczuł, że drżą mu nogi. Osunął się na kanapę, przysiadł na samym brzegu i ramionami objął kolana. Przez dłuższą chwilę trwał w takiej pozycji, aż udało mu się co nieco uspokoić. Nagle tuż obok rozległo się ciche brzęczenie. Zadrżał. Jego komórka. Wcześniej wyłączył dźwięk, bo omal nie dostał zawału serca, kiedy zadzwonił jeden ze współpracowników Farisa. Teraz telefon wibrował w jego kieszeni. Serce od razu zaczęło mu walić jak oszalałe.

Policjantka widziała, że wyłącza dźwięk.

– Mimo wszystko musi mnie pan poinformować, jeśli ktoś będzie dzwonił – oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Oczywiście – odmruknął niechętnie.

Teraz jednak się zawahał. Sięgnął do kieszeni, wyjął telefon i spojrzął na wyświetlacz. Numer należał do dobrego znajomego, z którym działał w ramach fundacji Pro Toleranz. Samir westchnął. Dostał wyraźne polecenie, żeby pod żadnym pozorem nie odbierać połączeń, chyba że będzie dzwonił ktoś z zespołu Farisa albo z najbliższej rodziny. Czyli ktoś z bardzo wąskiego grona osób wtajemniczonych w inscenizację.

Telefon dalej wibrował. Samir poczuł przemożną chęć, by z kimś porozmawiać. Z kimś, kto go zrozumie, kto znajdzie właściwe słowa i pomoże mu przetrwać gównianą sytuację, w jakiej się znalazł. Z kimś, kto byłby prawdziwym przyjacielem.

Zbliżył kciuk do zielonej słuchawki, gotów zaakceptować połączenie, jednak w ostatniej chwili się zawahał. Gra toczyła się o życie Anisah i naprawdę niewiele brakowało, żeby wszystko się posypało. Za każdy, nawet najmniejszy błąd mogła zapłacić ostateczną cenę, a do tego za żadne skarby nie chciał dopuścić.

Nie, nie może jej stracić. Nie pozwoli na to.

Nigdy. Nie teraz. Nie w taki sposób.

Zacisnął zęby i zwalczył w sobie pragnienie rozmowy. Energicznym ruchem przesunął palec nad czerwoną słuchawkę i odrzucił połączenie.

NIEZNAJOMY

Wytrzeszczonymi oczyma wpatrywał się w ekran telefonu, który trzymał w dłoni. Z głośnika dobiegał szybki przerywany sygnał. Myśl, która pojawiła się w jego głowie, wybuchła z siłą pożaru. Dlaczego jego połączenie zostało odrzucone?

I – co miało dla niego znacznie większe znaczenie – kto odrzucił jego połączenie?

Wyłączył telefon. Myślał intensywnie. Wyobraził sobie ciało Samira Chalida w chłodni w kostnicy Instytutu Medycyny Sądowej. Wszystkie rzeczy, jakie miał przy sobie, trafiłyby do kartonu z materiałem dowodowym w zamkniętym i chronionym pomieszczeniu. Powinna włączyć się poczta głosowa. Obraz ciała Samira wyblakł, a jego miejsce zajął zupełnie inny.

Iskander. Policjant celuje z broni służbowej do swojego szwagra. Pociąga za spust, ale strzela obok niego. Chybia. Samir trafia do jakiejś kryjówki, w której siedzi i wpatruje się w dzwoniący telefon.

– Ty pierdolony debilu! – mruknął człowiek, który pragnął zemsty. Odwrócił się i popatrzył na Anisah. Dziewczyna miała nieobecne spojrzenie. Leki, które jej podał, już jakiś czas temu zaczęły działać, pozbawiając ją świadomości.

Potem wybrał numer, który podał mu Iskander.

– Wypełniam wolę Pana. Niezły pomysł. – Ira roześmiała się trochę nienaturalnie.

Faris nie zdążył nawet pomyśleć, co jej odpowiedzieć, bo w tej samej chwili zadzwonił telefon. Adrenalina w jednej chwili wypełniła jego żyły i jak narkotyk zadziałała na jego mózg.

Ira z przerażenia otworzyła szeroko oczy.

Faris zmusił się, żeby nabrać głęboko powietrza, a potem sięgnął po słuchawkę i odebrał połączenie.

– Iskander! – zgłosił się i sam usłyszał strach w swoim głosie.

– Ty pierdolony debilu! – syknął porywacz, nie kryjąc nienawiści.

Ranny policjant odruchowo odsunął nieco słuchawkę od ucha.

– Nie rozumiem...

– Nie zrobiłeś tego, co ci kazałem! Dlaczego Samir żyje?!

Słowa porywacza sprawiły, że cała adrenalina w ułamku sekundy przestała działać, jakby zniknęła z jego krwi. Poczł lodowatą pustkę.

– Ja... naprawdę... – zaczął.

– Nie! – ryknął porywacz z wściekłością. – To ty mnie posłuchaj! Zadzwoń przed chwilą do twojego szwagra. I wiesz co? Ktoś odrzucił połączenie! Kto odrzuca połączenia na telefonie kogoś, kto ponoć jest martwy? Dlaczego nie włączyła się poczta głosowa? Jeśli właściciel komórki nie żyje, w końcu włącza się poczta głosowa, rozumiesz? Pieprzona poczta głosowa! Dlaczego ktoś odrzucił moje połączenie?

Ostatnim słowom porywacza towarzyszyło sapnięcie. Faris znieruchomiał i się napiął. Instynktownie wiedział, że w takiej sytuacji powinien spróbować wciągnąć go w rozmowę.

– Niczego nie zmyślałem ani pana nie okłamałem – powiedział. – Jestem tutaj... – Zamilkł w pół słowa, bo w tle rozległy się krzyki Anisah. – O Boże! Nie! Ja... błagam! Ja... nie chciałem! Tak strasznie mi przykro!

Stał pośrodku spartańsko urządzonego salonu Iry i spoglądał na wyblakłe i zamglone lustro na ścianie. Jego rozszerzone strachem oczy wyglądały jak dwie czarne dziury na bladej twarzy.

Krzyk Anisah urwał się gwałtownie. W słuchawce słyszał jedynie jej jęk, który wydał mu się jeszcze gorszy.

– Co pan jej zrobił? – wyszeptał zrozpaczony.

Odwrócił się i spojrzał na Irę. Ona była jego podporą, jedyną nadzieją, której mógł się ucześcić, i jedyną siłą, która powstrzymywała go przed załamaniem. Był przekonany, że w jej wielkich oczach widzi swoje odbicie wyraźniej niż w wyblakłym lustrze na ścianie. W jego głowie myśli wirowały jak szalone.

– Co jej zrobiłem? – zapytał porywacz powoli. – Nic. Ale to się może w każdej chwili zmienić. Teraz masz zrobić dokładnie to, co powiem. Jak mnie nie posłuchasz, będziesz żałował, że w ogóle się urodziłeś! Przez całe zasrane życie nie spotkało cię nic tak złego, jak to, co cię czeka.

– Zrobię, co mi pan każe, ale błagam, niech pan nie krzywdzi mojej siostry!

Porywacz milczał przez chwilę. Faris się domyślał, że nieznajomy rozkoszuje się jego przerażeniem i delectuje błaganiami o łaskę dla siostry. Strach momentalnie zaczął ustępować miejsca chłodnej wściekłości.

– Jedziesz na Ostbahnhof, rozumiesz? – rozkazał porywacz. – Tam, po prawej stronie, zaraz przy piekarni znajdziesz szafki do przechowywania bagażu. Pod numerem dwadzieścia siedem czeka na ciebie przesyłka, w której znajdziesz kilka rzeczy potrzebnych do następnego zadania. Zamek otworzysz kodem, którym jest rok urodzin twojej siostry. I nie próbuj mnie oszukiwać, bo tym razem twoja siostra gorzko za to zapłaci!

– Zrobię wszystko, co pan każe, wszystko! – Faris miał ściśnięte gardło, tak strasznie brzydził się tego, że musi kajać się przed tym śmieciem.

– I dobrze. Jak szybko tam dotrzesz?

Faris zastanowił się i policzył, ile czasu potrzebuje, żeby dostać się na dworzec wschodni.

– Za jakieś pół godziny, tak mniej więcej w każdym razie.

– Niech będzie. Zorganizuj sobie nową komórkę. Czekam na telefon o dziewiątej, wtedy dostaniesz dalsze wskazówki.

Faris spojrzał na zegarek. Zbliżało się wpół do dziewiątej. Wolną ręką spróbował podnieść torbę

zza kanapy, lecz nie dał rady, bo przekręciła się i zaczepiła narożnikiem. Ira chciała podejść i pomóc, jednak zanim ruszyła się z miejsca, rozległo się walenie do drzwi i głośny krzyk:

– Policja! Otwierać!

Zadziałał instynktownie.

Kilkoma krokami pokonał drogę do sypialni i wyrzwał na zewnątrz, na podwórze za domem. Dwóch umundurowanych policjantów czekało z bronią gotową do strzału.

Niech to szlag!

Odwrócił się i zaczął gorączkowo analizować opcje.

– Co się tam dzieje? – rozległ się głos porywacza, który jeszcze się nie rozłączył.

Faris roześmiał się ponuro.

– Co się dzieje? Nic takiego. Właśnie zjawiała się policja, żeby mnie aresztować.

– Ciebie... – nieznajomy przerwał. – Nikt cię nie aresztuje. Twoja w tym głowa, żeby tak się nie stało!

Faris cofnął się na korytarz. Jedyne, co w tej chwili odczuwał, to szaleńczy pęd, jakby spadał na dno przepaści.

– Jak niby? – zapytał w niespodziewanym przypiływie spokoju.

– Powiedziałem, twoja w tym głowa!

Znów ktoś uderzył pięścią w drzwi.

– Faris, to ja! – Tromsdorff. – Musimy porozmawiać, Faris!

Reszta jego słów zginęła w pełnym przerażenia wrzasku dobiegającym ze słuchawki. To był głos jego siostry.

Wzrok Farisa zakryła krwawoczerwona mgła wściekłości. Tym razem nie błagał i nie kajał się przed nikim. Wiedział, że to wszystko na nic, że nic w ten sposób nie zyska. Niezależnie od tego, jak bardzo by się poniżył, w ten sposób nie uratuje siostry. Była tylko jedna jedyna droga, która dawała jakąkolwiek nadzieję.

Ira stała w drzwiach między salonem a korytarzem. Zakołysała się. Ale nie tylko ona. Dlaczego nagle wszystko dookoła zaczęło drżeć? Faris zatrzymał wzrok na metalowej tacce na stoliku w garderobie. Leżały tam kluczyki do samochodu i torebka Iry.

– Zrobię, co będę mógł – powiedział do telefonu.

Minął Irę, podniósł z ziemi torbę z materiałami wybuchowymi i wrócił do garderoby. W chwili, kiedy zabierał kluczyki do samochodu i portfel gospodyni, drzwi zakołysały się pod silnym uderzeniem, a z framugi posypał się pył.

Tak samo jak poprzedniego dnia w sali przesłuchań, miał wrażenie, że czas płynie gwałtownymi skokami. Wrócił do salonu, gdzie poprzedniego wieczoru Ira odłożyła jego broń na półkę z książkami. Drzwi do mieszkania zakołysały się po raz drugi. Tym razem drewno nie wytrzymało i całe skrzydło runęło do środka, na podłogę w korytarzu. Faris odrzucił telefon. A potem złapał Irę i wbił jej lufę broni pod zębra.

ROZDZIAŁ 20

– Stać! – krzyknął, choć nie było sensu tego robić, bo dwójka funkcjonariuszy w mundurach i z bronią gotową do strzału stanęła w progu i nie miała zamiaru wchodzić do środka.

„Prewencja” – pomyślał i odetchnął z ulgą. Zwykli policjanci, służba patrolowa. Na szczęście nie oddział antyterrorystyczny. Gdyby Geiger przysłała jakąś grupę realizacyjną, jego szanse momentalnie spadłyby do zera.

– Cofnąć się! – rozkazał. – Cofnąć się albo ją zastrzelę!

Serce biło mu tak mocno, że każde uderzenie wywoływało palący ból w postrzelonym ramieniu.

Bardziej poczuł, niż usłyszał zaskoczone westchnienie Iry, która nie rozumiała, co się dzieje. Kobieta znieruchomiała i stężała. Miał wrażenie, że przyciska do siebie kawałek drewna. W pewien sposób cieszył się nawet, że zasłaniając się nią przed policją, nie może zobaczyć wyrazu jej twarzy.

„Wybacz, proszę!” – pomyślał, choć zdawał sobie sprawę, że to tylko pobożne życzenie, którego Ira nigdy nie będzie mogła spełnić. Jak miałyby mu coś takiego wybaczyć? Poczuł, jak drży mu ręka, i już chciał opuścić broń, jednak zmusił się, by tego nie robić. Nie mógł się wycofać. Dla Anisah. Przecież nie robił tego dla siebie, tylko dla niej. Dla siostry. Musiał o tym pamiętać. I o tym, że wykorzystując Iry w ten sposób, oddawał jej też przysługę, bo nikt nie będzie mógł jej oskarżyć, że działała w nim znowie i pomagała ukrywać się przed policją. Miała pełne prawo przedstawić się jako ofiara i wyjść obronną ręką z tego całego gówna, w które ją wciągnął.

– Oddaj broń, Faris! – zawołał Tromsdorff zza pleców umundurowanych policjantów. – Przyjechałem specjalnie po to, żeby z tobą porozmawiać. Geiger chciała od razu wysłać antyterrorystów. Cudem udało mi się ją od tego odwieść.

W odpowiedzi Faris mocniej wbił Irze lufę pistoletu pod żebra. Kobieta krzyknęła. Była jednocześnie przerażona i oburzona.

„Kto walczy z potworami...” – pomyślał Faris.

Jego upadek w bezdenną przepaść był coraz szybszy i wiedział, że nie będzie drogi z powrotem.

– Rzuć broń! – zawołał umundurowany policjant drżącym głosem.

– Faris, proszę! – odezwał się Robert. – Znajdziemy jakieś rozwiązanie, wiesz przecież! Cokolwiek z Laurą...

– Zamknij się! – warknął Faris. Imię Laury odbijało się echem w jego głowie, ale nie miał czasu, żeby teraz o niej myśleć. Nabrał powietrza, najgłębiej jak potrafił. – Wybacz, on mnie do tego zmusił. – Niemal identyczne słowa padły z ust Önura, zanim chłopak zdetonował bombę. Poczuł się paskudnie. Było mu zimno i źle.

Ira przestała drżeć. Poczuł to, bo cały czas ją do siebie przyciskał. Miał nadzieję, że z przerażenia nie straci przytomności.

– Podaj mi torbę! – polecił jej, a kiedy się schyliła, by spełnić jego żądanie, podążył za jej ruchem. Jego ramię eksplodowało obezwładniającym bólem, promieniującym do samych koniuszków palców.

– Teraz wyjdziemy przez drzwi i nikt nie będzie usiłował nas zatrzymać, rozumiano?

Nikt nie zareagował.

Mijały sekundy. Faris miał wrażenie, że każda trwała wiecznie.

A potem w końcu Tromsdorff wydał rozkaz:

– Przepuścić ich!

– Kurwa mać! – Faris z wściekłością uderzył zdrową ręką w kierownicę niewielkiego ciemnogrnatowego samochodu Iry. Miał gdzieś ból promieniujący na całe ciało od łopatki, w której utkwiła kula. Impuls był tak mocny, że pociemniało mu przed oczyma i przez chwilę nic nie widział. – Kurwa! Kurwa mać!

Jak w filmie odtwarzanym w zwolnionym tempie przypomniał sobie, minuta po minucie, ostatnie wydarzenia. Ira jako jego zakładniczka. Przyciskał ją ramieniem i czuł, jak wali jej serce. W drugiej ręce pistolet, który ciążył, jakby był zrobiony z ołowiu. Ból barku i ból wewnętrzny, który poczuł, gdy zrozumiał, że nadużył zaufania Tromsdorffa. Z Iry przed sobą wyszedł z mieszkania, minął policjantów,

spoglądając w lufy wycelowanych w siebie pistoletów. Ten widok przyprawił go o ciarki na plecach. Oblał się zimnym potem. Kiedy znalazł się poza zasięgiem ich wzroku, puścił Iry i odszedł. Czuł ogromną potrzebę, żeby błagać ją o wybaczenie, ale jej nie uległ. Odwrócił się bez słowa i ruszył biegiem do samochodu, który Ira zaparkowała w jednej z bocznych uliczek.

Stał teraz na czerwonym świetle przy Skalitzer StraÙe i wyobrażał sobie, jak Ira siedzi naprzeciwko jego dotychczasowych współpracowników i odpowiada na ich pytania. Podaje kolor i markę swojego samochodu. Kiedy uciekał z piwnicy świetlicy przy meczecie, miał Tromsdorffa po swojej stronie. Teraz było inaczej. Tym razem nic i nikt nie zatrzyma dodania jego nazwiska do listy najbardziej poszukiwanych przestępców.

Nie mógł pozbyć się uporczywie powracającego spojrzenia Iry, rozpaczy i przerażenia na jej twarzy, kiedy odchodził w stronę samochodu.

Co dawało mu prawo działać w taki sposób? Jak chciał usprawiedliwić swoje zachowanie, podobne do zachowania fanatyków w szale religijnym? Czy się właściwie od nich różnił?

Chyba tylko tym, że jeszcze nie uruchomił detonatora...

Zadrżał z zimna i poczuł, jak noga ześlizguje mu się z pedału gazu. Zaklął i przyspieszył. Pod żadnym pozorem nie mógł się poddawać ani fizycznie, ani tym bardziej psychicznie.

Skręcił w lewo z Köpenicker StraÙe. Kiedy przejeżdżał mostem nad Szprewą, zatrzymał na chwilę wzrok na wieży telewizyjnej po lewej stronie. Porywacz Anisah w jakiś sposób zmusił Önura, żeby się wysadził przy Kościele Pamięci. Czy do eksplozji następnej bomby wybierze równie symboliczne miejsce? Co będzie mógł zrobić, jeśli nieznajomy zdecyduje się właśnie na wieżę telewizyjną?

Dworzec wschodni, Ostbahnhof, był jednym z tych punktów w mieście, które w razie rozpoczęcia oblawy sprawdzane były zaraz na pierwszym miejscu. Musiał się więc pospieszyć, jeśli chciał dotrzeć do szafki na bagaż, zanim koledzy z firmy obstawią cały teren.

Podjechał do wjazdu na ogromny parking i zatrzymał się przed szklaną fasadą z niebieskimi świecącymi literami. Z trudem panując nad niecierpliwością, odczekał, aż dwa samochody przed nim dostaną się do środka, po czym sam pobrał bilet parkingowy i przejechał pod otwartym szlabanem. Znalazł wolne miejsce gdzieś pośrodku, między wejściem na teren dworca i ścianą. Wyłączył silnik, wysiadł i zablokował drzwi. Chciał uniknąć zbyt szybkiego rozpoznania, więc nałożył kaptur na głowę i opuścił go nisko na czoło. Ze spuszczoną głową ruszył w stronę głównego wejścia. Kartę parkingową wyrzucił do kosza na śmieci. Nie zakładał, że wróci po samochód Iry.

Faris wszedł do hali głównej dworca i zatrzymał się przed ogromną tablicą informacyjną, na której wyświetlały się godziny odjazdów i przyjazdów kolejnych pociągów. Rozejrzał się. Po prawej stronie dostrzegł piekarnię, o której wspomniał porywacz, a nad przejściem obok niej wisiał znak informujący o przechowalni bagażu. Na jednej z kolumn podtrzymujących sufit umieszczono duży ekran, na którym pokazywano program lokalnej stacji telewizyjnej z Berlina, berlin2day. Dzięki temu podróźni wiedzieli, co się dzieje w mieście.

Faris poczuł nieprzyjemny ucisk, kiedy zobaczył, jaki materiał był akurat wyświetlany: wypowiedź właścicielki sklepu Fair Trade.

Zamknął na chwilę oczy. W końcu wziął się w garść. Wiedział, że jeśli będzie tu tak stał, ktoś na pewno zwróci na niego uwagę. Odwrócił się plecami do monitora i ruszył w stronę szafek na bagaże.

Samoobsługowa przechowalnia bagażu była zupełnie nowa – jeszcze całkiem niedawno stały tu szafki, do których potrzebne były klucze, a dziś przy każdym drzwiczkach zainstalowano klawiaturę do wprowadzania kodu.

Schówek z numerem dwadzieścia siedem mieścił się na końcu drugiego rzędu, tuż przy ścianie. Zamek szyfrowy znajdował się dokładnie na wysokości wzroku. Faris wprowadził rok urodzenia Anisah. Rozległo się ciche piknięcie i niewielka dioda obok klawiatury zmieniła kolor z czerwonego na zielony. W środku szafki leżała plastikowa torebka, a w niej ktoś umieścił pakunek wielkości kartonu mleka oraz zawiniątko z czarnego materiału, którego funkcji nie był stanie rozpoznać na pierwszy rzut oka. Faris wyjął wszystko z szafki i włożył do torby z materiałami wybuchowymi.

– Sorki, kierowniku – odezwał się ktoś za jego plecami w chwili, kiedy zamykał szafkę.

Odruchowo sięgnął dłonią pod kurtkę, gdzie miał kaburę z bronią, lecz w porę się opamiętał i znieruchomiał. Czy jeszcze miał jakiejkolwiek szanse? Prędkość, z jaką pograżał się w bezdennej otchłani, sprawiała, że miał nerwy napięte do granic wytrzymałości. Odwrócił się bardzo powoli.

Przed nim stał jakiś chłopak. Miał może dwadzieścia lat, na pewno nie więcej, i był raczej szczupły. Z punkowym irokezem na głowie wyglądał, jakby trafił tu z przeszłości.

– Poratujesz, kierowniku, euraskiem albo dwoma? – zaczął poufałym tonem.

Na pewno nie z firmy.

Farisowi kamień spadł z serca, a z piersi wyrwało się pełne ulgi westchnienie.

– Spierdalaj – mruknął ze spuszczoną głową.

Miał nadzieję, że niegrzeczna odpowiedź wystarczy, żeby zniechęcić natręta. Niespodziewanie jednak jego wzrok zatrzymał się na kieszeni chłopaka. Czyżby wystawała z niej komórka? Najwyraźniej tak. I najwyraźniej była kradziona. Wyglądała bardzo drogo, w etui wysadzonym cyrkoniami i ze srebrnym wisiorkiem w kształcie aniołka. Z całą pewnością należała do jakiejś kobiety.

Faris wskazał na nią.

– Dam ci za nią pięć dych – powiedział, nie podnosząc głowy.

Chłopak się zawahał. Odruchowo sięgnął dłonią do kieszeni i przesunął palcami po telefonie.

– Pięć dych? Tylko? Ten szajs jest warty ze stówę, jak nie więcej.

„Raczej z pięć stów” – pomyślał Faris.

– Pewnie tak – powiedział na głos. – Gdyby sprzedawał go właściciel... – Nie dokończył zdania, a żeby mieć pewność, że wiadomość dotrze do chłopaka, podniósł głowę i spojrzał na niego znacząco.

Dwudziestolatek przełknął głośno. Miał zaczerwienione oczy i źrenice nie większe niż łypek od szpilki.

– Niech ci będzie, pięć dych.

Wyjął komórkę i podał ją Farisowi.

Ranny policjant sięgnął do kieszeni po portmonetkę, którą zabrał Irze razem z kluczami do samochodu. Ze środka wydobyl jeden banknot.

Chłopak wyciągnął po niego rękę i w tej samej chwili jego twarz pojaśniała, bo najwyraźniej przyszedł moment olśnienia.

– Zaraz! – zawołał. – To przecież ty! Pokazywali cię w tele...

Nie udało mu się dokończyć.

Faris wyrznął go z całej siły ramieniem i posłał na ziemię. Ból, jaki ponownie eksplodował w ranie, był nie do zniesienia, jednak na szczęście w jego żyłach pojawiła się adrenalina i tylko dzięki temu nie stracił przytomności. Rzucił się biegiem.

– O kurwa! – krzyczał za nim złodziej. – Co to, kurwa, było?!

A potem, kiedy Faris był już w połowie drogi na peron, usłyszał jeszcze:

– Terrorysta!

*

Tym razem szczęście było po jego stronie. Na peron wbiegł równocześnie z pociągiem, który właśnie się zatrzymywał i otwierał drzwi. Faris wmieszał się w tłum i dał mu się ponieść do środka wagonu. Kiedy drzwi się zamknęły i pociąg ruszył, wyrzwał przez okno. Nikt go nie gonił. Ulżyło mu nieco. Ciężko dysząc, osunął się na siedzenie.

Zdawało mu się, że wszystko widzi przez krwistoczerwony welon, a zmasakrowane kulą ramię rozrywał tak ogromny ból, że nie musiał sprawdzać stanu opatrunku. Wiedział, że zderzenie z naćpanym punkiem na nowo otworzyło ranę.

Przycisnął lewą dłoń do bluzy. Miał wrażenie, że opatrunek w miejscu postrzału promieniuje gorącem.

Ostrożnie zsunął pasek z ramienia i odstawił torbę na podłogę. Potem sięgnął po telefon i wybrał numer Anisah.

Nie minęły nawet dwie sekundy, kiedy porywacz odebrał.

– Najwyższy czas – powiedział.

Faris spojrział na zegarek. Za dwie minuty dziewięć. Nie skomentował powitania nieznajomego.

– Co teraz? – zapytał.

– Znajdź sobie jakieś bezpieczne miejsce. Takie, w którym będziesz mógł na spokojnie przejrzeć zawartość pakunku, który ci zostawiłem w przechowalni na dworcu. Jak zobaczysz, co to jest, będziesz wiedział... co z tym dalej zrobić.

– Dał mi pan słowo, że będę mógł porozmawiać z siostrą – powiedział Faris pośpiesznie, bo bał się, że nieznajomy zakończy połączenie.

– Zgadza się. – Po kilku sekundach w słuchawce rozległ się głos Anisah.

– Faris? – Była bardzo wyczerpana, zupełnie jakby od wielu godzin podawano jej silne środki znieczulające.

– Już niedługo, naprawdę, już bardzo niedługo – obiecał jej. – Lada chwila wyciągnę cię stamtąd.

– Jak... – Nie udało jej się dokończyć pytania, bo porywacz odebrał jej telefon.

– Zadowolony?

– A co, jeśli nie? – Pociąg metra wjechał na stację Warschauer Straße.

– Wiesz co, Iskander? Jesteś uparty jak osioł. Nie rozumiem tego. Jeśli natychmiast nie zmienisz podejścia, twoja siostra może...

– Przepraszam, już dobrze! – Słowa porywacza wywołały w jego głowie jakąś reakcję, której się nie spodziewał. Coś się zmieniło. Wróciła świadomość, że zna ten głos, i wzmożła denerwującą złość, że nie wie, skąd. Zacisnął oczy i skupił się.

– Przepraszam. Tak, jestem zadowolony. Jak odpakuję przesyłkę od pana, dostanę wskazówki, co dalej?

– Masz strasznego pecha, że jesteś ranny, bo straciliśmy przez to bardzo dużo czasu. Powoli zaczyna mi się spieszyć, więc musisz się postarać. Masz czas do południa. O dwunastej meldujesz się gotowy do wykonania zadania.

Połączenie zostało przerwane.

Dwunasta.

Wybór godziny również przywołał cień jakiegoś wspomnienia, jednak nie potrafił go uchwycić. O co chodziło? Wiedział, że to ma jakieś znaczenie, ale wciąż nie potrafił przypomnieć sobie, jakie. Spojrzął na zegarek.

Zostało mu dwie i pół godziny.

Ira siedziała na jednym z dwóch foteli w salonie i przyciskała do piersi poduszkę z jakimś cytatem biblijnym, jakby mogła się nią obronić. Próbowwała nie patrzeć bez przerwy na ślady krwi Farisa, które znajdowały się chyba wszędzie – na kanapie, na dywanie, na ścianie obok drzwi... Zrobiło jej się niedobrze. Nie wiedziała, czy to efekt przerażenia, czy może wstrząs wywołany zdradą, jakiej dopuścił się Faris. Możliwe, że mdłości wywoływał w niej sposób, w jaki rozmawiali z nią policjanci.

Cały czas jeszcze czuła ucisk lufy pistoletu białej pod zębra. Boże Wszechmogący!

Zacisnęła palce na miękkiej poduszce. Spojrzała na twarze wszystkich obecnych, włącznie z mężczyzną, który przyszedł na samym końcu, jeszcze po nadkomisarzu Tromsdorffie i dwóch funkcjonariuszach, którzy mimo broni nie potrafili zatrzymać Farisa. Starszy policjant przedstawił się jako komisarz Rühmann i usiadł na drugim fotelu. Komisarz Meyer stał przy drzwiach i z rękoma założonymi na piersi opierał się o ścianę tuż obok śladów krwi Farisa, jakby chciał, żeby na pewno nie zapomniała tego widoku. Tromsdorff przyniósł sobie krzesło z kuchni i usiadł obok Rühmanna. Umundurowani policjanci przywrócili drzwi do stanu używalności, przejrzeni mieszkanie i stwierdzili, że nie ma w nim materiałów wybuchowych, po czym dostali pozwolenie, żeby odejść.

– Rozumiem, że nie zaprzecza pani, że pan Iskander przebywał w tym mieszkaniu od wczorajszego wieczoru i że nie poinformowała pani policji o tym fakcie? – podsumował Meyer wszystko, co zostało dotychczas ustalone.

Ira potaknęła. Poduszka była zrobiona z jakiejś taniej sztucznej włóczki, przez co pocily się jej dłonie.

Meyer nie ukrywał sceptycyzmu.

– Dlaczego nie zadzwoniła pani po kryjomu na numer alarmowy? Przecież sądząc po ilości krwi na podłodze i kanapie, przez jakiś czas musiał być nieprzytomny.

Ira potrząsnęła przecząco głową. Myślała o tym, kiedy Faris leżał na kanapie pozbawiony świadomości. Walczyła wtedy ze sobą i z chęcią, żeby w tajemnicy zadzwonić po pomoc, lecz nie na policję, a na pogotowie. Ani razu nie przyszło jej do głowy, by powiadamiać jego kolegów. Dlaczego?

Odpowiedź była zupełnie prosta.

Bo mu ufała.

– Ani razu nie stracił przytomności – skłamała.

– Bzdura! – warknął Meyer. – Kompletna bzdura! Pani go kryje, prawda?

Podszedł do sterty zakrwawionych ręczników, rzuconych na podłogę obok kanapy, i trącił je nogą. W jego geście było wiele złości, za co Tromsdorff zgał go ostrym spojrzeniem.

Ira poczuła wściekłość i jednocześnie głęboki niepokój.

– Gdyby pan nie zauważył, przed chwilą groził mi naładowaną bronią! – zwróciła mu uwagę. W jej głosie słyhać było złość i niedowierzanie. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie czuła się aż tak bezradna.

„Bóg jest miłosierny” – przeczytała w myślach napis na poduszce i odłożyła ją. Jako tarcza była kompletnie nieprzydatna.

– Dokąd uciekł? Powiedział coś na ten temat? – zapytał Rühmann. – Może coś pani usłyszała, kiedy rozmawiał z porywaczem przez telefon? Czy wie pani cokolwiek, co mogłoby nam pomóc go znaleźć?

Starszy funkcjonariusz był bardzo miły, znacznie miłszy od mięśniaka przy drzwiach. Jego twarz wyrażała współczucie. Ira się zastanawiała, czy szczerze tak myśli, czy tylko udaje. Niepewność jeszcze głębiej wbiła swoje szpony w jej serce. Zabrakło jej tchu.

– Nie – odpowiedziała.

Tromsdorff westchnął cicho.

– Nie kłam! – warknął Meyer. – Przecież do niedawna byliście parą, prawda?

Ira złożyła dłonie i ścisnęła je kolanami.

– Wczoraj wieczorem zobaczyłam go tutaj po raz pierwszy od bardzo dawna. Boże, naprawdę muszę to powtarzać?! Niech pan w końcu przestanie mnie traktować jak jakąś kryminalistkę!

Meyera zaskoczył jej niespodziewany wybuch równie mocno jak ją samą.

– Nie to miałem na myśli – mruknął jedynie, ale nie przeprosił.

Ira jeszcze mocniej ścisnęła kolana. Krew nie docierała do jej dłoni dość długo, więc zaczęły jej cierpnąć opuszki palców. Jedyne, na co miała ochotę, to wstać i zacząć uderzać głową w ścianę. Mimo to nie ruszyła się z fotela. Serce waliło jej powoli i mocno, jakby w drżenie wprawiał je głęboki dźwięk starych organów.

– Czy to wszystko? – zapytała. – Zbiera mi się na wymioty, chciałabym pójść do łazienki.

Rühmann pierwszy zerwał się z miejsca.

– Dziękuję, w tej chwili to rzeczywiście wszystko. Jest pani pewna, że da sobie pani radę sama? Może przysłać kogoś do pomocy?

Jeszcze zanim zaczęli jej zadawać pytania, zasugerował skorzystanie z pomocy policyjnego psychologa. Grzecznie odmówiła.

Teraz również pokręciła głową.

– Dziękuję, dam sobie radę.

– No dobrze, jak pani chce. – Wskazał głową na stertę zakrwawionych ręczników na podłodze. – Ekipa techników jest już w drodze. Poczekamy, aż zaczną zabezpieczać ślady.

„Tak, jasne. Bo się boicie, że mogłabym je pozacierać” – pomyślała Ira ponuro. „Dlaczego mnie to nie dziwi?”

Nie minęła nawet minuta, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi i Rühmann poszedł otworzyć. Do mieszkania wmaszerowały trzy kobiety w białych kombinezonach jednorazowych. Wszystkie potrzebne

sprzęty przyniosły w sporych walizkach. Rühmann przyprowadził je do salonu i wydał kilka poleceń. Tromsdorff przyglądał się w tym czasie Irze i milczał.

Wytrzymała jego wzrok, choć kosztowało ją to ogromnie dużo wysiłku. Zbierało jej się na szloch. Ledwie policjanci wyszli, zaczęła płakać.

Ruch na Skalitzer Straße był znaczny i sporo aut mijało Tromsdorffa. Policjant nagle zaklął i z wściekłością uderzył dłonią w kierownicę. Raz, drugi, trzeci.

– *Fuck!* – wrzasnął. – *Fuck! Fuck! Fuck!*

Nigdy nie pozwoliłby sobie na użycie przekleństwa w towarzystwie innych. Ojciec wpoił mu tę zasadę drewnianą kopyścią, kiedy miał dziesięć lat i przy kolacji użył wulgarnego słowa.

Stał na postoju taksówek, na którym zatrzymał się chwilę po tym, jak pod drzwiami Iry pożegnał się z Meyerem i Rühmannem.

– Faris! Ty skurwysynu jeden! – jęknął przez zaciśnięte zęby. Chciał być na niego zły. Ale nie potrafił. Jedyne, co odczuwał, to bezsilność.

Sięgnął po telefon i wybrał numer War Roomu. Połączenie odebrał Marc.

– Faris zwał – oznajmił krótko.

– Że co? – Marc nabral gwałtownie powietrza. – Słucham? Możesz powtórzyć?

– Faris zwał – powtórzył Tromsdorff. Zrelacjonował wszystko, co się wydarzyło w mieszkaniu Iry, i uprzedził, że Rühmann i Meyer wracają na komendę z pustymi rękoma.

– Masz z nim jakiś kontakt? – zapytał Marc, a Tromsdorff nawet przez telefon wyczuł jego niepewność. Tak samo jak on, Marc nie chciał, nie, nie mógł uwierzyć, że Faris popełnił zarzucane mu czyny.

W tle rozmowy Tromsdorff słyszał zwykle odgłosy pracy wypełniające War Room. Rozmowy. Szum ruchu na Keithstraße wpadający przez uchylone okna. W przypiływie zwątpienia uderzył gwałtownie potylicą o zagłówek. Nie potrafił znieść tej bezsilności.

– Nie, w tej chwili nie. Ale mam nadzieję, że skontaktuje się ze mną, jak tylko będzie mógł.

– Tylko kiedy to się stanie? – mruknął Marc. – Co wtedy zrobisz?

No właśnie, co?

Tromsdorff milczał.

Marc również nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć.

– Geiger uważa – dodał w końcu – że Faris jest współnikiem zamachowca.

– Pierdolenie! – warknął Tromsdorff. Jakkolwiek by sytuacja wyglądała, w to nigdy – ale to przenigdy – nie uwierzy! Widział przecież Farisa, miał go tuż przed sobą, kiedy stał w mieszkaniu Iry. Był błąd. Miał spękane, rozchylone usta.

„Przepraszam” – powiedział wtedy. „On mnie zmusił”.

Tromsdorff widział przerażenie w jego oczach. Przeważenie i nieme błaganie, którego nie mógł wypowiedzieć na głos: „Pomóż mi!”.

– Mamy kilka tropów. – Z zamyślenia wyrwał go głos Marca. – Ben skontaktował się z przewodnikiem psa policyjnego i mamy pewność, że materiał wybuchowy, który ma Faris, to dynamit żelatynowy. Cały czas wykorzystuje się go na przykład w górnictwie. Raczej starość, ale są firmy, które z niego korzystają. Sprawdzamy wszystkie zgłoszenia kradzieży, może któreś dotyczy właśnie tego. Shannon rozmawia z ludźmi z Pro Toleranz. Ktoś musiał przecież wiedzieć, że ta torba tam była.

Tromsdorff potaknął smutno.

– Znajdźcie tego czubka! – mruknął. – Pospieszcie się, zanim Faris zrobi coś głupiego!

Marc znów milczał przez kilka sekund.

– A ty? – odezwał się w końcu. – Co zamierzasz teraz zrobić?

– Postaram się pomóc Farisowi. Wrócę do miejsca, w którym straciłem go z oczu.

Rozłączył się i ruszył. Na następnym skrzyżowaniu zawrócił i pojechał z powrotem do Iry Jenssen.

ROZDZIAŁ 21

Trzy kobiety z zespołu zabezpieczającego ślady pracowały szybko i efektywnie. Pozbierały zakrwawione ręczniki i umieściły każdy w osobnej, dużej torbie z papieru. Następnie dokładnie obfotografowały plamy krwi na kanapie, dywanie i na ścianach oraz ślady włamania, które Faris pozostawił, włamując się przez drzwi balkonowe.

Mimo że poruszały się swobodnie po całym mieszkaniu i sprawdzały każde pomieszczenie, żadna z nich nawet się nie przedstawiła. Ira walczyła z poczuciem, że została wykorzystana.

– Bardzo mi przykro, ale musiałabym zrobić zdjęcie tego... co on pani... – Kobieta w białym kombinezonie zamilkła i wskazała palcem na bok gospodyni.

Ira spojrzała na nią z niedowierzaniem i zaskoczona uniosła brwi.

– Przecież nic mi się nie stało!

Mimo to techniczka pozostała nieugięta.

– Ocenimy to na zdjęciach. Zostałam poinformowana, że przycisnął pani broń do żeber. Dlatego bardzo proszę, żeby uniosła pani bluzkę. Muszę to obejrzeć i udokumentować. Dobrze?

„A co się stanie, jeśli odmówię?” – pomyślała Ira. Nie miała jednak sił, by powiedzieć to głośno. Westchnęła ciężko, uniosła bluzkę i pokazała zaczerwienione miejsce, gdzie Faris wbijał jej lufę pistoletu.

– Będzie miała pani niezłego siniaka. – Kobieta pokręciła głową i zrobiła serię zdjęć.

Ira walczyła ze łzami, które cisnęły się jej do oczu. Ogarnęło ją współczucie dla siebie i chciała zacząć się uzalać, jednak dzielnie zacisnęła zęby i wzięła się w garść.

„Ty głupia babo” – pomyślała. Nie miała tylko pewności, czy to odnosi się do niej, czy do fotografującej ją policjantki.

Kobiety z zespołu zabezpieczającego ślady skończyły pracę.

– Może pani zacząć sprzątać – powiedziała jedna z nich, spoglądając znacząco na ślady krwi Farisa.

Ira skinęła głową, choć najchętniej by na nią nawrzeszczała. Odprowadziła całą trójkę do drzwi. Kiedy w końcu zniknęły na klatce schodowej, zamknęła za nimi, założyła łańcuszek antywłamaniowy i oparła czoło o chłodne drewno.

– Boże Wszechmogący! – wymamrotała.

Jeszcze przez chwilę słyhać było kroki policjantek, lecz i one w końcu ucichły. Rozległ się warkot uruchamianego silnika i szum opon. Odjechały. Ira wsłuchiwała się w ciszę.

Potem odwróciła się, oparła plecami o drzwi i osunęła na podłogę. Naciągnęła rękawy na dłonie, podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. W końcu mogła przestać powstrzymywać łzy.

Przez dłuższą chwilę siedziała tak na zimnej podłodze, z głową opartą na kolanach, i wsłuchiwała się w odgłosy życia na zewnątrz, które toczyło się dalej jakby nigdy nic. Ktoś w budynku użył spłuczki w toalecie. Dwójka dzieci z drugiego piętra zbiegła schodami, tupiąc przy tym jak stado słoń. Drzwi wejściowe najpierw trzasnęły o ścianę, a potem równie głośno się zamknęły.

Zaraz potem rozległ się dzwonek do mieszkania. Jej mieszkania.

Ira zadrzała. Pozbierała się i wstała z podłogi. Obiema dłońmi otarła łzy z policzków i wyjrzała przez wizjer.

Na zewnątrz stał nadkomisarz Robert Tromsdorff. Uśmiechał się, jakby wiedział, że na niego patrzy.

– Pani Jenssen? Proszę mnie wpuścić. To ważne. Muszę z panią porozmawiać.

Przez chwilę rozważała pozostawienie go na klatce schodowej, jednak pomyślała, że to przecież nic nie da. Jeśli przyszedł do niej z oficjalną wizytą, prędzej czy później będzie zmuszona z nim porozmawiać.

Zdjęła łańcuszek antywłamaniowy z zaczepu i otworzyła.

– Proszę, niech pan wejdzie.

Policjant wszedł do mieszkania. Między jego brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka, kiedy

zobaczył jej zapłakaną, spuchniętą twarz.

– Wprawdzie zapewniała nas pani, że wsparcie policyjnego psychologa nie jest pani potrzebne, ale może... – przerwał.

Ira nie skomentowała jego słów, tylko gestem zaprosiła do kuchni. Podwinęła rękawy zrobionego na drutach swetra i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Czego jeszcze ode mnie chcecie?

– On miał powód. Nie zrobił tego bez przyczyny – zaczął Tromsdorff.

Odruchowo skinęła głową.

– Wiem. Próbuje uratować siostrę. – Bardzo chciała widzieć to jako okoliczność łagodzącą, ba, niczego bardziej nie pragnęła, jak zrozumieć jego postępowanie – nie wybaczyć, ale zrozumieć. Nie wiedziała jednak, czy kiedykolwiek będzie w stanie.

Tromsdorff przez dłuższą chwilę przyglądał się uważnie jej twarzy i milczał.

– Faris powiedział pani, co ten gnojek zrobił? – zapytał w końcu.

Potrząsnęła głową. Nie chciała słyszeć, co ma do powiedzenia.

On jednak nie zamierzał milczeć.

– Zamordował Laurę. – Odkaslnął. – Z bardzo dużym prawdopodobieństwem.

Nie poruszyła się. Bardzo długo stała nieruchomo i zamyślona poruszała palcami. Nagle przypomniała sobie o skórzanej bransoletce, którą Faris niespodziewanie znów zaczął nosić. To dlatego tak ciasno ją zapiął. Wpijała mu się w skórę.

– Co ma pan na myśli, że zrobił to z dużym prawdopodobieństwem?

Tromsdorff się zastanowił. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby nie był pewny, co powinien powiedzieć, ba, jakby wręcz był zagubiony. Mimo że starał się wyjaśnić zachowanie Farisa, sam chyba nie do końca wiedział, co powinien o nim sądzić. Westchnął ciężko. A potem opowiedział Irze o zwłokach Laury znalezionych rankiem w hotelu i o tym, że poprzedniego wieczoru w tym samym hotelu, w barze, widziano ofiarę w towarzystwie Farisa.

W jego głosie było coś, co od razu wzbudziło czujność kobiety. „Z bardzo dużym prawdopodobieństwem” – tak przed chwilą powiedział. Ira spojrzała mu głęboko w oczy.

– Jeśli dobrze rozumiem, istnieje podejrzenie, że to Faris mógł ją... zabić? – Nie potrafiła w tym kontekście wymówić słowa zamordować. Znów poczuła mdłości.

Policjant pokręcił głową.

– Nie wierzę w to i nie chcę w to wierzyć. W moim przekonaniu za wszystkim stoi osoba, która porwała Anisah. To on wszystko zainscenizował. Chce, żebyśmy wszyscy uznali Farisa za sprawcę... – Znów odkaslnął.

„Teraz powie coś bardzo trudnego” – pomyślała Ira.

– Jednak...

Czekała w milczeniu.

– Jednak mamy w tej chwili dowody, że Faris nie tylko spotkał się z Laurą w barze.

Dalej nic nie mówiła i czekała.

– Udał się z nią do jej pokoju.

Cisza wypełniła pomieszczenie.

– Poszedł z nią do łóżka – dokończyła Ira po kilku sekundach.

Tromsdorff potaknął. Drżał mu kącik oka.

– Dlaczego pan mi to wszystko mówi? – zapytała Ira.

– Chyba dlatego, że mam nadzieję, że będzie mi pani w stanie pomóc zrozumieć, co się z nim dzieje. – Zaśmiał się gorzko. – A może chciałbym, żeby i pani, i mnie... niech to szlag, sam już nie wiem!

Ira zamknęła oczy. Bolały ją zębra w miejscu, gdzie Faris wbijał jej łufę broni.

Tromsdorff się wyprostował.

– W tej chwili skupiam się na tym, żeby ustalić, dokąd uciekł. To jest najważniejsze. Czy jest pani w stanie mi pomóc?

Przez chwilę zamierzała opuścić rękawy swetra i ukryć w nich dłonie. Wiedziała, że kompletnie

go rozciągnie, ale to jej nie martwiło.

– Myśli pan, że ma szansę przeżyć? Że znajdzie sposób, żeby nie musiał wysadzić się w...?

Nagle straciła nad sobą kontrolę i przestała panować nad emocjami. Wszystko posypało się jak domek z kart. W jej piersi zrodził się szloch i musiała przycisnąć pięść do ust, żeby się nie rozplakać.

– Przepraszam – wyszeptła i pospiesznie otarła rękawem łzy z policzków. A potem nic już nie mogła poradzić. Poczula, że zaraz wszystko się skończy, osunie się na podłogę i przyciągnie kolana do piersi. Rozpaczliwym gestem przytrzymała się krawędzi blatu kuchennego, a szloch, który starała się powstrzymać, ścisnął jej płuca.

– Już dobrze. – Tromsdorff schwycił ją delikatnie za łokieć i pomógł usiąść na krześle. – Proszę, niech się pani uspokoi.

Faris wiedział, że całkiem niedaleko przystanku Ostkreuz ciągnęła się Revaler StraÙe, przy której znajdowało się dawne zagłębienie klubów nocnych, z których spora część była od lat nieczynna. Taki stary, zamknięty lokal byłby idealnym miejscem, żeby się ukryć przed poszukiwaniami – byłby, gdyby nie jeden mały haczyk. Chodziło o dobry kilometr, który dzielił go od Revaler StraÙe, a który musiałby przejść pieszo. W obecnym stanie taka odległość stanowiła przeszkodę prawie nie do pokonania. Znów dzwoniło mu w uszach, a serce waliło jak szalone, rozpaczliwie próbując utrzymać go przy życiu, co nie było prostym zadaniem, zwłaszcza po utracie krwi spowodowanej starciem ze złodziejem telefonów na dworcu. Do tego, choć dyszał ciężko, brakowało mu powietrza w płucach.

Przesunął językiem po spękanych wargach i spróbował przełknąć ślinę, żeby pozbyć się suchości z gardła. Na próżno.

W końcu jego nogi zaczęły się poddawać. Musiał przytrzymać się drewnianego ogrodzenia oklejonego jakimiś plakatami, mniej więcej w połowie drogi między Simplonstrasse i Revaler StraÙe. Gdzieś w klatce piersiowej poczuł straszne drżenie. Przez chwilę nie wiedział, co się dzieje, lecz w końcu ogarnął go strach, bo uświadomił sobie, że to jego serce.

Wiedział, że nie ma najmniejszych szans na dotarcie do miejsca, gdzie znajdowały się nieczynne kluby, jednak niecałe dwadzieścia metrów dalej zauważył przerwę w ogrodzeniu. Schowana za nim działka od dawna musiała stać pusta, bo porastały ją krzaki, a gdzieś tam widać było nawet młode drzewa. Faris poczekał, aż ziemia pod jego stopami przestanie się kołysać, po czym przeszedł przez otwór w płocie.

Uwiązł między pozbawionymi liści, kolczastymi zaroślami i w wysokiej do pasa trawie. Rozejrzał się. Był na starym placu budowy. Szyby okien pomalowane zostały od środka jakąś farbą, a na stopniu przed drzwiami stała stara, pusta doniczka.

Zebrało mu się na wymioty. Po wejściu do środka otoczył go nieprzyjemny zapach stęchlizny. Od bardzo dawna nikogo tu nie było. Odrobina światła dostająca się przez zamalowane szyby ledwie wystarczyła, żeby zauważył na ziemi jakieś koce, skrzynkę po pomarańczach i wyblakłe figurki z klocków Playmobil.

Faris jęknął przeciągle. Z trudem zsunął z ramienia pasek torby, upuścił ją na podłogę i sam osunął się na stertę śmierdzących pleśnią koców. Teraz, kiedy na nich usiadł i przestał się ruszać, drżenie w jego piersi powoli się uspokajało. Za to pociemniało mu przed oczyma.

– Faris? – usłyszał znajomy głos.

– Laura – wymamrotał.

– Faris! – powtórzył ten sam głos. O dziwo, tym razem należał do Iry.

Pokonując własną słabość, poderwał się z koców i usiadł prosto. W pomieszczeniu nie było ani Laury, ani Iry. Był sam jak palec.

W jego głowie kołatała się jedna myśl. Ile czasu minęło? Która to godzina? Spojrzał na zegarek. Poczul ulgę, bo uświadomił sobie, że leżał tu zaledwie parę minut. Odetchnął. Jeszcze nie było dwunastej.

Dwunasta. Południe.

Znów ogarnął go wewnętrzny niepokój. Dlaczego akurat ta godzina? Jakże to miało znaczenie? Wiedział, że wydarzy się coś ważnego.

Osunął się z powrotem na koce. Zamknął oczy.

– Co ty tu robisz? – zapytała Laura przerażonym tonem.

Pod jego spojrzeniem stawała się coraz bledsza, wręcz biała – biała jak suknia, którą miała na sobie. Suknia, której widok był dla niego niczym siarczysty policzek.

– Faris! O dwunastej wychodzę za mąż!

Chciał jej coś odpowiedzieć, ale nie zdążył, bo w tej samej chwili do domu wszedł pan młody, również odświętnie ubrany i gotowy do ceremonii. Kiedy zobaczył Farisa, zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Liczę do trzech – powiedział. – Lepiej żebyś stąd zniknęła, zanim skończę!

Powiedział to bardzo pewnym siebie, ba, aroganckim tonem. Faris nie od razu zareagował, więc mężczyzna dodał:

– Nie odbierzesz mi jej ponownie. Wybrała mnie.

Jego słowa odbiły się echem w jego głowie i po raz kolejny uniosły w powietrze.

„Nie odbierzesz mi jej ponownie... O dwunastej wychodzę za mąż!”.

Naraz zrozumiał. W jednej chwili zrobiło mu się niedobrze. W końcu uświadomił sobie, skąd zna głos porywacza.

Trzęsącymi się rękoma zaczął obmacywać kurtkę w poszukiwaniu telefonu.

NIEZNAJOMY

Wkrótce będzie po wszystkim.

Człowiek, który pragnął zemsty, stał w oknie i wyglądał na podwórze za domem. Jakaś młoda kobieta przypinała rower do metalowego słupka.

„Bezpieczeństwo” – pomyślał. Ludziom tak strasznie na nim zależało. Chcieli się chronić i bronić wszystkiego, co do nich należało. A wciąż byli tacy, którzy im to odbierali.

Splótł palce i zacisnął dłonie. Pod paznokciami dostrzegł resztki krwi Anisah, choć przecież po amputacji palca bardzo dokładnie się umył. Dokładnie tak, jak przed każdą operacją. Oczyszczył je starannie szczoteczką i płynem do dezynfekcji. Ten rytuał stał się jego nawykiem i punktem odniesienia, kiedy znów zaczynał tracić rozum.

Zanucił kilka taktów arabskiej kołysanki, lecz nie potrafił dłużej bronić się przed obrazami, które coraz szybciej i z coraz większym impetem wypełniały jego głowę...

Wieprz zlął z jego matki, wstał i ruszył w stronę drzwi, za którymi się skrywał.

– Ty żałosny zbrojeńcu! Kręci cię, jak nas podglądasz, co?

Potem złapał go za ramię i siłą wepchnął do sypialni. Brutalnie cisnął nim na łóżko.

– Nie, tato! – zaskomlał.

Jednak ojciec zignorował jego płacz.

– Nie nazywaj mnie tatą! – ryknął i zaatakował jego matkę. – No dalej! – krzyczał. – Zrób z nim to, co z tym drugim...

– Konrad. – Jego matka mówi bardzo spokojnym i opanowanym głosem.

To zaskoczenie dla jego ojca. Staje niepewnie. Na czole pojawia się gruba żyła, która wyraźnie pulsuje, a twarz robi się coraz bardziej czerwona, aż wygląda, jakby czaszka miała mu zaraz eksplodować.

– Zostaw Christiana w spokoju! – dodaje matka. – Przynajmniej jego zostaw w spokoju!

Zöller jęknął przeciągle, usilnie starając się przepędzić złe obrazy z głowy. Oparł się o ścianę, nie chcąc się przewrócić. Światło z zewnątrz wpadało do środka i oświetlało kanapę, na której leżała Anisah.

Dostał skurczu żołądka i poczuł straszne mdłości. Zbierało mu się na wymioty. Przyjdzie czas, że to wszystko zakończy. Obszedł kanapę, na której leżała siostra Farisa. Z grymasem przypominającym uśmiech spojrzął na zawiniątko, które położył tu na podłodze, zanim wysłał Önura pod Kościół Pamięci. Jeden z narożników był podwinięty. Spod spodu wysunął się kosmyk dziecięcych blond włosów.

Ira siedziała przy kuchennym stole i obiema dłońmi obejmowała filiżankę, koncentrując się na ciepłe naporu. Starła się zapanować nad nerwami i uspokoić oddech. Wdech. Wydech. Znów wdech. Jeden po drugim tak długo, jak będzie trzeba, aż poczuje się lepiej. Wtedy w końcu przestanie czuć przerażenie i znów będzie wiedzieć, co ma myśleć i czuć.

Tromsdorff siedział obok. Milczał, choć wiedziała, jak bardzo chciałby zadać jej kilka pytań. Koniecznie musiał się dowiedzieć, dokąd Faris mógł pojechać i gdzie mógł się schować. Tyle że ona nie miała pojęcia. Otworzyła usta, żeby mu to powiedzieć, ale nie zdążyła, bo zadzwonił jego telefon.

– Tak? – warknął do mikrofonu, by w następnej chwili zerwać się gwałtownie z krzesła. – Faris! – zawołał przestraszony. – Bogu niech będą dzięki! Gdzie jesteś? Jak się czujesz?

Dłonie Iry znów zaczęły drżeć. Potrzebowała chwili, żeby uświadomić sobie, że to ulga. Gestem zwróciła na siebie uwagę Tromsdorffa, wskazała na jego komórkę, a potem na swoje ucho, by dać mu do zrozumienia, że chce słyszeć ich rozmowę. Policjant natychmiast ją zrozumiał i włączył głośnik.

Głos Farisa był słabszy niż szept.

– ...już, kto porwał Anisah... – powiedział akurat. – Christian Zöller... Mąż Laury... – Przerwa, którą zrobił, zanim wypowiedział dwa ostatnie słowa, wydała się Irze nieskończenie długa, a każda wypowiedziana zgłoska wręcz pulsowała bólem.

– Zöller! – zawołał Tromsdorff. Nie zapytał nawet, skąd Faris ma tę wiedzę. – Jesteś pewien?

– Tak – wyszeptał Faris. – Powiedz Shann... – Tym razem przerwał w pół słowa, a chwilę później rozległo się głucho uderzenie.

– Faris? Faris! – Tromsdorff potrząsnął telefonem, jakby to po jego stronie mógł leżeć problem.

Ira też chciała wstać, jednak zabrakło jej sił. Oczywiście wyobraźni zobaczyła przed sobą Farisa. Farisa, który krwawił pod jej rękoma, dokładnie tak jak w jej śnie.

Tromsdorff opuścił telefon i zacisnął pięści.

– Niech to cholera! – zaklął, po czym zakończył połączenie i wybrał jakiś numer. – Marc! Faris właśnie nawiązał kontakt – wyjaśnił pospiesznie. – Boję się, że pod koniec mógł stracić przytomność. Nie zdążył powiedzieć, gdzie się ukrywa, ale brzmiał strasznie. Jest bardzo źle. Niech Ben jak najszybciej zlokalizuje numer, z którego dzwonił!

Ira przysłuchiwała się, jak policjant dyktuje kolejne cyfry podwładnym w biurze. Nie wiedziała, co myśleć. Dlaczego ogarnęła ją tak ogromna ulga, kiedy usłyszała głos Farisa? Dlaczego nie mogła żywić w sobie złości, nienawiści i agresji po tym, co jej zrobił? Dlaczego? Chaos w jej duszy był tak ogromny, że najchętniej zaczęłaby krzyczeć.

Zacisnęła powieki, siedziała tak przez chwilę, po czym otworzyła oczy i się rozejrzała.

– Faris ustalił, kim jest porywacz jego siostry – ciągnął Tromsdorff, krążąc nerwowo po kuchni.

– To Christian Zöller... tak. No właśnie. Nie, nie mam pojęcia skąd, ale twierdzi, że ma pewność. Jedź natychmiast do domu Zöllera i... – Przerwał i słuchał przez chwilę. – Mam to gdzieś! – Okej! Pieprzyć nakaz! Powołujemy się na sytuację bezpośredniego narażenia życia. Znajdźcie jakieś informacje, cokolwiek, żebyśmy mogli go namierzyć! Jego i Anisah. Tylko szybko! – Znów zamilkł i słuchał, co Marc ma do powiedzenia. – Dobrze – potaknął. – Powodzenia!

Po zakończeniu rozmowy przystanął i przez chwilę nie ruszał się z miejsca, tylko spoglądał na Irę. W jego spojrzeniu czaił się niepokój i strach, lecz nie tylko. Miała wrażenie, że widzi w nim iskierkę nadziei.

– Mam najlepszych ludzi w zespole – zapewnił ją. – Znajdą Zöllera. – Podeszedł do niej. – I znajdą Farisa. – Jego komórka znów zaczęła dzwonić. – Ben? Świetnie, dzięki!... To był jeden z moich ludzi – wyjaśnił Irze. – Już udało mu się ustalić obszar, z którego łączyła się komórka Farisa. Zanim zadzwonił, wysłał tam ratowników. – Rozmasował sobie kark.

Przez chwilę nie mogła się ruszyć.

– Ira! – Delikatnie dotknął jej łokcia. – Faris z tego wyjdzie. Nic mu się nie stanie, masz moje słowo.

Skinęła głową, chyba po raz setny tego dnia.

– Dobrze – szepnęła i zrozumiała, że to było jej największe życzenie.

ROZDZIAŁ 22

Porywacz nucił cicho pod nosem. Raz była to melodia kołysanki arabskiej, raz niemieckiej. Anisah starała się nie myśleć o tęym ucisku w głowie, który pojawił się kilka minut wcześniej i bezustannie przybierał na sile, aż stał się tak obezwładniający, że zaczął wzmacniać jej przerażenie. Znalazła się w piekle wypełnionym dźwiękami starych piosenek dla dzieci.

Gdyby tylko była fizycznie w stanie, najpewniej zaniósłaby się śmiechem. Samir. Być może miał rację, kiedy usiłował jej wytłumaczyć, że Allah wpadnie w słuszny gniew, jeśli natychmiast nie zrezygnuje z pracy w chrześcijańskim przedszkolu. Samir. Jak przez mgłę, która szczelnie otaczała jej umysł, dotarły do niej słowa wykrzyczane przez porywacza, kiedy rozmawiał z Farisem. Nic dziwnego, bo darł się na całe gardło. Jedyne, co z nich rozumiała, to że Samir najprawdopodobniej żyje. Świadomość tego wypełniała ją nadzieją, ale jednocześnie wpędzała w zwątpienie.

„Faris” – błagała w myślach. „Faris, gdzie ty się podziewasz?”

Porywacz nagle zamilkł.

Przed kilkoma minutami podniósł coś z podłogi za kanapą. Zawiniątko musiało tam leżeć od samego początku. Nie widziała, co to takiego, lecz od jakiegoś czasu trzymał je w ramionach i kołysał, jakby usypiał małe dziecko. Nagle znieruchomiał.

Sięgnął po telefon i wybrał numer. Poczekał.

– To ja – powiedział, kiedy osoba, do której dzwonił, odebrała połączenie. – Christian.

Potem zamilkł i przez chwilę słuchał.

– Wiem. – Anisah usłyszała jego mruknięcie. Powiedział to zawstydzonym głosem, niemal z poczuciem winy. – Wiem, że nieco szybciej rozpocząłem realizację naszego planu, ale miałem dobry powód.

Porywacz się odwrócił, jakby czuł na plecach spojrzenie Anisah. Przez kilka sekund spoglądali sobie w oczy. Działanie środków, które jej podał, z czasem stawało się coraz słabsze, a mgła, przez którą nie mogła niczego dostrzec, przerzedzała się z każdą minutą.

Brązowe. Porywacz miał brązowe oczy, niemal takie jak Faris.

Christian.

„Całkiem zwyczajne imię” – pomyślała. Znow zebrało jej się na śmiech. Była pewna, że to znak, że zaczyna wariować, więc walczyła o kontrolę nad sobą.

– Podobno mogę liczyć na twoją pomoc – powiedział porywacz. – I właśnie teraz jej potrzebuję. Poczekaj, powiem ci, gdzie jestem. – Podyktował adres gdzieś w dzielnicy Kreuzbergu.

Anisah знаła tę ulicę, bo jedno z dzieci z jej przedszkola mieszkało tu z rodzicami. To oznaczało, że nie wywiózł jej z miasta. Dziwnie i nierealnie się poczuła, mając świadomość, jak niewielka odległość dzieliła ją od prawdziwego, normalnego życia – blisko, a jednocześnie nieosiągalnie daleko.

Porywacz pożegnał się z osobą, z którą rozmawiał przez telefon, i zakończył połączenie.

„Christian” – poprawiła się w myślach Anisah. Musiała nazywać go po imieniu, bo dzięki temu przestawał być taki straszny. Spojrzała na niego uważnie.

Jej porywacz – Christian – zgolił brodę i miał gładkie, lekko zaróżowione policzki.

Uśmiechnął się do niej. Anisah zrobiło się niedobrze i dostała mdłości. Potem mężczyzna wrócił do kołysania zawiniątkiem, którego nie wypuszczał z ramion.

Spod kocyka dobiegło ciche kwilenie.

Dziecko.

Anisah zacisnęła powieki.

NIEZNAJOMY

Nosił dziecko w ramionach i kołysał nim.

Dziecko.

„Lilly” – poprawił się w myślach, ale nawet w duchu nie potrafił powtórzyć jej imienia. Dziecko,

po prostu dziecko.

Po prostu dziecko.

Dziecko Laury...

Westchnął ciężko.

Dziecko! Tylko tak mógł ją nazywać, jeśli chciał dokończyć to, co zaczął. Spojrzał na okrągłą buzię maleństwa, które przyglądało mu się z zaciekawieniem. Łzy połyskiwały w jej brązowych oczach, które nijak nie pasowały do jasnoblond włosów. Nie chciał, żeby znów zaczęła płakać, więc ruszył dalej po pokoju, starając się uspokoić ją kołysaniem. Aż w końcu rozległo się pukanie do drzwi.

Westchnął z ulgą. I poszedł otworzyć.

Faris powrócił z ciemności. Odzyskując przytomność, miał wrażenie, że wynurza się z mrocznych, lodowatych odmętów. Trząsł się z zimna, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Dookoła słyszał głosy. Jeden z nich z całą pewnością wydawał mu się znajomy, za to drugiego, należącego bez wątpienia do mężczyzny, nigdy wcześniej nie słyszał.

Z wysiłkiem uniósł powieki.

Z początku wszystko widział bardzo niewyraźnie, ale z czasem jego wzrok nabral ostrości. Ktoś się nad nim pochylał.

Poderwał się gwałtownie ze śmierdzących koców i usiadł.

– Spokojnie, nic się nie dzieje! Wszystko jest w porządku, jestem tu, żeby panu pomóc.

Ktoś schwyił go mocno za ramiona i zmusił, żeby wrócił do pozycji horyzontalnej. Bark dalej pulsował bólem, lecz już nie tak strasznie przenikliwym. Teraz to był raczej tępy ucisk. „Wszystko jest w porządku!”. Głos i silna dłoń – to lekarz z pogotowia ratunkowego. Faris pojął to dopiero, kiedy zauważył, że nieznajomy wiesza nad nim kroplówkę. Słabe światło zimowego dnia wpadało przez lekko uchylone drzwi i miejsca, gdzie z szyb okiennych zeszła farba. Faris w jednej chwili przypomniał sobie, co tu robił.

Nic nie jest w porządku!

Znajdował się w porzuconym baraku.

Nie zrobił tego, co powinien.

– Która godzina? – wymamrotał.

– Minęło wół do jedenastej. – Tromsdorff stanął tak, żeby Faris mógł go zobaczyć.

– Robert! – jęknął Faris. Ułga na widok szefa była tak ogromna, że łzy napłynęły mu do oczu. – Chwała Bogu! Muszę... o dwunastej muszę...

Tromsdorff podszedł jeszcze kawałek. Stał nieruchomo jak skała i górował nad rannym policjantem, lecz po chwili przyklęknął obok niego na podłodze.

– Spokojnie. Zajmiemy się tobą.

– Nie! Robert! – Faris walczył z lekarzem pogotowia, który robił, co mógł, żeby nie pozwolić mu wstać. Mimo to bardzo powoli się uniósł, wsparty na łokciu. – Porywacz zażądał, żebym na dwunastą był gotowy do kolejnego zadania...

– Proszę się uspokoić! Pan naprawdę powinien przestać się ruszać! – wtrącił się lekarz i chciał coś dodać, lecz Tromsdorff przerwał mu krótkim gestem.

– Będziesz gotowy do kolejnego zadania, nie denerwuj się – obiecał mu i posłał ratownikowi ostrzegawcze spojrzenie.

Faris opadł na koce. Ze słów szefa wynikało, że jeszcze nie dopadli Zöllera i że dalej przetrzymuje Anisah. Poza tym, gdyby było inaczej, nie leżałby w tym starym baraku, tylko na oddziale ratunkowym w szpitalu.

– Zölller? – zapytał słabo.

– Shannon i Marc przeszukują jego mieszkanie, starając się ustalić, gdzie może przetrzymywać twoją siostrę. Ben zajmuje się tym samym, tylko korzysta z innych metod.

Robert musiał odsunąć się nieco, bo lekarz chciał podłączyć Farisa pod kolejną kroplówkę. Z każdą kroplą przejrzystego płynu płynącą w jego żyłach policjant czuł się odrobinę lepiej, lecz nawet

on zdawał sobie sprawę, że to rozwiązanie na krótką metę. Pozbawiony barwy preparat zwalczał wprawdzie objawy utraty krwi, jednak nie był dla niej zastępstwem i nie działał jak transfuzja, której najprawdopodobniej pilnie potrzebował i którą mógłby dostać jedynie w szpitalu.

– Dlaczego Zöller? – zapytał szef. – Co nim kieruje?

Faris spróbował pokręcić głową.

– Nie mam zielonego pojęcia. Choć wiele bym dał, żeby to wiedzieć.

Przynajmniej częściowo było to kłamstwem, bo bardzo powoli formowało się w jego głowie podejrzenie, co się stało, kiedy wyszedł z hotelowego pokoju i zostawił Laurę samą.

„Nie odbierzesz mi jej ponownie”. Te słowa Zöller skierował do niego tuż przed swoim ślubem.

– Podejrzewam, że to on zamordował Laurę – mruknął Faris. – Zdążyliście zabezpieczyć i przeanalizować ślady w jej pokoju?

– Tak, już to załatwiliśmy. – Przez twarz Tromsdorffa przemknął cień. Faris natychmiast dostrzegł, że coś jest nie tak.

Przestraszony spojrzał na przełożonego.

– O co chodzi?

Robert odkaslnął.

– O to... – Miał wyraźne problemy, żeby mówić dalej. Było widać, że się do tego zmuszał. Z bardzo poważną miną spojrzał Farisowi w oczy. – Mamy wyniki analizy nasienia zabezpieczonego na ciele Laury i wynika z nich, że... profil DNA pokrywa się z twoim.

– To niemożliwe! – Faris znów podniósł się na łokciu.

– Do diabła! – warknął ratownik. – Przecież mówiłem, żeby leżał pan spokojnie!

Ranny policjant nie zwracał na niego uwagi.

Tromsdorff pokręcił głową.

– Przypominam ci, że to analiza DNA.

Przez kilka chwil w baraku panowała cisza, a w głowie Farisa kołatała się jedna myśl.

– To po prostu niemożliwe – powiedział w końcu. Spróbował odczytać spojrzenie swojego szefa, lecz nie potrafił odgadnąć, o czym ten myślał.

Robert Tromsdorff patrzył na niego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Faris osunął się na stare koce.

– Nie okłamałem was. Powiedziałem prawdę, że poszedłem z Laurą na górę, do jej pokoju. Próbowaliśmy uwieść i prawie jej się udało. Ale wyszedłem stamtąd, Robert! Nie poszedłem z nią do łóżka – przerwał i nabrał głęboko powietrza. – I nie zamordowałem jej. Kiedy wychodziłem, jeszcze żyła.

– Widziałem wyniki analizy DNA i ich interpretację. – To było stwierdzenie faktu, spokojne i bardzo rzeczowe.

Szef WPR-u ani na chwilę nie spuszczał z niego wzroku. Chciał mu wierzyć, Faris widział to pragnienie w spojrzeniu przełożonego.

– Zöller porwał Anisah – odparł. – Chciał mnie zmusić, żebym zabił Samira. Jakoś wszedł w posiadanie materiałów wybuchowych! Nie sądzisz, że mając takie dojścia, mógł też sfalszować analizę DNA?

– Mam tylko twoje słowa i żadnych dowodów. – Tromsdorff podrapał się po czole. – Słowo przeciwko wynikom badań laboratoryjnych, Faris. Na dodatek ciebie cholernie mocno obciąża to, że niewinnej kobiecie przystawiłeś pistolet do ciała, żeby uciec przed policją.

Faris przełknął głośno. Czekał. Tromsdorff zamilkł i nic nie mówił, więc sam zabrał głos.

– Daję ci słowo, że oddam się w wasze ręce, jak tylko Anisah będzie bezpieczna. Kiedy tylko uwolnię ją z rąk tego... potwora, możesz mi osobiście założyć kajdanki, jeśli będziesz chciał. Ale błagam, pozwól mi najpierw zająć się siostrą...

Tromsdorff wszedł mu w słowo.

– Już, wystarczy. – Potem westchnął i pokazał mu komórkę ze srebrnym aniołkiem przy etui. – W ten sposób ma nawiązać z tobą kontakt, dobrze myślę?

Ranny policjant potaknął. Wdzięczność i ulga sprawiły, że zakręciło mu się w głowie. Przez dłuższą chwilę nie mógł się skupić na tym, co do niego mówił przełożony.

– ...a kiedy byłeś nieprzytomny, poprosiłem Bena, żeby sprawdził połączenia od tego człowieka. Nic to nie dało. Ben twierdzi, że mógłby obejść jego systemy zabezpieczeń, ale mamy na to za mało czasu i na pewno byśmy się spóźnili.

Czas...

Dwunasta...

– O dwunastej – wymamrotał Faris. – O dwunastej chce to wszystko zakończyć.

Ślub Laury odbył się dokładnie w południe. Znowu przypomniał sobie o tamtej krótkiej rozmowie z Zölllerem, tuż przed ceremonią. To był jeden jedyny raz, kiedy osobiście zamienił z nim kilka słów, co oczywiście wyjaśniało, skąd znał głos dzwoniącego i dlaczego potrzebował tak dużo czasu, żeby przypomnieć sobie tamto wydarzenie.

– Ta cała sprawa... – zawahał się, bo świadomość, że sam jest wszystkiemu winny, ścisnęła mu pierś stalową obręczą. – To jest zemsta. Prawdopodobnie...

Tromsdorff położył mu dłoń na zdrowym ramieniu.

– Później o tym porozmawiamy. W tej chwili najbardziej mi zależy na twojej relacji od momentu, kiedy wyszedłeś z mieszkania Iry.

– Ira... – mruknął Faris i na moment się zdekoncentrował. – Co z nią? Jak się czuje?

Spojrzał na szefa. Wyraźnie czekał na odpowiedź, zanim sam zacznie mówić.

– Fizycznie nic jej się nie stało – mruknął Robert po chwili.

Słowa szefa mówiły więcej, niż się spodziewał. Podniósł się nieco i przysunął do ściany, tak żeby móc oprzeć się o nią plecami.

Lekarz dał za wygraną i przestał mu powtarzać, że ma leżeć. Skarcił go jedynie ponurym spojrzeniem, lecz to nie miało dla Farisa najmniejszego znaczenia. Poczul skurcz w sercu, kiedy sobie uświadomił, że dziś widział Irę najprawdopodobniej po raz ostatni w życiu.

Tromsdorff bardzo długo czekał cierpliwie, aż Faris zacznie mówić. W końcu nie wytrzymał i westchnął ciężko.

– Dobra. Wprawdzie nie chciałem, żeby tutaj do tego doszło, ale chyba nie zostawiasz mi innego wyjścia – przerwał, nie wyjaśniając, co ma na myśli, po czym wstał i podszedł do drzwi baraku.

– Proszę, niech pani wejdzie – powiedział, otworzywszy je. – Poprosiłem, żeby ze mną przyjechała, bo myślałem, że możesz potrzebować jej wsparcia.

Faris odchylił głowę, aż dotknął potylicą ściany.

– Ira... – wyszeptał.

– Dobra, skurwysynu! – Marc stał pośrodku luksusowo urządzonego biura. Podłogę przykrywał perski dywan, a ściany zdobiły malowidła przedstawiające jachty. Poprawił rękawiczki jednorazowe, które, podobnie jak Shannon, nałożył jeszcze przed wejściem do mieszkania. – Zaraz zobaczymy, w jakie gównno się wpakowałaś!

– To nie powinno być trudne! – Shannon od razu podeszła do ogromnego biurka. Na blacie leżało kilka stosów dokumentów i innych papierów – gazet, listów, wydruków stron internetowych. I zdjęcia. Wzięła do ręki jedno z nich, przyjrzała mu się uważnie, a potem odwróciła tak, żeby Marc mógł zobaczyć, kogo przedstawia. – To przecież siostra Farisa, prawda?

Na fotografii uwieczniona została ciemnowłosa kobieta o wyrazistych brązowych oczach. Była bardzo podobna do Farisa.

Marc potaknął. Szybkim krokiem podszedł do Shannon i przesunął wzrokiem po papierach i teczkach na blacie. Palcem wskazał na wycinek z gazety, na którym widać było twarz Farisa zakreślony czerwonym markerem.

– Wygląda na to, że Zölller od dłuższego czasu przygotowywał się do tej akcji.

Shannon zrobiła zamyśloną minę.

– Nie wiem, czy coś takiego da się przeprowadzić w pojedynkę. Jak uważasz? – zapytała, choć w zasadzie sama potrafiła udzielić sobie odpowiedzi. Nagle coś przyciągnęło jej uwagę. – No proszę,

here we go. – Podniosła z biurka kopertę z niebieskim logo przedstawiającym probówkę. Sprawdziła adres nadawcy, ale po chwili odłożyła list na bok. – Najpierw musimy ustalić, gdzie ten drań przetrzymuje jego siostrę – mruknęła i zaczęła metodycznie przeglądać kolejne dokumenty.

NIEZNAJOMY

Nadszedł czas, żeby doprowadzić wszystko do końca.

Zabawa trwała znacznie dłużej, niż pierwotnie planował.

Zöller siedział z komputerem na kolanach – tym samym komputerem, na którym poprzedniego dnia odtwarzał nagrania sesji psychoterapeutycznej Farisa. Na ekranie ukazała się jakaś strona internetowa. Niebieskie logo rozmywało się przed oczyma Zöllera. Myślami coraz częściej błądził gdzieś w przeszłości, w czasach, kiedy był jeszcze dzieckiem. W czasach, kiedy wieprz jeszcze żył.

Uśmiech rozjaśnił mu twarz.

Wieprz w końcu zdechł. Doskonale pamiętał jego rżenie, rozdziawione usta i panicznie wytrzeszczone oczy, kiedy uświadomił sobie, że zaraz umrze...

Kiedy to bydlę w końcu znieruchomiało i przestało wydawać okropne dźwięki, matka spojrzała na niego i się uśmiechnęła. Sznur pereł, które od niego dostała, połyskiwał delikatnie, podobnie jak igła na końcu pustej strzykawki w jej dłoni.

– Co jest tacie? – zapytał.

Matka dalej się uśmiechała. Wyglądała na zadowoloną. Szczęśliwą.

– To nie jest twój tata. – Podeszła do niego i wzięła w ramiona. – A teraz w końcu da nam spokój.

Na koniec pocałowała go miękko...

Zöller zamrugał, żeby odzyskać ostrość widzenia i przegonić mgłę, która zasnuwała mu wzrok. Trudno było tak długo pielęgnować złość. Powoli zaczynało brakować mu sił. Tak, już najwyższy czas. Ostatni raz rzucił okiem na stronę internetową z niebieskim logo, którą wcześniej załadował. Nie musiał po raz kolejny czytać zamieszczonych na niej informacji. Wszystko zbliżało się do wielkiego finału.

Zabawa niemal dobiegła końca.

Sięgnął po kosmetyczkę z lekarstwami.

– Co ty tu robisz? – Faris usłyszał swój głos, głuchy i słaby, a w następnej chwili dotarło do niego, że Tromsdorff już udzielił mu odpowiedzi.

Ira przyjechała na dowód, że Faris się nie zmienił. Tylko po to.

Podniósł się jeszcze trochę i wyprostował. Środki przeciwbólowe, które mu podano, niemal całkowicie złagodziły tępy ucisk i palenie w ramieniu. Lekarz z zespołu ratunkowego stał obok. Sięgnął właśnie po pusty woreczek po kroplówce z miną, która mówiła jedno – że wolałby być gdzieś daleko stąd.

– Co to? – wyszeptala Ira drżącym głosem i wskazała na przedmioty, które Tromsdorff wyjął z torby sportowej Farisa.

Materiały wybuchowe. Przewody. Zwój czarnego materiału, który okazał się pasem z kieszeniami, do których można było włożyć materiały wybuchowe.

– Zestaw zamachowca-samobójcy – mruknął Tromsdorff.

– Boże Wszchemogący! – Ira wsunęła dłonie pod ramiona, jakby było jej zimno, i ścisnęła tak mocno, że aż pobielewały jej kostki. – Co zamierzasz teraz zrobić?

No właśnie, co? Poddać się, złożyć broń i pozwolić mu zabić Anisah? Zrobić, czego porywacz od niego zażądał, i wziąć na siebie odpowiedzialność za śmierć innych osób? Znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Bezradność rozdzierała mu serce. Już dawno uświadomił sobie, że każdy scenariusz to misja samobójcza, a teraz cierpiał dodatkowo, bo musiał patrzeć, jak to dociera do Iry. Jak się tego boi.

Spojrzał szybko w stronę broni, którą lekarz wyjął mu zza paska i odłożył na bok. Walczył z pokusą, żeby ją złapać, przycisnąć lufę do skroni i pociągnąć za spust.

Szef zareagował, jakby umiał czytać w myślach.

– Ani się waż! – zganił go ostro.

Faris porzucił ponure myśli o zakończeniu wszystkiego tu i teraz.

– Masz rację, powinniśmy myśleć pozytywnie – powiedział. – Gdyby ten czubek podłożył gdzieś bombę, a mnie dał do ręki sam detonator, żebym go uruchomił, byłbym w znacznie gorszej sytuacji. Teraz przynajmniej mam nad tym jakąś kontrolę. Może dzięki temu zrobimy tak, żebym tylko ja...

Nie zdołał dokończyć zdania, bo Ira wzięła gwałtowny zamach i wymierzyła mu siarczysty policzek.

– Auć! – zawołał. I zamilkł. Dopiero po kilku sekundach milczącego pojedynku na spojrzenia kobieta pokręciła głową.

– Przepraszam! – mruknęła. – Co chcesz zrobić? Masz jakiś plan?

Przeczesał włosy dłonią.

– Nie, nie mam żadnego cholernego planu!

Sapiąc i stękając z wysiłku, Erwin Albers pokonał trzy stopnie prowadzące do drzwi wejściowych. Nie mógł opanować drżenia dłoni. Serce waliło mu jak szalone tak strasznie, że rozboleła go klatka piersiowa. Szlag by to trafił! Chyba już najwyższy czas udać się do specjalisty. Jego lekarz z przychodni od kilku miesięcy namawiał go do tej decyzji. Ale ten idiota przecież się nie znał. Powiedział, że powinien przestać palić i jeść tłuste potrawy. Erwin żadnej z jego rad nie wziął na poważnie.

Teraz pomyślał, że może popełnił błąd. I to duży błąd.

Nabrał głęboko powietrza i spróbował uspokoić rozedrgane dłonie, żeby trafić kluczem w zamek. Udało mu się dopiero przy czwartej próbie.

Albers otworzył drzwi i wszedł do śmierdzącej stęchlizną klatki schodowej. Tylko trzy z kilkunastu skrzynek na listy, umieszczonych po lewej stronie na ścianie, miały naniesione karteczki z nazwiskami mieszkańców. Roznosiciele ulotek nic sobie z tego nie robili. W każdą szczelinę, włącznie z tymi na nieopisanych skrzynkach, wciskali kolorowe kartki zadrukowane reklamami, na przykład nowej pizzerii w okolicy. Albers zaklął pod nosem, bo uprzątnięcie tego całego śmietnika pewnie znów spadnie tylko na niego. Uznał jednak, że to może poczekać i zajmie się tym, jak odpocznie.

Schodami dostał się na pierwsze piętro. Miał wrażenie, że pokonuje drogę wspinaczkową po pionowej ścianie. Zniechęcony spojrzał przed siebie. Dookoła panował półmrok. Okna na korytarzu też powinny zostać umyte. Ale kto ma się tym zająć? Od mniej więcej roku, czyli od kiedy zmarła jego żona Monika, w całym budynku nie było nikogo, kto by się troszczył o tego typu sprawy. Dwóch pozostałych lokatorów nawet nie było sensu pytać. Mieszkanie na trzecim piętrze zajmowała rodzina z trójką dzieci. Ci w ogóle odmówili uczestniczenia w grafiku sprzątnięcia klatki schodowej. A ich bezczelne dzieciaki pokazywały mu język, kiedy się mijali. Na szczęście wyjechali gdzieś na tydzień. To oznaczało, że miał kilka dni spokoju.

Nowy lokator z drugiego piętra w ogóle rzadko się pokazywał, ale Albers wcale nie był o to zły. Kto mógł wiedzieć, co to za człowiek? Kiedy przyszedł podpisać umowę najmu, zachowywał się bardzo grzecznie. Uśmiechał się. Wątpliwości i przede wszystkim podejrzliwość Albersa wzbudziły za to jego drogie ciuchy i przede wszystkim luksusowa bryka, jaką się woził. „Pewnie to alfons” – pomyślał. Kto inny mógłby sobie pozwolić na nowe Audi A8 i mimo to wynajmować mieszkanie w tej ruinie, która w zasadzie kwalifikowała się tylko do rozbiórki? Przecież tutaj tapety na ścianach i wykładzina podłogowa pochodziły jeszcze z lat siedemdziesiątych!

Jęknął wyczerpany i ruszył dalej. Był już prawie na górze, kiedy usłyszał kroki. Odchylił głowę i spojrzał w półmrok klatki schodowej.

Nowy lokator szedł w jego stronę. Prowadził ciemnowłosą, bardzo ładną, ale wyraźnie zmęczoną kobietę. Po chwili zastanowienia uznał, że wygląda raczej, jakby była naćpana. Na nadgarstku miała bransoletkę. W pierwszym odruchu Albers uznał ją za prostytutkę, jednak w następnej chwili stwierdził, że przecież dziwki, jakie widywał na ulicy, wyglądały zupełnie inaczej. Podobnie jak najemca miała na sobie bardzo porządne ubranie, co rzucało się w oczy, mimo że materiał był mocno pognieciony.

Domyślił się, że facet wynajął u niego mieszkanie, żeby mieć spokój i dyskretnie spędzać tu czas

na miłosnych przygodach. Albers musiał się powstrzymać, żeby nie potrząsnąć głową. To miejsce naprawdę nisko upadło!

Kiedy najemca go mijał, Erwin przywitał się skinieniem głowy i przystanął na przedostatnim stopniu, żeby nabrać powietrza. Miał wrażenie, że serce zaraz rozsadzi mu klatkę piersiową. Słyszał, jak na dole nieznajomy otwiera drzwi, a te po chwili z trzaskiem wracają na swoje miejsce. Elegancki mężczyzna i naćpana kobieta wyszli z budynku.

Sięgnął do kieszeni i po omacku odnalazł klucze. Naraz, zupełnie niespodziewanie, otworzyły się drzwi do mieszkania bezpośrednio nad jego lokalem. Zaskoczony podniósł wzrok. Jak to możliwe, skoro nowy najemca dopiero co minął go na schodach? A jeśli nie on, to kto mógł być tam na górze?

– Halo? – zawołał i czekał na odpowiedź. – Jest tam kto?

Nikt mu nie odpowiedział. Za to mógłby dać głowę, że usłyszał płacz małego dziecka.

No świetnie!

Chyba powinien to wyjaśnić, zanim wróci do siebie.

Schował klucze do kieszeni spodni i westchnął, po czym odwrócił się, wrócił na schody i rozpoczął mozolną wędrówkę piętro wyżej.

Potrzebował kilku minut, żeby tam dotrzeć, a potem kolejnych kilku, żeby uspokoić oddech. W mieszkaniu nowego najemcy były uchylone drzwi. Albers wsunął dłoń w szparę i otworzył je szerzej.

– Halo? – zawołał. – Jest tu kto?

Znów nie otrzymał odpowiedzi, za to nie usłyszał też płaczu dziecka. Już chciał się odwrócić i ruszyć w drogę powrotną do swojego mieszkania, kiedy opanowała go niepohamowana ciekawość. Możliwe, że to jedyna szansa, żeby zobaczyć, jak mieszka nowy najemca.

Ostrożnie przestąpił próg mieszkania, które miało identyczny rozkład jak jego własne. Stare tapety i brudne linoleum na podłodze. Nikt nie zrobił remontu. W powietrzu unosił się zapach pleśni, jak zazwyczaj w starych, długo nie wietrzonych pomieszczeniach. Albers się zawahał, ale w końcu ruszył powoli długim korytarzem do salonu.

Pomieszczenie było puste.

Puste, z wyjątkiem starej kanapy, bardzo dziwnie wyglądającej pośrodku podłogi. Albers sapnął, kiedy przyjrzał się jej uważniej. Co mogło zostawić taką dużą, ciemną plamę na obiciu?

Na oparciu leżało coś drobnego, podłużnego, z czerwoną końcówką. Nie od razu zobaczył, co to jest. Podszedł jeszcze bliżej, żeby przyjrzeć się temu dokładnie, lecz zanim to sprawdził, znów rozległo się kwilenie dziecka.

I właśnie w tym samym momencie zorientował się, czym jest przedmiot na oparciu kanapy.

– Boże drogi! – jęknął przerażony, a jego serce ot tak, po prostu, przestało bić. Czuł jeszcze, że traci równowagę i się przewraca. Uderzył w kanapę i przesunął ją odrobinę.

Ktoś odezwał się cicho:

– Spokojnie, Lilly! Już niedługo spotkasz się z mamusią!

Albers zrozumiał, że ktoś stanął obok. Ktoś z dzieckiem w ramionach. Wyciągnął rękę.

„Pomocy! Błagam, pomocy!” – chciał zawołać, ale nie udało mu się wydobyć głosu. Ból w piersi był nie do opisania. Raz jeszcze się wyprężył, walcząc z tym, co zbliżało się nieubłaganie, ale wszystko na nic. Otoczyła go ciemność.

Jego dłoń spoczęła tuż obok odciętego kobiecego palca z delikatnym pierścieniem i pomalowanym na czerwono paznokciem. Tego już nie zauważył.

NIEZNAJOMY

Nucąc cicho, Zöller wyszedł z budynku i zbliżył się do swojego Audi A8, które zaparkował przy krawężniku. Całkiem niedawno kupił to auto. Laura zrobiła mu z tego powodu scenę. Nie podobało jej się, że pozwolił sobie na taki wóz. Kiedy zamykał oczy, potrafił sobie przypomnieć jej narzekanie, które brzmiało dla niego jak przepelnione bólem skargi jego matki. Wspomnienia z dzieciństwa. To był pierwszy raz, kiedy poczuł chęć, by uderzyć Laurę. Oczywiście tego nie zrobił. W końcu nie był

skończonym dupkiem jak jego ojciec. O nie, Laura nigdy nie musiała się go bać. Nic a nic. Aż do wczoraj.

Przestał nucić, zachichotał cicho i sam przestraszył się tego dźwięku. Pospieszenie się rozejrzył. Nie, w pobliżu nikogo nie było.

– Chodź, kochana. – Odwrócił się do Anisah i wziął ją pod ramię.

Cierpiała z powodu działania wywołanego środkami, które jej wstrzyknął, by pokonać jej opór i osłabienie. Drżała, ale nie za mocno. Nie spodziewał się, żeby mogło dojść do zapaści, zanim przyjdzie czas na kolejny krok. Poza tym bardzo posłusznie wykonywała jego polecenia. A tak naprawdę tylko tego potrzebował.

Wolną dłonią sięgnął do kieszeni spodni i wyjął kluczyki. Po naciśnięciu guzika na pilocie zamki odblokowały się w akompaniamencie melodycznego sygnału. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie powinien usunąć swoich śladów z mieszkania, ale uznał, że to bez sensu. Po co, skoro nie sprzątał po sobie w pokoju hotelowym Laury? To, czy udowodni mu morderstwo, czy też nie, nie miało już żadnego znaczenia. Bo nawet jeśli by to zrobili, on od dawna będzie w innym, lepszym miejscu. Z Laurą. Tam, gdzie Iskander nie będzie mógł mu jej po raz drugi odebrać.

Otworzył drzwi pasażera i z szarmanckim ukłonem zaprosił Anisah, by wsiadła.

– Proszę do środka, kochana!

Zrobiła, co jej polecił. Bez słowa sprzeciwu, ze wzrokiem zasnutym narkotyczną mgłą i nieco kanciastymi ruchami mogłaby się rzucać w oczy, ale tam, dokąd zmierzał, nikt nie zwróci na nią uwagi.

Zamknął drzwi, obszedł samochód i wsiadł za kierownicę. Z cichym warkotem audi przebudziło się do życia.

Kiedy człowiek, który pragnął zemsty, wyjechał z miejsca parkingowego i włączył się do ruchu, na jego ustach pojawił się uśmiech.

Ludzie, na Boga, pospieszcie się w końcu!

Tromsdorff wznosił wzrok do nieba i modlił się, żeby jego ludzie zdążyli. Jeśli zaraz nie trafią na żadne konkretne ślady, wszystko zakończy się katastrofą – mniejszą albo większą, ale tragiczną katastrofą. Przygotowywał się już na konfrontację, której nie mógł uniknąć.

– W żadnym razie nie wypuszczę cię stąd z pasem wypełnionym ładunkami wybuchowymi! – powiedział i zastąpił drogę do drzwi baraku.

Po sposobie, w jaki Faris trzymał głowę, domyślił się, że jego podwładny spodziewał się takiej reakcji. Pomyślał też, że zaraz dojdzie do strasznej kłótni, lecz się pomylił.

Faris zachował spokój.

– Jeśli nie zrobię tego, co kazał, zabije Anisah.

Robert Tromsdorff wiedział, że Faris znenawidzi go za to, co musiał powiedzieć, lecz i tak się nie zawahał.

– Ona. Albo ty. A z tobą pewnie kilkadziesiąt niewinnych osób, Faris! Nie masz prawa w ogóle rozważać takiej opcji!

Faris otworzył usta, żeby mu odpowiedzieć, jednak szybko je zamknął. Milczał.

– Możesz być pewien – zaczął szeptem – że na pewno nie sprowadzę zagrożenia na żadną postronną osobę.

Podniósł się, wstrzymując oddech, i oparł się o ścianę.

– Zaraz! – zaprotestował lekarz. – Co to ma w ogóle znaczyć?!

Faris spojrzał na niego poważnie.

– Musi mnie pan czymś naszprycować, żebyśmy przez następne dwie, trzy godziny w miarę normalnie funkcjonował – oznajmił.

– Faris! – wtrącił się Tromsdorff, ale lekarz też nie miał zamiaru milczeć.

– Jak pan to sobie wyobraża, co? Ma pan w ramieniu dziurę, przez którą krew wypływa tak szybko, że nie nadążam jej uzupełniać! – Wskazał na kolejny pusty worek.

– W takim razie zrób pan coś, żeby nic ze mnie nie ciekło! – warknął Faris, tracąc cierpliwość.

Tym razem medyk miał już serdecznie dość. Spurpurowiał ze złości.

– Niech pan sobie nie wyobraża, że przyłożę rękę do tego, żeby ruszył pan w miasto wysadzić gdzieś bombę!

Ranny policjant zamrugał, po czym odchylił głowę i zaczął głęboko oddychać. Zanim zdążył odpowiedzieć, rozległ się sygnał komórki Tromsdorffa. Dzwonił Marc.

– Robert, mamy lokalizację, gdzie Zölller może przetrzymywać Anisah. – W kilku słowach wyjaśnił, że w mieszkaniu Zöllera znaleźli umowę najmu lokalu w jakimś podupadającym budynku wielorodzinnym w Kreuzbergu, którą mąż Laury zawarł stosunkowo niedawno. – Wynajął to mieszkanie tylko na pół roku. Już wysłaliśmy tam ekipę.

– Musi tam być! Musi! – jęknął Faris, z trudem łapiąc powietrze.

Marc milczał przez kilka sekund. Iskander spojrzał na szefa, a w jego oczach było tyle nadziei, że Tromsdorffowi zachciało się krzyknąć.

– Dam znać, jak ekipa dotrze na miejsce – odpowiedział Marc. – Jak dotąd udało nam się jeszcze ustalić, że Zölller porusza się ciemnogatowym Audi A8. Wszystkie radiowozy i piesze patrole wypatrują go na ulicach. – Przerwał na chwilę. – Faris? – zapytał w końcu.

Ranny policjant z trudem przełknął ślinę.

– Tak?

– Strasznie mi przykro, partnerze!

Faris milczał, lecz w jego oczach pojawił się podejrzany błysk.

– Dzięki, Marc – odpowiedział mu Tromsdorff. – Informujcie nas na bieżąco.

– Co zamierzacie...

Sztywny, mechaniczny ruch, jakim Tromsdorff zakończył połączenie, nie pozwolił usłyszeć reszty pytania Marca. Potem Robert opuścił komórkę i z ponurą determinacją powiedział do Farisa:

– Dobra, chłopcze.

ROZDZIAŁ 23

Faris przyglądał się elementom składowym bomby i czuł, jak znów otwiera się w jego wnętrzu bezdenne otchłań. Bezdeń.

Tromsdorff milczał i myślał nad czymś intensywnie. Po jakimś czasie drgnął i powolnym ruchem schował komórkę do kieszeni.

– Co teraz? – zapytała Ira. Stała obok drzwi baraku, ściągnęła łopatki i się wyprostowała. Paznokciami prawej dłoni przesuwiała nerwowo po spodniach.

Tromsdorff uniósł wzrok.

– Nasi ludzie są już w drodze do tamtego mieszkania – odpowiedział. – A my wykorzystamy ten czas, żeby się przygotować.

– Chcecie powiedzieć, że zbudujecie teraz bombę...?

– Wystarczy! – Faris uniósł dłonie i tym gwałtownym gestem zmusił Irę, żeby zamilkła. Przez chwilę patrzył na materiały wybuchowe i przewody. W końcu spojrzął na kobietę. – Powinnaś już pójść – zdecydował.

Ira potrząsnęła przecząco głową. To był mechaniczny ruch. Jej czaszka poruszała się na boki jak wahadło metronomu, jakby nie potrafiła robić niczego poza mówieniem nie. Nie. Nie.

Nie!

Robert Tromsdorff podszedł dwa kroki, chwycił ją za ramiona i odwrócił w stronę drzwi.

– Faris! – Kobieta oswoodziła się z jego chwytu i jeszcze raz spojrziała na rannego policjanta.

– Proszę, zrób to! – Z wysiłkiem przełknął ślinę. Co jeszcze miał powiedzieć, żeby zrozumiała? Na przykład: „Nie chcę, żebyś musiała to oglądać, jeśli coś pójdzie nie tak”? – Wróc do domu! – poprosił.

Zaśmiała się piskliwie.

– Chyba nie mówisz poważnie!

Patrzył na nią nieruchomy. Nawet nie skinął głową. Nagle sobie o czymś przypomniał. Sięgnął po portmonetkę, którą zabrał z jej mieszkania. Przez chwilę trzymał ją w dłoni.

– Bardzo cię przepraszam – powiedział.

Kiedy ją odbierała, drżały jej palce.

– Już czas, musi pani iść. – Tromsdorff złapał ją za przedramię i pociągnął za sobą. Wyprowadził ją z baraku, a potem przez dziurę w płocie na ulicę.

Faris odetchnął. Poczul, że coś się w nim budzi, coś ukrytego głęboko w jego wnętrzu, w mroku, do którego nigdy nie zaglądał, ba, o którego istnieniu nie miał pojęcia. Zupełnie jakby przebudziła się w nim do życia czysta groza, na którą bezpieczniej było nie kierować wzroku. A jednak dawała mu siłę, której akurat potrzebował.

Kiedy Tromsdorff odprowadzał Irę, on zaczął umieszczać spłonki w kostkach materiału wybuchowego.

Ira chciała się bronić, chciała krzyczeć i żądać, żeby Tromsdorff ją puścił. Chciała nawrzeszczeć na Farisa i na wszystkich mieszkańców tego przeklętego miasta. Chciała wrócić do baraku i jednocześnie uciec jak najdalej stąd, na sam koniec świata.

Kiedy wyszli za płot, Tromsdorff zatrzymał się na chodniku. Ani na chwilę nie poluzował uścisku na jej przedramieniu, za to drugą ręką wyjął z kieszeni telefon i wezwał taksówkę. Nie minęło pięć minut, a przy krawężniku zatrzymał się samochód jednej z korporacji. Z pewnością policjanta, który setki razy wcześniej pakował zatrzymanych do radiowozu, posadził Irę na siedzeniu obok kierowcy.

– Lübbener Straße – polecił taksówkarzowi.

Mężczyzna, młody Hindus z oczyma podkreślonymi kajalem, skinął głową i odjechał.

Ira odchyliła się i oparła o zagłówek. Dlaczego tak bardzo piekło ją pod powiekami?! Miała tego dość!

Kierowca spojrzął na nią z boku. Kiedy minął kolejny zakręt, Ira podjęła decyzję.

– Proszę się zatrzymać – powiedziała.

Faris uwolnił głowę ze wszystkich myśli, które dotyczyły Iry. Z zaciśniętymi ustami wpatrywał

się w części składowe bomby, rozłożone starannie na skrzynce po pomarańczach.

Połączył już wszystkie przewody ze spłonkami. Jedyne, co mu pozostało, to doprowadzić wolne końcówki przewodów do detonatora.

Detonator.

Faris wziął go do ręki i obejrzał. Urządzenie, które dostał od porywacza, działało na zupełnie innej zasadzie niż to, z którego skorzystał Önur. W tym nie musiał trzymać wciśniętej dźwigni i puszczać jej, by zdetonować ładunek wybuchowy. Wystarczyło za to nacisnąć pojedynczy czerwony guzik umieszczony na końcu czegoś, co wyglądało na niewielki joystick. I po wszystkim. Dobranoc, stolico.

Faris spróbował sobie wyobrazić, jak by to było położyć palec na przycisku i go uruchomić. Nie potrafił.

Dwa, trzy razy odetchnął głęboko.

Prawą dłonią odsunął włosy z twarzy, ale natychmiast zsunęły się z czoła. W końcu wziął się w garść. Ostrożnie uniósł pierwszą kostkę materiału wybuchowego i wsunął ją do jednej z kieszeni przy czarnym pasie. Zanim zdążył zrobić to samo z kolejną kostką, w drzwiach baraku pojawił się Tromsdorff i spojrzał na niego.

– Ani mi się waż, chłopcze! – sapnął poruszony.

Faris uniósł głowę i napotkał jego zdecydowane spojrzenie.

– Ira? – zapytał tylko, ignorując jego słowa sprzeciwu.

– Jest bezpieczna. Wezwałem jej taksówkę, podałem kierowcy adres i poczekałem, aż odjedzie. Nagle odezwała się komórka Tromsdorffa. Odebrał połączenie i przez kilka sekund milczał.

– Dzięki – powiedział spokojnie i się rozłączył. – To był Marc.

– Anisah? – wyrwało się Farisowi. Mimo to domyślał się, jaką dostanie odpowiedź.

Szef WPR-u ze smutkiem potrząsnął głową.

– Nie było jej w mieszkaniu wynajętym przez Zöllera. Już jej tam nie było. Nasi ludzie zabezpieczyli obcięty palec – zakładam, że to oczywiście jej – oraz zwłoki jakiegoś mężczyzny. Domyślają się, że to ktoś w rodzaju dozorca. Medyk sądowy, który jest już na miejscu, uważa, że facet zszedł na zawał serca. Możliwe, że dostał go na widok odciętego palca.

Po usłyszeniu najważniejszej informacji, wszystkie kolejne mijały Farisa, zupełnie do niego nie docierając. Liczyło się dla niego tylko jedno: Anisah nie było w mieszkaniu porywacza.

Jego siostra nadal znajdowała się w rękach Christiana Zöllera.

Faris umieścił pozostałe kostki materiału wybuchowego w odpowiednich kieszonkach.

– W takim razie nic innego nam nie pozostaje. – Uniósł załadowany pas i sprawdził, ile waży.

Tromsdorff podszedł kilka kroków.

– Nie masz mojej zgody, Faris, rozumiesz? – Spróbował odebrać mu pas, jednak Faris zbyt mocno go trzymał.

– Robert, nie chcę się powtarzać. Anisah zginie, jeśli ja... – Przerwał i zamilkł. To przecież nie miało sensu. Nawet gdyby udało mu się jakimś cudem przekonać szefa, że znajdzie sposób, by nie robiąc nikomu krzywdy, samemu wysadzić się w powietrze, dla niego wybór pozostanie kwestią czysto pragmatyczną. Jego życie albo życie jego siostry. Wiedział, że Tromsdorff bez wahania wybrałby jego.

On wręcz przeciwnie.

Przez chwilę rozważał sięgnięcie po broń, ale brakowało mu sił. Wcześniej zagroził nią Irze, niszcząc całe zaufanie, które było między nimi. Wiedział, że ona nigdy mu już nie uwierzy, i za żadne skarby nie chciał powtórzyć tego z Tromsdorffem.

– Przemysł to, proszę! – powiedział błagalnym tonem. – Dlaczego Zöller zabrał Anisah i wywiózł ją z tego mieszkania? Moim zdaniem mógł mieć tylko jeden powód: chce ją zabrać w miejsce, w którym mamy się spotkać.

Przypomniał sobie, jak Zöller nawrzeszczał na niego, kiedy rozmawiał z nim z mieszkania Iry, zaraz po tym, jak się dowiedział, że Samir żyje. Jego głos pulsował nienawiścią. Opowiedział o tym szefowi.

– Robert, on dobrze wie, że bez naprawdę mocnego argumentu nie zmusi mnie, żebym uruchomił

detonator. Wie, że musi mieć wyjątkowo silną kartę przetargową, dlatego będzie chciał przyprowadzić Anisah. A jeśli rzeczywiście to zrobi, dopadniemy go. Nie uruchomię detonatora, ale muszę zachowywać się tak, jakbym był na to gotowy. To moja jedyna szansa, żeby uratować Anisah.

„Jeśli rzeczywiście istniejesz, Allachu – pomyślał – spraw, żebym miał rację!”.

Tromsdorff nie wyglądał na zadowolonego, ale ku niewypowiedzianej uldze Farisa potaknął w końcu. Najpierw jednak bardzo długo stał i choć analizował tę sytuację ze wszystkich stron, nie miał wyjścia, więc bardzo niechętnie musiał przyznać Farisowi rację.

– No dobrze – westchnął. – Zrobimy to. Ale na moich zasadach, rozumiałeś?

Faris bawił się niespokojnie komórką i czekał, aż Tromsdorff wyjaśni z lekarzem pogotowia drobne nieporozumienie i przekona go, żeby zaczął działać.

– Powtarzam panu raz jeszcze: nie przyłożę ręki do tego, żeby jakiś ranny facet biegał z bombą po mieście! – syknął lekarz.

Tromsdorff potrząsnął głową i westchnął zrezygowany.

– A ja powtarzam panu po raz chyba setny, że ta bomba nie będzie uzbrojona. – W końcu sięgnął po legitymację i pomachał nią medykwowi przed nosem. – Widzi pan? Obaj jesteśmy z policji. Z departamentu piątego. Zwalczanie terroryzmu. Jeśli ten człowiek nie będzie w stanie funkcjonować w miarę normalnie przez kilka najbliższych godzin, istnieje duże prawdopodobieństwo, że wybuchnie jeszcze kilka bomb!

Departament piąty? Zaskoczony spojrział na szefa. Argument zagrożenia terrorystycznego zawsze działał. Teraz również. Opór lekarza zaczął topnieć.

– No sam już nie wiem... – mruknął.

Tromsdorff spojrział przeciągle na Farisa.

– Departament piąty? – zapytał ranny cicho. Z tego, co pamiętał, WPR organizacyjnie należał do departamentu pierwszego.

Szef uśmiechnął się ponuro i pokiwał głową.

– Już kilka razy napomknąłem, że mam asa w rękawie, jeśli chodzi o spory z Geiger i przyszłość WPR-u. Ale teraz niech ten idiota w końcu...

Lekarz uniósł dłonie, jakby się poddawał.

– Dobrze już, dobrze! Proszę, niech pan siada! – polecił rannemu policjantowi.

Kiedy Faris osunął się z powrotem na koce, on sięgnął do torby lekarskiej i wyjął dwa opakowania gazy zamknięte w folii. Uniósł je, jakby chciał nimi pogrozić, i pomachał Iskanderowi przed nosem.

– Uwaga, bo to będzie bolało!

Faris potaknął krótko.

Lekarz przykrył ranę złożoną kilkakrotnie gazą, a potem przyłożył do niej dwa zamknięte opakowania. I mocno przycisnął.

Ranny policjant miał wrażenie, że ktoś wbił w jego ciało rozpalony do czerwoności hak rzeźniczy. Zaciśnął zęby, żeby nie krzyknąć, i z całej siły uderzył głową w ścianę za plecami.

– Ostrzegałem – mruknął lekarz i nie siląc się nawet na delikatność, zaczął owijać mu bark bandażem, chcąc unieruchomić opatrunek na ranie. – Sam pan chciał, żebym zatrzymał krwawienie, prawda? – Jeszcze mocniej naciągnął bandaż. A potem cofnął się i spojrział na wynik swojej pracy. – Gotowe.

Faris przez zaciśnięte zęby wycedził krótkie podziękowanie. Nie był w stanie odczytać godziny na tarczy zegarka, a co gorsza, wewnątrz baraku wypełniła dziwna mgła. Zamrugał gwałtownie, lecz to nie poprawiło jego zdolności widzenia. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo znów rozdzwoniła się kradziona komórka.

Poczuł gwałtowny ucisk w żołądku, ale natychmiast odebrał.

– Bomba gotowa? – zapytał Zöller.

Faris spojrział na płataninę przewodów na skrzynce po pomarańczach.

– Tak – potwierdził.

– Świetnie. Czy znajdziesz gdzieś w pobliżu samochód, którym będziesz mógł pojechać w inne miejsce?

Auto, którym Tromsdorff przywiózł Irę, musiało stać niedaleko.

– Tak – powtórzył Faris.

– To wsiadaj i ruszaj. Niedługo dam znać, gdzie masz się stawić.

Połączenie zostało przerwane. Faris bardzo powoli opuścił telefon na kolana. Miał wielką ochotę go roztrzaskać, ale powstrzymał się. Ta słuchawka stanowiła jego jedyne połączenie z Anisah.

Tromsdorff spojrzał na niego uważnie.

Faris odchrząknął.

– Zaczynamy – powiedział krótko.

Szef pomógł mu założyć pas, umocować wiszące z niego przewody i ukryć je pod czarną zapinaną bluzą, którą wcześniej miał na sobie. Na koniec podał Farisowi detonator.

– Nie jest połączony z materiałem wybuchowym, więc jeśli w jakiś sposób uda mu się ciebie zmusić, żebyś go uruchomił, nic się nie stanie, rozumiesz?

Faris potaknął. Mimo to czuł się okropnie, biorąc ten groźny przedmiot do ręki. „Uruchomisz detonator”. Pokonał impuls, który kazał mu na próbę nacisnąć czerwony guzik. Potem schował urządzenie do wewnętrznej kieszeni i zapiął się pod samą szyję.

Tromsdorff przyjrzał mu się krytycznie.

– Okej. Nie widać, co masz pod spodem. – A potem uśmiechnął się delikatnie. – Wyglądasz po prostu, jakbyś się nieco zapuścił.

Faris podniósł pistolet, sprawdził magazynek i kiedy się przekonał, że jest pełen, schował go do kabury przy pasku. Potem ruszył za szefem do służbowego samochodu, którym ten przywiózł Irę, i wsiadł na miejsce pasażera. W schowku na rękawiczki znajdowało się pudełko z systemem łączności i słuchawkami wkładanymi do ucha. Faris wyjął jedną z nich, drobiazg wielkości paznokcia, i założył.

– Halo, jak mnie słyhać?

– Głośno i wyraźnie – odpowiedział mu Ben z War Roomu. – Marc jest jeszcze u Zöllera. Dałem mu znać, co się dzieje. On i Shannon są podłączeni do tego kanału, więc słyszą, co mówimy.

– Zgadza się, partnerze! – potwierdził Marc. – Jesteśmy gotowi ruszać, gdziekolwiek będziemy potrzebni.

Sądząc po odgłosach tła, musiał już opuścić mieszkanie Zöllera i siedział w samochodzie.

Faris dwoma palcami rozmasował sobie nasadę nosa. Często, od kiedy zaczął pracę w WPR, czuł głęboką więź z pozostałymi członkami zespołu. A dziś po raz pierwszy to uczucie objęło również Marca.

– Dzięki, partnerze – powiedział. A po krótkim wahaniu dodał jeszcze: – Jak już będzie po wszystkim, musimy iść się napić, okej?

Marc się roześmiał. Słyszeć było, że jest poruszony.

– Myślałem, że jesteś muzułmaninem? – odpowiedział.

– Nic nie szkodzi. Ja stawiam.

– Nie odmówię. Hej, ludzie, słyszeliście! Trzymam cię za słowo, stary!

Ben zakaszłał.

– Dobra, koniec z tymi pierdami! Do roboty! Zróbcie mu z dupy jesień średniowiecza! – I tymi wulgarnymi słowami udało mu się przepędzić wszelkie oznaki ckliwości. Faris poczuł się, jakby dostał obuchem w głowę. Tromsdorff w tym czasie zajął miejsce za kierownicą i uruchomił silnik.

Ruszyli w kierunku centrum Berlina. W przerwach między domami co chwilę pojawiała się wieża telewizyjna. Faris przyjrzał się strzelistej budowli. Szumiało mu w uszach. Skórzana bransoletka od Laury wbijała mu się w skórę. Odwrócił ją, żeby nie widzieć wypisanego imienia. Groźny mrok w jego wnętrzu burzył się i coraz mocniej falował. Przypomniawszy sobie terapeutkę Andreę i jej słowa. Powiedziała mu przecież, że ta sprawa będzie go wiele kosztować i znów stanie na krawędzi otchłani. Ostrzegła go.

Dostał gęziej skórki, kiedy sobie uświadomił, że wystarczyło, aby połączył jeden przewód z materiałem wybuchowym, a bomba, którą miał na sobie, stanie się śmiertelnie niebezpieczna.

Jak daleko się posunie? Za Laurę. Za Anisah.

– Oglądałeś ostatnio telewizję? – zapytał.

– Dlaczego? – Tromsdorff nie odrywał wzroku od ulicy. Jechał nieco szybciej, niż pozwalały przepisy, a Faris złapał się na tym, że w duszy odczuwał pragnienie, by się rozbili.

– Ostatnio był taki program. Z jakimś socjologiem, który zajmował się islamskim terroryzmem. Z tego, co pamiętam, nazywał się von Kerner. Andrea zwróciła mi na niego uwagę. Facet powiedział, że każdego da się zradycalizować.

Tromsdorff w końcu oderwał wzrok od jezdni i spojrzał w jego stronę.

– Co ty pieprzysz?

Dojeżdżali do skrzyżowania ze światłami. Byli coraz bliżej poprzedzającego ich samochodu, lecz Tromsdorff w ogóle nie patrzył, jak prowadzi, tylko wpatrywał się w twarz Farisa.

W końcu jeden z członków WPR – Faris nie potrafił poznać, czy to był Ben, Marc czy Shannon – potwierdził jego słowa cichym mruknięciem.

Faris nie odpowiedział, tylko wskazał głową przed siebie. Od zderzaka samochodu z przodu dzieliło ich ledwie kilka metrów.

Szef zahamował tak gwałtownie, że Faris zawisł na pasach bezpieczeństwa. Ucisk sprawił mu ogromny ból, tak przenikliwy, że nawet ogromna dawka środków podanych przez lekarza nie wystarczyła. Zazgrzytał zębami i poczekał, aż znów będzie mógł normalnie widzieć.

– Dlaczego mi ufasz? – zapytał.

Tromsdorff prychnął.

– Lepiej, żeby Geiger nie słyszała tej rozmowy – przerwał na chwilę i zamilkł. Zastanawiał się. Faris bał się, jaką usłyszy odpowiedź. – Ktoś musi ci ufać – burknął szef.

Światło zmieniło się na zielone. Samochody ruszyły.

Byli w pobliżu Karl-Marx-Allee, kiedy komórka kupiona za pięćdziesiąt euro od złodzieja zasygnalizowała nadejście SMS-a. Wiadomość zawierała tylko trzy zdania: „Plac Paryski. Daj mi znać, kiedy będziesz na miejscu. Nie spóźnij się”.

Odwrocił telefon, żeby Tromsdorff mógł sam przeczytać.

Policjant pobrał.

– Porywacz nawiązał kontakt – powiedział na głos. – Mamy jechać na Plac Paryski.

Faris przez słuchawkę usłyszał jęk i zaraz potem gwar dochodzący z War Roomu.

– Mogliśmy się tego domyślić – odezwał się Ben chłodnym, rzeczowym tonem. – Nikt chyba nie miał wątpliwości, że będzie szukał medialnego celu.

Iskander poprawił słuchawkę. Jedyne, co mógł, to przytaknąć koledze.

Plac Paryski. Brama Brandenburska.

– O cholera... – Shannon przerwała, ale szybko wzięła się w garść. – Wiecie, że to, co robicie, to poroniony pomysł? Zaraz obok Bramy Brandenburskiej mieści się ambasada mojej ojczyzny. Faris, niezależnie od tego, czy chcesz odpalić ten ładunek czy nie, wystarczy, że ktoś zauważy na tobie bombę, a jesteś trupem. Nawet nie zdążysz pomyśleć, że coś się dzieje. Oni wszędzie mają snajperów!

Tromsdorff skręcił w lewo, w Karl-Liebknecht-Straße. Faris przyglądał się szefowi i starał się zgadnąć, co myśli o wyborze miejsca i ich planie. Bo to, że nie był zachwycony, nie było żadną tajemnicą. Chciał za to wiedzieć, jak zareaguje na najnowszy pomysł Zöllera, który swój obłąkańczy plan chciał zrealizować w politycznym i turystycznym centrum Berlina.

Jedynym właściwym i zgodnym z zasadami rozwiązaniem było natychmiastowe zgłoszenie się do oficjalnych instancji i powiadomienie o podwyższonym ryzyku zamachu. To jednak, z dużą dozą prawdopodobieństwa graniczącą z pewnością, doprowadziłoby do śmierci Anisah.

Tromsdorff spoglądał hardo przed siebie i milczał.

– Zatrzymaj się! – poprosił Faris.

Szef WPR-u spojrzał na niego zaskoczony.

– Zatrzymaj się! – Faris wyjął z ucha słuchawkę systemu łączności. – WPR zostanie rozwiązany, a ty pożegnasz się z robotą, jeśli wyjdzie gdzieś oficjalnie, że to ty podwiozłeś mnie do tego czubka.

– Gdybym się teraz rzeczywiście zatrzymał i cię wypuścił, co byś zrobił?

Faris nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, bo w głowie miał tylko mglisty plan.

– Wezmę taksówkę, a potem...

– A potem pojedziesz na plac przed Bramą Brandenburską i dasz się zastrzelić, mając nadzieję, że w zamian za to Zöller wypuści twoją siostrę, tak? A jeśli ją również zabije? Nie, Faris. Sam nie dasz rady jej uratować.

Faris doskonale o tym wiedział. Zdawał sobie sprawę, że nie miał już pola manewru. Dobił do ściany. Milczał przez chwilę i wsłuchiwał się w siebie. W końcu podniósł wzrok.

– Jeśli powiadomimy służby o zagrożeniu, plac zostanie otoczony i odcięty. A wtedy Anisah zginie tak czy inaczej.

– Nie możesz mieć...

– Nie mogę mieć pewności? Gówna prawda, Robert! Wiem, że zginie. Wystarczająco długo grałem w tę grę na jego zasadach, żeby wiedzieć, że o dwunastej to zakończy. Niezależnie od okoliczności.

Tromsdorff nie odpowiedział. Skinął jedynie głową, dając mu znać, żeby z powrotem włożył słuchawkę do ucha.

Faris wykonał polecenie. Potem zjechali z ulicy, zatrzymali się przy krawężniku, a szef WPR-u wyjął telefon i wybrał jakiś numer.

– *Yippie-Ki-Yay motherfucker!* – Na niewielkim ekranie telewizora Bruce Willis wyjął akurat zapalniczkę, otworzył ją i zakręcił kółkiem, zapalając opary benzyny. Potem rzucił ją na ścieżkę z rozlanego paliwa lotniczego, które wyciekało z otwartego zbiornika samolotu.

– Wow! – Willie uniósł zaciśniętą pięść, kiedy ognisty ślad sięgnął najpierw silnika, a potem całej maszyny, która momentalnie eksplodowała. Kochał ten film! Oglądał go chyba dwudziesty raz i znał na pamięć, ale to nie miało znaczenia. Im częściej go włączał, tym bardziej sam czuł się jak John McClane.

Zdjął nogi z ławy przed kanapą i wstał, żeby przynieść sobie colę. Zwinnie ominął biurko obok starej lodówki. Wprawdzie szef przykazał mu dokończenie księgowania, ale kto by miał chęć zajmować się wprowadzaniem nudnych cyferek do jeszcze nudniejszych tabelki, jeśli można było w tym czasie uratować świat?

Willie wyjrzał przez obesrane przez muchy okno na rozległy teren złomowiska samochodowego. Przed biurem stał pojedynczy rząd samochodów czekających na demontaż. Na to jednak miał tak samo mało chęci, jak na uzupełnianie księgowości.

Westchnął ciężko.

Gdyby tylko dało się nie harować tak ciężko, a normalnie żyć!

Przez chwilę się zastanawiał, czy nie zabrać się do demontażu starego forda, który czekał na swoją kolej, ale w końcu odwrócił głowę i spojrzał na ekran, na którym Bruce Willis śmiał się jak szalenciec i tarzał w śniegu. Obok telewizora leżało pudełko ze *Szklaną pułapką 3*. Gdyby od razu włączył film, skończyłby go równo z końcem pracy.

Przesunął otwartą dłoń po krótko obciętych blond włosach i uśmiechnął się szeroko. Potem podszedł do lodówki, wyjął puszkę coli i ją otworzył. Wiedział, że napój jest tak zimny, że dostanie bolesnego skurczu gardła, ale niewiele go to obchodziło. Wyobraził sobie, że cola jest kwasem, a jakiś ponury psychopata zmusza go do picia. Przepełniony pogardą dla śmierci uniósł puszkę, gotowy wziąć pierwszy łyk, kiedy na zewnątrz rozległo się trąbienie.

Westchnął ciężko, odstawił napój na ławie przed kanapą i ruszył w stronę drzwi. Co za głupia robota!

Kiedy zobaczył, kto czeka na niego na dworze, humor od razu mu się poprawił. Obok powgniatanego i pordzewiałego golfa drugiej generacji stała naprawdę niesamowicie ostra laska. Miała bardzo długie nogi, dyskretne rajstopy i spódniczkę sięgającą dokładnie do połowy kolana. Willie słyszał kiedyś, że bizneswomen wybierają taką długość jako kompromis między seksownym a profesjonalnym wyglądem. A ta panna wyglądała naprawdę nieźle. Włosy ukryła pod luźno zawiązaną jedwabną chustą i spoglądała na niego zza lustrzanych ciemnych okularów.

– Czy mogę tutaj... pozbyć się tego złomu? – zapytała i wskazała na golfa, którym przyjechała. Willie potaknął szybko.

– Pewnie! – Jego mózg był o krok od przegrzania się. Pomyślał, że przez resztę dnia będzie oglądał filmy dla dorosłych, a nie Bruce'a Willisa. Językiem zwilżył usta. – Szybko i bez dużych kosztów.

– Fantastycznie. – Kobieta sięgnęła do wnętrza samochodu, prezentując wypięty tyłek.

Willie poczuł, że robi mu się ciasno w spodniach.

Kiedy nieznajoma odwróciła się w jego stronę, na jej pociągniętych czerwoną szminką ustach błąkał się delikatny uśmiezek. W dłoni trzymała portmonetkę.

– Ile?

– Stówka. – Nie wiedział, dlaczego, ale mówił głosem niższym niż zazwyczaj.

Kobieta wyjęła dwie pięćdziesiątki i podała mu.

– Gdzie mam go zostawić?

Wskazał na wolne miejsce zupełnie z tyłu placu.

– Mogę o coś zapytać? – mruknął, wbijając wzrok w ziemię obok swoich stóp.

– Oczywiście! – potaknęła.

– Jak to... to znaczy... jak to jest, że taka elegancka kobieta wozi się starym gratem?

Golf rzeczywiście przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Brakowało przedniego lewego nadkola, błotniki były przerdzewiałe, a słupek za drzwiami kierowcy miał wyraźne głębokie wgniecenie.

Kobieta znów się uśmiechnęła, po czym przesunęła czubeczką języka po ustach.

Matko Boska!

Willie odruchowo spojrział na swój rozporek. Miał nadzieję, że ta dupencja nie widziała, co się tam dzieje! Na szczęście patrzyła akurat w inną stronę.

– Opróżniam dom rodziców – wyjaśniła. – Ojciec od lat trzymał ten wóz w garażu.

– Pani ojciec... – Willie zamilkł. Nawet on potrafił zrozumieć, co to znaczy, że ktoś musi opróżnić dom rodziców: jej ojciec niedawno zmarł. Willie się zastanowił, czy nie powinien złożyć kondolencji, ale nawet gdyby chciał to zrobić, nie miał pojęcia, jak. Niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– Jeśli pan pozwoli, przeparkuję auto tam, na tył – powiedziała kobieta.

Willie potaknął. Przyglądał się, jak wsiada za kierownicę. Miała idealne łydki. Musiała dużo biegać. Przekreśliła kluczyk. Zanim silnik zaskoczył, rozległo się paskudne rżenie. W końcu ruszyła i podjechała na miejsce, które jej wskazał.

Kiedy wróciła, Willie dalej stał w tym samym miejscu.

– Dziękuję – powiedziała.

– Mhm... – odkaśliła. – Ale... jak pani teraz wróci do domu?

Zatrzymała na nim uważne spojrzenie.

– Pomyślałam, że wezwę taksówkę.

– Bo jeśli pani woli, to ja chętnie panią...

Potrząsnęła szybko głową, a Willie poczuł się jak idiota.

– Nie, dziękuję. Dam sobie radę.

Potem pożegnała się i zostawiła go samego.

Willie odprowadzał ją wzrokiem, aż zniknęła za zakrętem. Po chwili westchnął ciężko i spojrział na starego forda, który czekał na demontaż. W końcu wzruszył ramionami i wrócił przed telewizor. Tam przynajmniej czekał na niego Bruce Willis.

W mieszkaniu Zöllera Shannon jeszcze raz przyjrzała się kopercie z logo w kształcie próbki. Już wcześniej miała ją w dłoni, ale odłożyła, szukając ważniejszych informacji. Teraz trzymała w dłoni zadrukowaną kartkę i po raz trzeci czytała jej zawartość.

Na samej górze, pogrubionymi literami wypisano „Test na ojcostwo”, a poniżej kilka linijek suchych wiadomości: „Przesłane przez Pana próbki zostały poddane analizie laboratoryjnej DNA. Jej wyniki znajdzie Pan na specjalnie zabezpieczonym zewnętrznym serwerze. Żeby je odczytać, musi Pan wpisać w przeglądarce adres...”. – Tutaj znajdował się adres zewnętrznego serwera, a po nim jeszcze

jedno zdanie: „Ze względów bezpieczeństwa dane do logowania zostały do Pana wysłane osobnym listem”.

Czas upływał, Faris i reszta zespołu omawiali, co się zaraz wydarzy, a ona nachyliła się nad biurkiem i zaczęła szukać drugiego listu, z danymi do logowania.

ROZDZIAŁ 24

Tromsdorff czekał, aż automatyczna centrala połączy go z właściwą osobą. Faris nie miał zielonego pojęcia, z kim chce rozmawiać.

W końcu ktoś podniósł słuchawkę.

– Gerlach? – zapytał Tromsdorff, a Iskander zacisnął pięści.

Nadkomisarz Friedrich Gerlach kierował departamentem piątym policji i odpowiadał za bezpieczeństwo wewnętrzne Berlina. Poprzedniego dnia na placu przed Kościołem Pamięci był właśnie w tej roli.

– Słuchaj – zaczął Tromsdorff bez owijania w bawełnę. – Mamy powody przypuszczać, że na placu przed Bramą Brandenburską może dojść do zamachu bombowego – przerwał na chwilę, bo Gerlach od razu zarzucił go pytaniami. – Tak. I nie. Jedziemy tam z paroma osobami. Ale będziemy potrzebowali waszego wsparcia. Zamachowcem jest szczupły, wysoki mężczyzna o rudoblond włosach. Ben Schneider prześle wam zaraz jego zdjęcia. Wiemy, że ma zakładnika. To kobieta, dostaniecie też jej zdjęcia. – Znów zamilkł i słuchał przez kilka sekund. – Zgadza się. Koniecznie potrzebujemy waszej grupy realizacyjnej, ale całkowicie incognito. Podejrzewamy, że zamachowiec może wysadzić siebie i zakładniczkę w powietrze, gdy tylko nas zauważy.

Znów przerwał, dając czas Gerlachowi. Kiedy zauważył, że Faris przygląda mu się spięty, włączył tryb głośnomówiący.

– Wyślemy nasz zespół – mówił właśnie Gerlach. – Co z Iskanderem?

– Jest tu ze mną. Będę go potrzebował na miejscu. Może bardzo szybko zidentyfikować zamachowca.

– Zaraz, czekaj. Z tego, co zrozumiałem, podejrzewacie go o popełnienie morderstwa?

Robert spojrział Farisowi prosto w oczy, a ten nie odwrócił wzroku.

– Później wam wszystko wyjaśnię – uciął Tromsdorff. – Na tę chwilę pamiętajcie: Faris będzie na miejscu jako tajniak. Zrozumiałeś, Friedrich? *Undercover*. Niezależnie od wszystkiego, nie strzelajcie do niego!

Gerlach odsunął słuchawkę, lecz w tle było słyhać, że wydaje swoim ludziom rozkazy. Przez cały czas Tromsdorff świdrował Farisa przenikliwym spojrzeniem.

Iskander poczuł bolesne ukłucie w sercu i z wdzięcznością popatrzył na szefa. Robert skinął głową.

– Dobra – odezwał się Gerlach po dłuższej chwili. – Wydałem już odpowiednie polecenia.

– Świetnie – potwierdził Tromsdorff. – Pospieszcie się, proszę. – Rozłączył się.

– Ben? – zawołał.

– Wszystko słyszałem, więc już na początku rozmowy wysłałem im zdjęcia.

Tromsdorff oparł się wygodniej i wyjrzał przez przednią szybę.

– Dzięki – mruknął Iskander.

Szef WPR-u nie zareagował. Odwrócił lekko głowę i ze zmarszczonymi brwiami przyjrzał się czarnej bluzie, pod którą jego podwładny skrywał bombę. Pasek z materiałami wybuchowymi był prawie niewidoczny.

– W tej chwili najbardziej mnie zastanawia, czy uda nam się ubrać ciebie w kamizelkę kuloodporną, tak żeby Zölller jej nie zauważył?

Faris zmusił się, żeby rozluźnić pięści i wyprostować palce. Mokre od potu wnętrza dłoni wytarł w spodnie na udach.

– W ogóle nie chcę jej zakładać.

– Jak to nie chcesz?

Faris ruchem głowy wskazał na drogę przed samochodem.

– No po prostu, w ogóle. Jedź już, nie mamy zbyt wiele czasu.

Robert zawahał się, ale ruszył. Nie był jednak gotów zaakceptować decyzji Farisa, żeby udać się na plac przed Bramą Brandenburską bez kamizelki kuloodpornej. To był idiotyczny ruch, biorąc pod

uwagę liczbę policjantów, jacy się tam znajdują.

Faris wzruszył ramionami.

– Nie założę kamizelki kuloodpornej i koniec. Jak Zölller zauważy, że jestem tak przygotowany, natychmiast zwietrzy pismo nosem i będzie wiedział, że gram nieczysto. – Przez chwilę milczał i wsłuchiwał się w siebie, szukając odpowiedzi, co tak naprawdę nim kierowało, kiedy zrezygnował z kamizelki. Pełna grozy ciemność w jego wnętrzu była coraz bardziej niespokojna. Powoli tracił zdolność, by się przed nią bronić. „Gdy zaś długo spoglądasz w bezdeń...” – pomyślał ponuro.

Myślał, że Tromsdorff będzie oponował i się klócił, lecz po długim patrzeniu mu w oczy szef westchnął bardzo ciężko. Na koniec zaś prychnął.

– Tylko kto tutaj naprawdę gra nieczysto? – zapytał, zmienił pas i przyspieszył.

*

Kierowca taksówki był zachwycony możliwością wcielenia się w rolę Jamesa Bonda. Zaraz po tym jak Tromsdorff odesłał Iry do domu, kobieta poprosiła młodego Hindusa, żeby zatrzymał się przy krawężniku. Przez chwilę myślała, co powinna teraz zrobić. Mężczyzna za kierownicą cierpliwie milczał, czekając na nowe wytyczne. Taksometr cały czas naliczał opłatę.

W końcu, kiedy ciemne BMW Tromsdorffa minęło ich samochód, a w środku dostrzegła twarz Farisa, Ira podjęła błyskawiczną decyzję.

– Niech pan jedzie za tym wozem. Tylko proszę ich nie zgubić! – powiedziała szybko, na co młody Hindus spojrział na nią z niedowierzaniem.

Mimo to zrobił, o co go poprosiła.

Ruszył za Tromsdorffem i Farisem, trzymając się za nimi w bezpiecznej odległości. Kiedy oni się zatrzymali i przez jakiś czas parkowali przy krawężniku – najwyraźniej po to, żeby do kogoś zadzwonić – oni zrobili to samo. A kiedy policyjne BMW ruszyło dalej, taksówkarz płynnie włączył się do ruchu i podążył za nimi.

Kierowca wyraźnie dobrze się bawił, a kiedy przemykał między samochodami, z zadowolenia błyszczą mu oczy. Jechał, zaciskając dłonie na kierownicy, i z wysuniętą dolną szczęką obserwował śledzone auto, by go na pewno nie zgubić.

Jechali przez Unter den Linden. Kiedy ciemne BMW zatrzymało się na rogu Wilhelmstraße, a Tromsdorff i Faris wysiedli, taksówkarz z wprawą agenta wywiadu zaparkował przy krawężniku niecałe sto metrów za nimi.

– Którego z nich tak naprawdę pani śledziła? – zapytał.

„Tego czarnowłosego” – pomyślała Ira. A na głos powiedziała:

– Młodszego.

Podziękowała kierowcy, zapłaciła i dorzuciła naprawdę królewski napiwek.

Faris stał na chodniku na Wilhelmstraße obok BMW Tromsdorffa. Po chwili wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił do Zöllera.

– Jestem na miejscu – powiedział krótko.

– Okej.

Głos Zöllera wzniecił w jego głowie płomień ponurej wściekłości. Na razie był w stanie kontrolować złowrogi mrok gotujący się w jego duszy.

– Idź na środek placu. Tam, gdzie stoją przebierańcy, z którymi fotografują się turyści.

Połączenie zostało przerwane. Faris opuścił komórkę. W czasie rozmowy Tromsdorff wysiadł z samochodu, obszedł go i stanął obok podwładnego. Faris popatrzył na niego i dostrzegł w jego oczach zwątpienie, czy zdecydowali się na właściwe rozwiązanie. Żałował, że nie może go upewnić co do słuszności ich działań.

– Niezależnie od tego, co się ze mną stanie – zaczął – musisz znaleźć Anisah.

Tromsdorff walczył z sobą, ale w końcu potaknął.

– O to możesz być spokojny.

Prawą dłonią odpiął kaburę.

– Tylko nie rób żadnych głupot, zrozumiano?

Faris się wyprostował.

– Zaraz do was dołączę. – W słuchawce usłyszał głos Marca. – My zajmiemy się twoją siostrą, a ty zajmij się porywaczem.

Faris potwierdził, że zrozumiał.

Potem ruszył przed siebie.

Przeszedł na drugą stronę Wilhelmstraße, minął Starbucksa i wszedł na płytę placu. Z powodu mżawki dookoła przechadzało się niewielu turystów. Jakiś plus. Rozległa się głośna muzyka. Farisowi dudniło w uszach, bo adrenalina buzująca w jego żyłach wyostrzała kilkakrotnie każdy z jego zmysłów. Czuł mrowienie w opuszkach palców i na karku. Muzycy – czterech grubawych mężczyzn w eleganckich czerwonych strojach – rozstawili się z instrumentami przed budynkiem Max-Liebermann-Haus. Dookoła zebrało się dwadzieścia, może dwadzieścia pięć osób, które słuchały ich popisów. Część z nich klaskała z mniejszym lub większym entuzjazmem.

Faris rozejrzał się dyskretnie.

„Żeby tylko miał rację!” – pomyślał. „Oby był tutaj z moją siostrą!”

Jeśli się pomylił i niewłaściwie ocenił Zöllera, a jemu w rzeczywistości wystarczyłaby satysfakcja oglądania wybuchu bomby w telewizji, tkwił po uszy w gównie. Na myśl o tym Faris oblał się zimnym potem. Zmełł niewyraźnie jakieś przekleństwo.

– Spokojnie, przyjdzie tam – zapewniła go Shannon. – Nie denerwuj się! Przyjdzie. Zobaczysz, jestem pewna.

– On gdzieś tu jest, partnerze – dodał Marc.

Faris znów rozejrzał się ostrożnie, ale nigdzie nie dostrzegł kolegi z wydziału.

– Jestem przy bramie po lewej stronie, w pobliżu informacji turystycznej.

Tym razem wiedział, gdzie patrzeć, więc obrócił głowę we właściwym kierunku. Rzeczywiście, Marc stał pod zewnętrzną kolumną Bramy Brandenburskiej. Jedną rękę trzymał w kieszeni kurtki. Faris od razu się zorientował, że w ten sposób chowa broń.

– Przyjdzie, cierpliwości – zapewnił go Marc.

Wolał zaufać ich optymistycznej opinii, niż się denerwować. Ostrożnie naciągnął mięśnie pleców, bo czuł, że łapie go skurcz. Miał wrażenie, że kula tkwiąca w jego łopatce jest zrobiona z lodu. Promieniowała chłodem, który uśmierzał wracający powoli tępy ból.

Ciężki pas z materiałami wybuchowymi wbijał się nieprzyjemnie w jego biodra. Cały czas musiał walczyć z pragnieniem, żeby zerwać go z siebie i uciec.

Odetchnął głęboko.

– Kawaleria nadciąga – usłyszał głos Tromsdorffa. – Gerlach wysłał zespół realizacyjny. Miejmy nadzieję, że zdążył im dobrze wyjaśnić specyfikę dzisiejszej misji.

– O kurwa – sapnął ktoś do mikrofonu. Faris po chwili poznał głos Bena. – Coś jest nie tak!

– Wracaj do swoich zadań! – warknął Marc.

Faris szedł wolno, aż dotarł do krawężnika drogi przecinającej plac. Mimo nieprzyjemnej pogody zebrało się tam kilkanaście osób w przebraniach. Zwrócił uwagę na klauna z pomalowaną na biało twarzą i pękiem czerwonych balonów w dłoni. Poza nim do zdjęć pozował jeden niedźwiedź polarny i trzech radzieckich żołdatów, których mundury i twarze połyskiwały srebrną farbą.

Powoli obrócił się wokół własnej osi. Przesunął wzrokiem po Bramie Brandenburskiej, punkcie informacji turystycznej i budynku znajdującej się obok ambasady Stanów Zjednoczonych. Dwóch umundurowanych żołnierzy przed wejściem nie wyglądało na szczególnie spiętych. Faris nie potrafił przestać myśleć, co by się stało, gdyby materiał wybuchowy z jego pasa eksplodował. To musiałoby mieć ogromne reperkusje dyplomatyczne. Pewnie przedstawiono by go jako samotnego wilka, islamistę i zamachowca samobójcę. Wariata, który wpędzony w religijne szaleństwo chciał umrzeć, walcząc o skrajnie idiotyczną ideę utworzenia kalifatu.

Co za pieprzona ironia losu!

Bomba nie jest uzbrojona!

Musiał dosłownie zakuć te słowa na pamięć, żeby ich nie zapomnieć.

Jeden ze strażników patrzył w jego stronę i nie odwracał wzroku. Faris zrozumiał, że nie może zbyt długo stać w jednym miejscu, jeśli nie chce ściągać na siebie uwagi. Musiał być w ruchu.

Pot spływał mu po plecach strumieniem i wsiąkał w bandaże, którym był owinięty. Mokry materiał nieprzyjemnie ocierał mu skórę.

Jeden z radzieckich żołdatów objął jakąś grubą, rozchichotaną kobietę, pocałował ją hałaśliwie w policzek i zamarł w bezruchu, czekając, aż równie otyły mąż zrobi im zdjęcie. Muzycy skończyli grać swoją interpretację *With a little bit of luck* z musicalu *My Fair Lady* i przeszli do podniosłych wariacji na temat *Upiora w operze*.

Faris poszedł kiedyś z Anisah na ten musical. Bardzo jej się podobało.

Kiedy przyglądał się uważnie grubemu niedźwiedziowi polarnemu, który nieporadnie zataczał się między turystami, niespodziewanie zaczęła wibrować jego komórka. Dostał wiadomość tekstową. Przez kilka sekund bał się spojrzeć na ekran. Wyjął ją w końcu z kieszeni, lecz dłonie drżały mu tak strasznie, że niewiele brakowało, a upuściłby aparat na bruk.

Zöller przesłał mu zdjęcie. Fotografia przedstawiała Anisah w nieforemnym czarnym płaszczu. Rozchyłała szeroko jego poły. Pod czarnym materiałem znajdował się taki sam pas z materiałami wybuchowymi, jaki on miał na sobie. Z jedną tylko różnicą. Podczas gdy on miał cztery kieszenie wypełnione kostkami, na jej pasie doliczył się ich sześciu.

– Ty pierdolony gnoju! – zaklął Faris. Sygnał dzwonka kazał mu zamilknąć. Odebrał połączenie.

– Popatrz w prawo – polecił mu Zöller.

Faris się odwrócił. Po prawej stronie Bramy Brandenburskiej, na ławce należącej do skwerku przed muzeum Max-Liebermann-Haus, siedziała jego siostra. Farisowi kamień spadł z serca, a ulga była tak wielka, że aż się zgarbił. Po chwili znów się wyprostował. Kątem oka dostrzegł Marca. On również widział jego siostrę. Partner niemal niezauważalnie skinął w jego kierunku.

Anisah miała nieobecny wyraz twarzy, lecz fizycznie nic jej chyba nie było. Siedziała opatulona po szyję w czarny płaszcz. Sądząc po wybrzuszeniu, jakie tworzył na jej szczupłym ciele, dziewczyna miała na sobie płaszcz z bombą.

– Ty skurwysynu! – warknął Faris tym razem do słuchawki.

Zöller się roześmiał.

– Proszę, proszę. Chyba jednak się zaprzyjaźnimy.

– Pozwól jej odejść. Przyszedłem, jak kazałeś.

– Biorąc pod uwagę, ilu kolegów z policji postanowiło cię tu odprowadzić, domyślam się, że bomba, którą masz na sobie, jest nieuzbrojona – mówił Zöller głuchym, pozbawionym emocji tonem.

Faris poczuł ukłucie panicznego przerażenia.

– O kurwa! – mruknął Ben. – Dobry jest!

– Ale my jesteśmy lepsi – poprawił go Marc. – Ludzie! Skupcie się! On gdzieś tu jest! Szukajcie go! Teraz go dopadniemy!

Faris zmusił się, by podzielać jego optymizm. Kątem oka dostrzegł Tromsdorffa, który rozmawiał akurat z wysokim siwym mężczyzną.

Gerlach.

Koledzy z departamentu piątego byli na miejscu. W słuchawce usłyszał pytanie:

– Czy dobrze się domyślam, dlaczego twoja siostra ma na sobie płaszcz?

Faris rozmawiał przez telefon z porywaczem, więc nie mógł odpowiedzieć wprost. Burknął jedynie coś niezrozumiale. Gorączkowo szukał wzrokiem wśród turystów szczupłego mężczyzny w średnim wieku o rudoblond włosach. Nie dostrzegł jednak nikogo, kto choćby przypominał Christiana Zöllera. Przycisnął słuchawkę do ucha.

– Gdzie jesteś, śmieciu? Dlaczego się nie pokażesz, żebyśmy załatwili to między sobą?

– Co jest, Faris, robimy się nerwowi? – Zöller zachichotał. To był dziwny dźwięk, ujawniający jego szaleństwo. – Ale obawiam się, że masz ku temu dobre powody.

– Brzmi jak paranoik – stwierdziła Shannon. – Faris, uważaj, co mówisz, bo niechcący możesz go sprowokować!

Ranny policjant zacisnął zęby.

– Co teraz? – zapytał.

– No właśnie, co teraz... – Zöller się uśmiechnął. Drżał mu głos. Faris przestał cokolwiek odczuwać. – Na początek zajmij się uzbrojeniem bomby.

– Faris! Nie rób tego! – Głos Marca był cichszy niż szept.

Pod Farisem ugięły się kolana.

– Co on robi? – słyszy pytanie Bena.

– Zastanawia się – odpowiada Tromsdorff. – Faris, nie rób tego!

Ranny policjant schował telefon, nie kończąc nawet połączenia. Potem uniósł wzrok i spojrzał na Anisah. Miała uniesioną głowę, jakby mogła przebić wzrokiem chmury przykrywające niebo i zobaczyć słońce. Lekki wiatr poruszał jej włosami. Wyglądała jak turystka, która po długim zwiedzaniu Berlina rozkoszuje się chwilą odpoczynku. Biały opatrunek na jej dłoni nie budził złych skojarzeń i gdyby Faris nie wiedział, co jej się stało, w ogóle by się nim nie przejął.

Słuchawka w jego uchu transmitowała podekscytowane głosy pozostałych. Słyszał ten gwar i krzyki, lecz nie zwracał na nie uwagi.

– Faris! – zawołał Tromsdorff, raz jeszcze próbując do niego dotrzeć.

Iskander spojrzał w stronę siostry. Powoli uniósł dłoń i wyjął z ucha słuchawkę systemu łączności. Przestały do niego docierać słowa pozostałych członków zespołu. Ale to dobrze, bo musiał się skupić na tym, co miał do zrobienia. Przez chwilę wpatrywał się w niewielkie elektroniczne urządzenie, by w końcu wetknąć je w ziemię pobliskiej doniczki.

Może się mylił, ale miał wrażenie, że ból w ramieniu znów przybrał na sile.

Nieważne.

Suwak zamka błyskawicznego ściągnął na sam dół. Przewody, które miały połączyć zapalniki z detonatorem, wisiały luźno przy pasie. Zebrał je w dłoń.

I połączył.

– Kurwa! – usłyszała Shannon.

To był głos Tromsdorffa.

– Co się dzieje? – wyrzuciła z siebie, pracując gorączkowo na komputerze Zöllera. Jej palce błyskawicznie przeskakiwały po klawiszach, bo znalazła w końcu drugi list z danymi do logowania przesłanymi przez laboratorium wykonujące testy genetyczne. – Szefie! Co się dzieje?

Robert Tromsdorff potrzebował kilku sekund, żeby wziąć się w garść i opanować na tyle, by normalnie mówić.

– Uzbroił bombę! – jęknął głucho.

– *Fuck!* – szepnęła Shannon.

Na ekranie pojawiła się strona internetowa, której adres wcześniej wpisała. W odpowiednie pola wprowadziła dane dostępne. Po chwili przeszła dalej. To, co zobaczyła, było dla niej szokiem. Przez chwilę wpatrywała się w ekran szeroko otwartymi oczyma i poczuła pieczenie w żołądku, jakby połknęła kulę ognia. Odruchowo przycisnęła dłoń do brzucha.

– *Fuck!* – wyrzuciła z siebie, ale tym razem jej poruszenie dotyczyło informacji, do których uzyskała dostęp. W końcu dotarło do niej, co oznaczały. – Faris! Posłuchaj... – zaczęła, przyciskając słuchawkę do ucha.

– Już cię nie słyszy – przerwał jej Tromsdorff. – Wyrzucił słuchawkę i nie ma z nami kontaktu.

Kiedy Faris skończył, zapiął ostrożnie zamek, wyjął z kieszeni komórkę i przysunął ją do ucha. Zöller cały czas czekał na linii.

Iskander był całkowicie spokojny. Mrok w jego duszy w końcu przestał go dręczyć.

– Zanim wysadzę się w powietrze – zaczął – chciałbym poznać odpowiedź na jedno pytanie: po co to wszystko?

– Spokojnie, nikt nie powiedział, że masz się wysadzać w powietrze!

Słowa porywacza były tak zaskakujące, że pod rannym policjantem ugięły się kolana.

– Prawdę mówiąc – ciągnął Zöller – nie mam pojęcia, czy to ustrojstwo, które sobie przypięłeś,

w ogóle jeszcze by zadziało. U twojej siostry na sto procent nie, bo jest nieuzbrojone.

– To po co ten cały teatr? – Faris nie rozumiał, co się dzieje.

Zöller odpowiedział mu pytaniem.

– A jak myślisz, co by się stało, gdyby Anisah rozchyliła płaszcz? Spójrz na dach ambasady.

Faris odwrócił się powoli i spojrzał w lewą stronę. Miał doskonały widok na dach ambasady Stanów Zjednoczonych.

– Otworzyliby do niej ogień – wymamrotał.

W tej samej chwili na dachu pojawiło się kilku kolejnych strzelców wyborowych.

– Pomyśl, możesz jeszcze zapobiec jej śmierci – powiedział Zöller. – I doskonale wiesz, jak!

Kątem oka Faris dostrzegł coś czerwonego, plamę, która nagle zaczęła się poruszać gdzieś na granicy jego wzroku. Balony klauna.

Czas gwałtownie zwolnił. Widział, jak czerwone kule powolutku wzbijają się w powietrze. Jednocześnie Anisah uniosła dłoń i po omacku odszukała pierwszy guzik płaszcza. Wtedy dotarło do niego, że balony były sygnałem dla jego siostry. Znakiem, że ma rozpiąć okrycie. Sięgnął do ucha, zanim przypomniał sobie, że wyjął słuchawkę. Zupełnie bez potrzeby odciął się od łączności z zespołem. Kiedy to zrozumiał, wiedział, że przegrał. Odpiął zamek bluzy i wyjął spod niej detonator.

– To klaun! Powtarzam, to klaun! – Głos Marca przebił się przez gwar dookoła.

Mężczyzna wyjął broń z kieszeni kurtki i wycelował, jednak nie miał czystej pozycji. Jakaś otyła kobieta i jej równie otyły mąż znaleźli się dokładnie na linii strzału.

– Odsunąć się! – wrzasnął. – Policja!

Kobieta zobaczyła broń i zaczęła wrzeszczeć.

Marc rozejrzał się szybko.

– Cholera! – jęknął Tromsdorff. Potem rozległ się elektronicznie wzmocony głos.

– Rzuć to! Nie ruszaj się!

Jednocześnie na ciele Farisa zatańczyły dwa wyraźne, czerwone punkty, przesunęły się w górę i znieruchomiały na jego czole.

– O nie! – szepnął Marc. I rzucił się naprzód.

Pas szahida zdawał się ważyć tonę. Faris zacisnął dłoń na detonatorze. Serce podchodziło mu do gardła. Miał wrażenie, że zmieniło się w bryłę lodu.

– Rzuć to! Rzuć to, co masz w ręce! – rozległo się wezwanie z głośników.

Wszystko słyszał niewyraźnie, jakby słowa docierały do niego zza ściany.

Widział czerwone punkty laserowych celowników karabinów snajperskich. Przesuwały się po jego ciele, w górę, aż dotarły do głowy. Oślepiiony musiał zamknąć oczy.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Ramię już go nie bolało. Niespodziewanie poczuł się bardzo lekko.

Odpiął zamek błyskawiczny kurtki i rozchylił ją, żeby wszyscy mogli zobaczyć materiały wybuchowe.

Sekundę później trafiła go pierwsza kula.

ROZDZIAŁ 25

Kiedy Faris rozpiął bluzę, Ira odruchowo przyspieszyła kroku. Nie przejmowała się, że zginie, jeśli bomba na jego ciele rzeczywiście eksploduje.

To nie miało znaczenia, żadnego...

Nie mogła oderwać od niego wzroku. Z jakiegoś irracjonalnego powodu żałowała, że nie może w tym momencie widzieć jego oczu. Znała przecież to spojrzenie, ten wyraz, tą przerażającą, rozpaczliwą pustkę, która pojawiała się, ilekroć spoglądał w mrok swojej duszy.

Szloch ścisnął jej gardło i niemal rozrywał pierś. Jeszcze jeden krok i kolejny, ale wtedy ktoś pojawił się obok, schwycił ją mocno i objął ramionami, żeby nie mogła dalej iść.

– Puść mnie! – Broniła się, lecz nic nie mogła poradzić. Chwył był zbyt mocny.

– Odbiło pani? Mowy nie ma!

Nie widziała dokładnie, kto to był. Na pewno jakiś nieznajomy, mężczyzna. Może policjant.

Widziała, jak Faris unosi detonator i jak dwa punkty celowników laserowych tańczą po jego ciele i zatrzymują się na jego czole.

Widziała, że się uśmiecha, i rozumiała, że zaraz umrze. Ułamek sekundy później rozległ się gwałtowny, całkowicie jej obcy huk, a zaraz potem drugi. Dopiero po kilku sekundach pojęła, że to wystrzały.

Zobaczyła, że Faris pada w tył.

„Bóg jest miłosierny” – pomyślała i zawisła bezwładnie w ramionach policjanta.

Bóg jest miłosierny.

Co za cholerne kłamstwo!

Faris padł na bruk. Siła uderzenia pocisku wycisnęła całe powietrze z jego płuc. Nie czuł bólu, za to ogarnął go straszny chłód. Przestał dobrze widzieć, choć nie stracił przytomności. Nie, wręcz przeciwnie: nagle wszystko zrobiło się tak jasne i zrozumiałe, jak jeszcze nigdy wcześniej.

Ktoś był obok niego. Nachylił się. Biała twarz. Szerokie, roześmiane usta. Pomarańczowe włosy. Klaun.

Zareagował czysto instynktownie. Dłonią sięgnął do paska i po omacku odnalazł broń. Wyszarpnął ją z kabury, krzycząc coś, jednak jego głos zabrzmiał, jakby się dławził.

Zölller zbliżył twarz do jego twarzy. Faris poczuł ponurą radość, widząc wytrzeszczone z przerażenia oczy, kiedy porywacz uświadomił sobie, że to, co czuje, to wbijająca się w jego żebra lufa pistoletu.

– No i? – wycharczał Faris. Oddech sprawiał mu ogromną trudność, jakby powietrze zmieniło się w wodę. – Chciałeś... mnie zmusić... żebym uruchomił... detonator... To co... dalej chcesz?

W oczach Zöllera pojawił się strach, który po chwili ustąpił czemuś innemu. Tylko co to było? Satysfakcja?

Faris się zakrztusił. Serce waliło mu jak szalone, ale wypadło z rytmu. Czuł, że ma coraz mniej czasu.

– Mówiłem, że to zrobisz! – szepnął Zölller. – Więc śmiało!

Faris poruszył palcem.

NIEZNAJOMY

Czas się zatrzymał, a potem w ułamku sekundy cofnął o kilkadziesiąt godzin. Znalazł się z powrotem w pokoju hotelowym.

Laura stoi przed nim, w tym cholernie seksownym biustonoszu, który niedawno kupiła.

– Ty... już wróciłeś? – pyta bez tchu.

Przysuwa się do niego, przywiera, dotyka dłonią jego twarzy. Brody, której od jakiegoś czasu nie golił, bo nie miał na to siły. Pogłaskała go po policzku, a potem po brodzie. W końcu objęła go za szyję i zanosła się szlochem – a on... on zupełnie opacznie ją zrozumiał. Pomyślał, że żałuje próby odejścia.

Chwyta go, prowadzi do łóżka, rzuca się na nie i ciągnie go na siebie. Uprawiają seks, ostry i pożądliwy. Nie może uwierzyć swemu szczęściu.

Aż do momentu, kiedy Laura w ekstatycznym uniesieniu wykrzykuje imię.

Faris.

Odpycha ją mocno.

– Co?! – krzyczy. Podniecenie znika.

Laura rozumie, że popełniła błąd, ale nie potrafi okazać wstydu. Nie jest na to gotowa. W jej głosie nagle pojawia się kpina i szyderstwo.

– Tak. Faris. – Próbuje zakryć nagość, stara się włożyć majtki.

Zrywa się z łóżka, zatacza się. Odruchowo sięga po spodnie, które leżą na ziemi, z kieszeni wyjmując złożoną kartkę. To wydruk testu na ojcostwo.

Laura przesuwa wzrokiem po treści.

– No co... – mruczy. Jej twarz wyraża to, co myśli: „Czyli już wiesz!”.

W tym momencie coś w nim pęka.

– Wiedziałaś? – szepcze. – Przez cały czas wiedziałaś?

Laura potakuje. Gdzieś w głębi jego duszy kiełkuje nienawiść.

– Zdradziłaś mnie... Ty... – Nie może wykrztusić nic więcej. W jego głowie rozbrzmiewa echem głos jego ojca.

Zemsta. Zemsta za to, że go zdradziła.

Słyszy płacz matki. Arabska kołysanka i obrazy z filmu przedstawiającego gwałt zaczynają nakładać się na siebie w jego wspomnieniach. Czuje, jak rozmywają się granice między teraźniejszością i przeszłością, rzeczywistością i fantazją. Nie wie, co robić i jak się zachować. Nic nie rozumie.

Jego wzrok zasnuwa krwistoczerwona mgła. Bierze zamach i jednym ciosem ściera uśmiech z twarzy Laury.

Kobieta ma zaskoczony wzrok. Zatacza się i pada do tyłu. Uderza potylicą o szafkę nocną. Krew wycieka na podłogę, a on słyszy ochrypy głos ojca: „Zemsta!”. Odwraca się, widzi przed sobą szeroko otwarte oczy tego bydlaka i jego usta wykrzywione grymasem śmierci.

– Zemsta – szepce.

A potem dopada do Laury, rzuca ją na łóżko, przyciska do materaca, unieruchamia ręce i zrywa majtki. Nieruchomieje i przez chwilę tylko patrzy. Podniecenie wraca, znów ma erekcję. Chce ją pojąć, gwałtownie i brutalnie, jak ojciec brał jego matkę. Ale opanowuje się. Zamiast tego zaciska palce na jej gardle, mocno i długo, aż w końcu ona przestaje się bronić, aż w końcu przestaje się ruszać...

Z cichym jękiem wynurza się ze wspomnień i wraca do rzeczywistości.

Lufa broni Farisa wbijała mu się w żebra, ale jej dotyk odbierał jak pieszczotę. Nie tak to miało wyglądać, inaczej to zaplanował, ale to bez znaczenia. Iskander umierał, widział to w jego ciemnych oczach – oczach, które Laura tak bardzo kochała. Jednak zanim ta cuchnąca świnia zdechnie, zniszczy coś, co mu jeszcze zostało.

Lilly.

Dziecko.

– Strzelaj! – jęczy człowiek, który pragnął zemsty. – Strzelaj, do kurwy nędzy!

„I zabij mnie i ją” – dodaje w myślach.

Tromsdorff opuścił rękę, w której trzymał broń. Huk oddanego wystrzału dudnił mu w uszach, a zapach spalonego prochu nieprzyjemnie kręcił w nosie. Nie mógł go znieść. Jak na zwolnionym filmie widział, że Faris pada na ziemię, ktoś od Gerlacha doskakuje do Anisah i zrywa z niej pas z ładunkami wybuchowymi, a snajperzy opuszczają broń. Zobaczył też, jak do Farisa zbliża się klaun i przykuca obok.

Zobaczył krew.

– Co to było? – wrzeszczała Shannon przez słuchawkę tak głośno, że prawie popękały mu bębenki.

Jej krzyki przerwał Ben i teraz głośno wymieniali się wiadomościami. Tylko Marca nie słyszał.

– Czy to były strzały?

– Ofiary? Ranni?

– Faris – mruknął ponuro i schował broń. Nie miał wyboru, musiał postrzelić swojego człowieka, zanim snajperzy go zneutralizują. Ale to nie tak miało się skończyć. Nie tak... na pewno nie tak...

– Wezwijcie karetkę – wyszeptał. – Szybko!

Shannon błyskawicznie przesuwała palcami po ekranie telefonu.

Jezu! Nic innego nie była w stanie pomyśleć. Raz za razem powtarzała jedynie: „Jezu! O Jezu!”.

– Ofiara strzelaniny na placu przy Bramie Brandenburskiej – zameldowała zdyszana, zanim mężczyzna obsługujący centralę zdążył się odezwać. – Ranny policjant, potrzebna natychmiastowa pomoc!

Kiedy czekała, aż osoba przyjmująca zgłoszenie uruchomi właściwe procedury, w jej słuchawce rozległ się przerażony jęk Tromsdorffa.

– Co teraz? – sapnęła, przyciskając mocniej miniaturowy system łączności. Miała wrażenie, że jej oczy zaczynają się szklić.

– Faris... – jęknął szef. – Grozi Zölleroi bronią!

Holy God! Shannon nie mogła oderwać wzroku od strony internetowej laboratorium badającego profile DNA.

– Nie może strzelić! – krzyknęła przerażona. – Powiedz mu, że nie może tego zrobić! Robert! Zölller ukrył gdzieś Lilly! Możemy jej nie znaleźć. Faris pod żadnym pozorem nie może... – Głos odmówił jej posłuszeństwa.

Mężczyzna w centrum powiadamiania ratunkowego był cały czas na linii i czekał, a ona po prostu zakończyła połączenie.

– Nie pozwól mu strzelić! – wyszeptała. Strona internetowa rozmywała się jej przed oczyma. Zamrugwała.

– Test na ojcostwo Lilly Zölller – przeczytała po raz chyba setny. – Potwierdzone ojcostwo dla próbki DNA nr 2 – Faris Iskander.

W chwili, kiedy Zölller polecił mu strzelić, mrok w duszy Farisa zamarł w radosnym zachwycie. O tak, tego właśnie chciał. Chciał zastrzelić tego śmiecia, zabić go za wszystko, co wyrządził Anisah. Z trudem walczył o każdy oddech. Ale przegrywał. Wzrok przysłoniły mu ciemne plamy.

Zrób to!

Jeśli teraz tego nie skończy, temu draniowi wszystko ujdzie na sucho.

Skurcz wygiął jego ciało w łuk.

A potem – zupełnie płynnie – wszystko minęło. Znieruchomiał. I odepchnął od siebie Zöllera. Chciał mu powiedzieć, że go nie zmusi, żeby uruchomił detonator. Ale na to nie starczyło mu już sił.

Przez krwawą mgłę zobaczył, że ktoś chwyta Zöllera i ciągnie go gdzieś dalej.

– Boże, gdzie ta cholerna karetka?! – usłyszał krzyk. Tromsdorff.

Było mu strasznie zimno.

Ktoś go dotykał? Czy to możliwe, że czuł czyjeś dłonie na twarzy, na szyi, na piersi? Gdzie go trafili? Zresztą to już bez znaczenia. Był po prostu zmęczony.

– Faris! – Szloch i znajomy głos. Wrócił, kiedy go usłyszał. – Błagam, Faris!

Ira!

Chciał unieść ramię, chciał ją dotknąć, ale w tym momencie coś w jego klatce piersiowej ostatecznie się poddało. Jego usta i nos wypełniły się krwią.

A potem ogarnęła go ciemność.

ROZDZIAŁ 26

Ciemność długo trzymała go w swoich szponach.

Śnił bardzo intensywne sny, pełne buchających płomieni i oderwanych rąk i nóg. Ale występowali w nich również Ira, Tromsdorff i pozostali.

Rytmiczne pikanie szpitalnej aparatury podtrzymującej funkcje życiowe przenosiło go w czasie do chwili, kiedy stał twarzą w twarz z zamachowcem podkładającym bomby podczas Ekumenicznych Dni Kościoła, i dręczyło ponurymi wspomnieniami, przed którymi nie potrafił się obronić.

W pewnej chwili się obudził i był pewny, że widzi Paula na krześle obok łóżka. Kiedy indziej znów dałby głowę, że to Marc. Obydwaj milczeli. Za to Lilly wręcz przeciwnie. Całowała go w policzki i nazywała tatą.

Ostatecznie udało mu się wydostać z mroku i otworzyć oczy. Czuwali przy nim Samir i jego ojciec. Zmęczeni i niepewni stali po obu stronach łóżka, a każde słowo, które musieli zamienić, było dla niego niczym ostrze przesuwające się po gardle.

– Jak się czuje Anisah? – brzmiało jego pierwsze pytanie.

Chciał się ruszyć, ale nie mógł. Całą klatkę piersiową miał owiniętą bandażami i był podłączony przynajmniej do kilku dziwnych urządzeń. W policzek uciskał go wąż, którym tlen dopływał do nosa.

Próżno szukał jakichkolwiek emocji w spojrzeniu Samira.

– Jest pod opieką psychiatrów. A rana na ręce dobrze się goi.

Faris nie pytał, czy i kiedy będzie mógł się z nią zobaczyć. W oczach szwagra widział niemy wyrzut. To on był winien wszystkiemu, co spotkało Anisah. Tylko ona wspierała go w pomysłach, by zostać policjantem. Jako jedyna broniła go przed niechętną rodziną i teraz akurat ona stała się ofiarą zła, z którym on miał do czynienia na co dzień. Znał Anisah. Wiedział, że nigdy mu tego nie wybaczy.

Nie potrafił znieść spojrzenia Samira, więc odwrócił głowę. Po drugiej stronie łóżka stał ojciec.

Kiedy zobaczył łzy w jego oczach, poczuł się tak, jakby dostał w twarz. Chciał wyciągnąć rękę i go dotknąć, jednak wystarczył najmniejszy ruch, by palący ból ścisnął klatkę piersiową. Ku jego bezgranicznej uldze to ojciec sięgnął w jego stronę i chwycił za rękę.

– *Rabina yishfik, yabni* – wyszeptał. – To jedyne, czego pragnie twoja matka.

Faris zamknął oczy.

Rabina yishfik, yabni.

Wyzdrowiej, dziecko.

Nie wiedział, czy mu się to uda.

Kilka dni później w odwiedzinach do szpitala przyszedł Tromsdorff. Stan Farisa szybko się poprawiał, już mógł sam oddychać, bez pomocy aparatury i bez tlenu podawanego prosto do nosa. Tego dnia pielęgniarka po raz pierwszy podniosła nieco zagłówek jego łóżka. Cieszył się, że nie musi już leżeć płasko jak deska. Wciąż jednak nie był w stanie się poruszać. Lekarz wyjaśnił mu w czasie wizyty, że miał dwie rany postrzałowe. Jedna kula trafiła go w ramię i musiała zostać operacyjnie usunięta z kości łopatkowej, w której utkwiała, a druga w klatkę piersiową po prawej stronie, łamiąc dwa żebra i przebijając płuco.

– Faris! – Uśmiech rozjaśnił jego twarz, kiedy wszedł do sali rannego i zobaczył, że jest przytomny. W dłoni trzymał wielki bukiet kwiatów, tak kiczowato kolorowy, że bez najmniejszych wątpliwości pochodził od Gitty. Odłożył go na nocnej szafce i obszedł łóżko Farisa.

– Cześć! Jak się czujesz?

Kiedy Ira zadała mu to pytanie – ile to już czasu minęło? – starał się zażartować. Tym razem wolał tego nie robić.

– Lepiej. – Faris spojrzał w stronę drzwi, lecz jego szef przyszedł sam.

– Mam przekazać ci pozdrowienia i życzenia powrotu do zdrowia. – Robert przysunął sobie krzesło i usiadł obok łóżka. – Od Gitty i Shannon. I od Bena.

Nagle stał się śmiertelnie poważny. Głębokie bruzdy porały skórę wokół jego nosa i ust. Uśmiech zniknął z jego twarzy tak, jakby nigdy go tam nie było.

– Co się dzieje, Robert? – zapytał Faris. Dopiero teraz uświadomił sobie, że jego szef nie wymienił Marca. Poczul, że się napina.

– A Marc? – wyszeptał. Pikanie monitora serca, do którego był podłączony, zrobiło się znacznie szybsze.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Tromsdorff unikał jego wzroku. – Marc... – zaczął i zamilkł. W końcu uniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy. – Marc nie żyje, chłopcze.

Słowa szefa były jak kamienie wrzucane w czarną otchłań w duszy Farisa, lecz znikwały w niej, nie wydając najmniejszego dźwięku.

– Nie żyje – powtórzył niczym echo. Dlaczego nic nie czuł?

Tromsdorff potaknął.

– Starał się dobiec do ciebie, kiedy snajperzy wzięli cię na muszkę. Jeden z nich niestety zdążył pociągnąć za spust. Kula trafiła Marca.

Minęła sekunda. Potem kolejna.

A potem przyszedł ból. Uderzył w niego z ogromną mocą, jak młot parowy w kuźni. Trafił prosto w serce i rozgniół je na atomy. Faris odchylił głowę. Chciał zamknąć oczy, ale nie potrafił. Ślepym spojrzeniem wpatrywał się w sufit, aż wszystko zaczęło się rozmywać.

Tromsdorff czekał i milczał. Dał mu czas, by zebrał się w sobie i znów się poruszył.

– Przyjął kulę, która była przeznaczona dla mnie... – Farisowi głos się załamał.

„Jak ja mam kiedykolwiek sobie z tym poradzić?”. Przypomniał sobie, jak obcesowo i nieprzyjemnie traktował Marca i jak często mu pokazywał, że jest tylko słabym zastępstwem, które nigdy nie dorówna Paulowi. Partnerzy nadstawiali za siebie głowy, partnerzy osłaniali się przed kulami...

Zrobiło mu się niedobrze. Któreś z urządzeń umieszczonych nad jego łóżkiem zaczęło szaleńczo piszczeć, a zaraz potem do pokoju wpadła pielęgniarka.

– O Boże, co mu pan naopowiadał? – zawołała oburzona i zabrała się do podłączania kroplówki do wenflonu w prawej ręce Farisa.

Świat zaczął się kurczyć i stał się jednym maleńkim punktem, drobnym i zupełnie pozbawionym znaczenia. Głosy zaczęły się zlewać i stworzyły niezrozumiały, kakofoniczny szum.

– Wyjść! – To było ostatnie słowo, które do niego dotarło. – Proszę wyjść! On potrzebuje spokoju!

A potem znów zanurzył się w ciemności. Powitał ją jak dobrą przyjaciółkę.

*

Mijały kolejne dni, a on się cieszył, że jest bezustannie szprycowany silnymi środkami uspokajającymi. Czuł się tak, jakby się unosił w kokonie z grubej waty, chroniącym go przed zewnętrznym światem. I w zasadzie nic poza tym nie czuł, jakby odebrano mu emocje. Wiedział, że prędzej czy później przyjdzie mu stawić czoło wydarzeniom z placu przed Bramą Brandenburską. Tymczasem jednak ani nie był w stanie tego zrobić, ani nie czuł się gotowy.

– Wczoraj znów była u nas pana przyjaciółka – oznajmiła jedna z pielęgniarek, kiedy rankiem podawała mu śniadanie.

– Moja przyjaciółka? – Faris nie miał pojęcia, o kim mogła mówić.

Pielęgniarka odstłoniła tacę z jedzeniem.

– Pani Jenssen.

Ira!

– Od kiedy pan do nas trafił, regularnie pana odwiedza i wypytuje o pana stan. – Pielęgniarka się uśmiechnęła. – Nie przejmuj się, że za każdym razem musimy jej odmawiać, bo nie mamy prawa udzielać takich informacji. Dlaczego nie przyjdzie tutaj, do pana, i nie zapyta wprost?

– Nie mam pojęcia. – Zapach świeżej kawy wypełnił pokój, kiedy siostra napełniała jego kubek.

– Ona naprawdę jest pana przyjaciółką? – zapytała.

Faris powoli pokręcił głową. To, że Ira się o niego troszczyła, przebiło się przez mur obronny, który wznosił wokół siebie. Nagle poczuł coś, czego – mimo najlepszych chęci – w żaden sposób nie potrafił nazwać. Wiedział jedynie, że sprawiało mu to ból. Zupełnie jakby ktoś obdzierał go żywcem ze

skóry. Przeraził się tego uczucia.

– Co mamy jej powiedzieć, kiedy znów przyjdzie pytać o pana zdrowie? – zapytała kobieta. – Mamy odesłać ją do pana?

Faris potrząsnął głową.

– Powiedzieć jej po prostu, że zdrowieję – poprosił.

Minęło kolejnych kilka dni i Tromsdorff znów przyszedł w odwiedziny, tym razem nie sam. Towarzyszyła mu Andrea.

– Nie będę z tobą rozmawiał o Marcu. – To były pierwsze słowa, którymi przywitał ją Faris, ledwie przekroczyła próg jego sali.

Uśmiechnęła się jedynie.

– Spokojnie, nie zamierzałam poruszać tego tematu. Przyszliśmy, żeby cię poinformować, że prokuratura postawiła Zölllerowi zarzuty.

– Dochodzenie zmierza już ku końcowi – dodał Tromsdorff. – Jesteśmy w stanie udowodnić, że zamordował Laurę. Poza tym mamy jego przyznanie się do winy. Trafi na bardzo długo za kratki, Faris. Pod warunkiem, że w ogóle stanie przed sądem. Biegły psychiatra orzekł, że cierpi na psychozę z urojeniami.

Faris potaknął. Minęło tyle czasu, od kiedy trafił do szpitala, że był już w stanie samodzielnie usiąść. Większość rurek i przewodów zniknęła, a aparatura monitorująca została odłączona. Kroplówkę bezustannie podającą mu dożylnie środki przeciwbólowe zastąpiono specjalnym urządzeniem, dzięki któremu samodzielnie decydował, czy potrzebuje kolejnej dawki. Dotychczas jeszcze ani razu nie skorzystał z tej możliwości.

– Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego to ja przeżyłem. – „A Marc zginął” – dodał w myślach. – Chodzi mi o to, że przecież snajperzy z ambasady Stanów są najlepsi na świecie. Dlaczego w ogóle celowali w korpus, a nie w głowę? – Przypomniał sobie dwa czerwone punkty tańczące po jego ciele.

Tromsdorff przełknął głośno ślinę.

– Żaden ze snajperów cię nie postrzelił – wyjaśnił nieswoim głosem. – Z ich strony padł tylko jeden strzał. Pocisk trafił... Marca. – Westchnął, zanim wypowiedział jego imię.

Faris nie od razu zrozumiał, do czego zmierzał jego szef. Kciukiem wskazał na opatrunek na ranie postrzałowej na piersi.

– To skąd się wzięła kula, która połamała mi zebra i przebiła płuco?

Szef skrzywił się kwaśno.

– Z mojej broni.

„Słucham?!” – pomyślał.

– Ty do mnie strzelałeś?

– W jakiś sposób musiałem usunąć cię z linii strzału, ale byłem za daleko, żeby dobiec i powalić cię na ziemię. – Robert Tromsdorff spojrzał rannemu prosto w oczy. – Stałeś bardzo niekorzystnie obrócony. Nie miałem jak wycelować ci w nogi. A przypominam, że miałem tylko ułamek sekundy na podjęcie decyzji. Pomyślałem, że postrzał w pierś łatwiej przeżyć niż postrzał w głowę z karabinka snajperskiego.

Faris usiadł zaskoczony.

– Ocena ryzyka i minimalizowanie strat – mruknął.

On sam w czasie różnych akcji musiał podejmować podobne decyzje, jednak nigdy o takiej wadze. Nigdy dotychczas nie znalazł się w sytuacji, kiedy byłby zmuszony strzelić do kogoś, na kim mu zależało. Dotychczas ginęli tylko jego partnerzy... Przerwał tę spiralę ponurych myśli. Przez chwilę wyobraził sobie, w jakim strasznym stanie musiał być Tromsdorff, żeby uciec się do takiego rozwiązania. Jak blisko krawędzi się znalazł, żeby podjąć taką drastyczną decyzję?

Faris przypomniał sobie, że przecież sam wbił Zölllerowi łufę broni pod zebra. Przez chwilę poczuł żal, że nie pociągnął za spust.

– O czym myślisz? – zapytała Andrea.

Wyjaśnił jej uczucie.

Kobieta pobladła.

– Gdybyś wtedy strzelił, Zölller by wygrał, prawda? Rozumiesz chyba, że w ten sposób przyznałbyś mu rację? Poza tym pozbawiłbyś Lilly szans na ratunek.

– Lilly – powiedział Faris i w jego głowie na chwilę pojawiło się wspomnienie jednego z nawiedzających go snów. Lilly. Córka Laury. Córka Zöllera. Zacisnął zęby.

Tromsdorff spojrział przeciągle na Andreę. Faris nie rozumiał, o co mu chodzi.

– Zölller działał w amoku – wyjaśnił. – Liczył się z tym, że zginie w trakcie realizacji swojego planu, i miał zamiar zabić również małą.

Faris spojrział na Andreę i pokręcił głową.

– Swoją własną córkę...

Kobieta zwilżyła językiem usta.

– Działania Zöllera w pewnej części rzeczywiście były irracjonalne. Pierwotnie planował zginąć razem z tobą, kiedy zdetonujesz bombę. Potem się okazało, że materiały wybuchowe, które jakimś szemranymi sposobami udało mu się zorganizować, mogą nie zadziałać. Wtedy uznał, że to Amerykanie powinni cię rozstrzelać na Placu Paryskim. W końcu, kiedy przycisnąłeś mu do brzucha broń, całkowicie spontanicznie wrócił do pierwotnej wersji planu. Chciał, żebyś go zabił, bo w ten sposób zabiłbyś również Lilly. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie ją ukrył.

Tromsdorff włączył się do rozmowy:

– Porzucił ją na złomowisku samochodowym, ukrytą w bagażniku starego golfa. W dodatku podał jej bardzo silne środki uspokajające. Bez żadnych wątpliwości mała by umarła, gdyby Andrei nie udało się przekonać Zöllera do wyjawienia miejsca, gdzie ją znajdziemy. Tylko dzięki Andrei i jej umiejętnościom udało nam się dotrzeć na czas do samochodu i uratować Lilly. Od razu zajęli się nią lekarze. Nic jej nie będzie.

„Abstrahując od tego, że jej matka nie żyje, a ojciec jest mordercą” – pomyślał Faris. Mrok w jego duszy rozrósł się do przytłaczających rozmiarów.

– Ale po co to wszystko?

– Zölller miał bardzo ambiwalentny stosunek do kobiet – wyjaśniła Andrea. – Najwyraźniej nie raz był zdradzaną stroną w związku i to jeszcze zanim w ogóle poznał Laurę i się z nią ożenił. – Bardzo uważnie obserwowała Farisa, kiedy mówiła o Laurze.

Dał jej znak, żeby kontynuowała.

– Laura najwyraźniej nigdy się z tobą do końca nie pożegnała. Zgodnie z zeznaniami Zöllera, już krótko po ślubie zaczęła cię wspominać. A kiedy w zeszłym roku twoja twarz pojawiała się w mediach, zrozumiała, że cały czas darzy cię uczuciem. W czasie jednego z przesłuchań Zölller mówił o skórzanej bransoletce, którą u niej znalazł. Wtedy zrozumiał, co się dzieje.

Skórzana bransoletka z imieniem.

Faris sięgnął w stronę stolika nocnego, na którym stał już trzeci albo nawet czwarty bukiet od Gitty, rozsiewając w powietrzu duszny, słodki zapach. Otworzył szufladę i wyjął z niej bransoletkę. Przed operacją ratującą życie ktoś zdjął mu ją z nadgarstka, ale potem znalazł ją w swoich rzeczach. Od tamtego czasu leżała w szufladzie obok łóżka. Ani razu nie wziął jej jeszcze do ręki. Teraz zaczął się nią bawić i przesuwając między palcami, przyglądając się wyblakłemu arabskiemu napisowi: „Laura i Faris”.

– Ona też taką miała – wyjaśnił. – Tyle że na jej był napis: „Faris i Laura”. – Potem coś sobie przypomniał. Spojrział na Tromsdorffa. – Wypadło mi to z głowy, ale kiedy byłem u niej w hotelu, miała ją na ręce. Potem nie widziałem jej przy zwłokach.

Szef WPR-u wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie to sprawka Zöllera. Musiał ją zdjąć i wyrzucić.

Faris skinął głową.

– Być może.

Spróbował założyć bransoletkę, lecz Andrea się nachyliła i delikatnym, choć bardzo zdecydowanym gestem odebrała mu ją i wsunęła do kieszeni swojego zakietu. Chciał zaprotestować, ale ona tylko się uśmiechnęła i mówiła dalej:

– Wracając do sedna: kiedy Zölller się dowiedział, że przez cały czas ją przechowywała, zaczął ją szpiegować. Posunął się nawet do tego, że przeprowadził test na ojcostwo, bo chciał wiedzieć, czy Lilly rzeczywiście jest jego córką. – Zawahała się na chwilę. – W tym czasie coraz bardziej pogrążał się w paranoi, aż w końcu zaczął ciebie podejrzewać.

– Mnie.

Andrea skinęła głową.

– W jego urojeniach stałeś się największym i wszechobecnym zagrożeniem. Wrogiem. Szatanem, jeśli można tak powiedzieć. Podejrzewam, że miało to związek z tym, że pracował w organizacji, którą prowadzi twój szwagier, czyli Pro Toleranz. Co chwilę rozmawiał z zaślepionymi nastolatkami, którzy swoją nienawiść do Zachodu uzasadniali za pomocą takiego właśnie słownictwa. Zarzut, że „odbierają nam nasze kobiety”, stał się dla niego mantrą, którą dopasował do ciebie, bo w jego oczach to ty stałeś za odbieraniem im ich kobiet.

Faris stłumił gorzki śmiech. Przecież było zupełnie na odwrót, prawda? Przecież to Zölller odebrał mu Laurę. Urojenia... Rozmasował sobie kark i słuchał, co jeszcze Andrea ma mu do powiedzenia.

– Materiały wybuchowe musiały pojawić się w szafce w piwnicy pod świetlicą mniej więcej wtedy, kiedy ty zostałeś bohaterem, który załatwił zamachowca podkładającego bomby w Berlinie. Laura zaczęła dużo o tobie mówić, a Zölller, pogrążając się w paranoi, podjął decyzję, żeby cię zniszczyć.

– Od tej chwili wydarzenia zaczęły przyspieszać, bo to w zasadzie był początek tego, co właśnie miało swoją kulminację – ciągnął Tromsdorff. – W jakiś sposób udało mu się dotrzeć do środka przechowywanego prawdopodobnie w zasobach wojskowych, a mianowicie *rohypnolavariante*. To preparat, który pozwala na przejście kontroli nad drugim człowiekiem, nie odbierając mu przy tym zdolności do poruszania się. Amerykanie korzystają z tego w Guantanamo, o ile wiem. W każdym razie Zölller wytypował Önura, bo uznał, że chłopak idealnie nada się do realizacji jego szalonego planu. Zrobił mu pranie mózgu, zmanipulował i wpędził w stany lękowe. Okazuje się, że to wystarczyło, żeby przekonać go do uruchomienia detonatora. Bazując na przykładzie tego chłopaka, który we Frankfurcie zastrzelił dwóch amerykańskich komandosów, Zölller swój sposób urabiania Önura oparł na wykorzystaniu nagrań wideo z Internetu, na którym amerykańscy żołnierze torturują – ponoć! – muzułmanki, a potem je gwałcą. Wiemy, że islamscy ekstremiści celowo nagrywają tego typu filmiki, żeby w młodych ludziach zaszcześcić nienawiść do Ameryki i tak podburzyć, by w razie czego z własnej woli uruchomili detonator. W przypadku Önura Zölller musiał się nieco bardziej wysilić. Zagroził, że jego matkę spotka to samo, co kobietę na nagraniu, jeśli nie zrobi tego, czego od niego chciał.

Faris pomyślał o stopklatce z nagrania, na którą ktoś nałożył zdjęcie twarzy matki Önura. Melodia arabskiej kołysanki znów rozbrzmiała w jego głowie.

– Oglądał to nagranie i podsycał nim swój obłęd. Pogrążał się coraz bardziej – tłumaczyła Andrea. – Wychodzimy z założenia, że jako dziecko musiał być świadkiem, jak jego ojciec gwałci jego matkę.

– Udało nam się ustalić, że Zölller miał bardzo skorego do agresji ojca. Wyjaśnił nam, że jego ojciec regularne gwałty na matce rozumiał jako sprawiedliwą karę – za to, że jego żona zdradziła go z innym mężczyzną, zaszła w ciążę i urodziła dziecko, twierdząc, że to jego.

– Zölller był bękartem? – zdziwił się Faris.

Andrea przygryzła dolną wargę, po czym potaknęła.

– Jego ojciec gwałty nazwał zemstą i sprawiedliwą odpłatą za to, że go zdradziła. Na jakimś etapie Christian był przymuszany przez niego do przyglądania się, jak gwałci jego matkę. Mam nieodparte wrażenie, że jego dzieciństwo było drogą przez piekło.

Droga przez piekło.

„Jahannam” – pomyślał Faris. Nie musiał słuchać reszty opowieści, żeby wiedzieć, co się wydarzyło.

– Kiedy Laura przeniosła się do hotelu, dowiedział się, do którego i pojechał tam, tak?

Tromsdorff potaknął.

– Tak właśnie było. Dotarł do niej krótko po twoim wyjściu i zażądał wyjaśnień. Nie udało nam

się wyciągnąć z niego wszystkiego, co wie, ale jedno jest pewne: przespał się z nią, a ona w trakcie seksu wyjęczała twoje imię. – Zaśmiał się zmieszany.

– Przespał się z nią? To by znaczyło, że nasienie zabezpieczone na ciele Laury było jego, tak?

– Najwyraźniej. A nam udało się ustalić, jak doszło do tego, że laboratorium podało nam taki wynik analizy, jaki podało. Zöller musiał zaszantażować jednego z techników z laboratorium, a on wprowadził twoje dane do raportu z badania śladów DNA. Ten człowiek przed kilkoma dniami popełnił samobójstwo. Straż pożarna wycinała go za pomocą sprzętu hydraulicznego z wraku samochodu po tym, jak przy dużej prędkości uderzył w betonowy filar mostu. Na miejscu pasażera położył list, w którym przyznał się do wrobienia ciebie. Do tej pory nie udało nam się ustalić, czym Zöller go szantażował, ale to chyba jest w tej chwili sprawą drugorzędną.

„Oni mnie zmusili, żebym to zrobił”.

Faris usłyszał głos Önura, jak chłopak wyrzucał z siebie to wyznanie. Faris miał jednak wrażenie, że coś z tego, co słyszał od Tromsdorffa i Andrei, nie trzymało się kupy. Jak dotąd jednak to było jedynie przecucie, bo nie potrafił powiedzieć, co to konkretnie jest.

– I ten cały wysiłek, przygotowanie i realizacja – mruknął – tylko po to, żeby się na mnie zemścić? Dlaczego nie wziął po prostu spluwy i nie rozwalil mi łba?

Tromsdorff i Andrea ponownie wymienili znaczące spojrzenia, a on odniósł wrażenie, że dalej coś przed nim ukrywają. Zanim jednak zdążył się odezwać i zapytać, co się dzieje i co próbują przemilczeć, Robert podjął pałeczkę i kontynuował:

– No dobrze, czyli podsumowując: zachowanie Laury w pokoju hotelowym sprawiło, że Zöller stracił panowanie nad sobą. Uderzył ją w twarz. Przewróciła się i uderzyła głową o kant szafki nocnej. Na widok krwi kompletnie go poniosło. W napadzie jakiegoś obłędu zgwałcił ją i udusił. Kiedy doszedł do siebie, był tak wyglupiony, że zdecydował się zrealizować swój plan zemsty. Zadzwoił do Önura i porwał Anisah. Resztę znasz z autopsji.

Faris zamknął oczy. Tak, resztę znał. Aż za dobrze.

Wiadomości, które do niego dotarły, zupełnie wyczerpały jego siły. Tromsdorff od razu to zauważył, bo twarz jego podwładnego przybrała szarą, ziemistą barwę, a cienie pod oczyma wyglądały jak siniaki.

– Chyba powinniśmy już iść – stwierdził Robert i wstał.

Faris skinął jedynie głową.

– Odpoczywaj sobie! – Andrea również się podniosła z krzesła. Pocałowała go delikatnie w czoło.

Jej poufały gest bardzo zaskoczył Tromsdorffa. W końcu Andrea była terapeutką Farisa, a w takich relacjach zawodowy dystans był konieczny. Nie skomentował tego w żaden sposób. Ta sprawa była dla wszystkich okropnie wyczerpująca, zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Niech to cholera, sam też najchętniej wziąłby Farisa w ramiona i wyściskał.

Otworzył Andrei drzwi i razem wyszli na korytarz. Jedna rzecz nie dawała mu spokoju.

– On nie jest głupi, Andrea – powiedział cicho, zamykając za sobą drzwi. – Prędzej czy później zorientuje się, że nasza historia ma w kilku miejscach spore dziury. Sam dojdzie do tego, że Zöller nie zaplanował wszystkiego sam. Odbije mu, kiedy się dowie, że coś przed nim ukrywaliśmy.

– Może i tak – odparła Andrea. – Ale dopóki nie mamy najmniejszego punktu zaczepienia ani podejrzeń, kim może być ta osoba, nie będziemy mu o tym wspominali. Myślę, że ma dość spraw, które musi sobie dobrze przemyśleć. Nie chcę, żeby skupił się na szukaniu współsprawców. – Westchnęła. – A przynajmniej jeszcze nie. Faris potrzebuje spokoju. Przede wszystkim musi wyzdrowieć.

Ramię w ramię maszerowali szpitalnym korytarzem. Tromsdorff myślał o szczegółach, których mu nie ujawnili. „Cały ten wysiłek i planowanie tylko po to, żeby się na mnie zemścić?” – zapytał, a oni dali mu wymijającą odpowiedź. Przemilczeli fakt, że pierwotnie Zöllera wcale nie napędzała zazdrość, tylko coś zupełnie innego.

Tromsdorff przypomniał sobie przesłuchanie, w czasie którego ten śmieć zdradził im, o co naprawdę mu chodziło. Sam prowadził to przesłuchanie. Wspierał go Alfons Rühmann i razem siedzieli

naprzeciwko bardzo spokojnego i opanowanego Christiana Zöllera. Lekarz trzymał splecione dłonie na stole. Wciąż jeszcze miał bardzo zadbane paznokcie, lecz przez czas spędzony w areszcie śledczym mocno się wydłużyły. Zdawał sobie z tego sprawę, bo bez przerwy drapał kciukiem w paznokieć palca wskazującego.

– Twierdzi pan zatem, że wszystko, co zrobił pan podkomisarzowi Iskanderowi, miało służyć wyższemu celom? – zapytał Rühmann. Zöller już kilka razy wcześniej wspomniał o wyższym celu.

Mężczyzna potaknął.

– Co to za wyższy cel? – zainteresował się Rühmann.

Zöller nie odpowiedział mu wprost, tylko kolejnym pytaniem.

– Czy zna pan profesora Richarda von Kenera?

– Opowie mi pan o tym człowieku? – poprosił Rühmann.

– Profesor Kerner uważa, że w odpowiednich warunkach każdy muzułmanin może stać się zamachowcem – wyjaśnił Zöller.

Tromsdorff przypomniał sobie, że kiedy jechali pod Bramę Brandenburską, Faris też mówił o tym człowieku. Przyglądał się, jak Zöller bierze dłonie ze stołu i kładzie je na udach. Wydawał się zadowolony – szczęśliwy i jednocześnie kompletnie szalony. Robert był świadom, że Andrea siedzi po drugiej stronie lustra weneckiego po jego lewej stronie i uważnie obserwuje rozmowę. Może widziała w Zöllerze wyjątkowo ciekawy obiekt badań?

– Ten profesor daje wywiady i poucza wszystkich na prawo i lewo, ale i tak nikt go nie chce słuchać. Chcieliśmy udowodnić, że wygłaszając takie opinie, mógł mieć rację.

Uwadze szefa WPR-u nie umknęło oczywiście, że kiedy mówił, użył liczby mnogiej. My. Mimo to nie próbował tego nawet komentować. Na razie.

– I dlatego zaplanował pan coś na kształt finału? – zapytał. – Chciał pan zapewnić profesorowi von Kernerowi nieco więcej posłuchu i uznania?

Zöller potaknął.

– I właśnie dlatego chciał pan zmanipulować kogoś w taki sposób, żeby przyszedł na plac pełen ludzi i wysadził się w powietrze. Tylko kogo? Kogoś, kto dotychczas wymykał się wszelkim ocenom i podejrzeniom, że może być islamskim fanatykiem?

– Tak mniej więcej.

Tromsdorff najchętniej jednym ruchem zmazałby mu ten zachwycony sobą uśmiešek z twarzy, ale dla dobra sprawy zacisnął zęby i się opanował.

– Dlaczego akurat on? Dlaczego podkomisarz Iskander?

– Długo by wymieniać. Przede wszystkim zależało mi na znalezieniu człowieka, który byłby poza wszelkim podejrzeniem. Iskander wydawał się bardzo ciekawym przykładem po tym, jak pokonał zamachowca podkładającego bomby w czasie Ekumenicznych Dni Kościoła. Na dodatek wydawał się dość rozsądny, żeby skupić się na ważniejszych zadaniach. – Uśmiech rozjaśnił twarz Zöllera, jakby ktoś roztrzaskał maskę, za którą się ukrywał. – Poza tym moja żona oszalała na jego punkcie. Dlatego mogłem połączyć przyjemne z pożytecznym.

Tromsdorff zazgrzytał zębami. Poczul na sobie spojrzenie Rühmanna, które mówiło: „Zachowaj spokój!”.

– W jakiś sposób wszedł pan w posiadanie materiałów wybuchowych i narkotyku, który podał pan potem Anisah Chalid. Zmanipulował pan Önura i namówił do założenia pasa z bombą, żeby wysadził się w powietrze...

– To akurat było bardzo łatwe. – Zöller wszedł mu w słowo. – Önur był pod wpływem radykalnych salafitów i to oni go doskonale przygotowali do mojego zadania. Jedyne, co musieliśmy zrobić, to podsycić i ukierunkować strach, który oni w nim zasiali.

My.

– Mówi pan w liczbie mnogiej. „My”, czyli kto? – zapytał Tromsdorff ostrym głosem.

Zöller zdecydowanie potrząsnął głową.

– Wyjaśnię wszystko, co będziecie chcieli wiedzieć, ale na to pytanie nigdy wam nie odpowiem.

Tromsdorff uznał, że na tym etapie przesłuchania nie będzie drążył tego tematu.

– Kiedy polecił pan Önurowi rozpoczęcie akcji z bombą, działał pan sam, prawda? A to oznacza, że plan, który starannie przygotowaliście w grupie, zaczął pan realizować przed ustalonym czasem?

– Powiedzmy, że tragiczna śmierć mojej żony wytrąciła mnie nieco z równowagi.

Tromsdorff poczuł ucisk w żołądku i mdłości, kiedy usłyszał, jak Zölller mówi o żonie, którą przecież sam zamordował. Zacisnął pięści.

– Do realizacji planu przystąpił pan sam, w odłączeniu od swojej grupy. Czy pana przedwczesne działania wywołały złość pozostałych osób, które przygotowywały zamach?

Wtedy, w sali przesłuchań, Zölller jedynie potaknął. I niezależnie z której strony usiłowali go podejść i jak zadawali pytania, ani słowem nie zdradził, kim byli jego wspólnicy.

Szef WPR-u otrząsnął się ze wspomnień. Zatrzymał się przed drzwiami na oddział i wbił wzrok w mleczną szybę.

Andrea wsunęła mu dłoń pod ramię.

– Prędej czy później uda nam się zidentyfikować jego wspólników, zobaczysz – obiecała. – Wtedy będziemy w stanie wyjaśnić Farisowi, co się naprawdę wydarzyło.

Tromsdorff westchnął i sięgnął do przycisku umieszczonego na ścianie, którym otwierało się automatyczne drzwi.

– A kiedy zamierzasz mu powiedzieć o Lilly?

Andrea wzruszyła ramionami.

– Na razie na pewno nie. To, że to jest jego córeczka... – przerwała, bo prawie zderzyła się z kobietą, która stała po drugiej stronie drzwi.

Ira czekała przed wejściem na oddział intensywnej terapii, na którym leżał Faris.

Właściwie to co ją tu sprowadzało? Co sprawiało, że codziennie przychodziła do szpitala? Dlaczego nie potrafiła uwolnić się od myśli o tym człowieku? Dlaczego nie potrafiła zapomnieć o nim, skoro miał na nią tak zły wpływ?

Westchnęła głęboko i poczuła wyraźnie charakterystyczny, szpitalny zapach. Gdzieś za jej plecami przeszła pielęgniarka, skrzypiąc butami po linoleum.

Ira zatrzymała wzrok na krzyżu nad wejściem na oddział. To, że Faris trafił akurat do szpitala prowadzonego przez Kościół katolicki, od początku uważała za ironię losu. W jakiś sposób cieszyła się, że krzyż nad drzwiami był zupełnie prosty i drewniany, bez figury Jezusa. Tego widoku mogłaby nie wytrzymać.

„Bóg jest miłosierny” – pomyślała.

W tym momencie otworzyły się mechaniczne drzwi i niewiele brakowało, a zderzyłaby się z dwiema osobami, które opuszczały oddział.

– Kiedy zamierzasz mu powiedzieć o Lilly? – usłyszała znajomy głos. Robert Tromsdorff. Towarzyszyła mu elegancko ubrana kobieta z blond lokami.

– Na razie na pewno nie. To, że to jest jego córeczka...

Nieznajoma zauważyła Irę i gwałtownie przerwała.

– Ira! – Szef Farisa rozpogodził się i uśmiechnął.

Spróbowała odpowiedzieć mu równie radosnym powitaniem, ale nie była przekonana, czy znalazła w sobie dość entuzjazmu. Ostatnio nie potrafiła kontrolować wyrazu twarzy, nie mówiąc już o emocjach.

– Jak on się czuje? – zapytała bez tchu.

– Pani Ira Jenssen? – kobieta odpowiedziała pytaniem. Potem podała jej ciepłą dłoń i przedstawiła się jako doktor Andrea Roth. Terapeutka Farisa. – Dlaczego nie pójdzie pani sama go o to zapytać?

Ira poczuła nieodpartą chęć, żeby jej wyjaśnić, że jest tu przypadkiem i w zasadzie przyszła odwiedzić kogoś zupełnie innego. Była jednak dość przytomna, by wiedzieć, jak idiotycznie zabrzmiałoby takie kłamstwo. Potaknęła więc jedynie odruchowo.

– Może rzeczywiście powinnam to zrobić.

Pielęgniarka w butach z piszczącymi podeszwami znów gdzieś szła.

Doktor Roth poczekała, aż ich minie, i dopiero wtedy mówiła dalej:

– Czy zechciałaby pani zamienić ze mną kilka słów w cztery oczy?

Ira walczyła ze sobą. W pierwszym odruchu chciała odmówić, lecz nie zdążyła, bo Tromsdorff pożegnał się natychmiast, gotów zostawić ją sam na sam z psychiatrą. Podeszły razem na koniec korytarza, do kącika dla odwiedzających, gdzie można było usiąść.

– Zanim pani do niego pójdzie, powinna pani dowiedzieć się kilku rzeczy – zaczęła doktor Roth. A potem opowiedziała Irze całą historię ostatnich wydarzeń, włącznie ze śmiercią Marca Sommera i tajemnicą tożsamości Lilly Zöller.

Ira słuchała jej opowieści i odruchowo schowała dłonie w rękawach swetra. Chryste, kiedy w końcu pozbędzie się tego infantylnego odruchu?

– Chce pani powiedzieć... że Lilly... że to córka Farisa? – wyszeptwała. W zasadzie to była jedyna rzecz, jaka do niej dotarła.

Doktor Roth potaknęła bardzo poważnie.

– Faris nie ma o tym pojęcia i jestem przekonana, że na razie to najlepsze dla niego rozwiązanie. Dlatego chciałabym panią prosić, żeby zachowała to pani dla siebie.

– Oczywiście. – Myśli w głowie Iry wirowały jak szalone. To, co właśnie usłyszała... nie potrafiła tego pojąć... – A Marc Sommer...

– Zginął od kuli snajpera, kiedy próbował pomóc Farisowi.

Ira zostawiła rękawy w spokoju, za to uniosła dłoń i dotknęła szyi.

– O Boże... czy on kiedykolwiek sobie to wybaczy?

Andrea Roth milczała przez kilka chwil.

– Myślę, że będzie potrzebował innych, którzy zrobią to za niego.

Ira spojrzała jej w oczy, starając się zrozumieć, co miała na myśli.

– Pani jest jego terapeutką – powiedziała.

Kobieta uśmiechnęła się słabo.

– To prawda. Ale proszę mi uwierzyć – pani pójdzie znacznie lepiej niż mnie.

Ira wypuściła powietrze przez nos. Przesunęła spojrzeniem po jej ramionach i po ścianie, aż zauważyła kolejny krzyż. Na tym wisiała figura Jezusa. Przyglądała się wykrzywionej bólem twarzy niewielkiej postaci.

Doktor Roth zauważyła, że jej rozmówczyni skupiła się na czymś innym, więc odwróciła się, żeby zobaczyć, na co patrzy. Przez chwilę sama przyglądała się krucyfiksowi. Potem wstała.

– Do zobaczenia.

Ira wstała i ujęła podaną jej rękę. Tym razem dłoń terapeutki była zimna.

Potem odprowadziła Andreę Roth wzrokiem. Stała tak, aż za blondynką zamknęły się drzwi windy.

Jakiś czas później winda znów się otworzyła, a ze środka wysiadło dwóch pielęgniarzy z łóżkiem, na którym leżał jakiś starszy pan. Ruszyli w stronę oddziału Farisa.

Ira drgnęła.

Po raz ostatni spojrzała na krzyż na ścianie.

A potem poszła za pielęgniarzami pchającymi łóżko z pacjentem. Na drzwiach każdej z sal znajdowała się niewielka tabliczka, a na niej zielonym markerem ktoś wypisał niewyraźnie dane pacjentów.

Nazwisko Farisa zostało zapisane z błędem. Ira zatrzymała się pod drzwiami i uniosła dłoń, ale się zawahała. Po chwili zebrała się na odwagę.

Zapukała.

Drzwi windy się rozsunęły i Andrea wsiadła do niewielkiej kabiny. Ściany po obu stronach były wyłożone lustrami, które odbijały się w sobie nawzajem. Patrzyła na ciągnący się w nieskończoność szereg swoich odbić. Rozpierała ją euforia. Jakie to proste! Jak łatwo sprawić, żeby ludzie wierzyli w to, co chciała!

A kiedy już wierzyli, niewiele było trzeba, żeby zaczęli działać.

Sięgnęła do kieszeni marynarki i wyjęła skórzaną bransoletkę, którą odebrała Farisowi. Przez kilka sekund wpatrywała się w arabskie litery układające się w odcisnięty na niej napis. Wiedziała, co oznacza. „Laura i Faris”.

Potem sięgnęła do drugiej kieszeni. Kiedy wyjęła z niej dłoń, trzymała w palcach drugą bransoletkę. Z takim samym napisem, choć na niej imiona były w odwrotnej kolejności.

„Faris i Laura”.

Christian nie chciał, żeby ją zabierała, ale zażądała jej w zamian za pomoc z Lilly. Christian! Przez swój obłąd i szaleństwo zniweczył jej doskonale przemyślany plan. Była na siebie zła, że tego nie przewidziała, ale w gruncie rzeczy okazało się, że nie ma tego złego... Andrea pomyślała o Irze i o tym, że przekonała ją, aby poszła do Farisa.

Uśmiechnęła się.

Zabawa jeszcze się nie skończyła.

PODZIĘKOWANIE

Praca nad książką zasadniczo przebiega w samotności. Pomimo to istnieje oczywiście wiele osób, bez których byłoby to niemożliwe i którym należy się podziękowanie.

Po pierwsze dziękuję Nilsowi Landmarkowi, który nie zdaje sobie sprawy z tego, jak ważne w ostatnich miesiącach pracy było dla mnie jego krytyczne spojrzenie i opinia na temat dramaturgii oraz wiarygodności przedstawionej historii. Dziękuję Ci, mój drogi, za cierpliwość i dokładność w omawianiu kolejnych zwariowanych punktów akcji. Mam nadzieję, że jesteś świadom, że Faris cię znienawidzi za przyszłość, jaką mu nakreśliłeś?

Sandrze Thoms i Jannisowi Radeleffowi dziękuję za to, że byli dla mnie opoką w czasie zwątpienia w historię i przede wszystkim w samą siebie. Staliście się wzorem dla ludzi, którzy wspierają Farisa w opresji. Jestem ogromnie wdzięczna za waszą przyjaźń.

Alicji Hubbe dziękuję z kolei za trafne analizy psychologiczne postaci, wszystkie rady i długie rozmowy telefoniczne, podczas których obracała w perzynę zawiązki akcji, a następnie kolejno, w zgodzie z wiedzą fachową, już ulepszone, składała w całość. Gdyby nie ty, Alicjo, rany na duszy, jakie nosi Faris, byłyby tylko połowicznie wiarygodne. A jego wrogowie tylko połowicznie zepsuci...

*

W dalszej kolejności podziękowania należą się:

Volkerowi Wortmannowi za błyskawiczne odpowiedzi na pytania na temat pracy policji i taktycznych jednostek antyterrorystycznych. Twoje każdorazowe: „Jak ci pomóc?” czyniło cuda!

Olaforowi Schilgenowi za techniczną wiedzę, którą z radością się dzieli. Mam nadzieję, że wreszcie ogarnęłam temat telefonów komórkowych!

Dziękuję losowi (i Międzynarodowemu Stowarzyszeniu Autorów Thrillerów International Thrillerwriters Org.) za to, że poznałam Monikę i Essama Mansourów, którym zawdzięczam cenne wskazówki na temat egipskiej odmiany języka arabskiego, jakim posługuje się Faris.

Carstenowi Hohoffowi z Instytutu Genetyki Sądowej w Münster dziękuję za czas poświęcony mnie i moim dociekaniom, czy można zdjąć odciski palców ze skóry denata.

Birgit Rentz za jej uwagi i pomoc w korekcie na ostatnią chwilę.

Petrze Samani, Kerstin i Monice Stutzke oraz Christiane Reiff i Jensowi Kleinowi za to, że schodzili ze mną cały Berlin. Bez was pierwsza bomba w książce wybuchłaby w całkowicie złym miejscu.

Dziękuję oczywiście zespołowi wydawnictwa Blanvalet Verlag oraz mojej agentce Petrze Hermanns za zachwyty nad moimi materiałami, za natychmiastowe: „Jak moglibyśmy pomóc?”, ilekroć miałam trudności, i za radość z tworzenia książek, która od was bije. Gdyby nie wy, Faris by nie istniał!

*

Na koniec muszę podziękować wszystkim osobom z mojego prawdziwego życia. Za to, że wytrzymaliście, że całymi miesiącami zajmowałam się Farisem, a czasem w ogóle nie dało się ze mną rozmawiać. Szczególne podziękowania należą się Stefanie Kropp-Heindorf i Petrze Engwicht. Ze mną już wszystko dobrze, moje kochane! I oczywiście – *last but not least* – wyjątkowo serdeczne podziękowania dla mojego męża Stefana i mojej rodziny za ich niestrudzone wsparcie i miłość.

Kathrin Lange

lipiec 2014

Przypisy

- [1] *Koran*, Sura II: 190-194, tłum. Józef Bielawski, Warszawa 1986, s. 37.
- [2] Fryderyk Nietzsche, *Poza dobrem i złem*, przeł. S. Wyrzykowski, Kraków 1912, s. 108.
- [3] *Koran*, Sura II: 190-194, op. cit., s. 37-38.